

KAMIENICA POD IRYSAMI

ŻYCIOWE  
DECYZJE

WIKTORIA GISCHE

MANDO

KAMIENICA POD IRYSAMI

# ZYCIOWE DECYZJE

WIKTORIA GISCHE

MANDO



## Rozdział 1

Stary zegar rytmicznie odmierzał czas. Wskazówki przesuwają się po cyferblacie leniwie, ale bezustannie, niczym niestrudzeni wędrowcy brnący do celu podróży. Dochodziła dziewiętnasta.

Eleonora podeszła do okna. Od kilku godzin padał śnieg. Krakowski Rynek przykrył się białą, skrzącą się w świetle latarni śnieżną pierzynką.

Przechodnie, kuląc się w płaszczach z wysoko podniesionymi kołnierzami, przemykali czym prędzej, ignorując otaczający ich zimowy krajobraz. Z oddali doleciał do uszu Eleonory radosny dziecięcy śmiech.

Kąciki jej ust same uniosły się do góry. Chętnie wyszłaby na dwór. Na spacer, do parku, gdzie ciężkie od białego puchu konary staniały się ku ziemi, jakby oddawały pokłon.

Obrazy te przywołały wspomnienie ich niedawnego wypadu z Julianem. Sobota ósmego stycznia była pierwszym słonecznym dniem od Nowego Roku, który krakowianie przywitali w asyście maszerujących oddziałów biorących udział w zorganizowanej przez miasto rewii wojskowej.

– Deszcz wreszcie dał za wygraną. – Julian przyglądał się, jak Eleonora poprawia twarzowy kapelusik. – Już zaczynałem wątpić, czy jeszcze kiedyś zobaczymy słońce. Rzecz niesłychana, ale czułem dopadające mnie przygnębienie, które potęguje obawa o stan zdrowia taty.

– A jak czuje się hrabia Michałowski? – Eleonora spojrzała na Juliana z troską.

Od kilku dni nie odwiedzała hrabiego z uwagi na swojego ojca, który całymi dniami przesiadywał w gabinecie, a kiedy już go opuszczał, nie można się było dopatrzeć na jego twarzy nawet namiastki radości. Wyjazd matki musiał doskwierać Schrammowi bardziej, niż chciałby się do tego przyznać.

– Zdecydowanie lepiej – mówił Julian, prowadząc Eleonorę w stronę zaparkowanego niedaleko forda, którym swego czasu wrócił z -Paryża do domu.

Ileż wówczas napsuł krwi tym samochodem. Autem dla parweniuszy. Autem dla pospólstwa. Motłochu. Samochodem niegodnym hrabiostwa Michałowskich. Dziś jego fordzik, jak pieśzcotliwie go nazywał, nie robił już na rodzicach żadnego wrażenia. Zwłaszcza hrabia Aleksander zmienił zapatrywania na życie. Wojna zweryfikowała niektóre jego poglądy i dlatego zaczął bardziej liberalnie patrzeć na świat.

– Jeżeli rekonwalescencja będzie szła nadal w obecnym kierunku i nie wystąpią nowe, nieoczekiwane komplikacje, możemy się -spodziewać, że ojciec zostanie wypisany za kilka dni.

– To cudownie. Kiedy widziałam go po raz ostatni, nie wyglądał na szczęśliwego. Potrafię go zrozumieć. Chociaż jestem pielęgniarką, a środowisko szpitalne jest mi tak dobrze znane jak rodzinny dom, to i tak najszcześniejsza czuję się we własnym pokoju. Dom to dom. Uważam, że każdego pacjenta, który nie wymaga specjalistycznej opieki, powinno się jak najszybciej wypisywać.

– Jestem tego samego zdania. – Julian prowadził pewnie.

Ruch na drogach był mały, chociaż słoneczna pogoda zachęcała do wypadów za miasto.

– Nie powiedziałaś jeszcze, dokąd mnie zabierasz? – Eleonora zerknęła na Michałowskiego.

Jechali prawie pustą ulicą Królowej Jadwigi. Minęli akurat wartownię „Wola Justowska”, która jeszcze dwa lata temu była częścią bramy mieszczącej się tu twierdzy.

– Do Willi Decjusza – odparł. – Zapewne byłaś tam już nie raz, prawda?

– Raz jeden, kiedy byliśmy jeszcze małymi dziewczynkami, rodzice zabrali nas do parku Decjusza. Dom był, i chyba nadal jest, własnością prywatną. Czyż nie należy do Czartoryskich?

– Za chwilę będziemy na miejscu. Mój wybór nie jest przypadkowy. – Julian spojrzał na Eleonorę.

Ogniki radości tańczyły w jego oczach. Coś przed nią ukrywał. Jednak dobrze wiedziała, że naleganie na wyjawienie powodów, dla których zdążali w kierunku pięknego pałacu, miało się z celem.

Na widok dworu Eleonora westchnęła. Budynek zapierał dech w piersiach. Miała wrażenie, że takie domy widuje się tylko w wielkich metropoliach, takich jak Rzym, Paryż, Florencja. A jednak taka perełka architektoniczna stanęła tu, w Krakowie.

– Jest piękna – powiedziała, zniżając głos do szeptu, jakby zbyt głośna rozmowa miała zaburzyć harmonię stworzoną przez gmach i otaczający go krajobraz.

– Przygotowałem się – Julian szepnął jej do ucha. Roześmiała się, ale nie rzuciła żadnej riposty. – Pierwotnie dom, który zlecił wybudować Just Ludwik Decjusz, wyglądał inaczej. – Eleonora wzięła Juliana pod rękę. Powoli zbliżali się do budynku. – Na przestrzeni wieków był kilka razy przebudowywany. Dwór należał do Lubomirskich, Sanguszków, Wielowiejskich. W drugiej połowie ubiegłego wieku właścicielką została Marcelina Czartoryska, która, nie wiem, czy słyszałaś, była uczennicą Fryderyka Szopena. W czasie wojny urządzono tu koszary, co osobiście uważam za niegodziwość i zbrodnię na tak pięknym domu, ale wiadomo, że wojna rządzi się swoimi prawami.

Julian zamilkł na chwilę. Eleonora nie przerwała panującej ciszy. Rzadko rozmawiali na temat walk i bitew, w których brali udział i przez które przeszli.

– Nie przyjechaliśmy tu tylko po to, żebyś mógł opowiedzieć mi historię tego miejsca, prawda? – Eleonora odwróciła się w stronę Juliana.

Uśmiech, który pojawił się na jego przystojnej twarzy, potwierdził przypuszczenia. Michałowski skrywał tajemnicę. Uniosła brew. W milczeniu czekała, aż w końcu wyjawi powód dzisiejszego wypadu.

– Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka dni temu. Byłem zaskoczony i oburzony, że nie zostałem o sprawie poinformowany wcześniej. Pominięto mnie w rozmowach, w których ja jako prawnik, który radzi sobie całkiem dobrze, powinienem odegrać rolę kluczową. Czyżbym miał o sobie zbyt wysokie, ale błędne mniemanie? Czyżbym fałszował rzeczywistość i widział siebie w krzywym zwierciadle? Czyżby pochwały, które zbieram, były czym wymysłem? A może zachowanie mego ojca, które przed wypadkiem zdawało mi się odmiennym od tego, jakim było jeszcze w czasie wojny, jakoby akceptował mnie jako prawnika, było pozą? Może to tylko gra? Może w rzeczywistości wcale mnie nie ceni i wciąż ma mi za złe, że zamiast na agronomię poszedłem na prawo? A może za sprawą stoi matka, wciąż dąsająca się i niezdolna zrozumieć, że świat arystokracji trzymającej ster władzy już dawno przeminął?

Julian wyglądał na wzburzonego.

Eleonora nie ponaglała. Kiedy znajdował się w takim nastroju, lepiej było go nie drażnić. Zamilkł. Zamyślił się. Wyglądał, -jakby zapomniał o jej istnieniu. Śmiech spacerującej nieopodal pary -przywrócił go do rzeczywistości.

– Przepraszam, ale wciąż nie wiem, czy bardziej jestem zaskoczony, czy jednak zdenerwowany? Czy powinienem podziękować losowi, że ojciec zechciał mnie wtajemniczyć, czy odrzucić propozycję, -unosząc się dumą?

– Julianie – odparła Eleonora. – Nie powiem ci, co powinienesz zrobić, dopóki nie powiesz, co się stało.

– Widzisz, jaki jestem rozdrażniony – mówiąc to, roześmiał się, rozluźniając napiętą atmosferę. – Jak wspominałem, były tu koszary, ale wojna się skończyła, wojska odeszły. Pod koniec 1918 mało znana organizacja finansowa „Wola Justowska” zakupiła ten budynek z zamiarem otwarcia tu eleganckiego pensjonatu. Najwyraźniej nie zmierzono sił na zamiary, bo pod koniec ubiegłego roku, pocztą pantoflową, rozgłoszono informację, że willa jest na sprzedaż. – Julian przystanął. Zamilkł. Budował napięcie, co udało mu się doskonale, ponieważ Eleonora wstrzymała oddech. – Wyobraź sobie, że nasi ojcowie złożyli ofertę kupna, która została zaakceptowana. Willa Decjusza od stycznia tego roku jest własnością spółki, którą do życia powołali Aleksander hrabia -Michałowski i Jan Schramm.

– To niemożliwe! – zawołała Eleonora. – Kiedy? Jak? Ojciec całymi dniami siedzi w gabinecie. Zamartwia się. Chyba... – Przerwała.

Czyżby źle odebrała zafrasowanie ojca? To nie zmartwienie. To nie tęsknota. Jan Schramm jak dawniej zatopił się w świecie biznesu, finansów. Znowu działał. Odzyskał chęć do życia. Miała tyle pytań. Spojrzała na Juliana, który pokręcił głową.

– Mnie nie pytaj – odrzekł, jakby czytał w jej myślach. – Nie znam szczegółów. Jak mówiłem, wciąż walczę ze złością, która wzbiera we mnie za każdym razem, kiedy pomyślę, że mój ojciec poszedł do konkurencyjnej kancelarii i zlecił jej całą oprawę prawną. Imaginujesz to sobie? – Pytanie było retoryczne, dlatego Eleonora milczała.

– Kiedy go o to zapytałem, odrzekł, że zrobił to nie dlatego, że we mnie nie wierzy, ale dlatego, że w razie fiaska nie chciałby, żeby za moją kancelarią ciągnął się smród jego niepowodzenia. Nie wiem, czy wierzyć w to tłumaczenie, ale kiedy zastanawiam się nad tym na spokojnie, ma ono sens.

– Ma, Julianie, ma. Twój ojciec wierzy w ciebie. – Eleonora położyła dłoń na jego ramieniu. – Widzę to w jego oczach, kiedy mówi o twojej kancelarii. Już dawno zapomniał, że miałeś zostać -agronomem. Podziwia cię.

– Ale i tak czuję się urażony. Powinienem o tym wiedzieć. Mogłem coś doradzić. Podpowiedzieć.

– Nie dąsaj się. – Roześmiała się Eleonora. – Nasi ojcowie nie spowiadają się swoim dzieciom. Oni też mają swoje tajemnice – mówiąc to, zrobiła zawiadłą minę.

– *A propos* tajemnic... – Julian podchwycił wątek. – Chciałem też porozmawiać z tobą o mojej grudniowej propozycji. Miałem nadzieję, że wyjedziemy od razu na początku stycznia.

– Waham się – odpowiedziała Eleonora. – I tak już nadwyrażam cierpliwość ojca. Nie łudzę się, że on nie wie i nie jest świadomy naszych schadzek, ale jest dyskretny. Jednak wyjazd to co innego.

– W takim razie powiedzmy o naszych planach. Prędzej czy później będziemy musieli ustalić datę ślubu.

– Wiem. – Eleonora zapatrzyła się na stojący przed nimi gmach. – Gdyby tylko matka wróciła do domu...

Julian przyciągnął ją do siebie.

Eleonora westchnęła, przyglądając się teraz zaśniewanej połaci Rynku. Sprawa Tekli spędzała jej sen z powiek. Żeby nie roztrząsać problemu, znowu pomyślała o spacerze, na który miała ochotę, i nieco bezdusznie, egoistycznie żałowała, że Julian odwołał dzisiejsze spotkanie.

Hrabia Aleksander Michałowski nareszcie poczuł się na tyle dobrze, że lekarze zdecydowali się wypisać go ze szpitala. Wciąż jeszcze był słaby, ale po konsultacjach, także z rodziną, zdecydowano, że pacjent z pewnością dojdzie do siebie szybciej w domowym zaciszu, wśród najbliższych, niż w szpitalnych murach.

Julian wraz z matką miał odebrać ojca i pojechać z rodzicami do rodzinnego domu w Zakrzówku, gdzie nad przygotowaniami do kolacji miała czuwać, wyjątkowo tego dnia, Rozalia.

Pomiędzy nią a hrabiną Michałowską wciąż panowała niestrawna, ciężka atmosfera, która burzyła spokój Juliana od świąt Bożego Narodzenia, kiedy to pomiędzy paniami Michałowskimi doszło do srogiej sprzeczki. Na dzień powrotu ojca do domu postanowiły zakopać topór wojenny.

Myśl o matce i siostrze sprawiła, że serce Eleonory ścisnęło się z żalu. Tekla Schramm nie chciała słyszeć o powrocie. Przynajmniej na razie. Z kolei Stefcia od kilkunastu dni przebywała we Francji z Grabowskimi. Eleonora z niecierpliwością czekała na wieści od niej. Każdego dnia wypatrywała listonosza. Zerknęła na puste już prawie ulice. Wśród grubych, wirujących na wietrze płatków śniegu, których piękny, swawolny taniec mogła podziwiać na tle jaskrawego światła latarni, chodnikiem przemykało dwoje zagubionych przechodniów.

Tak mocno skupiła się na widoku za oknem, że nie usłyszała cichego pukania do drzwi wejściowych. Dopiero donośny głos Franciszka, który zegnał się uprzejmie, przywrócił ją do rzeczywistości.

Otworzyła drzwi sypialni, którą wciąż dzieliła ze Stefanią, i wyjrzała na korytarz. Ojciec także wyściubił nos ze swojego gabinetu, ale widząc, że nie dzieje się nic ciekawego, bez słowa zamknął się w nim na powrót.

Eleonorę korciło, żeby zapytać ojca, co też ma takiego ciekawego do roboty, że całymi dniami nie wychodzi ze swojego męskiego królestwa. I może nawet pokusiłaby się o to w tej chwili, gdyby nie zbliżająca się do niej sylwetka Franciszka niosącego na małej tacy list.

– Zapewne od paniarki Stefanii – powiedział, wyciągając korespondencję w stronę Schrammówny.

– A jakże! – zawołała Eleonora.

Była już prawie w swoim pokoju, lecz zmitygowana, wystawiła głowę zza drzwi i zawołała w stronę Franciszka:

– Dziękuję. – Po czym nie czekając na jego odpowiedź, zniknęła w środku.

Niczym mała dziewczynka klapnęła na łóżko. Bezceremonialnie, bez użycia nożyka do listów, rozdarła kopertę. Wyjęła z niej kilka kartek zapisanych starannym pismem.

Kochana Norciu,

pisać zaczęłam już w pociągu. Po kilku godzinach jazdy, kiedy skład toczył się miarowo po torach, wystukując rytmiczną, uspokajającą melodię, wyjęłam notatnik, który włożyłam do torebki tak na wszelki wypadek. Kiedy go pakowałam, nie myślałam, że przyda mi się tak szybko.

Patrząc na mijane krajobrazy, przyglądając się współpasażerom, obserwując zachowania pracowników pociągu, pomyślałam o Tobie.

O Twojej chęci zwiedzenia świata, którą raz jeden podzieliłaś się ze mną, opowiadając o przygodach niesamowitej Nellie Bly. Postanowiłam na ten krótki czas wyprawy do Francji narzucić sobie rolę skrupulatnego reportera.

Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy nasz skład zatrzymał się w Pradze. Kiedy wsiadaliśmy do pociągu w Krakowie, pan Grabowski nie zdradził się słowem, że czeka nas przesiadka, a mnie tak nieobytej w podróżowaniu nawet do głowy nie przyszło, że tak się właśnie stanie.

Dworzec w Pradze to cudowna perełka.

Nie znałam pana Grabowskiego od tej strony, ale okazuje się, że on, podobnie jak Ty, Norciu, jest fascynatem historii. Czekając na przesiadkę, udaliśmy się do malowniczej kawiarenki. Wszystkie dworcowe budynki przeszły przebudowę na początku wieku nadającą im styl art nouveau. Otwarte wcześniej perony przykryto dachem, który opiera się na żelaznej, majestatycznej konstrukcji, przywodzącej na myśl misternie utkaną sieć pająka.

Kiedys przed dworcem stał pomnik cesarza, ale Czesi usunęli go po wojnie, przenosząc do lapidarium, a w jego miejsce postawili statuę prezydenta Wilsona, którego imieniem nazwano też dworzec. Praha Wilsonovo nádrazí – pięknie, prawda?

W końcu, po trzech godzinach oczekiwania, przesiadliśmy się do podstawionego składu. I wyobraź sobie moje kolejne zaskoczenie tego dnia, kiedy przyszło nam wsiąść do Orient Expressu. Tak, nie mylisz się. Do Orient Expressu.

Wydawało mi się, że pociągi te kursują tylko z Paryża do Stambułu. Od pana Grabowskiego dowiedziałam się, że firma C.I.W.L.\* włączyła pojedyncze luksusowe wagony do składów międzynarodowych i dzięki temu udało nam się wsiąść do jednego z nich. Trasa pociągu prowadziła z Warszawy Głównej przez Koluszki, Częstochowę, Katowice do Zebrzydowic, skąd ruszały dalej do czeskiej Pragi, gdzie wsiadła nasza trójka, i dalej do Paryża.

Pojawił się bagażowy, któremu pan Grabowski wskazał nasze walizy. W czasie gdy bagaż ładowano do właściwego wagonu, my zajmowaliśmy nasze miejsca.

Och, Norciu, nie jestem w stanie opisać tego luksusu. To lśniące, pachnące drewno ze złotymi ornamentami. Te wygodne tapicerowane fotele, białe wykrochmalone obrusy, obsługa w idealnie skrojonych uniformach i unoszący się zapach kawy. Wybornej, doskonale palonej, z nutą cynamonu. Nie przypuszczałam, że pana Grabowskiego stać na taką podróż, ale nie śmiałam pytać, dociekać.

Nie miałam także odwagi zapytać, czy to aby nasz tatko zapłacił za bilety. Wołałam milczeć i w tym milczeniu cieszyć się z warunków, w jakich przyszło mi podróżować. Pewnie gdybym znalazła się tam w innych okolicznościach, moja radość nie miałaby końca, ale wciąż nachodziły mnie nieprzyjemne, uparte myśli, które burzyły mój dobry nastrój i co rusz popadałam w melancholię.

Kiedy za bardzo zamykałam się w sobie, odcinając od otaczającego świata, z letargu wyrwał mnie pan Grabowski, bo pani Grabowska była równie milcząca jak ja. Opowiadał wówczas o naszych polskich kolejach i ich stanie, ma bowiem krewnego, który na kolei pracuje, dlatego informacje o nich ma, rzec by można, z pierwszej ręki.

Otóż polskie pociągi dobrze wyglądają tylko w statystykach. Polityka zaborców, a także lata wojny doprowadziły je do skrajnego wyniszczenia. Łatwo odbudować tory, bo wszak na poczet działań wojennych dbano o ich stan, ale co z mostami, dworcami i w końcu ze składami? Pan Grabowski zapewniał, że praca idzie pełną parą, ale całkowita odbudowa potrwa lata, chociaż ponoć w tym roku ma zostać oddana do użytku nowa linia prowadząca z Kutna do Strzałkowa przez Konin. Przyjemnie było wysłuchać tych wszystkich nowinek. Dzięki temu, że pan Grabowski potrafi tak opowiadać, podróż



minęła nam niesłuchanie szybko.

W końcu dotarliśmy do Paryża. Cieszyłam się i bałam. Na przemian dopadała mnie euforia i strach. Był moment, że chciałam wracać, nie wychodząc na peron. Nie przekraczając granicy dworca, zamówić bilet powrotny do Krakowa, i nie patrząc za siebie, wpaść do pociągu, a potem modlić się, żeby ruszył jak najszybciej.

Nie mogłam jednak tego zrobić.

Nie wiem, jak wygląda paryski dworzec. Nie wiem, jak dostaliśmy się do ogromnej rezydencji Mikołaja hrabiego Potockiego przy avenue de Friedland nieopodal Łuku Triumfalnego. Dopiero następnego dnia zauważyłam piękno ulicy, przy której stoi dom hrabiego, nazywany hotelem Potockiego. To szeroka aleja, z rosnącymi wzdłuż przysypanymi śniegiem drzewami, która biegnie od placu Gwiazdy aż do dworca St. Lazare.

Żołądek i serce miałam ściśnięte, kiedy wchodziliśmy do obszernego salonu gościnnego, w którym czekał na nas hrabia Potocki. Stał wyprostowany, jakby odbywał właśnie musztrę. Poważny, skupiony, bez cienia uśmiechu na twarzy, która wskazywała, że przekroczył już pięćdziesiąty rok życia. Twarzy okrągłej, kształtnej, naznaczonej doświadczeniem i smutkiem, w której odznaczały się łagodnie -spoglądające na nas błękitne oczy.

Po chwili milczenia, która wydawała mi się wiecznością, odezwał się, witając nas serdecznie. Na ustach, schowanych pod jasnym, dobrze przyszyżonym wąsem, pojawił się uśmiech, który jeszcze się poszerzył, kiedy do salonu weszła żona hrabiego, pani Emmanuela.

Przez kilka minut pan Grabowski rozmawiał z hrabią o rzeczach mało zobowiązujących, jakby obaj bali się poruszyć kwestię Mikołaja.

Czekałam z niecierpliwością na wieści o Mikołaju. Chciałam je usłyszeć. Teraz, zaraz. Wierciłam się i miałam ochotę krzyknąć, żeby przestali rozprawiać o błahostkach, a jednak kiedy tylko milkli na krótką chwilę i brali oddech, żeby znowu zacząć rozmowę, bałam się, że powiedzą coś wreszcie o Mikołaju. Odsuwałam od siebie ten moment.

Zaczęłam wyobrażać sobie, że jestem tu, w Paryżu, na wycieczce. Że zaproszono mnie, żebym mogła zwiedzić najbardziej romantyczne miasto świata.

Czy możesz mnie zrozumieć, Norciu? Czy wiesz coś z tego? Czy moje zachowanie, moje myśli były normalne?

Żałuję, że Cię tu nie ma. Że nie mogę schować się za Tobą. Złapać Cię za rękę. Jestem taka osamotniona. Boże, jak bardzo tęsknię za Jankiem. Staram się o nim nie myśleć, bo każda myśl powoduje ból. Jestem rozdarta. Przerażona.

W końcu pan Grabowski zapytał o syna. W salonie zapadła cisza. Dudniąca. Świdrująca. Wstrzymałam oddech i kiedy już hrabia Potocki miał odpowiedzieć, do salonu zaczęli schodzić się inni goście.

Hrabia wstał, szepnął coś panu Grabowskiemu na ucho i zaczął nas przedstawiać innym. Przybywali ludzie różnego autoramentu. Byli starzy i młodzi. Prawnicy, poeci, malarze, muzycy. Najrozmaitsze zawody. Arystokracja, burżuazja, przedsiębiorcy, artyści. Jedni zachowywali się cicho i skromnie, chowając się gdzieś po kątach; drudzy byli bezceremonialni, czuli się jak u siebie w domu.

Przyglądałam się im z zaciekawieniem. Wchodzili do salonu jak do restauracji. Ktoś szepnął mi, że Potocki prowadzi dom otwarty. Ludzie przychodzą do niego, żeby poznać innych ludzi. Większość miała stałe zaproszenie. Mogli wpaść do pałacu, kiedy mieli ochotę i czas. Zawsze byli mile widziani. Każdego dnia stół nakrywano na dwadzieścia cztery osoby.

Wieczór, w którym przybyliśmy, nie był wyjątkiem.

Podano kolację. Nie wiem, co jadłam. Nie wiem, jak smakowało jedzenie, ale przypuszczam, że było przepyszne. Potem był deser. Przez cały czas siedziałam jak na szpilkach. Pani Grabowska podobnie. Zauważyłam, że ledwie coś skubała. Nie mogłam doczekać się końca kolacji. A rozmowy wciąż trwały.

Co jakiś czas zerkałam na pana Grabowskiego. Był taki spokojny. Wyważony. Rozmawiał ze swoim sąsiadem. Konwersacja trwała w najlepsze. Nie wiedziałam, czy wypada podziękować i wymówić się zmęczeniem, dlatego siedziałam tam jak na tureckim kazaniu.

I wreszcie goście zaczęli się rozchodzić. Dopiero kiedy krzesła zaczęły szurać, usłyszałam, że zegar wybija jedenastą wieczorem.

Salon opustoszał przed północą. Zostaliśmy w nim tylko my i hrabia Potocki. Już bez wstępów, bez ceregieli Potocki powiedział, że Mikołaj przez pewien czas był pod opieką Towarzystwa Pomocy Rannym Polakom, dla którego chciałaś pracować, ale jak tylko poczuł się lepiej, został odesłany do małej wioski pod Paryżem. Mieszka z polską rodziną.

Jestem okropna, ale kiedy to usłyszałam, poczułam ulgę. Przez cały czas, aż do tamtej chwili, bałam się, że Mikołaj nagle wejdzie do salonu, a ja go nie poznam. Miałam wrażenie, że zacznę płakać. Tak bardzo mi ulżyło. Kamień spadł mi z serca. Zrobiło mi się słabo. Nie miałam odwagi spojrzeć na rodziców Mikołaja. A kiedy jeszcze hrabia Potocki powiedział, że będziemy mogli pojechać do Mikołaja dopiero za dwa dni, miałam ochotę się roześmiać. Pomyślałam, że oto dano mi jeszcze dwa długie dni. Kilkadziesiąt godzin na oswojenie się z sytuacją.

Dostałam czas, aby przygotować sobie w głowie wszystko, co chciałam powiedzieć Mikołajowi. A chciałam mu powiedzieć prawdę.

Paryż zwiedzaliśmy następnego dnia. Ja, pan Grabowski i przewodnik, którego przydzielił nam hrabia. Pani Grabowska została w pokoju, wymawiając się zmęczeniem, ale przypuszczam, że nie miała głowy do błahostek. Gdybym była matką, jak najszybciej chciałabym zobaczyć syna. Dla niej te dwa dodatkowe dni to pewnie niekończące się tortury.

Dla mnie też. Zresztą sama już nie wiem. Od chwili, kiedy dowiedziałam się, że Mikołaj żyje, sama siebie nie poznaję.

Jestem taka zmienna.

Taka niezdecydowana.

Wciąż zmieniam zdanie. Nastrój.

Raz jestem radosna, to znowu smutna. To ogarnia mnie euforia, to znowu marazm i nieprzyjemne myśli. Chciałabym mieć to wszystko za sobą.

Chciałabym, żeby było jak dawniej.

Chciałabym...

Norciu, jestem potworem!

Myślę o tym, ale wstydzę się powiedzieć to głośno. Tylko Tobie jednej mogę napisać. Chciałabym, żeby czas się cofnął...

Wybraliśmy się na Montmartre. Urokiwie tu. Te stare kamienice ciągnące się wzdłuż krętych, wznoszących się uliczek, których stary bruk kolebie się tu i ówdzie, skradły moje serce. Mogłabym tu zamieszkać. Spoglądać z okna na spacerujących turystów i artystyczną bohemę, której nie sposób nie zauważyć. Stałym punktem zwiedzania jest bazylika Sacré-Coeur, która wznosi się na wzgórzu, a biel jej gmachu razi w oczy, zwłaszcza w tak słoneczny dzień jak dziś. Weszliśmy do środka. Usiadłam w ławce, zatapiając się w modlitwie. Poprosiłam o siłę.

Do pałacu wróciliśmy na obiad. Wieczorem zaś zaproponowano wyjście do kabaretu Moulin Rouge. Niestety, państwo Grabowscy odmówili, a ja, choć miałam ochotę skorzystać, poszłam za ich przykładem. Nie był to jednak wieczór, który spędziłam w pokoju. Nie, tego bym nie zdzierżyła, kiedy bowiem jestem sama, myśli atakują mnie z każdej strony.

W towarzystwie kilku przyjaciół hrabiego udałam się do restauracji La Closerie Des Lilas w dzielnicy Montparnasse. Dzięki temu choć na chwilę zapomniałam o pytaniach i wątpliwościach, które mnie dręczyły. Żałowałam, że nie ma ze mną Janka i Ciebie.

Paryskie dziewczęta cheszą się na „chłopczycę”. Strzygą się krótko, prosto. Noszą frywolne sukienki, słuchają jazzu i tańczą tango.

Czy wiesz, czym jest tango?

Ja nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że taniec może być taki zmysłowy. Zakochałam się w tangu. Pragnę się go nauczyć, a potem nauczyć Janka. Chcę z nim tańczyć tak, jak ci tancerze w La Closerie Des Lilas. Zmysłowo, powoli, blisko siebie, dynamicznie.

Ale czy mi wolno?...

Z tego wszystkiego zapomniałabym Ci napisać, że w pałacu, na naszej przedostatniej kolacji,



spotkałam doktora Blocha. Nie wiedziałam, jak się zachować. Ale doktor uratował sytuację. Był naturalny, uprzejmy. Oczywiście pytał o Ciebie. Prosił, żebym Cię pozdrowiła.

Ma kogoś. Nie powiedział tego wprost, ale wyczytałam to z jego postawy, jego gestów, pomiędzy słowami. Nie, nie udawaj. To zabolalo. A może tylko mnie by zabolalo? Nieważne...

Pewnie czytasz ten długi list, przelatując po kartce wzrokiem, szukając informacji, o której powinienam napisać od razu.

Co u Mikołaja?

Mikołaj...

Czas pędzi.

Nie dało się odsunąć spotkania. Późnym popołudniem dotarliśmy do miasteczka Les Molières. Duży kamienny dom z niebieskimi okiennicami wyglądał tak przyjaźnie. Miałam wrażenie, że uśmiecha się na nasz widok, ale ja czułam, że już za chwilę, w momencie kiedy przekroczę jego próg, moje życie zmieni się na zawsze.

Nie będzie powrotu do tych szczęśliwych chwil, które spędziłam w Tyńcu u boku Janka.

Nic już nie będzie takie samo...

Nie zdążyliśmy wyjść z auta, kiedy Mikołaj stanął w drzwiach. Minęło tyle lat, a on jakby wcale się nie zmienił. Trochę schudł, spoważniał, ale to wciąż był ten sam Mikołaj, który pewnego wieczoru przyniósł leki dla naszego ojca.

Pani Grabowska zaczęła płakać, pan Grabowski przytulił syna, zamykając go w ciasnym uścisku.

Mikołaj oddał uścisk. Na chwilę zamknął oczy, a potem skierował swój wzrok na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały. Widziałam w jego źrenicach to samo uczucie. Ten wzrok przepełniony tęsknotą i ulgą, że jestem. Że przyjechałam.

Spuściłam głowę. Bałam się, że Mikołaj nie zobaczy w moich oczach tego, czego oczekiwał.

Boże, wybacz, ale nic nie poczułam. Tak, przyjaźń, sympatię, ale nie miłość.

Norciu, nie kocham Mikołaja. Wstydzę się o tym mówić, ale pogodziłam się z jego śmiercią. Nie chcę, żebyś myślała, że nie cieszę się z jego ocalenia. Cieszę się, ale nie mogę dać mu tego, czego on oczekuje.

Nie ma już powrotu do tego, co było.

Pożegnałam go.

Oplakałam.

Na jakiś czas moje życie stanęło, ale potem znowu ruszyło do przodu. Nie potrafię go spowolnić. Cofnąć się.

Nigdy nie odzyskamy tego, co zostawiliśmy na Oleandrach, kiedy żegnaliśmy się z Mikołajem.

Chciałam powiedzieć Mikołajowi prawdę. Od razu. Bez zwlekania, ale nie mogę. Widzę po nim, że nie jest na to gotowy.

Obiecałam pani Grabowskiej, że poczekam.

Więc czekam.

Nie cofnę czasu, ale przynajmniej na razie mogę udawać, że czas się zatrzymał.

Stefcia

Eleonora odłożyła nieco wymięte kartki francuskiej papeterii, na której zauważyła znak wodny hrabiego Potockiego. Nie łudziła się, że list Stefci będzie wesoły i entuzjastyczny. Właśnie takiego tonu się spodziewała. Żałowała, że nie może być przy niej. Z drugiej jednak strony nie miała pojęcia, czy zdołałaby pomóc siostrze. Stefcia sama musiała poradzić sobie z burzą uczuć. Jedno było pewne, nie powinna, ba, nie mogła rezygnować z siebie.

Eleonora wstała. Zamierzała wysłać krótki telegram do Paryża. Miała nadzieję, że zostanie przekazany Stefci. Chciała napisać jedno zdanie. „Nie rezygnuj z siebie”. Właśnie takie przesłanie chciała podarować siostrze.

Przeglądała się akurat w lustrze, przy którym swego czasu wystawał ojciec, szykując się do wyjścia do banku. Miała wrażenie, że od tego czasu minęły wieki. Wtedy wszystko było inne. Prostsze, łatwiejsze.

– Norciu, dobrze, że cię widzę. Chciałbym zamienić z tobą słowo. – Ojciec wystawił głowę z gabinetu. – Wychodzisz? – zapytał rozkojarzony, jakby dopiero teraz zauważył, że Eleonora stoi w pełnym rynsztunku, gotowa wyjść z domu. – Czy to nie może poczekać? Obawiam się, że znowu się miniemy?

Miał rację. Mieszkali pod jednym dachem, a zdarzały się dni, że w ogóle się nie widywali. Zwłaszcza teraz, kiedy wyjechała Stefcia. Co się stało z naszą rodziną, pomyślała Eleonora. Kiedy rozpadliśmy się na kawałki? Dlaczego w porę nie zauważyłam niepokojących symptomów?

Uśmiechnęła się do ojca i ściągnęła płaszcz, czapkę i rękawiczki.

– To nic ważnego. Chciałam wysłać telegram do Norci. Mogę zrobić to później.

– Poproś Szymona albo Justysię. Ma młode nogi. – I po tych słowach Schramm zniknął w czeluściach gabinetu.

W sumie ojciec ma rację. Kwadrans później Eleonora sadowiła się w wygodnym fotelu, który kiedyś zajmowała matka, a Justysia ubierała się, trzymając w dłoni kartkę z jednym prostym przekazem mającym dodać Stefci otuchy i pewności siebie.

– Dobrze się składa, bo ja też chciałam z ojcem porozmawiać.

Schramm uniósł głowę znad papierów zalegających na jego biurku i spojrzał na córkę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że poprosił ją o rozmowę.

– Tak, tak – powiedział dziwnie roztargniony. – Tak – powtórzył, nie mogąc zebrać myśli. – Zaczniemy może od twojej matki. – Eleonora poruszyła się niespokojnie w fotelu. – To tak *à propos* telegramów. Otrzymałem wczoraj jeden od Tekli. Jeżeli łudziłaś się jakąś nadzieją na szybki powrót matki do domu, to możesz o tym zapomnieć. Tekla nie przebywa już w Wieliczce. Wyjechała do Anglii. I tylko tyle wiem. Treść wiadomości była dramatycznie krótka i lakoniczna. – Schramm wyszperał spod dokumentów małą kartkę opatrzoną pocztowymi stemplami. – Jestem w Londynie. Stop. Nie wiem, kiedy wrócę. Stop. Pozdrawiam – przeczytał. – O nic nie pytaj. Jak widzisz, sam mam tysiące pytań i ani jednej odpowiedzi. Kolejna sprawa to ty i Julian. – Jan zrobił znaczącą przerwę i spojrzał na córkę uważnie.

Eleonora poczuła, że się czerwieni. A więc ojciec wiedział. Mogła się tego spodziewać.

– Sam byłem młody, znam życie – zaczął mówić dalej. – Macie już swoje lata. Wojna nieco pokrzyżowała wszystkim plany. Nie ma co udawać, że jest, jak było. Idzie nowe i nie mam zamiaru zgrywać świętoszka. Niemniej jednak nie wszyscy są tacy tolerancyjni. Ogłoś-cie wreszcie oficjalnie zaręczyny, a ślub możecie przygotowywać powoli, jak wam pasuje. Dalszego przeciągania lub pogłębiania -niestosowności w waszym zachowaniu nie zdzierzę.

Schramm spojrzał na Eleonorę, która ze zdziwienia nie potrafiła powiedzieć jednego słowa, dlatego skinęła tylko głową.

– Dobrze, bardzo dobrze – mówił Jan, znowu wpadając w lekkie roztargnienie. – Stefcia... Wspomniałaś o liście. Co tam u niej? -Dojechała szczęśliwie? Jest w Paryżu? Spotkała Mikołaja?

– Dojechała szczęśliwie. Mieli przesiadkę w Pradze. Podróżowali Orient Expressem. Przez kilka dni mieszkali w pałacu hrabiego -Potockiego. Widziała się z Mikołajem.

Eleonora zamilkła. Nie wiedziała, czy poruszać z ojcem temat dylematów Stefci. Odniosła wrażenie, że słowa siostry skierowane są tylko do niej. Najwyraźniej Schramm wyczytał z jej miny więcej, niż chciała powiedzieć, ponieważ skinął tylko głową i nie drażył tematu.

– Nie wiem, czy już doszły do ciebie słuchy, ale sądzę, że Julian podzielił się z tobą nowiną. Otóż ja i hrabia Michałowski podjęliśmy kolejną próbę połączenia sił w interesach. Nabyliśmy willę Decjusza. Zamierzamy dać temu miastu dom handlowy z prawdziwego zdarzenia. Zrobimy z niego krakowskiego Harrodsa. Mam dziwne wrażenie, że przyjdzie mi porozmawiać z Teklą na neutralnym, londyńskim gruncie. Zamierzam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Obejrzeć Harrodsa z bliska i rozmówić się z twoją matką.

W gabinecie na kilka chwil zapadło długie milczenie. Schramm uśmiechnął się do córki i widząc, że ta nie ma nic do powiedzenia, dodał z błyskiem w oku:

– Rozmawiałem z Julianem. Spotkałem go przypadkiem w szpitalu. Sprawy związane z załatwieniem formalności wyjazdowych zajmą mi kilka dni. – Niespodziewanie Schramm przerwał.

Rozejrzał się po pokoju, jakby nagle coś sobie przypomniał. Zaczął przerzucać dokumenty. Zaglądać pod segregatory, marszcząc przy tym brwi. W końcu wyciągnął list, którego szukał.

– Byłbym zapomniał. W sumie poprosiłem cię tu właśnie z tego powodu. To korespondencja adresowana do Grabowskich, ale zgodnie z ustaleniami, które poczyniliśmy z panem Grabowskim przed ich wyjazdem, wszelkie listy natury urzędowej trafiają do mnie. Otóż za kilka dni, to jest w niedzielę szesnastego stycznia, po mszy w kościele Mariackim na Rynku zostaną wręczone Ordery Virtuti Militari. Jednym z ponad pięćdziesięciu wyznaczonych do odznaczenia jest Mikołaj.

– Wielka szkoda, że nie będzie mógł odebrać go osobiście. – Eleonora weszła ojcu w słowo.

– Otóż to – podchwycił Schramm. – I stąd moja prośba do ciebie. Chciałbym, żebyś w imieniu Mikołaja i jego rodziców odebrała order. Będzie pięknie.

– A dlaczegoż ojciec twierdzi, że będzie lepiej? – Eleonora nie kryła zaskoczenia.

– Norciu, nie powiedziałem, że będzie lepiej, ale pięknie. Owszem, mógłbym odebrać odznaczenie, ale uważam, że ty i Julian zaprezentujecie się bardziej elegancko. Rzec by można, bardziej-reprezentacyjnie – mówiąc to, uśmiechnął się zawadiacko.

Eleonora pokiwała głową. Dalsze spory nie miały sensu.

– Dobrze, niech będzie. Porozmawiam z Julianem.

– A potem możecie sobie wyjeżdżać. – Schramm mrugnął do córki.

– Ojciec jest w doskonałym humorze, a ja zamartwiałam się, że tatko siedzi w swoim gabinecie, martwiąc się i smucąc.

– Dziecko drogie, od lat nie czułem w sobie takiej werwy. Pewnie czułbym się jeszcze lepiej, gdyby wasza matka nie sprawiała kłopotów, ale to błażostka. Ostatnie poczynania moje i hrabiego Michałowskiego dodają mi skrzydeł. Ujmują lat. Znowu czuję się jak młody Jan, który nieśmiało stawia kroki w bankowości, wchodząc do wody pełnej finansowych rekinów. Był czas, kiedy żałowałem strasznie sprzedaży naszego banku. To był błąd, mówiłem sobie. Trzeba było zostać przy tym, co mieliśmy, ale nawet rozsądny człowiek czasami zmienia się w chytrusa. Patrząc na to z perspektywy czasu, sądzę, że tak miało być. Ta sprzedaż, ta nieudana spółka miała mnie doprowadzić do tego miejsca.

– Ojciec promienieje. Tak wygląda człowiek, który się zakochał. – Bo ja czuję się jak zakochany podlotek. Zakochałem się w tej idei. Tym pomysłem. Wciąż planuję, dopracowuję, poprawiam, przeglądam. I ta myśl o wyjeździe do Londynu. Jakbym znowu miał lat dwadzieścia parę. Odzyskałem młodość.

Chwilę później Eleonora opuściła gabinet Schramma. W dłoni trzymała list adresowany przez magistrat do państwa Grabowskich. Żałowała, że pospieszyła się z telegramem. Miło byłoby przesłać taką dobrą wiadomość.

\*\*\*

– Byłam zaskoczona, widząc Janka.

Eleonora odwróciła głowę w stronę prowadzącego samochód Juliana.

Wczesnym rankiem, nazajutrz po uroczystości wręczenia krakowskim żołnierzom orderów za bohaterską postawę, wyruszyli do Zakopanego.

– A ja nie – odpowiedział, nie odrywając wzroku od drogi.

Trasa, nazywana jedyką i uważana za najważniejszą drogę w kraju, nie odznaczała się najwyższą jakością. Chociaż w porównaniu z innymi drogami i tak nie można było narzekać. Polskie drogie niestety nie zachwycały, jeżeli chodzi o jakość nawierzchni i architektury, ale trasa z Krakowa do Zakopanego przynajmniej nadrabiała malowniczymi widokami, które w zimie nadawały jej wręcz baśniowego sznytu.

– O ile dobrze pamiętam – mówił Julian – brał udział w walkach w Belgii. Trafił do Włoch do niewoli, został ranny. Wrócił do Krakowa w opłakanym stanie. Zasłużył na medal.

– Ty też, a jednak go nie dostałeś. – Oburzyła się Eleonora.

– Nie gniewam się na nikogo z tego powodu, a już z pewnością nie na Janka czy Mikołaja. Mam przeczucie, że oni oddaliby te medale bez żalu, gdyby tylko zaoszczędzono im wojennych perturbacji i dramatycznych przeżyć.

Przez kolejne minuty jechali w milczeniu. Julian skupiony na niełatwej, ośnieżonej drodze, Eleonora na własnych myślach, krążących wokół Stefci.

– Bałam się, że Jan podejdzie do mnie. Czuję się jak największy tchórz. Nie zostałam nawet na defiladzie, która ponoć była piękna i wzruszająca. Zrejęterowałam. Ale nie wiedziałabym, co mu powiedzieć, a już w kościele podczas mszy widziałam, jak na mnie spogląda. Z nadzieją, że powiem coś o Stefci. Że przekażę mu kilka słów od niej.

– Czasami lepiej stchóżyć. Mogłaś powiedzieć coś, co wzbudziłoby w Janie nadzieję, których może nie być. Z drugiej strony mogłabyś powiedzieć coś, co załamałoby go, a tymczasem rzeczywistość będzie zupełnie inna. Lepiej, żeby poczekał na powrót Stefanii. Tę rozmowę muszą odbyć osobiście. Bez przysłowiowego adwokata. – Julian odwrócił się w stronę Eleonory z -pokrzepiającym uśmiechem na twarzy.

– Mogliśmy kupić bilety na pociąg. Ojciec coś sugerował. Wspomniał, że Luxtorpeda z Krakowa do Zakopanego jedzie niecałe dwie i pół godziny.

– Dzięki Bogu, że wybraliśmy mojego pocziwca. Podziwiamy piękne widoki i możemy cieszyć się tylko swoim towarzystwem. A tak na marginesie, poważnie zastanawiam się nad kupnem nowego modelu.

– Jesteś pewny? – zapytała Eleonora. – Lubię to auto. Za każdym razem, kiedy je widzę, wracają wspomnienia. Nasze pierwsze spotkanie. Przed sklepem Gałkowskiej.

Julian pokiwał głową. On też darzył ten samochód sentymentem. Właśnie z tego powodu wciąż jeszcze odsuwał moment zakupu nowszego modelu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Julian, parkując forda przed okazałym drewnianym domiszczem w stylu zakopiańskim. – To willa Pod Jedłami. Nazwano ją tak z powodu okalających dom jodeł. Szkoda, że robi się ciemno i nie możemy już teraz zobaczyć majestatu drzew stojących dookoła.

– Mam wrażenie, że kiedy zapraszałeś mnie do Zakopanego, nie ten dom miałeś na myśli? – Eleonora podziwiała okazałą drewnianą konstrukcję osadzoną na kamiennej podbudowie.

– Masz rację. Jeszcze tydzień temu nie miałem pojęcia, że trafi się taka okazja. Byłem u ojca w szpitalu, kiedy odwiedził go dawno niewidziany dobry znajomy, profesor Pawlikowski, z którym ojciec miał przyjemność uczyć się w Gimnazjum św. Anny, a potem przez krótki czas studiowali razem na naszym uniwersytecie. Od słowa do słowa i powiedziałem, że zamierzam odpocząć w Zakopanem. Nie śmiałem odmówić, kiedy profesor zaprosił mnie tutaj. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Po chwili ruszyli w stronę domu, którego oświetlone okna zapraszały do wejścia. Eleonora z ciekawością przyglądała się detalom majestatycznej konstrukcji. Kunsztownym rzeźbionym elementom balustrady, schodom, które skrywały się w solidnej kamiennej podmurówce, czy rozległej werandzie. Szum drzew koł jej nerwy i napawał otuchą.

\* Compagnie Internationale des Wagons-Lits (przyp. red.).

## Rozdział 2

Eryk zerknął do lustra. Nie przepadał za garniturami, ale nie zamierzał dyskutować z obowiązującym *savoir-vivre*'em. Musiał jednak przyznać, że wyglądał bardzo korzystnie w modnych ostatnio modelach, dopasowanych do sylwetki, z marynarką lekko wciętą w tali, do której zakładano spodnie o delikatnie zwężających się nogawkach.

Komplet, który założył dziś po raz pierwszy, kupił zaledwie kilka dni temu w zakładzie krawiectwa damskiego Kamila Suessela na Szewskiej, który to zakład pragnął rozszerzyć swoje usługi także dla panów. Cena była nader przystępna, zgodnie z reklamą, jaką swego czasu zauważył w „Ikacu”.

Obrócił się jeszcze ze dwa razy, zastanawiając się, czy czasem zestaw nie kosztował tak mało, ponieważ był źle odszyty, ale wręcz przeciwnie, materiał, dobrej jakości wełna, leżał zgrabnie na jego wysportowanej sylwetce, uwypuklając jej walory.

– Wygląda pan rewelacyjnie – zachwalał właściciel, kiwając głową z uznaniem. – Będzie pan chodzącą reklamą naszego zakładu. Dam go jeszcze nieco taniej. Wszak warto inwestować, spodziewając się kolejnych klientów, którzy widząc pana, będą chcieli wyglądać tak dobrze. – Uśmiechnął się przy ostatnich słowach, dając Erykowi do zrozumienia, że byłby wdzięczny za wspomnienie tu i tam, gdzie garnitur został nabyty.

Eryk lubił ludzi otwartych i przedsiębiorczych, dlatego nie zamierzał ukrywać, gdzie dokonał zakupu, jeżeli ktoś zechce się tego dowiedzieć. Skropił się jeszcze wodą kolońską Alba i ruszył do drzwi.

Żałował, że nie spędzi tego wieczoru z Rozalią, tak jak planował uprzednio.

– Wybacz, Eryku – mówiła Rozalia, kiedy w środę drugiego lutego zaproponował, żeby pierwszą część karnawałowej soboty spędzili w kinie. – To cudowna propozycja. Od jakiegoś czasu miałam ochotę zobaczyć *Tarzana wśród małp*, którego grają w „Uciesze”, ale niestety nie tym razem.

Musiała dostrzec jego zawiedzioną minę, ponieważ uśmiechnęła się pocieszająco, głaszcząc go po twarzy, niczym małego, rozkapryszonego chłopczyka.

– Matka przyjmuje przyjaciół ze Lwowa, państwa Ochockich. Jak wiesz, Julian jest w Zakopanem, ojciec wciąż jeszcze nie w pełni sił, ba, powiedziałabym, że powinien zażywać spokoju, a nie oddawać się zabawie, ale kiedy tylko państwo Ochoccy dowiedzieli się o wypadku taty, postanowili odwiedzić go przy nadarzającej się okazji. Wiem, co chcesz powiedzieć i co chodzi ci po głowie, że mogłabym odmówić. Myślałam o tym, ale nie chcę tego robić, chociażby ze względu na ojca. A i z matką, jak wiesz, nie jest mi po drodze. Nie chciałabym jeszcze bardziej zaognić naszych stosunków.

I tak, zamiast do kina w towarzystwie Rozalii szedł w stronę Kościelnej, gdzie niedaleko kościoła św. Szczepana mieszkali rodzice Augustyna, którzy zaprosili go na organizowany bal karnawałowy.

– Oczywiście nie naciskamy – mówił Eugeniusz Grimm, patrząc na Eryka. – Wiem, że Augustyn nie zaplanował dla siebie nic szczególnego na ten wieczór, co oczywiście przyjęliśmy z Henryką z wielkim zaskoczeniem, ale jeżeli masz już jakieś plany z panną Rozalią, to nie naciskam. Chyba że zechcecie wpaść do nas.

Taki pierwotnie Eryk miał zamiar. Kino, spacer, odwiedziny u państwa Grimmów, a potem wizyta u Rozalii, ale przyjęcie wydawane przez hrabinę Michałowską wszystko zmieniło. Rozalia namawiała go, żeby poszedł razem z nią. Prawie się pokłócili, kiedy stanowczo odmówił.

– To jeszcze nie ten czas. – Próbował ją udobruchać, tuląc do siebie. – Jak sama powiedziałaś, jesteś z matką w nie najlepszej komitywie. Moje pojawienie się z pewnością nie poprawiłoby jej nastawienia do mnie. Niech przywyknie.

W końcu dała się przekonać. Szkoda, pomyślał, idąc zwawo Krowoderską. Było mu chłodno. Na białą koszulę i marynarkę narzucił płaszcz. Ten niestety nie chronił go tak dobrze przed zimnem jak jego ulubiona kurtka pilota. Dobrze, że nie zapomniał także o skórzanych rękawiczkach, szaliku, którym ciasno owinał kark, chociaż inni eleganci przewieszali go jedynie dla ozdoby.

Na głowę chciał założyć swój nieco już wysłużony kaszkiet, ale Augustyn pokiwał tylko głową z powątpiewaniem dla jego stylu i wręczył mu jedną z własnych fedor. Najchętniej przyspieszyłby

jeszcze kroku, lecz lekkie buty, które wygłancował na błysk, ślizgały się na ośnieżonym chodniku.

W końcu stanął przed domem Grimmów. We wszystkich oknach paliły się światła. Na chodniku, wzdłuż kutego, eleganckiego ogrodzenia, ustawiły się drogie samochody. Nawet tu, gdzie stał Eryk, dało się słyszeć rozmowy, śmiech i muzykę. Zdanowski pomyślał, że może lepiej wrócić do domu, i już robił krok w tył, kiedy ogrodowa furta otworzyła się na oścież.

– Chyba nie chcesz dać nogi – zaśmiewał się Augustyn. – Wypatruję cię cały wieczór. Od razu pomyślałem, że jak tylko zobaczysz, co się u nas wyprawia, to będziesz chciał zdezerterować. Nie ma mowy, zwłaszcza teraz, kiedy musimy poważnie porozmawiać. Eryk spojrzał na przyjaciela. Chociaż oczy Augustyna wyrażały radość, ton jego głosu był poważny i poważna była jego mina.

Willa Grimmów była jedną z bardziej okazałych na ulicy Kościelnej, która służyła z pięknych, eleganckich i drogich domów. Częściowo podpiwniczona, liczyła ponad dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Małą część domu przeznaczono dla służby, która miała też osobne wejście. Na parterze znajdował się ogromny salon z pięknym kominkiem, który przydawał mu ciepła, nie tylko dosłownie. Dalej była duża kuchnia, gościnna łazienka i weranda, na której w okresie wiosenno-letnim długie godziny spędzała pani Henryka Grimm, matka Augustyna. Na poddaszu znajdował się hol, trzy sypialnie, mały gabinet – prywatne królestwo Eugeniusza Grimma, biblioteczka oraz łazienka z garderobą. Do sypialni państwa domu przylegał duży balkon, rzec by można – taras. W części wydzielonej dla służby mieściła się niewielka kuchnia, łazienka z prysznicem oraz dwa pokoje. Swego czasu, będąc dzieckiem, jeden z nich zajmował Eryk.

Dach pokrywała czerwona dachówka. Na kamiennym kominie przycupnął kuty kogut, wskazujący kierunek wiatru.

Po krótkim, kurtuazyjnym przywitaniu Augustyn zaciągnął Eryka do gabinetu ojca na piętrze. Zamknął drzwi, żeby odciąć się od panującego w domu gwaru.

– Siadaj – powiedział poważnie. – Bo i tak usiądziesz, kiedy się dowiesz. Od dawna czekamy na list z Poznania. I imaginuj sobie, że wieści dotarły. Przesłano je na Kościelną, ale spokojnie, nie ekscytuj się tak – mówił widocznie zbulwersowany Augustyn. – Wieści nie są takie, jakie chcielibyśmy przeczytać. W grudniu Ławicę zamknięto.

– Co! – krzyknął Eryk, zrywając się z fotela.

– Uspokój się. – Młody Grimm położył ręce na ramionach Zdanowskiego, zmuszając go do ponownego zajęcia miejsca. – Masz, poczytaj sobie. – Sięgnął do ojcowskiego biurka i podał Erykowi krótkie urzędowe pismo.

– I co ja powiem Rozalii? – zapytał Eryk, odkładając korespondencję.

Przez dłuższą chwilę dyskutowali nad wyborem, jaki im przedstawiono. Pewnie siedzieliby w gabinecie jeszcze przez kolejne godziny, gdyby nie poproszono ich do stołu.

Menu Grimmów zawsze było wykwintne. Tym razem nie mogło być inaczej. Obok smażonego szczupaka w sosie chrzanowym, popisowego dania kucharki Grimmów, pojawił się comber sarni z włoskim makaronem, sprowadzonym specjalnie z Italii, oraz z galaretką porzeczkową, domowej roboty pani Henryki, która pasjami uwielbiała robić przetwory z owoców pochodzących z przydomowego ogrodu. Była także pachnąca szynka na gorąco z purée ziemniaczanym oraz sałata z cykorii. Na drewnianych deskach podano różne rodzaje serów, zaś na eleganckich porcelanowych paterach i w miskach bakalie, faworki, pączki oraz tort i ciastka z czekoladowym kremem z kawałkami belgijskiej ciemnej czekolady. W delikatnej szklanej misie zaserwowano poncz. Na ustawionym nieopodal głównego stołu kredensie stały talerze wypełnione zimnymi przekąskami, które serwowano do wódeczki: śledzie w majonezie, sardynki, szprotki, znieawidzone przez Eryka anchois, sałatki z raków i homarów, rolada z prosięcia czy półgęski, podawane na modnych ostatnio tartinkach. Eryk wiedział z doświadczenia, że w kuchni czekają jeszcze zapewne aromatyczny gulasz, kilka rodzajów mięsa lub flaczki po krakowsku, które bardzo lubił. Nie sądził jednak, żeby miał ich dziś skosztować. Na stół powinny wjechać dopiero po północy, a on nie zamierzał siedzieć tu tak długo. Po przeczytaniu listu ze szkoły na poznańskiej Ławicy nie miał humoru na zabawę.

Musiał się zamyślić, ponieważ siedząca obok niego starsza pani zagadnęła go nagle nieco głośniejszym głosem:

– Zastanawiam się, czy tak zachwyił pana ten cudowny witraż w tamtych drzwiach francuskich – mówiąc to, skinęła w stronę drzwi prowadzących na taras. – Czy może śni pan na jawie?

Eryk nie mógł się nie roześmiać.

– Przepraszam, kiepski ze mnie towarzysz. Nie jestem dziś skory do rozmowy.

– Och, ja całe życie nie jestem skora do rozmowy, ale udaje mi się to całkiem gładko zatuszować. A wracając do witraża, chociaż wiem doskonale, że nie kontemplował pan jego piękna, to i tak panu powiem, że powstał w zakładzie Żeleńskiego. – Starsza dama zyskała jego zainteresowanie. Eryk odwrócił się w jej stronę, dając do zrozumienia, że chętnie posłucha jej opowieści. – Pracownia powstała na początku wieku. Nie byłam już wtedy najmłodsza. – Uśmiechnęła się niczym mała kokietka, czym wprowadziła Zdanowskiego w nieco lepszy nastrój. – Miałam wrażenie, że życie już zdążyło przeciec mi przez palce. Wysłałam za mąż za mężczyznę, którego nawet nie lubiłam, ale tak trzeba było. I tak miałam więcej szczęścia niż moja starsza siostra, świeć, Panie, nad jej duszą. Mój Teofil przynajmniej nie był stary, ale zachowywał się zawsze jak starzec, co rzucałam na karb jego imienia. Ktoś, kogo ochrzczono jako Teofila, już w kołysce był stary. – Eryk roześmiał się na głos, ściągając spojrzenie Augustyna, który flirtował ze swoją sąsiadką na drugim końcu stołu. – Bozia poskapiła mu wszystkich walorów, niestety. Dała jedynie dobre nazwisko i pieniędzy bez liku. Początkowo właśnie w nich upatrywałam swojego wybawienia. Kupowałam stroje, precjoza, biżuterię. Zwiedziłam Europę. Ależ ile można próżnować.

– Zapewniam panią, że znam takich, którzy mogą to robić całe życie.

– Ale ja nie należałam do tego typu ludzi. Od zawsze miałam zbyt dużo energii. Chciałam pracować. Chciałam być prawnikiem jak mój ojciec. Albo lekarzem, jak stryj, ale gdzież tam. Kobieta adwokat albo doktor. Świat musiałby się skończyć, tak wtedy mawiano i tak myślałam.

– Więc chyba się kończy – wtrącił Eryk.

– Mam szczęście, że tego doczekałam. Ale wracając do witraża. W końcu miarka się przebrała. Powiedziałam Teofilowi, że albo pozwoli mi znaleźć sobie zajęcie, albo ucieknę z pierwszym lepszym cyrkiem, który zawita do miasta. Uwierzył, kiedy ubrałam się w strój kabaretowy przywieziony z Paryża. Był przerażony i zgorzony. Przez kilka dni paradowałam w nim po domu. Długo szukałam zajęcia. Aż pewnego dnia zajrzałam do Krakowskiego Zakładu Witrażów. Zachwyiłam się ich pięknem. Przychodziłam tam każdego dnia. Oglądałam, pytałam, przyglądałam się pracy witrażystów. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i zagadnęłam Antosia, znaczy się Antoniego Tucha, jednego z założycieli pracowni, czy mogę terminować pod jego albo Władysława Ekielskiego okiem. Myślał, że żartuję, ale byłam nieugięta. Chciałam nawet zaszantażować ich tak jak Teofila, ale pomyślałam, że strój kabaretowy tu nie pomoże. – Eryk śmiał się coraz głośniejsze. – Kilka miesięcy po tym, jak zaczęłam się uczyć, do spółki przystąpił Staś, to znaczy Stanisław Gabriel Żeleński. Żałowałam, że jest nie tylko młodszy ode mnie, ale i żonaty. Był taki przystojny i utalentowany. Nie wiem, czy fascynowała mnie bardziej jego uroda czy umiejętności. Godzinami mogłam przyglądać się, jak tworzył. Sporo się od niego nauczyłam. Dwa lata później zakład przeniesiono na Krasieńskiego 23, a ja zrozumiałam, że czas skończyć tę piękną przygodę. Witraż, któremu się pan nie przyglądał, wyszedł spod zręcznych palców Stasia, a gdyby pan miał kiedyś chęć i okazję zobaczyć moje dzieło, to proszę się wybrać na Karmelicką 27. Znajdzie pan tam witraż z irysami, który notabene posłużył za wzór pewnej utalentowanej damie, która namalowała fresk w kamienicy Pod Irysami. Ta dama to moja wnuczka. – Starsza pani sięgnęła po filiżankę parującej aromatycznej kawy, którą właśnie podano. – A pan, czy ma pan kogoś? – zapytała bez ogródek.

– Dla pani jestem gotów ją rzucić – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Głośny śmiech starszej damy sprawił, że prawie wszyscy goście zamilkli i z zainteresowaniem spoglądali na Eryka.

Jeszcze przez jakiś czas konwersował z panią Emilią Staniszewską z domu Poniatowską, która jak go zapewniła, w żaden sposób nie była skoligaconą z tymi Poniatowskimi.

– Gdyby tak było, mierzyłabym znacznie wyżej niż w Teofila.

Pożegnał się tuż przed północą.

– Wieczór nie zaczął się tak, jak powinien – mówił Eryk, żegnając się z wdową Staniszewską. –



Ale dzięki pani skończył się cudownie.

– Och, młodzieńcze, wierz mi, większość mojego życia zaczęła się tak, jak nie powinna, ale przynajmniej jego końcówka zaczyna nabierać rumieńców.

Wracał na Krótką w doskonałym humorze, który od czasu do czasu psuły mu powracające natrętne myśli, że nie pojedzie do Poznania. Nie wiedział jeszcze, którą szkołę wybierze, ale wiedział jedno, jego decyzja zasmuci Rozalię.

Eryk spacerował nieopodal strzelnicy garnizonowej na Woli Justowskiej, którą wzniesiono pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a tuż przed końcem stulecia rozbudowano. Był tu kilka razy przed wojną, kiedy strzelnica stała się własnością członków Związku Strzeleckiego i legionistów Piłsudskiego. Teraz należała do garnizonu krakowskiego. Odwrócił się w stronę gmachu. Przyglądał mu się z uwagą. Długo, intensywnie. Budynek jednak nie wyzwalał w nim żadnych emocji.

To dobrze, pomyślał. Chciał zapomnieć o wojnie. Szło mu całkiem nieźle.

Znowu zaczął spacerować. Czekał na Rozalię, z którą umówił się na spotkanie. Powiedział, że chce z nią porozmawiać, i choć naciskała, żeby uchylił rąbka tajemnicy, nie pisnął ani słówka. Spojrzał na zegarek. Przyszedł wcześniej. Chciał na świeżym, rześkim powietrzu ukoić skołatane, napięte jak postronki nerwy.

Dwa dni po balu, dzięki uprzejmości pana Grimma, wyruszyli z Augustynem na mały rekonesans. Najpierw do Bydgoszczy, potem do Grudziądza. Chcieli na własne oczy zobaczyć obie wymienione w liście szkoły. Wyprawa zajęła im dwa dni, ale i on, i Augustyn byli zadowoleni.

Dopiero kilka dni po powrocie z Bydgoszczy Eryk odważył się odwiedzić Rozalię i pomimo nacisków z jej strony, żeby porozmawiali w domu, zaprosił ją na spacer.

Wypatrzył ją z daleka. Dzień, w którym ją poznał, uważał za jeden z dwóch najważniejszych w życiu. Drugim była Wigilia, kiedy stanęła na progu jego rodzinnego domu na Łobzowskiej, a on w końcu odważył się powiedzieć otwarcie, w obecności rodziny, że ją kocha.

To uczucie rosło w nim każdego dnia. Zastanawiał się, jak wytrzyma bez niej tyle czasu. I czy Rozalia zgodzi się na tak długą rozłąkę?

– Mam nadzieję, że miałeś dobry powód, żeby w taki ziąb wyciągać mnie z ciepłego domu. – Rozalia stanęła tuż przed Erykiem i nie bacząc na innych spacerowiczów, pocałowała go na powitanie.

Jej otwartość i odwaga zaskakiwały go co chwila. Oddał pocałunek. Najchętniej na dłużej zatopiłby się w jej ustach, ale nie zamierzał aż tak bardzo łamać konwenansów.

– Chciałem porozmawiać o szkole – zaczął Eryk niepewnie. – Na balu u Grimmów Augustyn pokazał mi listy, jakie przyszły na adres jego rodziców. Nie wyjeżdżam do Poznania. Ławica została zamknięta.

Rozalia przystanęła. Na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech. Tego Eryk obawiał się najbardziej. Bał się zburzyć tę radość. Tę nadzieję, że zostaje. Zacerpnął powietrza.

– Kilka dni temu byliśmy z Augustynem w Grudziądzu i Bydgoszczy. – Patrzył, jak uśmiech znika z jej ust, a oczy stają się smutne. – Są tam dwie szkoły dla pilotów. Chcieliśmy zrobić rekonesans.

– Którą wybrałeś? – zapytała szeptem.

– Grudziądz. Na tamtejszym lotnisku już od roku organizowano szkolenia lotnicze. Mają doskonałe zaplecze. Korzystają z koszar, lotniskowej infrastruktury, hangarów. Podobno mają mniej samolotów niż ci ze szkoły w Bydgoszczy, ale popytałem na własną rękę tu i tam. I prawie wszyscy, z którymi rozmawiałem, także ludzie z Bydgoszczy, uważają, że grudziądzcy nauczyciele to najlepsi z najlepszych. Uczą tam także piloci z Ławicy. Komendantem Wyższej Szkoły Pilotów jest podpułkownik pilot Piotr Abakanowicz, którego miałem okazję spotkać raz w Krakowie. To doskonały szkoleniowiec i jeszcze lepszy pilot.

– Powinieneś uczyć się od najlepszych. – Rozalia wciąż trzymała Eryka pod ramię.

Przyciskała go do siebie coraz mocniej, jakby chciała mieć pewność, że jednak nie wyjedzie.

– Będę tam miał okazję szkolić się na wszystkich typach samolotów, jakimi dysponuje wojsko. Także na myśliwcach i niszczycielach. Jestem doskonałym kandydatem. Jednym z lepszych, ponieważ mam już za sobą szkolenie lotnicze w niższej szkole pilotażu. Większość to cywile. Nieliczni przeszli wstępne szkolenie w Korpusie Kadetów.

– Będziesz najlepszy. – Uwielbiał pochwały z jej ust.

Miał taką nadzieję. Za kilka dni czekały go badania lekarskie. Musiał być w pełni sił, o nienagannym stanie zdrowia.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Rozalia, przełykając tworzącą się w gardle gulę. – I na jak długo?

Eryk westchnął ciężko. Spodziewał się tego pytania.

– Pod koniec miesiąca. Szkolenie trwa dwa lata. – Zamilkł na chwilę. Czekał, aż Rozalia coś powie, ale ona szła dalej, patrząc przed siebie. Przycisnęła się do niego jeszcze bardziej. To był jedyny znak, że usłyszała jego słowa. – Zgrupują nas w Eskadrze Szkolnej. Będą nas nazywać podchorążymi. Dostaniemy jednakowe umundurowanie. – To była dla Eryka nowość. Do tej pory uczniowie w krakowskiej szkole, i nie tylko, nosili różne umundurowanie. – Będą zajęcia teoretyczne i praktyczne.

– A co po zakończeniu? – Rozalia w dalszym ciągu nie patrzyła na Eryka.

– Spójrz na mnie – poprosił. Zatrzymał się. Ona też, ale zamiast na niego patrzyła ponad ramieniem Zdanowskiego. Gdzieś przed siebie. – Rozalio, proszę, spójrz na mnie. – W końcu posłuchała. – To tylko dwa lata. Grudziądź nie jest na drugiej półkuli. Będę przyjeżdżać, kiedy tylko się da. Masz moje słowo. Wróć. Wierzysz mi? – zapytał. Nieśmiało skinęła głową. Przytulił ją do siebie.

Po chwili odsunęła się od niego na wyciągnięcie ramion.

– A więc co po zakończeniu? – powtórzyła pytanie.

– Otrzymam tytuł pilota, stopień porucznika i możliwość przydziału do jednostki wojskowej.

– Augustyn musi mi obiecać, że będzie cię pilnować – powiedziała po chwili, znowu biorąc go pod rękę.

Ruszyli przed siebie spacerkiem.

– Augustyn wybrał Bydgoszcz. – Eryk z trudem wypowiedział te słowa.

Bał się, że Rozalia zapyta dlaczego, a on będzie musiał jej powiedzieć, że tam nauka trwa tylko jedenaste miesiące, ale Rozalia milczała, a Eryk i tak czuł się podle.

### Rozdział 3

Stefcia wciąż jeszcze oswajała się z faktem, że zajęła pokój matki. Wyglądało na to, że Tekla Schramm na dobre zadomowiła się w Londynie. Do tej pory przysłała do Krakowa jeden telegram oraz dwa krótkie, lakoniczne listy, w których nie podawała żadnych szczegółów życia na obczyźnie, a jedynie zapewniała, że kocha swoje córki i bardzo za nimi tęskni, ale nadal nie może wrócić, ponieważ nie zgłębiła wszystkiego, co stanowi nieodkrytą, stanowiącą niesamowitą pokusę tajemnicę.

– Czy tata zamierza coś z tym zrobić? – zapytała Stefania podczas wczorajszej rodzinnej kolacji, którą udało im się nareszcie zjeść we trójkę. – Wyjazd mamy był swego czasu skandalem szeroko komentowanym w Krakowie. Oczywiście, wciąż znajdują się plotkarze, którzy lubią zajmować się odgrzewanymi kotletami, ale jej nieobecność nie stanowi już tak łakomego kąska, niemniej jednak ja, ale ufam, że Eleonora także, chciałabym, aby wróciła. – Eleonora słuchała słów siostry z uwagą.

– Stefania ma rację, tato. Kiedy mama wyjechała, byłam przerażona. Martwiłam się o nią i o nas. Potem byłam zakłopotana i niespokojna, dlatego jeździłam do Wieliczki. Teraz, kiedy okazało się, że wyjechała cichcem do Londynu, informując nas o tym w kilku zaledwie słowach, jestem wściekła i czuję, że odsuwam się od niej z każdym dniem.

– Rozumiem wasze rozgoryczenie, ale to wasza matka. – Jan wytarł usta chusteczką, którą poskładał z pietyzmem, kładąc obok talerza.

– A ojciec nie jest rozgoryczony? – zapytała Stefania.

– Pozwolicie, że swoje uczucia zachowam dla siebie.

– Planujemy z Julianem wyznaczenie terminu ślubu. Nie młodniejemy. Powiedziałabym, że czas nagli, niemniej jednak chciałabym, żeby na moim przyjęciu zaręczynowym, które chcemy zorganizować, pojawiła się cała rodzina. Także na ślubie.

– Wiem, córciu, wiem. – Schramm zapatrzył się przed siebie. Westchnął. Było mu ciężko. – Niebawem wybieram się do Londynu, o czym rozmawialiśmy. Porozmawiam z Teklą.

– Ciekawe jak, skoro nawet nie wiemy, gdzie się zatrzymała? – zapytała Stefania, hardo zadzierając podbródek.

Stefania wróciła zaledwie kilka dni temu. Wyglądała na zmęczoną. Pod oczami widoczne były ciemne plamy, skóra twarzy miała szary odcień, bez cienia blasku. Zawsze skora do rozmowy, teraz odzywała się tylko z konieczności lub kiedy chciała przekazać coś ważnego.

– Mam swoje sposoby. No dobrze – powiedział Schramm, patrząc na niezadowolone miny swoich córek. – Zatrudniłem detektywa. Pisał niedawno, że namierzył Teklę. Przesłał mi adres, pod którym przebywa wasza matka. Ma ją pilnować do czasu mojego przyjazdu do Londynu. Nie tylko wy macie matce do przekazania kilka słów.

– Mam nadzieję, że w końcu nasze starania przyniosą oczekiwany skutek – odezwała się Stefania. Jej głos był oschły, pozbawiony uczuć. – Niech matka się wreszcie określi. Albo wraca, albo niech się wyprowadzi. Ciężko jest żyć w rozkroku. A póki co, mam zamiar zająć jej pokój. Potrzebuję miejsca. Mam pracę.

Bardziej jednak potrzebowała samotności. Zaraz po powrocie zamieniła z Eleonorą kilka słów. Żadnych szczegółów. Zdawkowa relacja. Norcia taktownie nie naciskała, choć pewnie po wylewnym liście, jaki otrzymała, spodziewała się czegoś innego. Niemniej jednak Stefania nie do końca mijała się z prawdą. Jeżeli chciała pracować z Idą, musiała stworzyć wzory biżuterii, które olśnią wybredną wdowę Goldbaum. Koncepcję miała w głowie. Potrzebowała tylko czasu, natchnienia i spokoju.

Zajęła buduar Tekli z nadzieją, że tu się odnajdzie. Zawsze lubiła pokój matki. Był przytulniejszy niż salon i sypialnia, którą dzieliła z Eleonorą. Mebelki były mniejsze, lżejsze. Sprowadzono je specjalnie z Francji. Na półkach stały drobne, eleganckie bibeloty, które Tekla dostawała od ojca oraz gości odwiedzających dom Schrammów. Pod oknem znajdował się szezlong zrobiony na specjalne zamówienie w pracowni „Muranyi” na ulicy Wincentego Pola. Pod jedną ze ścian ustawiono efektowny sekretarzyk w stylu prowansalskim i małe biurczko z licznymi szufladkami, z którego ostatnio korzystała Stefcia, malując do późnej nocy. Wszelkie portreciki bliskich w kosztownych, porcelanowych

oprawach, które matka umieściła na biurku, Stefania zebrała i schowała do sekretarzyka. Patrząc na nie, nie potrafiła się skupić. Jej myśli samoczynnie pędziły w stronę malowniczego Podgórze i Janka, którego widziała oczami wyobraźni stojącego przy okrągłym oknie na ostatnim piętrze willi Mira.

Przytłumiony odgłos mariackiego hejnału sprawił, że Stefania zerknęła na zegarek, aby się upewnić, czy wybiła dwunasta. Miała dość czasu, żeby spokojnie ubrać się i spacerkiem dojść na Zwierzyniecką 11. Do Grabowskich.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał Mikołaj, kiedy pociąg, którym wracali z Paryża, wjeżdżał na Dworzec Główny.

– Niebawem – odparła po dłuższym namyśle.

Zauważyła, że się skrzywił, jakby coś go zabolalo, ale nie drażył tematu. Wkrótce na peronie zauważyła Eleonorę i Juliana, wyciągających szyje, aby dostrzec wśród wysiadających znajome sylwetki.

– Czekamy na was od jakiegoś czasu. – Po radosnych słowach, które Eleonora wypowiedziała z szerokim uśmiechem na ustach, Stefania utonęła w ramionach siostry.

Powitaniom nie było końca. Radosnym zapewnieniom, jak wszyscy się ucieszyli na wieść, że Mikołaj żyje. Kiedy pierwsze emocje opadły, Eleonora przekazała Mikołajowi order, który kilkanaście dni wcześniej odebrała w jego imieniu. Pani Grabowska zaczęła płakać, w oczach pozostałych zaświeciły się łzy, tylko Mikołaj z wyjątkową obojętnością przyglądał się medalowi. Po krótkiej, nieco niezręcznej ciszy rozmowy rozgorzały na nowo. Stefania skarciła się w myślach za zniecierpliwienie, ale nie potrafiła opanować uczucia zniechęcenia i rozdrażnienia. Pragnęła wreszcie pożegnać się z Grabowskimi i -wrócić do domu. Była zmęczona fizycznie i psychicznie.

– Odwiedzisz nas niebawem, prawda? – zapytała matka Mikołaja na odchodnym, przytrzymując ramię Stefani zmierną w stronę miejsca, gdzie zaparkował Julian.

Spojrzenie Grabowskiej było natarczywe, a postawa jasno dawała do zrozumienia, że odmowa nie wchodzi w grę.

– Oczywiście – odparła Stefania, znikając w samochodzie Juliana. Odetchnęła z ulgą.

Po ciepłej, rozluźniającej kąpieli, którą przygotowała jej Justysia, Stefania poczuła się nieco bardziej odprężona. Aromatyczne olejki, dodane do gorącej wody, rozluźniły jej napięte mięśnie.

Usiadła w salonie, obejmując ciasno kubek z gorącą czekoladą.

– Mogę się dosiąść? – Eleonora zatrzymała się w drzwiach pokoju. I ona raczyła się słodko-ostrym przysmakiem.

– Uwielbiam ten pikantny, rozgrzewający smak czerwonej papryczki – zagaiła Stefcia, wskazując siostrze miejsce tuż obok siebie.

Siedziały w ciszy, delektując się napojem.

– Boję się. – Zaczęła Stefania. Eleonora patrzyła uważnie na siostrę. Nie pytała. Nie przerywała. Czekala, aż z ust Stefani poleje się potok słów. – Kiedy tam jechałam, miałam nadzieję, że wszystko będzie inaczej. Wiem, myślisz pewnie, że jestem naiwna, ale łudziłam się. Chciałam się łudzić... – Głos Stefani zdrztał. Łzy same potoczyły się po policzkach. Eleonora przysunęła się bliżej i zamknęła siostrę w ciasnym uścisku. – Chciałam się łudzić, bo to dawało mi nadzieję, że po powrocie do Krakowa odzyskam stare nowe życie. – Stefania zaśmiała się cicho, ale w tym uśmiechu nie było radości, tylko niewypowiedziana gorycz i smutek. – Teraz już wiem, że to były mrzonki. – Odsunęła się od siostry. Spojrzała Eleonorze prosto w oczy. – Czy mogę wrócić do dawnego życia? Czy mam prawo cieszyć się kolejnymi dniami u boku Janka? Boże, jak ja za nim tęsknię! – wykrzyknęła. – Czy mam do tego prawo, kiedy Mikołaj to wrak? Niech cię nie zwiedzie jego silne ciało, które wygląda jak w dniu, gdy się zegnaliśmy. To wrak, Norciu, ludzki wrak...

Mijały dni, a ona wciąż odkładała wizytę. Zamiast do Grabowskich zaszła do wujostwa, żeby poprosić wuja Władysława o zorganizowanie spotkania.

– Bardzo wujka proszę – mówiła Stefcia, siedząc w gabinecie profesora Bobrzyńskiego. – Nie mam serca zawracać Eleonorze głowy. Pamiętam Kacpra z czasów, kiedy Norcia chodziła do szkoły. Był jej korepetytorem. Muszę z kimś porozmawiać. Chyba że ma wuj jakiś inny pomysł.

– Kacper, o ile mi wiadomo, mieszka w Szwajcarii, a nawet gdyby był tu, w Krakowie, i tak

niewiele mógłby pomóc. Psychiatria to nie jego dziedzina. Znam jednak kogoś, kto, o ile będzie miał czas, postara się udzielić ci odpowiedzi. To Jan Piltz. Jest profesorem na uniwersytecie. Nie przyjaźnimy się, bo jakoś nie bardzo mi po drodze do Katedry Neurologii i Psychiatrii, której jest kierownikiem, ale znamy się. Zapytam, czy jest w stanie poświęcić ci kilka chwil.

Trzy dni po spotkaniu u Bobrzyńskiego Stefcia otrzymała informację, że profesor będzie jej oczekiwał w swoim gabinecie w czwartek, kiedy to odbywał swój cotygodniowy dyżur. Nie zastanawiała się długo. Na spotkanie prawie biegła. Przecięła uliczkę obok kościoła Mariackiego. Lawirowała wśród mieszkańców i spacerujących turystów na Mikołajskiej, aż zdyszana i na drżących nogach dotarła pod schody katedry psychiatrii na ulicy Mikołaja Kopernika.

– Droga pani – mówił profesor Piltz pięć minut później, kiedy siedziała już w jego przytulnym gabinecie. Miała szczęście, kiedy podeszła pod wskazany pokój, na korytarzu nie było żadnego studenta, który miałby sprawy do załatwienia. – Urazów psychicznych nie da się wyleczyć tak łatwo jak ran fizycznych, nawet jeżeli mówimy tu o utracie kończyny. Oczywiście nie należy umniejszać jednych urazów na rzecz drugich, ale ludzka psychika skrywa przed nami jeszcze wiele tajemnic. Na początku wojny wielu medyków uważało, że urazy psychiczne żołnierzy są efektem fizycznego uszkodzenia układu nerwowego. Dzięki prowadzonym badaniom okazało się jednak, że zaburzenia pamięci, chociażby takie, z jakimi borykał się pani znajomy, niepohamowane drżenie ciała, zazwyczaj rąk czy nóg, utrata wzroku lub słuchu to szok emocjonalny, którego walczący doznawali w czasie sytuacji granicznych. Dziś mówimy o szoku bojowym. Żołnierze dotknięci *shell shock* są niestety symbolem naszego okaleczonego przez wojnę społeczeństwa.

– Mikołaj nie potrafi się otworzyć. Nie chce rozmawiać. Może jestem naiwna, ale czy rozmowa nie przyniosłaby mu ulgi? – Stefania czuła, jak szybko bije jej serce. Słuchając profesora, miała wrażenie, że zapada się w coraz większą otchłań.

– Wcale mu się nie dziwię. Takie przypadki są nagminne. Okaleczeni psychicznie pacjenci zamykają się w sobie. Tłumią emocje. Wypierają wspomnienia. Dzieje się tak między innymi dlatego, że często traktuje się ich jak symulantów i degeneratów. Nie musimy daleko sięgać. Jeszcze do niedawna tak właśnie traktowano żołnierzy w Niemczech czy we Francji, gdzie poddawano ich mało humanitarnym metodom leczenia. Dopiero pewien brytyjski psychiatra, z którym zresztą koresponduję, zaczął stosować rozmowę jako terapię. Wychodzi on z założenia, że zaburzenia pamięci są efektem autosugestii chorego. Proces, który doprowadzi do rekonstrukcji pamięci o traumatycznych zdarzeniach, a później przepracowanie go z pacjentem, zajmuje dużo czasu, a może zdarzyć się i tak, że nigdy nie osiągnie się zadowalających efektów.

Stefania westchnęła.

– Musi pani wiedzieć, że przyczyny zaburzeń mogą mieć różne podłoże. Ciężka rana, widok śmierci, przysypanie ziemią, przebywanie w drastycznych warunkach w okopach. Widziałem żołnierzy, którzy wykazywali niezwykłą agresję za każdym razem, kiedy padał deszcz i na dworze robiło się wilgotno, ale byli i tacy, którzy popadali w otępienie.

– Mikołaj cierpi na bezsenność. Czasami budzi się w nocy z krzykiem. – Stefania kilkakrotnie była tego świadkiem podczas pobytu we Francji.

Od przeraźliwego wycia Mikołaja dostawała gęsiej skórki. Słyszała uspokajający głos Grabowskiej i płacz jej syna. Po którymś razie miała wrażenie, że sama straci rozum. Ta bezsilność ją dobijała. I dziwne poczucie winy za beztroskie życie, jakie wiodła w Krakowie.

– To bardzo częste objawy traumy. Niektórzy nie trzymają moczu i tracą kontrolę nad jelitami. Pani przyjaciel doświadczył także amnezji. Żołnierze stają się słabi. Są jak dzieci zagubione we mgle. Boją się opuszczać znane miejsca. Trzymają się najbliższego sąsiedztwa, a opuszczenie jego granic wydaje im się rzeczą nie do przewyciężenia.

– Czy jest szansa na szybkie wyzdrowienie? – Stefania nie liczyła na wiele, ale musiała zadać to pytanie.

– Jak powiedziałem, leczenie może trwać tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Czasami może nigdy nie przynieść całkowitego wyzdrowienia. W czasie wojny, kiedy prowadzono działania, niemieccy lekarze chcieli, żeby żołnierze jak najszybciej wracali na front, dlatego poddawano ich brutalnym

zabiegom. Rażono prądem, głodzono, zamykano w ciemnych pomieszczeniach. Uzyskiwano pewne efekty, lecz były one krótkotrwałe, a skutek ich był taki, że pacjent czuł się jeszcze gorzej. Zawieszono te praktyki, ponieważ oburzały opinię publiczną, ale może gdzieś jeszcze się je stosuje.

Stefania podziękowała profesorowi za spotkanie. Wyszła z jego gabinetu w marnym nastroju. Nie cieszyła jej nawet wyjątkowo piękna jak na połowę lutego pogoda. Zamyślona podążała powoli w kierunku Rynku. Zatrzymała się przy kościele św. Mikołaja i wiedziona nagłą potrzebą weszła do środka. Było cicho i pusto. Rozejrzała się po wnętrzu. Nie myliła się. Była jedyną osobą, która weszła, żeby się pomodlić. Po przytłaczającej rozmowie z profesorem Piltzem potrzebowała nadziei, jaką daje modlitwa. Usiadła w ostatniej ławce. Przez dłuższą chwilę siedziała, podziwiając neorenesansową polichromię, którą pod koniec ubiegłego stulecia wykonał uczeń Jana Matejki. W końcu zamknęła oczy. W ciszy i zadumie odmawiała „Zdrowaś Mario”, prosząc o siłę i natchnienie.

Świątynię opuściła kwadrans później. Lutowe słońce przyjemnie grzało, operując na bladych policzkach Stefanii. Tamtego dnia poddała się jeszcze jednemu impulsowi. W drodze do domu, przechodząc Wiślną koło numeru 43, weszła do lokalu, w którym mieściła się kolektura popularnej Loterii Państwowej. Wzrok Stefanii zatrzymał się na rymowanej reklamie „Losem naszej kolektury nikną zmartwień chmury”. Już miała odejść, kiedy jej spojrzenie padło na kolejne hasło „Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę”. Pomyślała, że nie o takim szczęściu marzyła, ale... Chwilę później płaciła za kupon. Wychodząc, zerknęła na tablicę ogłoszeń, na której dużymi literami informowano, że w ubiegłym roku w kolekturze wylosowano szczęśliwy kupon o numerze 12372, który przyniósł posiadaczowi sto pięćdziesiąt tysięcy złotych nagrody.

Do domu dotarła już w nieco lepszym nastroju. Na progu -przywitał ją ojciec. Wyglądało, że na nią czekał.

– Byłem dziś u Grabowskiego w aptece. Musiałem odebrać lekarstwa. – Jan Schramm wciąż cierpiał z powodu dawnego urazu, jakiego doznał, spadając z konia.

Bóle najbardziej nasilały się jesienią i zimą. Wtedy środki przeciwbólowe były niezbędne.

– Pytają, kiedy ich odwiedzisz? – dodał, kierując się do gabinetu.

– Niebawem – odparła Stefania, wieszając płaszcz na wieszaku.

Wiedziała, że nie może odkładać tej wizyty w nieskończoność. Pomimo informacji, jakich udzielił jej profesor, wysłała Justysię do apteki na Zwierzynieckiej z listem do Mikołaja, w którym zawarła propozycję spotkania w modnej ostatnio restauracji „Esplanada” na skrzyżowaniu ulic Krupniczej i Podwale. Tłumaczyła sobie, że po prostu chce wyciągnąć go z domu, ale naprawdę był to test, jak głębokie są rany Mikołaja.

Napisała zatem:

Spotkajmy się w Esplanadzie. Myślę, że miejsce to przypadnie Ci do gustu. Jest na wskroś nowoczesne. Mieści się tam też klub, który nazywają Katarynką. Jeżeli będziemy mieli szczęście, spotkamy kogoś znanego. Ponoć bywa tam Bruno Jasiński, a podczas wieczorów poetyckich często dochodzi do awantur, które przydają im niezwykłości. Myślę, że będzie Ci się podobać. W końcu kto, jak nie Ty ma artystyczną duszę.

Stefania

Mikołaj odrzucił jej pomysł, usilnie domagając się, aby odwiedziła go w jego rodzinnym domu. Szła więc teraz spacerkiem, sunąc noga za nogą w kierunku Zwierzynieckiej. Podły nastrój, który uczeplił się jej w chwili, kiedy opuściła profesorski gabinet, powrócił ze zdwojoną siłą. Wchodząc do apteki pod numerem 11, przywołała na twarz delikatny uśmiech.

– Stefcia! – wykrzyknęła pani Grabowska na jej widok. – Mikołaj nie może się doczekać. Jest w salonie.

Stefania podążyła za gospodynią. Mikołaj siedział w wielkim, wygodnym fotelu. Na jego kolanach spoczywała książka, ale on w ogóle do niej nie zaglądał. Wpatrywał się przed siebie. Gdyby nie otwarte oczy, Stefania pomyślałaby, że śpi. Odwrócił się w jej stronę, dopiero kiedy Grabowska dotknęła jego ramienia.

– Stefania? – wypowiedział jej imię w taki sposób, jakby upewniał się, czy patrzy na młodszą

córkę Schrammów. – Jednak jesteś.

Stefcia usiadła naprzeciwko niego. Wciąż wyglądał mizernie. Nie, nie był chudy. Ta mizerność nie wynikała z kondycji fizycznej, bo ta już dawno wróciła do normy. Na jego twarzy niestety nadal malował się strach. Położył dłonie na książce. Drżały. Starał się nad tym zapanować, ale jego wysiłki spęły na niczym. W końcu wsunął je do kieszeni spodni.

– Miałam nadzieję, że namówię cię na wizytę w „Esplanadzie”. Sama nie miałam jeszcze okazji tam być, ale słyszałam o tym miejscu wiele dobrego. – Patrzyła na niego, chcąc zmusić Mikołaja do nawiązania kontaktu wzrokowego.

– Nie. Nie – odpowiedział stanowczo, opuszczając głowę. – Tu jest dobrze.

W pokoju zapadło milczenie. Przez dłuższy czas siedzieli w ciszy, przerywanej tylko miarowym tykaniem zegara. Stefania zerknęła w jego stronę. Dochodziła trzynasta trzydzieści. Z trzaskiem odskoczyła klapka, wyskoczyła kukułka. Mikołaj zeskoczył z fotela i ukrył się za nim.

– Schowaj się – szepnęła, machając w stronę Stefanii. – Chowaj się, na Boga – ponaglał ją, coraz bardziej zdenerwowany. – Strzelają. Zobaczą cię.

Stefania siedziała otępiała. Jego zachowanie zaskoczyło ją całkowicie. W oczach pojawiły się łzy. Chwilę później zerwała się na równe nogi i nie zważając na wołania pani Grabowskiej, wybiegła z apteki przy Zwierzynieckiej.

\*\*\*

Szła szybko przed siebie, nie zważając na kierunek, który obrała. Myśli miała zaprzątnięte tym, czego przed chwilą była świadkiem. W jej oczach błyszczały łzy, powstrzymywane siłą. Chciało jej się płakać nad Mikołajem, który został skrzywdzony tak okrutnie przez los. Był młodym człowiekiem, który powinien z uśmiechem wchodzić w dorosłe życie. Kochać kobietę, zaręczyć się, ożenić, spłodzić dzieci. Pracować, może zostać znanym aktorem. Wszak lubił grać. Teatr go pochłaniał, a widownia uwielbiała i nagradzała rześzystymi brawami. Był młodym mężczyzną, który zamiast siedzieć w domu, powinien bawić się na mieście. Odwiedzać kawiarnie i restauracje z ukochaną. Zabierać ją do kina i na tańce. W ciepłe, letnie dni porywać na spacerzy nad Wisłę. Opowiadać dowcipy. Ale Mikołaj nie cieszył się życiem. Nie marzył o wypadach za miasto. Nie pragnął muzyki i tańców. Mikołaj truchlał na dźwięk zegarowej kukułki. Przerazały go głośniejsze rozmowy albo dziwne dźwięki, których pełno było na mieście. Upuszczony z łoskotem garnek wywoływał w nim niekontrolowaną panikę. Mikołaj drżał na całym ciele. Zapadał się w sobie. Zamykał. Odcinał od świata. Nie uśmiechał się. Nie żartował. Jego życie zmieniło się w wegetację. Chciało jej się płakać nad sobą, ponieważ wciąż obwiniała się o egoizm. Za każdym razem, kiedy pomyślała, że gdy Mikołaj walczył o życie, najpierw fizycznie, a potem psychicznie, kiedy zmagał się z amnezją i strachem, który paraliżował go na myśl, że nie zna nawet własnego imienia, ona śmiała się na głos, całowała pełne usta Janka, czekała na kolejne z nim spotkania, drżała o niego, kiedy wyjechał na wojnę z Rosją. Nienawidziła się za to. Pogardzała sobą. I wtedy odzywała się jej racjonalna połowa, która przekonywała, że to błędne koło. Nie była, nie jest i nie będzie odpowiedzialna za los Mikołaja, a jednak na samą myśl, że mogłaby go zostawić, pożegnać, powiedzieć, że przecież dla niej umarł, i w końcu po okresie żałoby zaczęła żyć nowym życiem, w którym wreszcie po wielu miesiącach marazmu odnalazła szczęście, czuła się jak ostatni drań. Miała ochotę płakać nad siłą, która trzymała ją na dobrym moralnym kursie, oraz nad słabością, która nie pozwalała jej, jeszcze nie teraz, zawalczyć o swoje szczęście, bo przecież życie było takie krótkie i takie kruche.

Nim się spostrzegła, doszła na kazimierski rynek. Stała na placu Wolnica u zbiegu ulic Krakowskiej i św. Wawrzyńca. Zerknęła w stronę kościoła Bożego Ciała, który ufundował Kazimierz Wielki. Miała ochotę wejść do środka, ale coś ją powstrzymywało. Coś ciągnęło ją dalej. Przed siebie. Głosy kazimierzowskich przekupek, które rozstawiły tu swoje nieliczne stragany, wyrwały Stefanię z zamyślenia. Zerknęła w stronę Krakowskiej, a potem szybkim ruchem zwróciła się w stronę ulicy św. Wawrzyńca. Zwolniła kroku. Spacerkiem podążała do centrum Kazimierza, na ulicę Szeroką. Przeszła koło synagogi Remuh, wchodząc na położony przy niej cmentarz. Chodziła wśród skromnych nagrobków. Jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej cmentarz był zamknięty decyzją władz austriackich, które pozamykały wszystkie przykościelne miejsca spoczynku. Zatrzymała się przed jedną macewą, potem



drugą. Odmówiła cichą modlitwę za dusze zmarłych, mając nadzieję, że nie będą jej tego miały za złe.

A potem, wiedziona nieodpartą pokusą, skierowała się w stronę przystanku na ulicy Starowiśnej. Wsiadła do tramwaju jadącego przez most Krakusa, na który wciąż z uporem mawiano III most, w stronę Rynku Podgórskiego.

Chciała tu przyjechać zaraz po powrocie z Francji, ale wahała się. Wzbraniała się przed tym, lecz dziś nie mogła już sobie odmówić tej przyjemności. Chociażby z daleka, z ulicy zerknąć na dom Janka. Przemknąć obok ogrodu. Kątem oka spojrzeć w okna, zastanawiając się, czy pan Dionizy i Janek są w domu.

Słońce, które tego dnia grzało nieprzyzwoicie mocno jak na ostatnie dni lutego, powoli chowało się za horyzontem. Zerwał się silniejszy wiatr. W powietrzu zaczęły wirować delikatne płatki śniegu. Stefania postawiła kołnierz płaszcza. Żałowała, że założyła fikuśny kapelusik zamiast ciepłej czapki. Przyspieszyła kroku. Żwawo podążała ulicą Parkową. Zwolniła dopiero na wysokości domu należącego do Matulów. Stała obok ławki, na której siedziała dawno temu, malując willę jako studium architektoniczne dla panny Bronisławy. Wtedy zamieniła z Jankiem pierwsze słowa. Wtedy poczuła, że jej serce znowu bije. Westchnęła. Ruszyła przed siebie, bojąc się spojrzeć w okrągłe okno na górze.

Była już na skrzyżowaniu ulicy Parkowej z placem Lasoty, kiedy usłyszała znajomy głos.

– Stefania? – Janek stał przed furtką.

Wybiegł w pośpiechu, nie zaprzatając sobie głowy narzuceniem na cienką koszulę jakiegoś cieplejszego okrycia. Nie drżał jednak z zimna, a z niepewności. Kobieta, którą wziął za Stefcie, w końcu przystanąła. Odwróciła się powoli. A więc nie pomylił się. Podbiegła do niego, widząc, że stoi na dworze w cieniutkiej koszulce.

– Zażębisz się! – krzyknęła, poganiając go w stronę drzwi wejściowych.

Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w środku, w ciepłej, przytulnej sieni.

– Kazałaś mi kiedyś wyglądać przez okno, pamiętasz? – Janek stał tak blisko. Skinęła niepewnie głową.

Był na wyciągnięcie ręki. Czowała jego oddech na zmarzniętym, mokrym od śniegu policzku.

– Więc patrzyłem. Każdego dnia. Mijały minuty, kwadransy, godziny. Dni i tygodnie, ale byłem cierpliwy, bo cierpliwość to cnota i popłaca. I w końcu się doczekałem. Zobaczyłem cię tam, po drugiej stronie. Przy ławce, na której siedziałaś wtedy, szkicując nasz dom. Wejdiesz? – zapytał.

– Nie – odparła zbyt szybko. Skrzywił się w podobny sposób, jak zrobił to niedawno Mikołaj. – To znaczy, nie chciałabym przeszkadzać twojemu wujowi. Pewnie jest zapracowany, jak zwykle – dodała nieco weselej.

– Jestem sam. Nie ma nikogo. – Janek patrzył na nią intensywnie.

Odważemniła to. Mierzyli się na spojrzenia. Które ulegnie i spuści wzrok. Oddech Stefania przyspieszył. A co tam, pomyślała. Raz się żyje.

Zrobiła szybki krok w stronę Janka. Musiał myśleć o tym samym, bo zamknął ją w uścisku niemal w tej samej chwili, kiedy ona przytuliła się do niego. Przyłgnęła do Janka całym ciałem. Szukał jej ust. Pocałował ją zachłannie. Była w tym pasja, tęsknota, złość i radość. Mieszanka uczuć. Emocje sięgające zenitu.

– Jak długo nie będzie wuja Dionizego? – szepnęła Stefania.

Jej oddech musnął płatek jego ucha. Westchnął.

– Wystarczająco długo – odparł szybko, urywanym z podniecenia głosem.

## Rozdział 4

Rozalia obudziła się, kiedy na dworze wciąż było ciemno. Gdzieś tam w oddali niebo nieśmiało zaczynało zabarwiać się szarością, ale do wschodu słońca pozostawało jeszcze parę godzin. Ziewnęła, zamykając na powrót oczy. Przewróciła się na drugi bok, uspokoiła oddech, ale sen nie nadchodził, a bicie własnego serca, które szumiało jej w uszach, skutecznie ją rozpraszało. Odwróciła się ponownie. Położyła dłoń na drugiej poduszce, prawie nietkniętej, nieskalanej snem. Westchnęła rozczarowana.

Eryk wyjechał ponad miesiąc temu z niewielkim okładem i chociaż nie mieszkał u niej na stałe, a tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na spędzenie tu nocy, tuląc Rozalię w ramionach, ta zdążyła się już przyzwyczaić do jego obecności. Lubiła budzić się wtulona w jego ciepłe ciało, a kiedy marzenia wyrwały ją ze snu w środku nocy, zanim ponownie dała się porwać do tańca Morfeuszowi, wsłuchiwała się w rytmiczny oddech Zdanowskiego.

Teraz budziła ją przesywająca umysł cisza. Odwróciła się ponownie. Chciała czuć się dziś wypoczęta i wyspana, ponieważ zapowiadał się pracowity, pełen wrażeń dzień.

Z tego też powodu dwa tygodnie wcześniej zaszła na Floriańską 24 do zakładu Józefa Gałązki, żeby sprawić sobie nową garderobę.

– Z czystym sercem polecam ci pana Gałązkę i jego dwie krawcowe – mówiła Eleonora podczas spotkania z Rozalią, do którego doszło całkiem przypadkiem w kancelarii Juliana na ulicy Szlak 21. – O jego kunszcie dowiedziałam się od ciotki Leokadii, która od jakiegoś czasu sama tam chodzi. Usłyszała o zakładzie na Floriańskiej od swojej znajomej, a ta z kolei od swojej. Chociaż raz plotki ciotki Leokadii nie poszły na marne. Nie tylko wykonanie jest mistrzowskie, z najwyższej półki, ale i materiały, z których szyje pan Józef. A poza tym znajdziesz u niego żurnale prosto z Paryża i Londynu. Zanim wzięto mi miarę, siedziałam tam chyba ze dwie godziny. Jedna z krawcowych, która ze znanstwem otaksowała moją sylwetkę, przysiadła koło mnie, żeby zawodowym okiem doradzić najodpowiedniejszy krój.

Idąc za radą przyjaciółki, a pewnie już niebawem i bratowej, Rozalia zawitała do zakładu pana Gałązki. Została przyjęta łącznie z królewskimi. Najpierw przejrzała magazyny z najnowszymi trendami prosto z europejskich stolic, potem wybrała materiały, a następnie mistrz Gałązka wziął z niej miarę. W zaledwie kilka dni wzbogaciła się o nową wykwintną garderobę wizytową. Jakość wykonania, której nie można było niczego zarzucić, zachwyciła ją tak bardzo, że pomimo pełnej szafy pomyślała o zleceniu uszycia ubrań dziennych, kilku sukni -wieczorowych oraz kompletów do pracy.

– Świat oszalał – szepnęła teraz do siebie, leżąc w łóżku z szeroko otwartymi oczami.

Pomyślała, że gdyby kilkanaście lat temu była równie chętna do przebieranek, nie czułaby się niczym skazaniec na torturach schowana za grubą kotarą w domu handlowym Szarskich, w którym matka doprowadzała ją do łez rozpacz, obrażając potem właścicieli sklepu.

Tamtę Rozalii jednak już dawno nie było. Dziś przymiarki, chodzenie po sklepach i przebieranki sprawiały jej czystą, nieskrępowaną przyjemność.

Rozbudzona, pełna niepokoju i podekscytowania planowanymi wydarzeniami dnia usiadła na łóżku. Zaświeciła małą lampkę ustawioną tuż przy zagłówku, tak aby światło padało na trzymany na kolanach notes.

Przewertowała kilka kartek w poszukiwaniu papeterii, na której wczoraj wieczorem zaczęła pisać list do Eryka. Zanim sięgnęła po pióro, przesunęła wzrokiem po czarnym, równym piśmie.

Przez chwilę siedziała w zamyśleniu, aż w końcu zaczęła pisać:

Jakiś czas temu byłam u Gałązki, krawca, którego zakład poleciła mi Eleonora. Kupiłam kilka części stroju wizytowego, ale dziś nad ranem, kiedy sen opuścił mnie ciemną nocą, a niebo było wciąż czarne jak atrament, pomyślałam, że powinnam zaopatrzyć się także w dwie, a może trzy sztuki eleganckich peniuarów. Delikatnych, jedwabnych. Połyskujących w bladym świetle świec, których lejący materiał miękkimi falami, niczym strumień krystalicznej wody, opływałby moje nogi w czarnych kabaretkach, które tak lubisz. Poły peniuaru załamywałyby się na krzywiznach mojego ciała, eksponując jego walory. Oczami wyobraźni widzę zachwyt pojawiający się w Twoim spojrzeniu. Słyszę

przyspieszony oddech. Patrzysz na mnie namiętnie. Czekasz na okazję, żeby rozwiązać lekko zaciągnięty supeł paska. Nagość skrywana pod szlafrocikiem chowa się pod lawinę piór boa. Twoje dłonie są niecierpliwe. Zachłanne...

Rozalia odłożyła pióro. Zamknęła oczy, starając się uspokoić galopujące w niebezpieczne rejony myśli. Zerknęła na zapisaną kartkę. Czy ośmieli się wysłać ten list Erykowi?

Zamiast to roztrząsać, zerwała się z łóżka i podeszła do wielkiej szafy. Otworzyła ją na oścież. Drżącymi palcami zaczęła przesuwając kolorowe wieszaki, prawie wcale nie patrząc na to, co na nich wisiało. Jej głowę i serce wciąż zajmowały niespokojne, namiętne myśli.

W końcu wyjęła komplecik kupiony u Gałązki. Spódnicę, żakiet i bluzkę w stonowanym szarym odcieniu. Zresztą większość jej garderoby miała odcienie stonowane, mało rzucające się w oczy, broń Boże krzykliwe. Prawdziwe elegantki, do których grona od dawna aspirowała Rozalia, uważały te ostatnie za mało wyrafinowane, żeby nie powiedzieć wulgarnie i nieprzystające do statusu.

– Nie uwierzę, że moja siostra, która broniła się rękami i nogami i dostawała napadów strachu na samą myśl o kobiecych zakupach, namiętnie czyta magazyny poświęcone modzie, aby potem, nie popełniając gafy i zbrodni na ubiorze, chodzić do najznakomitszych krakowskich pracowni krawieckich i zakładów mody. – Julian, który odwiedził ją zaraz po Nowym Roku, potrząsał jednym z kobiecych magazynów, które leżały na stoliku w bibliotece Rozalii.

– Kto by pomyślał, że zostałeś prześmiewcą? – Obruszyła się Rozalia, wyrwijąc mu żurnal z ręki. – Nadrabiam to, co straciłam, będąc młodą panną. Zresztą nic się nie zmieniło, na samą myśl, że miałabym pójść z matką do Szarskich albo gdziekolwiek indziej i się przebierać pod jej dyktando i pod jej czujnym okiem, dostając napadu strachu.

Na wspomnienie tamtej rozmowy Rozalia uśmiechnęła się szeroko. Faktycznie, wciąż jeszcze nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby czuć się na zakupach swobodnie w towarzystwie własnej matki.

Julian miał jednak rację co to jednego. Śledziła najnowsze doniesienia ze świata mody i starała się nie popełniać błędów w kwestii doboru garderoby, dlatego też idąc do teatru, nie ubierała się zbyt kolorowo i nie nosiła spódnic w kratkę. Na koncercie nigdy nie pojawiłaby się w sukni balowej, co zdarzało się nagminnie.

W swojej szafie miała obowiązkowy tweedowy kostium i płaszczyk, a nawet kilka. Zatrzęsienie pończoch, kilkanaście par rękawiczek i jeszcze więcej kapelusików. Już dawno zrezygnowała z pantofelków na obcasie na rzecz wygodnych płaskich, w których nogi czuły się doskonale nawet po długim spacerze.

Rozalia odwróciła się w stronę okna, żeby sprawdzić, jaka pogoda. Był początek marca, ale zima wciąż jeszcze miała się dobrze.

– Może to – szepnęła, sięgając po sobolowe futro.

Przyglądała mu się krytycznym okiem. Nie, pomyślała, zbyt wystawne. Odwiesiła je na miejsce, wyciągając krótkie futerko z farbowanych królików.

– Doskonale – orzekła, wieszając je tuż obok dwuczęściowego tweedowego kostiumu. Wąskiej spódnicy, małego żakietu i bluzki.

Z masywnej bieliźniarki wyciągnęła gorset, krzywiąc się na myśl o jego założeniu. Zazwyczaj zakładała biustonosz i lekką haleczkę, lecz dziś pragnęła jeszcze bardziej wysmuklić sylwetkę, a poza tym gorset zawsze trzymał ją w pionie.

Pomyślała także o biżuterii. Miała jej niewiele, ale za to doskonałej jakości. Brylanty, które dostała od ojca na osiemnaste urodziny, zakładała tylko na wielkie okazje. Zazwyczaj obywatela się bez wisiorów. Jedynym, z którym się ostatnio nie rozstawała, był nieśmiertelnik подарowany jej przez Eryka. Dziś jednak chciała dodać sobie wyrafinowanej elegancji, dlatego z pięknego etui wyjęła sznur pereł, podarunek od zmarłego męża. Tojew przywiózł go z wypadu do Paryża.

– Kupiłem go przy rue Cambon w domu mody niejakiej Coco. Coco Chanel – powiedział, kładąc pereł na toalecie Rozalii.

Nigdy za nimi nie przepadała, ale musiała przyznać, były niezaprzeczalnie piękne. Wciąż wpatrywała się w pereł, kiedy zegar wybił siódmą. Za oknem zrobiło się prawie jasno. Do spotkania

miała jeszcze trzy godziny. Szmat czasu, przemknęło jej przez myśl, dlatego postanowiła wziąć odprężającą kąpiel.

Kwadrans później, opatulona ciepłym szlafrokiem, który należał do Eryka, usiadła przy toalecie. Krótkie włosy, sięgające do brody, ułożyła w misterne fale. Przydymiony makijaż powiek sprawił, że oczy Rozalii wydawały się jeszcze większe. Usta podkreśliła soczystą czerwoną szminką. Biały puder zmatowił skórę na linii T, a delikatny róż uwypuklił wystające kości policzkowe. Uśmiechnęła się do własnego odbicia.

– Uwielbiam twoje soczyste usta. Pomalowane na czerwono wyglądają, jakby były skrwawione, a to nasuwa mi na myśl bardzo sprośne obrazy. – Na wspomnienie słów Eryka jej serce zaczęło bić szybciej.

Zamknęła oczy, żeby uspokoić emocje. Nie mogła dać im się ponieść, dlatego sięgnęła po kapelusik i skupiając się na jego właściwym ułożeniu, odgoniła fascynujące obrazy ze swoich myśli.

\*\*\*

Rozalia zatrzymała się przed trzypiętrową kamienicą pod numerem 23. Przypomniała sobie opowieści Eleonory o tym, jak swego czasu, na kilka lat przed wojną, córka Schramma uwielbiała przesiadywać w tutejszym antykwariacie, zachodząc przy okazji także do księgarni, aby porozmawiać z zięciem właściciela – panem Ferdynandem Świszczewskim. Jego tragiczna śmierć odbiła się szerokim echem w Krakowie.

– Uwielbiałam z nim rozmawiać. – Eleonora powróciła do wspomnień, po tym jak Rozalia nadmieniała, że udaje się do Gebethnera na rozmowę. – Pan Ferdynand był taki dumny z tego, że prowadził tę księgarnię. Umiał snuć na temat jej długiej historii cudowne opowieści. To już tyle lat minęło od jego śmierci, a ja za każdym razem, kiedy mijam kamienicę Kromerowską, widzę naszą rodzinę i Juliana zebranych wraz z innymi mieszkańcami pod drzwiami sklepu, gdzie żona pana Ferdynanda znalazła jego zakrwawione ciało.

Świszczewski został zamordowany i obrabowany. Sprawa była głośna, zaś rodzina Michałowskich uczestniczyła w niej na bieżąco, ponieważ Julian pomagał ówczesnemu pracodawcy Edmundowi Szalitowi bronić jednego z rzeźmieszków, Jana Łyżwińskiego. Stojąc teraz przed fasadą kamienicy, Rozalia zastanawiała się, czy morderca wciąż odsiadyuje swój wyrok.

Dziś w kamienicy mieściła się nie tylko księgarnia, ale także filia warszawskiego wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, do którego -zmierzała siostra Juliana.

Rozalia weszła na klatkę schodową, przebudowaną kilka lat temu za pozwoleniem krakowskiej Rady Miejskiej. W górze widoczny był szklany świetlik, który zdaniem zarządu i architekta miał gmachowi przydawać lekkości, powabu i urody, niestety odcinając się wyraźnie w linii dachu, wyglądał niekorzystnie, żeby nie powiedzieć źle. Wrażenie psuły także niedawno założone nowe instalacje wentylacyjne, należące do restauracji znajdującej się na parterze budynku.

Rozalia uwielbiała krakowskie kamienice. Żałowała, że ulegały modernizacji, nie zawsze dodającej im elegancji, a czasami odbierającej dawnego ducha, którego nie sposób było już później przywrócić. Tak było też z kamienicą Kromerowską, której historia sięgała drugiej połowy XIII wieku. Przygotowując się na spotkanie z redaktorem naczelnym, Rozalia poczytała to i owo.

– Myślisz, że będzie cię przepytywał z historii budynku? – zagadnął ją Julian, który złożył siostrze niespodziewane odwiedziny dwa dni wcześniej.

– Wolę być przygotowana na wszelkie ewentualności. Nie zaszkodzi poczytać. Zresztą kto jak kto, ale ty już dawno powinieneś przyzwyczać się do kobiet miłujących wiedzę i historię. – Julian wzruszył tylko ramionami.

Nie mógł polemizować z takim argumentem. Cieszył się, że nie było przy nim Eleonory. Od razu wzięłaby stronę Rozalii.

Pierwsza przebudowa budynku miała miejsce sto lat po jego wzniesieniu, chociaż bardziej gruntownej modernizacji doczekał się w następnych stuleciach. Nazwa kamienicy związana była z jej szesnastowiecznym właścicielem, pisarzem i radcą miejskim – Ludwikiem Kromerem. Już w pierwszej dekadzie XVII wieku na parterze gmachu otwarto księgarnię, o której z taką swadą opowiadał Eleonorze

zić Gebethnera, zamordowany pan Ferdynand. Następcy pierwszego księgarza do swojego sklepu sprowadzali książki aż z Frankfurtu nad Menem, gdzie odbywały się międzynarodowe targi, na których można było spotkać także pięknie tłoczone księgi z Krakowa. Rozalia uśmiechnęła się do swoich myśli dumna, że jej miasto od tak dawna znane jest z zamiłowania do słowa pisanego.

Wzięła głęboki oddech i w końcu ruszyła do bocznej parterowej oficyny, w której znajdowało się biuro spółki Gebethnera.

Przystanęła przed drzwiami, mając nadzieję, że nie powtórzy się historia ze spotkania z Marianem Dąbrowskim, które ostatecznie w ogóle nie doszło do skutku.

– Ale przynajmniej poznałam Eryka – szepnęła, zapukała i nie czekając na odpowiedź, wkroczyła do środka.

Za niewielkim biureczkiem, w dość skromnie urządzonym pokoju, siedziała sympatyczna młoda dziewczyna, która uśmiechnęła się szeroko na widok siostry Juliana.

– Dzień dobry – przywitała się Rozalia. – Pani zapewne nigdy nie pracowała u Dąbrowskiego? – zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

– Dzień dobry – odparła dziewczyna, unosząc wysoko brwi. – Nie, ale czy to źle?

– Zapewniam panią, że bardzo dobrze. Po pani szerokim uśmiechu od razu wiedziałam, że tak sympatyczna osoba nie mogłaby siedzieć w recepcji „Ikaca”. – Rozalia miała ochotę ugryźć się w język.

Najwyraźniej jej słowa nie uraziły pracownicy Gebethnera, ponieważ ta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Pani do redaktora Słapy? – Rozalia przytaknęła głową. – Pan redaktor kończy właśnie wcześniejsze spotkanie, które niestety nieco się przeciągnęło. Prosił, żeby pani zechciała zaczekać.

– Oczywiście, że zaczekam. Bardzo dziękuję.

Rozalia usiadała na jednym z mało wygodnych foteli, ale nie zamierzała marudzić, była bowiem na dobrej drodze, aby w końcu zacząć pisać powieści, które ktoś wyda w formie książki, a nie tylko jako dodatek do gazety.

Przygotowując się na spotkanie, zasięgnęła także języka na temat Alfreda Aleksandra Słapy. Chciała poznać swojego przeciwnika i mieć nad nim przewagę, wiedząc o nim więcej niż – taką miała nadzieję – on o niej.

Słapa urodził się w Krakowie. Jak zdążyła się Rozalia dowiedzieć, byli prawie w tym samym wieku. Jego ojciec był lekarzem pediatrą. Niestety zmarł, kiedy Słapa był jeszcze dzieckiem. Ciężar wychowania najpierw spadł na matkę, która zajmowała się Alfredem i młodszym rodzeństwem, ale gdy Słapa był już na tyle duży, aby pomagać przy domowym budżecie, zaczął udzielać korepetycji. Pomimo trudności udało mu się zdobyć wysmienite wykształcenie. Był historykiem -literatury, księgarzem i wydawcą.

Naukę doskonale łączył z praktyką w księgarni Gebethnera, do której polecił go dawny przyjaciel zmarłego ojca, a zarazem sądowy opiekun Alfreda, właściciel drukarni, pan Anczyc. Praktykując w księgarni, Słapa miał okazję poznać elity umysłowe Krakowa. Wojna przerwała jego pracę. Został wcielony do armii austro-węgierskiej jako szeregowiec. Chodziły słuchy, że wrócił do domu w lutym 1915 nie z powodu choroby, jakiej nabawił się w Innsbrucku, ale dlatego, że udało mu się wykręcić ze służby.

Rozalia zachnęła się na myśl o kombinatorstwie. Miała wokół siebie mężczyzn, którzy wrócili z wojny okaleczeni nie tylko fizycznie, jak choćby Julian, który stracił oko i przez długi czas zmagał się z bólem wywoływanym przez paskudne oparzenia, ale także psychicznym. Miała nadzieję, że rozmowa z redaktorem nie zostanie pokierowana na niebezpieczne tory wojennych perypetii, ponieważ obawiała się, że nie zdoła utrzymać emocji na wodzy i nie bacząc na konsekwencje, wygarnie Słapie karygodne postępowanie.

Po powrocie Słapa na nowo podjął studia oraz pracę w księgarni, którą traktował z dużą powagą. Podjął się nawet jednorocznego kursu handlowego. Jednego Rozalia nie mogła mu zarzucić. Był ambitny. Może nawet za bardzo. Zazdrościła mu znajomości kilku języków. Sama знаła tylko angielski. Kiedyś próbowała nauczyć się -francuskiego, ale poległa w przedbiegach.

– Uważaj na niego – mówił Julian dwa dni wcześniej. – Miałem okazję z nim rozmawiać.

To człowiek o wybitnej inteligencji. Ludzie, którzy znają go bliżej, mówią o nim tylko w samych superlatywach. Że jego horyzonty myślowe nie są ograniczone, co jest dla ciebie szansą, bez urazy oczywiście. Jest rzutki i obrotny. Z łatwością nawiązuje kontakt. Posiada rzadki dar dobierania współpracowników. Mówi się, że poszliby za nim w ogień. A poza tym jest czarujący, ma doskonałą prezencję i jest przystojny. Nie daj się oczarować. Podobno lubi piękne kobiety, a jak już na którąś zagnie parol, nie daje za wygraną.

Na to wspomnienie Rozalia uśmiechnęła się delikatnie. Nikt nie może równać się z Erykiem, pomyślała akurat w chwili, kiedy drzwi gabinetu Słapy otwarły się na oścież, dając znać, że spotkanie nareszcie dobiegło końca.

\*\*\*

– Widzę, że spotkanie chyba się udało. – Julian siedział w gabinecie Rozalii w wygodnym fotelu, który ustawiono tuż obok biblioteki wypełnionej po brzegi woluminami.

– Julian? – Rozalia zatrzymała się w drzwiach pokoju. – Marcelina powiedziała mi, że mam gościa, ale nie wspomniała, że to ty.

– Mam wrażenie, że ta dziewczyna mnie unika. Ani razu na mnie nie spojrzała. Bąknęła tylko kurtuazyjne „dzień dobry”, a potem pokazała ręką na pokój w głębi korytarza. Skoro nie wskazano mi konkretnego miejsca, zająłem ten wygodny uszaty fotel. Jeszcze chwila i zapadłbym w przyjemną, kojącą drzemkę.

– Ach, Marcelina. Nie przejmuj się. To na pewno nie ma nic wspólnego z bliźną. Mam wrażenie, że moja pomoc podkochuje się w tobie. – Julian uniósł lekko brew. – Och, nie dziw się. Może to wcale nie zdziwienie, tylko fałszywa skromność. Kiedyś miałeś w sobie coś z narcyza. A wracając do podkochiwania. Kiedy ostatnio wspomniałam, że mnie odwiedzisz, spłonęła rumieńcem i zaczęła się jąkać. Gdyby nie fakt, że od dawna jesteś nieprzytomnie zakochany w Eleonorze, pomyślałabym, że podrywasz Bogu ducha winną -dziewczynę, chcąc ją zaciągnąć do łóżka.

– Udam, że tego nie słyszałem. Zdążyłem się już przyzwyczaić do nowej Rozalii, ale wciąż pewne kwestie wypowiedane przez ciebie brzmią obco. Ale dość tego. Jak poszło spotkanie? Po uśmiechu i lekkości, z jaką weszłaś do gabinetu, mniemam, że doskonale. I jak znajdujesz Słapę?

– Masz rację. To była udana rozmowa. – Rozalia usiadła za biurkiem. – Napijesz się kawy czy herbaty? Na dworze dziś straszny ziąb.

– A może coś mocniejszego? – zapytał Julian, wskazując skinieniem głowy karafkę z nalewką. – To jedna z rzeczy, które do ciebie nie przystają. Robienie domowych nalewek.

– Wychodzą mi jednak wyśmienicie. – Rozalia napełniła kieliszki. – Wracając do meritum... Słapa to faktycznie atrakcyjny mężczyzna i nie mam na myśli tylko jego aparycji, ale także ostry jak brzytwa umysł. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby szturmem mnie zawojował. Dowiedziałam się o nim co nieco. Podziwiam jego upór, chęć nauki. Konsekwencje, umiejętności, ale nie pochwalam sposobu, w jaki dążył do zdobycia wykształcenia. Nie lubię krętaczy i cwaniaków, a jeżeli wierzyć plotkom, to wymigał się z wojska, żeby w ciepłym krakowskim domu ukończyć studia, podczas gdy inni młodzi mężczyźni, na przykład mój brat, walczyli na śmierć i życie.

– Czasami nie warto wierzyć we wszystko, co człowiek usłyszy. Sama wiesz, ile złego mogą wyrządzić plotki, prawda? – Julian przechylił kieliszek. – Wyborna. – Uniósł go, jakby wznosił zdrowie Rozalii.

– Dziękuję. Tak, oczywiście zgadzam się z tobą, dlatego rozmawiając z nim, koncentrowałam się tylko na dobrych informacjach. Zresztą Słapa potrafi rozmawiać. Stara się w czasie konwersacji zrobić na rozmówcy jak najlepsze wrażenie, przeciągnąć go na swoją stronę, tak aby ten był mu przychylny, nawet jeżeli to, co mówi, nie jest po jego myśli. Powiedziałam mu, że w świecie wydawniczym i literackim jest jeszcze mnóstwo miejsca dla kobiet, które mają tyle do zaoferowania. Możemy pisać powieści, wiersze, dramaty. Możemy tłumaczyć. I wyobraź sobie, Słapa zgodził się ze mną, ale kiedy już myślałam, że ta zgoda jest zupełna, wbił mi szpilę. Powiedział, że kobiety od dawna tłumaczą, ale koncentrują się na literaturze dziecięcej, pismach kobiecych, ponieważ te kojarzą się z kobiecymi zdolnościami i nie są tak wymagające. Takie cechy, jak racjonalizm, ambicja, twórczość, nowatorstwo

są tożsame z pierwiastkiem męskim i stają po stronie literatury wysokiej.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Nic, wyobraź sobie, że milczałam. Byłam tak zbulwersowana jego słowami, że zabrakło mi języka w gębie. Tymczasem pan Alfred perorował dalej. Że jeżeli mężczyzna nawet podejmuje się literatury dziecięcej, to robi to z niewymuszoną wirtuozerią na najwyższym poziomie. Jeżeli odnosi się do kwestii kobiecej, to jest jej obrońcą, rzecznikiem. I tu nie wytrzymałam. Wygarnęłam mu, że od dawna nie potrzebuję obrońcy i rycerza. Że jestem z tych kobiet, które same decydują, którego rycerza wybierają. Że czasy, kiedy panowie pojedynkowali się w obronie kobiecej cnoty, odeszły do lamusa, ponieważ kobiety same potrafią o siebie zadbać i robią to coraz lepiej, nie bacząc już na to, co się wam podoba, a co nie. – Rozalia aż uniosła się z miejsca. Policzki miała zaczerwienione, a z oczu sypały się iskry.

– I co Słapa na twoje wystąpienie? Raczej nie wyprosił cię z gabinetu, bo wówczas nie uśmiechałabyś się pod nosem, jak kot po wylizaniu śmietanki.

– Poprosił mnie o rękę. – Na chwilę w pokoju zaległa cisza, a potem rozległ się głośny śmiech rodzeństwa. – Zareagowałam dokładnie tak samo. Oczywiście od razu sprostował, że to żart. W końcu, kiedy emocje nieco opadły, zaczęliśmy rozmawiać o współpracy. Przyznał, że spotkał się ze mną w ramach przysługi, ale że nie żałuje. Zapoznał się z tekstami drukowanymi w „Nowościach Ilustrowanych” i jest zaskoczony moimi umiejętnościami. Chce, abym przedstawiła mu swoje pomysły. Jest otwarty na różne gatunki. Jak się wyraził, moja płęć nie deprymuje kierunku literackiego, ale jeżeli chciałabym pisać dla dzieci lub młodzieży, nie ma nic przeciwko.

– A chciałabyś? – Julian wpatrywał się w Rozalię.

– Nie chodzi o to, dla kogo będę pisać, ale jak będę to robić.

– Znam cię i nie powiesz mi, że idąc na spotkanie z wydawcą, nie przygotowałaś jakichś pomysłów?

– Bez liku, ale to nie znaczy, że podzielę się nimi tu i teraz. Muszę wybrać jeden lub dwa. Te, które czuję najlepiej. A potem dopracuję je w najdrobniejszych szczegółach.

– Wypijmy zatem za twój sukces. – Julian wyciągnął dłoń, w której trzymał kieliszek, w stronę Rozalii. Ciche stuknięcie szkła zabrzmiało w gabinecie.

– A teraz przyznaj się, co cię do mnie sprowadza? – zapytała Rozalia, przyglądając się uważnie Julianowi.

– Kiedy ostatni raz widziałaś się z matką?

– To chyba oczywiste. Podczas ujmującej rodzinnej kolacji wigilijnej i te dziesięć minut wieczorem, kiedy ojciec wrócił ze szpitala. Wiesz, że jej unikam. Nawet odwiedzając ojca w szpitalu, starałam się wpadać do niego tak, aby jej nie spotkać. Obawiam się, że minie jeszcze nieco czasu, aż emocje opadną na tyle, żebym mogła z nią normalnie porozmawiać. I proszę cię, nie praw mi kazań, że to jednak moja matka. Że ojciec jest chory, że nigdy nie wiadomo, jak potoczy się życie. Przypomnę ci, że moje mogłoby potoczyć się całkiem inaczej, gdyby nie hrabina Michałowska. Więc daruj sobie. Jeżeli jesteś tu po to, aby mnie udobruchać lub nakłonić do wizyty w domu w najbliższym czasie, to na próżno. Chyba że matka cię przysłała?

– Mam wrażenie, że już to przerabialiśmy? – Julian uśmiechnął się szeroko. Rozalia odpowiedziała mu tym samym. – Nie, nie dlatego pytam. Nie mam zamiaru prawić ci kazań, wskazywać jedynie słusznej drogi czy namawiać do pojednania. Nie jestem tu także z polecenia matki. Jestem tu z własnego, nieprzymuszonego wyboru. Zapytałem, ponieważ rodzinne niedomówienia mogą nieco utrudnić plany. Moje i Eleonory.

Rozalia poruszyła się niecierpliwie na krześle na dźwięk ostatnich słów brata.

– Czyżbyś wreszcie pragnął zalegalizować wasz związek?

– Pragniemy – poprawił ją Julian. – Chcemy zorganizować przyjęcie dla naszych rodzin, tak aby uroczyste i oficjalnie ogłosić, że ustaliliśmy datę ślubu i wreszcie, jak to ujęłaś, zamierzamy się pobrać.

– To cudownie. Zapewne nie wyjawisz nic ponadto?

– Nie. Eleonora zobowiązała mnie do milczenia. Jednak jak wiesz, i w rodzinie Schrammów nieco się pogmatwało. Matka Eleonory jest ponoć w Londynie. Jan Schramm wyjechał tam kilka dni



temu. Nie, nie po to, aby ściągnąć małżonkę do Krakowa, bo ta jasno dała do zrozumienia, że wróci wtedy, kiedy uznana za stosowne, ale w celach biznesowych. Ojciec pewnie i z tobą podzielił się nowiną, prawda? – Rozalia skinęła głową. Nie zamierzała jednak ciągnąć tego wątku. – Myśleliśmy nawet z Eleonorą, żeby poczekać, ale po dłuższym namyśle stwierdziliśmy, że dość mamy czekania. Poza tym nie młodniejemy. Można powiedzieć, że jestem starym kawalerem, a Norcia starą panną.

– Chyba jej tego nie powiedziałaś?

– To jej słowa. – Rozalia roześmiała się głośno. – Szykujemy przyjęcie na kwiecień, względnie maj. Może do tego czasu rzeczy same się ułożą.

– Czasami wystarczy poczekać – podsumowała Rozalia.

\*\*\*

Rozalia sączyła popołudniową kawę, siedząc przy biurku. Strony -otwartego notatnika, w którym zapisywała pomysły, idee czy myśli, powoli zaczynały się zapełniać. Sunęła po białych kartkach pewną ręką, żałując, że sztywniejące powoli od ciągłego pisania palce nie nadążają za tym, co pomyśli głowa. Była tak skupiona na pracy, że nie usłyszała cichych kroków Marceliny.

– Ma pani gościa. – Rozalia aż podskoczyła, słysząc wypowiedziane za jej plecami słowa pokojówki. – Przepraszam, nie chciałam pani przestraszyć.

– Nic się nie stało. Za bardzo skupiłam się na pisaniu. Kto to? – spytała.

– Ja. – Zza pleców Marceliny wyłoniła się szczupła postać Jacka Zdanowskiego.

– Jacek? Czy coś z Erykiem? Czy coś się stało? – Rozalia zerwała się z krzesła.

Zrobiło jej się słabo. Zbladła.

– Nie, a musiało się coś stać? – Pytaniem na pytanie odparł chłopiec. Wzruszył ramionami, patrząc na wstrząśniętą Rozalię. – Ach, wy, baby, zawsze wietrzycie co najgorsze – mówiąc to, usiadł na fotelu, który do niedawna zajmował Julian.

– Już dawno doszłam do wniosku, że tracę tylko czas na strofowanie cię. Nie poprawisz się, prawda? – I nie czekając na odpowiedź Jacka, której pewnie i tak by się nie doczekała, Rozalia zwróciła się do wciąż stojącej w drzwiach Marceliny. – Przynies coś do jedzenia i ciepłą herbatę. Nie mogę słuchać, jak szczeka zębami. To co tu robisz? O takiej porze i w taki ziąb?

– Tata znowu pije. – W głosie Jacka było słychać smutek.

– Bije was?

– Nie. Nie bije i to jest dziwne. – Jacek wzruszył ramionami. – Kiedyś, jak pił, to zawsze się awanturował, a teraz pije i zamyka się w naszym pokoju. Moim i rodzeństwa. Siedzi tam całymi godzinami. A jak wytrzeźwieje, to znowu wychodzi z domu. Czasami nie ma go dwa, trzy dni. Potem wraca pijany i znowu chowa się do naszego pokoju. Matka chciała z nim porozmawiać, to ją zbył. Dawniej pewnie uderzyłby ją w twarz, a potem wyżył się na mnie, ale nie teraz.

– I nie powiedział, co go tak trapi?

– Robota – odparł Jacek.

Rozalia czekała, aż powie coś więcej, ale młody Zdanowski milczał. Zajął się kanapką, którą przyniosła Marcelina. Siorbnął kilka razy herbaty i znowu wgrzył się w pajdę chleba grubo przełożoną wędliną.

– Ma problemy w pracy? – zapytała niecierpliwa Rozalia.

– Nie, wcale nie ma roboty. Kiedyś pił, bo miał robotę. A teraz pije, bo jej nie ma. Nic nie pisaliśmy Erykowi, bo ojciec zabronił, ale wtedy jeszcze nie chlał jak ostatnia łajza...

– Jacek! – Nie wytrzymała Rozalia. – Na Boga? Jak ty się wyrażasz?

– No, normalnie. W końcu nie popija tej gorzały z porcelanowej filiżaneczki, tylko pewnie ciągnie z gwinta, no nie? – Jacek wzruszył ramionami.

Rozalia machnęła ręką. Nie było sensu wciąż go upominać. Żeby nabrał ogłady, potrzebował nauki. W pokoju zapadło milczenie, przerywane od czasu do czasu głośnym, łakomym przełykaniem i siorbnięciami herbaty, która stygła powoli.

– Matka wie, gdzie jesteś? – Jacek nie odpowiedział, tylko skinął głową. – Przynajmniej wiesz, że nie mówi się z pełną buzią.

– To nie dlatego – odparł, przeżuwał. – Nie chciało mi się gadać.

Rozalia musiała się roześmiać. Uwielbiała tego chłopaka. Zresztą pozostałe rodzeństwo też, ale Jacek od razu zaskarbił sobie jej sympatię. Może dlatego, że potrafił walczyć o brata i jego szczęście. Jego wkład w decyzję Rozalii, aby wrócić do Eryka, był spory i była mu za to wdzięczna.

– Poślę kogoś na Łobzowską, żeby wiedzieli, że zostaniesz tu na noc. A jutro pojedziesz ze mną do Juliana i pomyślimy, co z tym fantem zrobić.

\*\*\*

Eryk był wykończony. Umęczony, ale szczęśliwy. Chociaż nie tak wyobrażał sobie naukę, a w zasadzie ciężką harówkę, jednak był zadowolony, że zdecydował się wstąpić do tej, a nie innej szkoły. Cały dzień miał wypełniony zajęciami. Od wczesnych godzin rannych aż do późnego popołudnia, czasami nawet wieczorami. Pomimo tego, że ciało i umysł domagały się snu, postanowił jednak skreślić kilka słów do Rozalii.

Kochanie,

nie będę pisał, że za Tobą tęsknię, bo to oczywiste. Tęsknię za Twoim uśmiechem, kąśliwym poczuciem humoru, reprimendami, ciętym słowem, nalewką, mocną kawą. Tęsknię za Twoim ciałem. Gibkim, wyrzeźbionym, poddającym się moim pieścizotom. Tęsknię za Twoim sprośnym językiem, kiedy kocham się z Tobą, i tęsknię za Twoją niecierpliwością, kiedy poganiaasz mnie, zbliżając się do cudownej nirwany. Kiedy zbliżamy się do niej razem...

Chciałbym myśleć o Tobie cały dzień, ale zajęcia mi na to nie pozwalają. Zaganiają nas do nauki i roboty od bladego świtu. Uwielbiam pracę w modelarniach. Te małe elementy wymagają precyzji, cierpliwości i dokładności. Nie podejrzewałem, że mam w sobie tyle pokładów spokoju, który odnajduję także w trakcie lotów szybowcem.

Jakież to przyjemne i niezwykle unosić się na skrzydłach wiatru. Być w górze, patrzeć na pola, ulice, drzewa, malutkich ludzi i nie słyszeć ogłuszającego ryku silnika. Cieszyć się ciszą, samotnością, wolnością. Patrzeć na błękit nieba, biel puszystych chmur i szybować. Chciałbym zabrać Cię kiedyś na taki lot. Tylko Ty, ja i bezkres nieba. Sami, ale nie samotni.

Nie wszystko jest jednak takie piękne i ujmujące. Godzin przyjemnych lotów jest na razie zdecydowanie mniej niż godzin ciężkiej dydaktycznej pracy. Nasi wykładowcy starają się uczynić z nas fachowców w praktyce i teorii. Nie darowują. Patrzą nam na ręce. Przepytyują. Strofują. Dają ostrzeżenia. Nie ma przyzwolenia na popełnienie dwa razy tego samego błędu. Nie ma czasu na leniuchowanie. Kto miał nadzieję, że prześliznie się po szkoleniu, ten srogo się rozczarował.

Chciałbym napisać więcej, ale musisz mi wybaczyć. Jestem otepiały ze zmęczenia. Sam siebie zadziwiam, że wciąż potrafię utrzymać pióro. Padam z nóg. Oczy same mi się zamykają, ale na myśl o Tobie ręka wciąż sunie po papierze.

Kocham Cię

Eryk

\*\*\*

– Nie rozumiem – jęczał Jacek. – Na co wam te pieniądze, jeśli zamiast wezwać taksjarza, każesz mi wyciągać nogi w taki ziąb.

– To dla zdrowia. Spacer w taki dzień jak dziś to sama -przyjemność – odparła Rozalia.

Wyszli zaraz po śniadaniu, które tego dnia wdowa Tojew zjadła wyjątkowo wcześniej. Zazwyczaj zasiadała do stołu koło dziewiątej, ale Jacek zerwał się z łóżka bladym świtem, więc Marcelina podała posiłek godzinę wcześniej. I dobrze, pomyślała Rozalia, idąc w -kierunku mostu Podgórskiego.

– To może przynajmniej poczekamy na tramwaj? – zapytał Jacek, patrząc na Rozalię błagalnym wzrokiem i przy okazji składając ręce jak do modlitwy.

– Jesteś już zdecydowanie za duży na takie zachowanie. Na nic twoje marudzenie. Idziemy na Straszewskiego spacerkiem. Korzystaj z cieplejszej pogody i ciesz się promieniami słońca.

Jacek westchnął głośno, ale już więcej nie głądził.

Szybkim krokiem, zdecydowanie zbyt szybkim jak na spokojny spacer, przecięli krótki odcinek nad Wisłą od ulicy Mostowej do Krakowskiej. Mocne tempo narzucił Jacek, mający nadzieję, że Rozalia złapie zadyszkę i jednak skusi się na taryfę.

– Jeżeli myślisz, że mnie zmęczysz, to bardzo się mylisz. Od dziecka uwielbiałam spacerować, a że w Zakrzówku miejsca jest ku temu dość, to cieszyły mnie wielogodzinne wypady poza dom. A i dziś nie pogardzam chodzeniem tu czy tam. Jeżdżę też na rowerze.

– Zaczynam się zastanawiać, czy Eryk miał szczęście, czy pecha, że spotkaliście się w taksie? – I nie czekając na odpowiedź Rozalii, wysforował się do przodu.

Młody Zdanowski zwolnił dopiero na wysokości bursy Sisinięgo. Kamienica powstała w XV stuleciu. Sto lat później umieszczono w niej bursę dla studentów uniwersytetu. Hałas dobiegający od strony kamienicy na chwilę zatrzymał Jacka i Rozalię. Przypatrywali się uwijającym się robotnikom budowlanym, którzy od prawie dwóch lat prowadzili przebudowę gmachu, wznosząc kolejne, trzecie piętro. Rozalia zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta trzydzieści.

– Chodźmy. O ile dobrze pamiętam, Julian będzie miał za chwilę przerwę.

Na Straszewskiego 26, gdzie mieściła się prywatna szkoła prawnicza, w której od ubiegłego roku kilka razy w tygodniu wykładał Julian, mieli już zaledwie kilka kroków.

– Tylko nie mów, że nie wiesz, czyj to pomnik? – zapytała Rozalia, kiedy Jacek zatrzymał się nieopodal figury Mikołaja Kopernika, stojącej po drugiej stronie ulicy, na wysokości szkoły, do której zmierzali.

– Coś mi się tam obilo o uszy. Że ruszył Słońce, wstrzymał Ziemię. Coś takiego, nie?

– Chwała Bogu, że przynajmniej tyle wiesz.

– A jednak się kręci – szepnął Jacek.

– Uważasz, że jestem jak inkwizycja, przed którą stanął Galileusz?

– Nie. Chciałem powiedzieć, że aż tak głupi nie jestem. Lubię sobie popatrzeć w niebo. Czasami tak po prostu, żeby pomarzyć, ale najczęściej, żeby coś zrozumieć.

Rozalia była pod wrażeniem słów Jacka. Czyżbym źle go oceniła, przemknęło jej przez myśl. Może ze mnie taka sama snobka jak moja matka, tylko wydaje mi się, że jestem jej całkowitym przeciwieństwem.

– Ale ogólnie za dużo nie wiem – dodał Jacek, jakby czytając w myślach Rozalii i chcąc rozwiązać jej wątpliwości. – Idziesz? – zapytał, czekając na nią tuż przed wejściem do budynku pod numerem 26.

\*\*\*

Julian przyglądał się, jak Rosenblatt pieczołowicie układa teczki z dokumentami. Musiał przyznać, że przyjęcie Rudolfa na pomocnika adwokackiego było doskonałą decyzją i jeszcze lepszą inwestycją.

– Przygotowałem dokumenty spraw, którymi musimy zająć się najszybciej, ponieważ za chwilę zaczną gonić pana hrabiego terminy. – Julian już nie oponował.

Dziesiątki razy powtarzał Rosenblattowi, że kiedy są sami, może zwracać się do niego po imieniu. Rudolf pomimo to uparcie hrabiował Julianowi na każdym kroku.

– Już się nie poprawisz, prawda? – Wzrok Juliana spoczął na pochylonej nad biurkiem postaci asystenta.

– Pan hrabia wybaczy, że uchylam się od spełnienia jego zaleceń akurat w tej materii, ale próbowałem. Ćwiczyłem, kiedy hrabiego nie było w kancelarii, i za nic nie potrafię się przekonać, że tak można. Pozwoli zatem hrabia, że zostanę przy swoim. Może kiedyś, kiedy sam będę pełnoprawnym znanym adwokatem, uznam, że nasza pozycja w społeczeństwie jest w miarę równa i wolno mi zwracać się do pana per Julianie. – I na tym skończyli próby skrócenia dystansu.

– Więc co tam mamy? – zapytał Julian, przyglądając się opasłym teczkom, które piętrzyły się na skraju jego biurka.

Przy okazji zerknął też na zegar wiszący na ścianie. Dochodziła piętnasta. Czekał na Eleonorę. Chciał z nią porozmawiać na temat ustaleń, jakie poczynił z Rozalią w trakcie dzisiejszego porannego spotkania.

– Sprawa Julii Szyszko pod przewodnictwem sędziego Ochmińskiego w towarzystwie Stanisława Giżyckiego, Stanisława -Wituńskiego, referenta i podprokuratora Bronisława Wisznickiego.

– Tak, to apelacja od wyroku.

– Pani Szyszko na razie przebywa w areszcie. Byłem u niej kilka dni temu, żeby raz jeszcze porozmawiać. Niestety, nie dodała niczego ponad to, co już jest w aktach. Czesław Maciejewski złożył na nią skargę o przywłaszczenie marynarki i kapelusza, które oddał pod zastaw mający zabezpieczyć pożyczkę. Sąd Pokoju uznał panią Szyszko za winną i skazał na trzy miesiące więzienia. Wnosimy o uchylenie wyroku i zamianę na łagodniejszy.

– Co dalej? – zapytał Julian, wskazując na dwie kolejne teczki.

– Sprawa Artura Piszczka, jednego z oskarżonych grupowo w procesie, jaki wytoczył pasażerom Kolei Państwowych ich pełnomocnik, adwokat Kostecki. W stan oskarżenia zostało postawionych kilkadziesiąt osób, które podróżowały bez biletu i które za ten występuk uchylały się później od zapłacenia grzywny w wysokości czterokrotności ceny biletu obowiązującej na danej trasie w danej klasie. Sąd Pokoju połączył wszystkie skargi w jedno postępowanie i po rozpoznaniu sprawy we wrześniu ubiegłego roku uniewinnił wszystkich pociągniętych do odpowiedzialności, motywując swój wyrok tym, że żadna z ustaw karnych nie ściga za jazdę koleją bez biletu. Oczywiście pełnomocnik Dyrekcji Kolejowej, wspomniany adwokat Kostecki, złożył odwołanie do Sądu Okręgowego, wnosząc o uchylenie decyzji, oskarżając każdego z pasażerów podróżujących bez ważnego biletu z osobna i żądając od nich uiszczenia poczwórnej ceny biletu.

– Znam Kosteckiego. Nie popuści. Możemy przypuszczać, że jeżeli Sąd Okręgowy nie przychyli się do jego powództwa, będzie ciągał gapowiczów po kolejnych instancjach. Możliwe, że sprawa pana Piszczka jest rozwojowa.

Skrzypnięcie drzwi oznajmiło Julianowi i Rosenblattowi, że ktoś zajrzał do kancelarii. Chwilę później w pokoju stanęła Eleonora.

– Poczekam. Dokończcie. Nie, nie przeszkadzajcie sobie – dodała, widząc, że Julian zamierza oddelegować Rudolfa.

– W zasadzie już skończyliśmy – odezwał się Rosenblatt. – To sprawa sądu polubownego. Nic ważnego.

– Przypominam sobie, że mamy jeszcze sprawę szeregowca Maksa Rozenbluma.

– Tak, faktycznie, ale na nią jest jeszcze czas i zanim pan hrabia nad nią zasiądzie, muszę zebrać kilka ważnych dokumentów. W końcu Rozenblum jest oskarżony z kilku artykułów kodeksu karnego i grozi mu ponad trzy lata więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. – Po tych słowach Rudolf Rosenblatt wstał i kierując się w stronę swojego biurka, skinął głową Eleonorze, która zajęła wygodny fotel stojący tuż obok okna.

– Odwiedziła mnie dzisiaj Rozalia – zaczął Julian.

Zamierzał wypytać Eleonorę o zakupy, ponieważ kilka dni wcześniej wspomniała, że pragnie zobaczyć, jakie nowości oferują sklepy odzieżowe oraz znane i polecane pracownie krawieckie, nie widząc jednak pakunków ani znanego mu już uśmiechu, który zawsze pojawiał się na ustach Nory po udanych zakupach, postanowił od razu powiedzieć o spotkaniu z siostrą.

– Nie widziałam jej już od dawna. Wydaje mi się, że ostatnie miesiące sprawiły, że wszyscy jakoś dziwnie się od siebie oddaliliśmy. Kiedyś, nawet podczas wojny, widywaliśmy się częściej, a spotkania były radośniejsze, nie wypełnione jedynie utyskiwaniem i roztrząsaniem problemów. A teraz, popatrz, co się z nami stało. Matka wyjechała, najpierw do Wieliczki, teraz do Londynu. Nie odzywa się, nie interesuje sprawami domu, ojcem, ba, nawet własnymi córkami. – Eleonora patrzyła gdzieś ponad ramieniem Juliana, który nie zamierzał jej przerywać. Wiedział, że Norę trapią rodzinne problemy, zresztą jego również trapiły, i miał nadzieję, że rozmowa z nim oraz wypowiedzenie obaw na głos jakoś ukoją ból Norci. – Potem sprawa Stefci. Martwię się o nią. Próbuję ją przekonać, że nie może się obwiniać o to, co spotkało Mikołaja, a ona wciąż powtarza, że to rozumie, że wie o tym doskonale, ale rozum swoje, a serce i dusza swoje. Boi się wrócić do tego, co było przed wyjazdem do Francji. Boi się być szczęśliwa. Mam wrażenie, że ogarnia ją panika na samą myśl o tym. Kiedyś powiedziała mi, że gdyby sobie na to pozwoliła, to Janek będzie w niebezpieczeństwie, bo nie można budować własnego

szczęścia na cudzym nieszczęściu. Że takie coś nie może się udać. Ona jest skłonna zmarnować sobie życie, popaść w marazm. Na nic moje tłumaczenia. Moje przekonywanie. Nie wiem, co robić. Patrząc na nią, sama czuję się winna naszego szczęścia.

– Nawet tak nie mów. Niech nie chodzą ci po głowie jakieś głupie pomysły – zachnął się Julian.

Wstał zza biurka. W trzech krokach znalazł się przy Eleonorze. Podniósł ją z fotela i przytulił do siebie. Odsunęła się na kilka centymetrów. Przez dłuższą chwilę patrzyła na Juliana, podziwiając jego regularne rysy, które z wiekiem stawały się jeszcze bardziej męskie i wyraziste.

– Jesteś jak wino, panie hrabio Michałowski. Im starszy, tym -lepszey – zaśmiała się beztrosko.

Julian pochylił się do jej ust. Pocałował ją delikatnie. Dotyk jego warg był ulotny, niczym muśnięcie skrzydeł motyla.

– Nie godzę się na takie traktowanie – szepnęła Eleonora, trzymając Juliana wciąż blisko siebie. – Tak mogłeś mnie całować dekadę temu, kiedy byłam podlotkiem, pragnącym niczym panna Bly zwiedzać świat i ratować ludzkość. Dziś chcę, żebyś całował mnie jak kobietę.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że to nie miejsce, żebyś całował cię jak kobietę, którą kocham i której pożądam. Tuż za ścianą siedzi Rosenblatt, a nie ręczę za siebie... – Ostrzeżenie zawisło w powietrzu.

Eleonora skradła Julianowi jeszcze jednego buziaka i usiadła na powrót w fotelu.

– Przyjmuję to jako obietnicę – dodała, patrząc, jak Julian siada za biurkiem. – Wróćmy zatem do Rozalii.

– Była u mnie dziś w czasie przerwy w Codeksie. Towarzyszył jej młody Zdanowski, Jacek. Chodzi o ojca Eryka. Znowu pije, ale tym razem jest inaczej. Pije, bo nie ma pracy. Zaoferowałem rozwiązanie tymczasowe. Przy odbudowie w Zakrzówku po ubiegłorocznym pożarze przydadzą się dodatkowe ręce do roboty, ale nie jestem w stanie dać pracy Zdanowskiemu na stałe. Dopiero po wyjściu Rozalii i Jacka wpadłem na pewien pomysł, z którym już zdążyłem podzielić się z siostrą. Na początku kwietnia wybierzemy się do Wiśnicza Małego. – Eleonora spojrzała z zaciekawieniem. – Tojew miał tam dworek i folwark. Na razie nad jego funkcjonowaniem pieczę sprawuje dotychczasowy zarządca, z którym Rozalia miała przyjemność rozmawiać ze dwa razy w mojej kancelarii. To dobry, uczciwy człowiek. Lubi Rozalię, dlatego ufam mu i wiem, że nie zaniedbuje swoich obowiązków oraz czuwa nad interesami mojej siostry. Chcemy porozmawiać z Matuszkiem o pracy dla Zdanowskiego i Zdanowskiej oraz o mieszkaniu dla całej rodziny Eryka. I przy tej okazji wpadłem na jeszcze jeden pomysł, którym chciałbym podzielić się z tobą. Chodzi o Jacka. To mądry chłopak. Bystry i obrotny. Chciałbym łożyć na jego naukę. Chciałbym, żeby poszedł na studia, kto wie, może prawnicze.

– Nie mam nic przeciwko, ale to nie ze mną, Julianie, powinieneś się konsultować. Po pierwsze, z rodzicami Jacka, a po drugie, z Erykiem, bo o ile mi wiadomo, on i Jacek są bardzo ze sobą związani. Może nie znam Eryka zbyt dobrze, ale z tego, co już zdążyłam zaobserwować i usłyszeć, to mężczyzna dumy i samodzielny. Obawiam się, że taką samowolkę z twojej strony mógłby wziąć za afront.

– Oczywiście, że najpierw porozmawiam z Erykiem i rodzicami Jacka. I z samym Jackiem. W końcu to już nie jest małe dziecko. To kawaler i może mieć inne wyobrażenie własnego życia. *À propos* życia. Już jakiś czas temu chciałem cię zapytać. Kiedy zamierzasz złożyć papiery na uczelni? – Julian wpatrywał się w Eleonorę wyczekująco.

– Chciałam o tym z tobą porozmawiać. Nie zamierzam. Nie, nie przerywaj mi. Myślałam o tym od naszej wyprawy do Wieliczki i cudownego wykładu, jakiego wysłuchałam na temat Magdaleny -Bendziszawskiej. To piękne marzenie zostać lekarzem.

– Które możesz spełnić – powiedział Julian z naciskiem.

– Mogłam spełnić, Julianie, mogłam. Są marzenia, które zawsze nimi pozostaną. Nasze życie ułożyło się tak, a nie inaczej. Wojna zabrała nam szmat czasu, który mogłam przeznaczyć na naukę. Pewnie dziś byłabym już lekarzem. Ale nie jestem i nie będę. Nie, nie będę nigdy miała o to do ciebie pretensji, jeżeli tego się obawiasz, ponieważ to moja, a nie twoja decyzja. Niedługo skończę dwadzieścia osiem lat. Nie młodnieję. Chcę wyjść za mąż, Boże, jeszcze dziesięć lat temu wyśmiałabym się za taki pomysł, ale tak, chcę wyjść za mąż.

– Nie jesteś typem kury domowej. Rok, dwa, może trzy wytrzymasz, będziesz się cieszyć

z małżeńskiego życia. Może nawet uznasz, że jesteś szczęśliwa, ale w końcu zaczniesz nienawidzić to, co będzie cię otaczać. A z czasem znienawidzisz i mnie, obwiniając o zamknięcie w czterech ścianach, kiedy ja praktykuję, rozwijam się zawodowo.

– Nie zamierzam siedzieć w czterech ścianach. Nie byłam dziś na zakupach. I właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Od przyszłego miesiąca zaczynam pracę w Krakowskim Ochotniczym Towarzystwie Ratunkowym na Łazarza. Miałam dwie opcje. Pracę w pogotowiu albo w Szpitalu Dziecięcym św. Ludwika. Wybrałam tę pierwszą.

## Rozdział 5

Kochany Eryku,

trudno w to uwierzyć, że raptem kilka dni temu w ogrodzie wokół pni drzew leżał śnieg, a dziś po białym puchu pozostało ledwie wspomnienie. Dwa dni temu, w drugą kwietniową sobotę, świat otulił się promieniami słonecznymi, witając nas łącznie letnią pogodą, z czego ucieszyłam się niepomierne, ponieważ w słoneczne dni łatwiej się podróżuje. Wybacz, że nie pisałam o planach wyjazdu wcześniej, ale dopiero niedawno pewne sprawy wymusiły na mnie ten wypadek, prawie z dnia na dzień, chociaż już od jakiegoś czasu po głowie błąkała mi się myśl, żeby odwiedzić posiadłość, którą w spadku zostawił mi Tojew.

Towarzyszył mi Julian, przez co wycieczka była nie tylko pożyteczna, ale i przyjemna.

Wyobraź sobie, że brat mój zamówił sobie nowy samochód. Kiedy w żartach nadmieniłam, że fordzik nieco już wysłużony i zdałoby się pomyśleć o nowym, on odparł, że nie tylko planuje, ale już wciela plan w życie. Czeka z niecierpliwością na Fiata 501. Nie, nie 501SS, jakiego zapewne Ty chciałbyś zamówić, gnany pasją szybkości i szukający wszędzie dreszczyku emocji. Mój Julian ani przez chwilę nie zastanawiał się nad samochodem niepraktycznym. Może kiedyś w grę wchodziłby model dwuosobowy albo kabriolet, ale dziś... -Julian to stateczny adwokat, niebawem młody żonkoś, a kto wie, czy za chwil kilka również nie ojciec. Stateczny ojciec rodziny.

Na Boga, sama myśl wydaje mi się niedorzeczna, rzecz trudna do wyobrażenia, ale tak, za kilka miesięcy Julian zacznie stapać nową drogą życia.

Nie wiem jeszcze dokładnie, kiedy nastąpi zmiana zwariowanego, beztroskiego stanu kawalerskiego w odpowiedzialny stan małżeński, bo tego dowiemy się na stosownym przyjęciu dla rodziny, które Julian i Eleonora już zapowiedzieli.

Bałam się, że będą chcieli rzecz tę ogłosić w czasie świąt Wielkiej Nocy, które jak wiesz, spędziłam z Twoją rodziną. Za brak wizyty w domu rodzinnym dostałam zresztą od Juliana burę, ale moje stosunki z matką wciąż dalekie są od poprawnych, nie mówiąc już o dobrych. Gdybyś mógł być tu ze mną, byłbyś moją tarczą i ramieniem, na którym mogłaby wypłakać smutki i pretensje. Zresztą gdybyś tu był, wówczas Julian nie musiałby mnie strofować za niestosowne zachowanie, ponieważ wparadowałabym do domu w Zakrzówku z wysoko uniesioną głową, opierając się na Twoim silnym ramieniu.

Notabene, kiedy rozmawiałam z ojcem przez telefon, składając rodzinie świąteczne życzenia, ten zaprosił nas na spotkanie z nim. Chciałby Cię poznać. Nie wiem, czy to tylko jego stanowisko, czy matka w ten sposób wyciąga do nas rękę, ale mam nadzieję, że zechcesz któregoś wolnego popołudnia pójść ze mną do dworku w Zakrzówku.

Tymczasem to ja spędzałam czas z Twoją rodziną. Zapraszałam ich wszystkich do siebie na wielkanocne śniadanie, a później obiad i smakowity deser, ale matka Twoja uprzejmie odmówiła, prosząc mnie jednak, abym zabrała do siebie Jacka i Magdalenkę, która ciężko przeżywa problemy, z jakimi zmagają się Wasz ojciec. Nie mogłam odmówić.

Sam dobrze wiesz, jak bardzo lubię Jacka, a i Madzia to cudowna dziewczynka. Z chęcią pomagała mi w przygotowaniach. Z hardą miną tarła chrzan, który później wraz ze świeżo wypieczonym chlebem, masłem, kawałkiem szynki, barankiem i pomalowanymi przez nas pisankami włożyliśmy do koszyczka.

Jacek opierał się przed pójściem w sobotę ze święconką, ale w końcu, po długich pertraktacjach, wspólnie, odświętnie ubrani i radośni, poszliśmy do kościoła. W niedzielę rano sama jednak poszłam na rezurekcję, nie mając serca budzić dzieci o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze. Siedząc w kościele, słuchając księdza i chóralnych śpiewów, zająrzałam do Pisma, do mojego ulubionego fragmentu – Pierwszego Listu do Koryntian:

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy,

we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. (...) Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość”.

Czytając te piękne słowa, które dawno temu wyrwały mi się w sercu, myślałam o Tobie. Przy każdym słowie widziałam Twoją twarz, słyszałam Twój głos, czułam dotyk Twoich rąk.

Eryku, tęsknię za Tobą. Nie ma Cię raptem kilka tygodni, a ja mam wrażenie, że bezduszny los zabrał mi Cię i wywiózł na krańce znanego świata. Nie, nie przejmuj się moją gadaniną. To tęsknota sprawia, że plotę trzy po trzy.

Żałuję, że Jacka i Magdalenki nie było u mnie na tydzień przed Wielkanocą. Pucheroki wciąż jeszcze zaglądnęły do naszych domów. Przebierańcy z umorusanymi twarzami, ze śpiewem i wierszem na ustach, skorzy do żartów i śmiechów, byłiby nie lada atrakcją dla takiej dziewczynki jak Madzia. Obiecałam sobie, że w przyszłym roku koniecznie zaproszę ją do nas wcześniej, tak aby mogła chłopcom wręczyć słodczyce i pisanki za śpiew i recytacje.

Za to w drugi dzień świąt zabrałam dzieciaki pod klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu.

„Ależ mi atrakcja. Chyba nie myślałaś, że nie znamy Emausa?” – zapytał w swoim stylu Jacek.

Eryku, nie kiwaj ze złością głową. Nie planuj, jak będziesz strofował brata, wszak on jest Twoją kopią. On garściami bierze z oryginału i coś mi się zdaje, że już niebawem uczeń przegoni mistrza.

Zaczęliśmy od Kościuszki, gdzie ciasno, jeden przy drugim wzdłuż ulicy ustawiły się kolorowe kramy sprzedawców. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć, aż na Senatorską, po horyzont. Uśmiech nie schodził z ust Madzi. Nie wiem, co podobało jej się bardziej – czekoladowe, pachnące korzennie piernikowe serca; różańce z ciasta; cukierki w ostrych barwach; gliniane gwizdki i ptaszki, które pięknie ćwierkały, kiedy przytknęło się je do ust czy drewniane zabawki i figurki, od których nie potrafiła oderwać oczu.

W końcu po długim namyśle zdecydowała się na małego drewnianego konika. Chciałam kupić jeszcze ptaszki, ale Jacek powstrzymał mnie przed tym, prosząc, abym jej zbyt nie rozpieszczała. Pewnie kiwasz głową z uznaniem, ale ja miałam bardziej ściśnięte serce niż z pewnością Madzia, która do wieczora cieszyła się z małego prezentu.

Wiesz, jak kocham święta, chociaż nic nie może równać się z Bożym Narodzeniem. Mogłabym pisać i rozprawiać o nich bez końca, ale piszę do Ciebie, ponieważ przede wszystkim chciałam opowiedzieć Ci o mojej i Juliana wyprawie do Małego Wiśnicza, do majątku, który zostawił mi Tojew.

Kiedy tam dojechaliśmy, a podróż, dzięki pięknej pogodzie, o której Ci wspominałam, mieliśmy niezwykle udaną, pomyślałam, że to nie tylko dwór, ale cały kombinat, którego budynek główny jest jedynie centrum dowodzenia.

Przywitał nas zarządzający wszystkim pan Matuszek, bardzo zany i uczciwy człowiek, z którym miałam już przyjemność się spotkać w Krakowie. Od razu, już przy pierwszym spotkaniu wiedziałam, że będę mu mogła zaufać, i przecucie mnie nie zawiodło.

– Szanowna pani, to zaszczyt pilnować wszystkiego i tu pracować. Jakże miałbym tego nie robić, kiedy od tego nie tylko pani dobrobyt zależy, ale i mój oraz tych wszystkich ludzi, którzy pana Tojewa i jego poprzednią małżonkę, pani wybaczy, bardzo dobrze wspominają.

Dopóki tam nie pojechałam, nie miałam pojęcia, że majątek ziemski Tojewa to taki szmat ziemi, tyle zabudowań, tyle gospodarstw. Nasz dworek jawi się przy tym niczym małe domostwo.

Ileż tam ludzi? Cała ciżba. Kim są, po co? Czy muszą tam być? Co tu robią? Czy tylko mieszkają, czy może też pracują? Miałam tyle pytań, ale pan Matuszek i jego przemiła żona oprowadzili nas z Julianem i dokładnie wszystko opowiedzieli.

Przechadzając się po tym wielkim domiszczu, czułam się jak mała Ro-zalka, która uczestniczyła w niesamowitej przygodzie. Jak odkrywca.

Zaczęliśmy od ogromnej, pachnącej, gwarnej kuchni. Potem przyszedł czas na pokój, który niegdyś zajmował Tojew; tuż obok była jego sypialnia, sąsiadująca zresztą z sypialnią małżonki, a potem buduar, który niezmiernie mi się spodobał. Nie zabrakło dwóch pokoi dzieciennych, które, jak zaznaczyła ze smutkiem pani Matuszkowa, nigdy przez dzieci nie były zajmowane.

Tojew pociech się nie doczekał. Pan Matuszek oblał się rumieńcem i zaczął mnie przeproszać za niezręczność żony, ja jednak zapewniłam ich, że urazy nie chowam, a i sama często popełniam gafy.



Tuż przy dziecięcych pokojach był mały, ale bardzo komfortowo urządzone pokój dla bony i nauczycielki. Dalej słusznych rozmiarów biblioteka, a w niej królestwo książek. Ten zapach, ta atmosfera. Chciałam tam usiąść i zostać do końca świata, ale pan Matuszek przekonał mnie, że podobnie zachwycę się spiżarnią. Miał rację, szelma.

Na koniec państwo Matuszkowie poprowadzili nas do salonu, który ponoć urządziła jeszcze babka Tojewa. Muszę przyznać, że miała smak, gust i wspaniałe wyczucie stylu. Ktoś mógłby powiedzieć, że pierwszą świetność to miejsce ma już dawno za sobą, jednak wszystko było luksusowe i doskonale utrzymane. Te obrazy, zegary, kandelabry, kryształowe wazony i miękkie dywany. Moja matka -byłaby -zachwycona, chociaż zapewne niebezkrytyczna.

„Na stoliczku powinny leżeć egzemplarze »Bluszczu«, a na fotelu mądra książka, najlepiej z zakładką w środku, tak aby goście mieli pewność, że tu się czyta”. Patrząc na ten salon, słyszałam głos matki ganiący właścicielkę za brak owych przedmiotów, które w opinii hrabiny Michałowskiej robią całość miejsca.

Od progu, kiedy tylko zajrzałam do salonu, od razu wyobraziłam sobie w nim święta Bożego Narodzenia. Choinkę sięgającą powały, wesoło trzaskający ogień w kominku, zapach lasu, szelest papieru na układanych pod drzewkiem prezentach, śmiech mieszkańców, paplaninę dzieci i Twój głos szepczący mi do ucha czułości i sprośności, będące obietnicą upojnej nocy.

– Kiedy żył jeszcze świętej pamięci ojciec pana Tojewa, niech spoczywa w pokoju, często w soboty i niedziele urządzano polowania. W okolicznych lasach aż roi się od dzikiej zwierzyny. Najczęściej przynosili zajęce, króliki, lisy i bażanty. Stary pan Tojew był zapalonym myśliwym. Zamyślił sobie, że miłość tę przekaze synowi, znaczy się panu Mikołajowi, ale temu nie w głowie było zabijanie. On kochał zwierzęta. Ileż to razy znajdowała go moja małżonka ukrytego w swoim pokoju ze łzami w oczach – opowiadał pan Matuszek podczas oprowadzania po domostwie.

Tego się po Tojewie absolutnie nie spodziewałam. Okazuje się jednak, że ojciec zaraził go pewnym męskim hobby – paleniem cygar. Matuszek zaprowadził nas do palarni, w której wciąż czuć było aromatyczny dym z cygar, chociaż od lat już nikt tu nie palił. Ustawione tam wielgachne fotele zachęcały, żeby w nich zasiąść, co też uczyniłam i, a jakżeby inaczej, zapaliłam cygaretkę. Wprowadziłam tym państwa Matuszków w osłupienie. Pomyślałam, że może nie powinnam tego robić, bo moje swobodne zachowanie zrazi ich do mnie, ale po chwili konsternacji pani Matuszkowa roześmiała się, a jej mąż uczynił to samo.

– Gdyby tylko pani zechciała tu zamieszkać, pokój ten w końcu nie stałby pusty – skwitował zarządca.

Tuż za ścianą palarni znajdował się gabinet Tojewa, który nazywa się tu kancelarią. Tojew zamykał się w nim na długie godziny za każdym razem, kiedy zajeżdżał do dworu. Przyjmował tu interesantów, oficjeli. Stąd administrował folwarkiem. Na biurku wciąż stały kałamarz, płaska łódeczka, w której Tojew trzymał pióro, nóż do papieru i papier listowy.

Spędziliśmy tam kilka cudownych godzin. Na tyle długo, że udało mi się nawet na godzinę zająć buduar pani domu, żeby odpocząć przed podróżą. Pokoik to nie za duży, znacznie mniejszy od sąsiadującej z nim sypialni, ale za to bardzo kobieco, przyjemnie, -powiedziałabym romantycznie, urządzone.

Nie, nie uśmiechaj się pod nosem. I nie powątpiewaj. Wszak jestem romantyczna. Tak, rozważna również, ale gdybym była tylko rozważna, za nic w świecie nie wsiadłabym do taksówki z obcym mężczyzną, który okazał się impertynentem. I za nic w świecie nie umówiłabym się z nim na spotkanie. Że tak się stało, to tylko i wyłącznie wina mojej romantycznej natury i całkowitego braku zdrowego rozsądku.

W buduarze pierwszej żony Tojewa znalazłam sztalugi. Nie było na nich jednak obrazu. Zastanawiam się, czy stanowiły jedynie modny element wystroju, czy może małżonka Tojewa lubiła malować?

Rozpisałam się, prawda? I zapewne już od dłuższego czasu zastanawiasz się, po co to wszystko. Te opisy, wstępy etc.

Zanim zasiadłam do tego listu, wypytałam Jacka o pewne okoliczności i wiem, że rodzina

zdążyła poinformować Cię o problemach Waszego ojca. Za pozwoleniem Twojej matki oraz w porozumieniu z Jackiem i Julianem postanowiliśmy wdrożyć w życie pewien pomysł, do którego realizacji potrzebny był mój wyjazd do Wiśnicza Małego.

Zaoferowałam Twojemu ojcu i matce pracę we dworze. Jak zapewnił mnie pan Matuszek, spadłam mu z ową propozycją z nieba. Na tak wielkim folwarku zawsze jest mnóstwo pracy, a powierzenie jej ludziom, którym można zaufać, to duże ułatwienie.

Rozmawiałam już z Twoimi rodzicami. Cieszę się niezmiernie, że nie musiałam przekonywać ich do tego pomysłu. Mam nadzieję, że Ty również przychylasz się do tego rozwiązania, chociaż wiąże się ono z wyjazdem Twojej rodziny poza Kraków. Nie całej jednak.

Zaledwie wczoraj okazało się bowiem, że rzecz nieco się skomplikowała. Kiedy Magdalena dowiedziała się, że Jacek nie jedzie – bo jak wiesz, Jacek zostaje w Zakrzówku, gdzie w wolnych chwilach będzie pomagać, a że nie będzie zajęć miał dużo, bo prawie cały dzień zajmie mu nauka pod baczny okiem Juliana, więc zbytnio się nie przepracuje – powiedziała, że ona też zostaje. Tłumaczyliśmy. Prosiłiśmy. Błagaliśmy. Straszyliśmy i nawet posunęliśmy się do gróźb. Magdalena jest niezłomna. Cenię kobiety uparte i wiedzące, czego chcą, dlatego zaoferowałam, żeby Madzia zamieszkała ze mną.

Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Że podzielasz nasze zdanie i przychylasz się do kroków, jakie podjęliśmy w słusznej sprawie.

Tęsknię.

Kocham.

Rozalia

\*\*\*

– To była prawdziwie cudowna niespodzianka. Nie myślałam, że Julian w nawale pracy będzie miał głowę do błahostek, ale kiedy przyniósł bilety na zabawę w dużej sali „Sokoła”, otworzyłam usta ze zdziwienia. Powiedział, że zdążył w ostatniej chwili, bo już prawie wszystkie były wyprzedane. Zresztą przed kasą biura reklamy prasowej „Promień” ciągnęła się kolejka słusznych rozmiarów. Na pytanie, skąd taki pomysł, najpierw wzruszył ramionami, tłumacząc, że w końcu kiedy jest okazja, należy się bawić. Nie dałam się jednak zbyć. Może kiedyś uwierzyłabym na słowo, ale Julian od dawna nie jest typem odwiedzającym sale balowe z uśmiechem na ustach. W końcu powiedział, że o inicjatywie współpracowników pism krakowskich, żeby przy okazji przedniego balu zorganizować zbiórkę pieniędzy na działalność krakowskiego pogotowia, dowiedział się od Rozalii. „Nie mogłem przejść koło tego obojętnie”, tłumaczył. – Eleonora naśladowała głos Juliana. Stefcia pragnęła słuchać z uwagą, lecz jej myśli wciąż błądziły gdzieś daleko, dlatego uśmiechała się tylko uprzejmie, nie wszczynając konwersacji.

– Nie teraz, kiedy moja Norcia będzie tam pracować – ciągnęła udawanie Eleonora. – Więc przetańczyliśmy pół nocy, a drugie pół uganiałiśmy się na golasa po parku, na krakowskich Plantach, wzbudzając sensację i siejąc zgorszenie. – Starsza córka Schrammów wciąż mówiła w tej samej tonacji, bacznie jednak obserwowała siostrę. – Tak myślałam, że nie słuchasz. Czy słyszałaś, co powiedziałam przed chwilą?

– Że biegaliście po parku niczym Adam i Ewa – odparła Stefcia, wciąż jednak nie wykazywała większego zainteresowania rozmową.

Eleonora westchnęła. Przysiadła przy siostrze, obejmując ją ramieniem.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było wyjechać z Krakowa. Opuścić to miejsce. Ten dom. Zaszyć się gdzieś, gdzie jest cicho i błogo. Gdzie nie ma kłopotów, myśli, wspomnień. Na przykład nad Dunajcem. Poprośmy ojca, żeby złożył ofertę – mówiąc to, Stefania podała Norze egzemplarz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który leżał na stercie innych numerów czekających na powrót Schramma z wyprawy do Londynu.

– „Folwark 70 morgów przy kolei nad Dunajcem koło Tarnowa, nadający się na gospodarstwo mieszane lub kulturę wierzby koszykarskiej, sprzedam bez pośredników” – czytała Eleonora. – Co też

ci przyszło do głowy, Stefcu?

– Nic, tak tylko... – Stefania zawiesiła głos. – Mikołaj wciąż pyta, kiedy go odwiedzę. Jan śle listy przez ekspresa, pisząc, że tęskni i chciałby mnie zobaczyć. Jestem już zmęczona. – Stefcia schowała twarz w dłoniach.

Eleonora przytuliła siostrę. Zerknęła na zegar wiszący na ścianie salonu.

– Wybacz mi, ale muszę za chwilę wyjść. Niebawem zaczynam pracę w pogotowiu na pełny etat, chcę jednak wcześniej zapoznać się ze specyfiką tego miejsca. Umówiłam się na dziś z moim przełożonym, ale obiecuję, że wieczorem porozmawiamy.

– Nie, nie ma potrzeby. – Stefania wstała z kanapy. – Czasami tylko nachodzi mnie melancholia. Poradzę sobie ze wszystkim. Zresztą ja też mam umówione spotkanie. Pani Ida prosi mnie do siebie, do sklepu, dziś na trzynastą. Muszę się przygotować. Nie mogę zapomnieć rysunków. To chyba obawa, że nie sprostałam zadaniu, jakie mi powierzyła. Nie martw się, Norciu, nic mi nie jest.

\*\*\*

Do sklepu jubilerskiego Idy Goldbaum, która oficjalne otwarcie ogłosiła na początek maja, więc za dwa tygodnie z niewielkim okładem, z Wiślniej, gdzie mieściła się kamienica Schrammów, od jakiegoś czasu nazywana Pod Irysami, był kawałeczek. Zaledwie mały spacer po Rynku Głównym.

Stefania obrała trasę koło wieży ratuszowej, którą na początku drugiej dekady ubiegłego stulecia zamierzano wyburzyć, o czym usłyszała od ojca, który kiedyś na spacerze zatrzymał się przy wznoszącym się ku niebu gmachu.

– Mój dziadek, prowadząc mnie po Rynku, uwielbiał snuć barwne o nim opowieści – mówił wówczas Schramm. – Słuchałem go z zapiętym tchem. Ponoć kiedyś wieża ta była zwieńczona gotyckim hełmem z zegarem, a tuż obok stał spichlerz. Od dziecka zwracała moją uwagę. Może nie jest smukła i strzelista, ale na swój sposób piękna. Jednak nie wszystkim się podobała. Niejaki Soczyński, senator Wolnego Miasta Krakowa, na łamach „Pszczółki Krakowskiej” gdzieś na początku poprzedniego wieku namawiał władze do jej wyburzenia. Na szczęście pomysł upadł i do dziś możemy cieszyć nią oko, nieprawdaż? – pytał, patrząc na słuchające go w skupieniu córki.

Stefcia uśmiechnęła się delikatnie, ponieważ z wieżą łączyły ją jeszcze inne, nie tak dawne wspomnienia.

Pomyślała o tamtym dniu. Pięknym, słonecznym, beztroskim, wolnym od zmartwień, takim, jakie jej życie było kiedyś. Byłam słaba, pomyślała. Dałam się zaprosić na spacer.

Tak, dała się namówić Jankowi na wyjście w jego towarzystwie. Krótkie, niewinne.

– Proszę, nie wspominaj o mojej wizycie u was, tamtego dnia... – Stefania patrzyła na niego błagalnie.

Uśmiechnął się. Brakowało jej tego ciepłego uśmiechu, który pojawiał się nie tylko na jego ustach, ale i w oczach. Brakowało jej tej dysproporcji, jaką stanowiły jego przydługie siwe włosy w stosunku do młodej, wciąż gładkiej twarzy.

Wziął ją za rękę. Spacerowali po Rynku. W końcu zajrzeli do wieży. Szybkim krokiem przecięli salę na parterze, w której kiedyś przechowywano zasoby skarbcza, zmiierzając w stronę wąskiej klatki schodowej ze stu dziesięcioma kamiennymi schodami prowadzącymi do górnych izb.

Szli powoli, jedno za drugim. Strome schody oraz napierające na Stefanię z obu stron kamienne ściany przyprawiły ją o zawrót głowy. Zatrzymała się. Oparła o kamienie. Ich zimno nieco ją otrzeźwiło.

Byli sami. Nikt nie szedł za nimi. Otaczała ich cisza, wilgoć i ta charakterystyczna dla wiekowych budowli atmosfera tajemnicy. Janek podszedł do Stefanii. Położył dłonie ponad jej głową, zamykając ją w swoistej klatce. Pochylił się do jej usta. Nie oponowała. Nie broniła się. Oddała pocałunek, tęskniąc za ustami Janka, za jego ciałem i bezpieczeństwem, które przy nim znalazła. Odgłos kroków zmusił ich do dalszej wspinaczki. Bez słowa pokonali kolejne schody. Trzymając się za ręce, w milczeniu, zwiedzili salę na drugim piętrze.

A potem Stefcia chciała wracać. Bez pożegnania uciekła do domu.

Idiotka, strofowała się teraz w myślach. Dałam mu nadzieję. Jemu i sobie, a teraz, nie bacząc na jego ponaglenia, wciąż odrzucała prośby o rozmowę, o spotkanie.

Ruszyła przed siebie. Już nie szła powoli, spacerkiem. Szła szybko, maszerując w stronę kamienicy Bidermanowskiej, gdzie w zeszłym roku spotkała Idę Goldbaum. Wtedy jeszcze była taka szczęśliwa. Nieświadoma tego, co szykuje jej życie.

Poprawiła szeroką, wielką teczkę, w której kryły się rysunki będące wzorami biżuterii. Pierścienie, wisiory, brosze.

– Czekałam z niecierpliwością. – Ida stała przed kamienicą. Podziwiała efekt pracy budowlanców. – Aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie ten dom przeszedł już kolejną przebudowę – mówiąc to, wyciągnęła dłoń, żeby przywitać się ze Stefcia, która dygnęła delikatnie. – Przy okazji poczynionej przeze mnie inwestycji zaczęłam zgłębiać historię tego miejsca. – Goldbaum poprowadziła Stefanię do środka. Do pomieszczenia na parterze, które już nabierało wyglądu ekskluzywnego salonu jubilerskiego. – Pierwszy dom wzniesiono tu w XIV wieku, ale w Krakowie to żadna nowina, kiedy co druga kamienica może pochwalić się wielowiekową tradycją. Później, już po pierwszej przebudowie, kiedy dodano pierwsze piętro, kamienicę zamieszkiwał drukarz Jan Haller z rodziną. Z czasem kamienica zaczęła przechodzić w ręce następnych ciekawych właścicieli. Rodziny z Alzacji, rajcy krakowskiego, który pokusił się o kolejną przebudowę. Przez kilka stuleci zmieniali się tylko właściciele kamienicy, nie jej wygląd, aż ponownie na początku ubiegłego wieku odnowiono dach i fasadę. Niecałe osiem dekad później, na dwa lata przed końcem XIX stulecia, przeprowadzono modernizację budynku według projektu samego Beniamina Torbego. To wtedy zaadaptowano dom na potrzeby domu handlowego. Spójrz. – Stefcia zerknęła w stronę pięknej szklanej gabloty, jeszcze pustej, ale już przygotowanej do wyeksponowania efektownej biżuterii, gdzie leżało duże zdjęcie. – Ten dom z szyldem Mendel Pamm to kamienica, w której stoisz. – Ida zerknęła na Stefcie.

– Zapomniałam, jak kiedyś wyglądała, ale teraz, patrząc na tę fotografię, przypominam sobie, że nigdy za nią nie przepadałam. Zdawała mi się dziwnie szara i przygnębiająca w porównaniu z innymi, bardziej kolorowymi kamienicami. Raz jeden ojciec zabrał nas całą rodziną do mieszczącej się tu restauracji. Kiedy wyszliśmy, ojciec powiedział, że w tej mniejszej, tuż obok, mieszkał Stanisław Wyspiański. Jakiś czas potem oba domy wyburzono.

– W 1912, a dziś, niecałą dekadę później, kończymy kolejną przebudowę. Mam nadzieję najlepszą. Może ostatnią. Jak podoba ci się salon? Och, nie, nie mów. Jestem podekscytowana, więc plotę trzy po trzy. W końcu cóż tu podziwiać. Cztery ściany i gabloty. Wciąż puste, ale już niebawem zapełnią się złotem, szlachetnymi kamieniami i zegarkami szwajcarskich mistrzów. Moi jubilerzy, moje, nomen omen, złote rączki pracują pełną parą. Chciałabym pokazać ci, jakie spod ich zręcznych palców wychodzą cudenka, ale obiecałam sobie, że nikt poza mną nie zobaczy kolekcji wcześniej.

Już za kilka dni po Krakowie rozniesie się wieść o otwarciu galerii. Będzie uroczystość z tej okazji. Wystawna kolacja, bal w salach na pierwszym piętrze, które także należą do mnie, a potem, niczym w sylwestra, o północy wystrzelą korki od szampana i ta wąska grupa szczęśliwców, którzy otrzymają ręcznie malowane zaproszenia – ciebie, Stefanio, poproszę o ich wykonanie – zejdzie do salonu. Oniemieją z wrażenia. – Ida malowała słowem to, co dopiero miało się wydarzyć.

Stefania podążała za nią, wyobrażając sobie blask bijący z oświetlonych gablot. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy zachwyconych klientów. Słyszała ich „ochy” i „achy” i miała nadzieję, że projekty, które ze sobą przyniosła, będą godne uwagi Idy Goldbaum.

– Nie czekajmy więcej. Pokaż, dziecko, co tam ukrywasz.

Stefania położyła teczkę na jednej ze szklanych witryn. Szczupła dłoń Goldbaum obracała kolejne kartki. Ida oglądała w skupieniu. Milcząca. Poważna. Bez cienia uśmiechu na ustach. Jej kamienna twarz napawała Stefanię strachem. Nie mogła nic z niej wyczytać. Ani zachwyty, ani dezaprobaty.

– Cudowne! – Głośne słowa Idy odbiły się echem od czterech ścian. – Jakaż szkoda, że dostałam je dopiero teraz. Niestety, nie zdążymy na otwarcie, ale nic to. Kiedy będą gotowe, wydamy kolejne przyjęcie. Egipskie, tajemnicze. Zobaczysz, odniesiemy sukces. Sukces, Stefanio Schramm!

Po tych słowach energicznie zamknęła teczkę, obejmując Stefcie ciasnym, przyjacielskim uściskiem, który obiecywał nowe, ekscytujące wydarzenia.

– Otwiera się przed tobą nowy rozdział, ale pamiętaj, aby był satysfakcjonujący, abyś mogła

cieszyć się nim w pełni, musisz zamknąć ten, który rzuca na ciebie cień. – Ida odsunęła Stefanię na wyciągnięcie ramion.

Spojrzała młodszej córce Schramma głęboko w oczy.

– Uporządkuj swoje życie, Stefanio, bo inaczej nigdy nie będziesz szczęśliwa.

## Rozdział 6

Stefania stanęła przed wysokim, prostym lustrem, od lat stanowiącym element pokoju, który Tekla Schramm uwielbiała nazywać buduaem.

– Wciąż nie mogę przyzwycząić się do twojego nowego wyglądu. – Głos Eleonory sprawił, że Stefcia zerknęła ponad ramieniem na siostrę opierającą się o framugę drzwi.

– Czasami trzeba podjąć radykalne decyzje. Zaczęłam od tych najprostszych. Wygląd najłatwiej zmienić. Przeszłam w miarę szybko i bezbolesną przemianę z tak zwanej Gibson Girl w chłopczycę.

Eleonora podeszła do Stefanii. Stanęła tuż obok niej. Przyglądały się w milczeniu własnym odbiciom. Były jak noc i dzień. Jak zima i lato.

Przemiana Stefci zaczęła się niedawno. Dość szybka, ale nie radykalna, jak określiła ją młodsza z córek Schrammów. Najpierw nastąpiła wymiana garderoby, co zaskoczyło nie tylko Eleonorę, ale i ojca, dla którego Stefcia zawsze była tą córką, która znajdowała upodobanie w strojnych sukniach, a przemiany w modzie uważała za żalosne i krzywdzące dla damskiej sylwetki.

Tamtego dnia, na początku roku, zanim ojciec wyjechał do Londynu, Eleonora zastała Stefcię buszującą w szafie. Młodsza siostra stała wpatrzona w wiszące na ozdobnych wieszakach sukienki.

– Same szmaty – skwitowała Stefania, kątem oka widząc nadchodzącą Eleonorę. – Całe szczęście, że znalazło się kilka porządných ubrań.

Do kilku sukienek sięgających nieco za kolano, z obniżonym stanem, o prostej linii w kształcie litery „H” niebawem dołączyły kolejne.

– Skoro już odświeżasz garderobę, to na Boga, kup też coś bardziej wyrafinowanego – komentowała Eleonora, przyglądając się zakupom Stefanii. – Może dziś wydaje ci się, że suknia wieczorowa już nigdy nie będzie ci potrzebna, ale wierz mi, wiem, co mówię, bo sama kiedyś marzyłam tylko o spodniach i wygodnych koszulach, przyda ci się prędzej, niż myślisz.

– Cekiny, hafty, frędzle, kryształki. Od tego pragnę uciec. Po cóż mi suknie z odkrytymi ramionami? Po co mi szale, którymi mogłabym okrywać szyję, skoro nie mam w planach przejazdów kabrioletem. Skończyłam z tym. Przynajmniej na razie. I proszę, nie praw mi kazań. Nie sil się na psychologiczne analizy. Dobrze wiem, że wszystko kiedyś się kończy. Moje rozterki także. Ale nie teraz. Nie dziś, nie jutro. Pewnie nawet nie za miesiąc. Więc pozwól mi na te zmiany. Na radość z wymiany garderoby, bez bełkotu o psychoanalitycznym zabarwieniu.

Teraz, stojąc ramię w ramię ze Stefanią, Eleonora musiała przyznać, że spogląda na idealną „chłopczycę”.

– Ciekawe, co powie ojciec?

– Mam nieodparte wrażenie, że nawet nie zauważy – odparła Stefania.

Wątpię, pomyślała Nora. Trudno było bowiem nie zwrócić uwagi na mocny makijaż, który do niedawna zarezerwowany był dla aktorek i co gorsza kokot.

– Zawsze ciągnęło mnie na scenę – odezwała się Stefania, jakby czytała w myślach siostry. – Dziś to tylko piękne wspomnienia oraz niezrealizowane marzenia. Pamiętam, jak snuliśmy z Mikołajem plany wyjazdu do Warszawy i podboju teatralnych desek stolicy. – Stefcia sięgnęła po pomadkę, która stała na toaletce ustawionej nieopodal lustra.

Wprawną ręką przeciągnęła usta szminką w kolorze nasyconej, głębokiej czerwieni. Oczy już wcześniej podkreśliła czarną kredką. Twarz, zmatowiona jasnym pudrem, wyglądała jak porcelanowa. Na policzkach cieniem kładł się róż, wypuklając pięknie zarysowane kości policzkowe Stefanii.

– Najbardziej żal mi twoich pięknych, długich włosów. – Eleonora wyciągnęła dłoń, żeby pogładzić błyszczące delikatne fale Stefci, sięgające teraz zaledwie żuchwy.

– A mnie się podoba. Zawsze myślałam, że nie można wyglądać kobieco i powabnie, nosząc boba. A tylko spójrz – mówiąc to, skierowała wzrok w stronę lustra, w którym złapała spojrzenie siostry. – Jest odwrotnie. Nigdy nie czułam się bardziej powabna, namiętna. Nie trzeba ścisnąć się gorsetem ani nosić kilku warstw halek krępujących ruchy, żeby chodzić z gracją. Nie trzeba eksponować i podkreślać biustu, żeby wiedzieć, że jest na swoim miejscu. Nie uważasz, że gdyby był ozdobą,

za którą się go uważa, chodziłybyśmy z nagą klatką piersiową, a gdyby był ciężarem, wówczas nosiłybyśmy go na plecach, podobnie jak taszczy się niewygodne gabaryty. Więc jeżeli nie robimy ani jednego, ani drugiego, należy go traktować jak rękę lub nogę. Ubierać, bez zbędnej uwagi. I tak też noszą się dzisiejsze kobiety. – Stefcia zlustrowała Eleonorę. – Sama tak się nosisz. Czymże różni się twoja prosta sukienka od mojej? Kokarda, która kokieteryjnie opasuje ci biodra, a może rozcięciem, które niedyskretnie przyciąga męskie spojrzenia w stronę twoich ud? Ja wolę prostą sukienkę albo taki oto zestaw, wąską spódnicę i długi kardigan.

Przez chwilę Stefania przyglądała się bacznie spódnicy w kolorze głębokiej zieleni i o ton ciemniejszemu kardiganowi. W końcu jednak odwiesiła rzeczy w szafie, pozostając przy bordowej sukience i -płaszczku w tym samym kolorze.

– Wolę za to buty na obcasie – mówiąc to, założyła czólenka. – Od razu jestem o osiem centymetrów wyższa. – Uśmiechnęła się do Eleonory. – W końcu przestaniesz patrzeć na mnie z góry. A wracając do włosów. To był impuls. Nie zamierzałam ich ścinać, ale niedawno usłyszałam, że do Polski własnym samolotem, wyobrażasz sobie, przyleciał sam Antoni Cierplikowski, i jakoś tak pomyślałam, że może powinnam posłuchać mistrza i zaszaleć. W końcu nie bez powodu stał się tak znany. Gdyby nie miał racji, klientki nie zachodziłyby do jego salonów. A jest ich ponad sześćdziesiąt. Niedawno otworzył nowe. W Stanach i Kanadzie. Ponoć ma też filie w Japonii i dalekiej Australii.

– Nie trzeba wyjeżdżać tak daleko. Wiem, że Cierplikowski ma też salon w Warszawie. – Eleonora spojrzała w lustro. Zawiesiła wzrok na swoich włosach. Lubiła je takie, jakie były. Długie, lekko falujące. Takie uwielbiał Julian. Ale może Stefcia miała rację, pomyślała. Gdzie podziała się szalona Eleonora? Ta dziewczyna, która godzinami przesiadywała na podłodze starego antykwariatu? Która z właścicielem cukierni omawiała swoje marzenia o nauce? Która chciała leczyć świat?

– Może też powinnaś pomyśleć o wizycie u fryzjera. – Słowa Stefcia przerwały rozmyślenia Eleonory. – To był impuls. Przechodziłam akurat koło zakładu Tatomirów. Tego w Rynku. Pan Tomasz to doskonały fachowiec. Może nieładnie chwalić się samej, ale dzięki sprawności jego nożyczek wyglądam pięknie.

– Pięknie, pięknie – przytaknęła Eleonora. – A teraz wkładaj swój kaszkiecik i chodźmy, bo w końcu to ojciec będzie czekał na nas, a nie my na niego.

– Tak swoją drogą – mówiła Stefcia, kiedy szły już w stronę dworca – nie mogę uwierzyć, że ojciec nie wspomniał ani słowa o matce w ostatnim telegramie informującym o powrocie. Nie wiem, co o tym sądzić? Czy chce nam zrobić niespodziankę? A może w ogóle nie -widział się z matką?

Eleonora nie odpowiedziała. Od dawna zastanawiała się nad poczynaniami Tekli Schramm. I im więcej o tym myślała, tym do smutniejszych dochodziła konkluzji. Tak smutnych i przytłaczających, że nie zamierzała się nimi dzielić, nie tylko ze Stefanią, ale także z ojcem i Julianem.

\*\*\*

– Jesteś pewna, że właśnie teraz pociąg ojca powinien wjeżdżać na peron? – zapytała Eleonora, z powątpiewaniem kiwając głową.

Stefania, zamiast odpowiedzieć, otworzyła torebkę. Przez chwilę szperała w środku, żeby w końcu wyjąć złożony druk telegramu.

– Proszę, sama przeczytaj. W końcu to ty zawsze miałaś lepsze oceny, ja co najwyżej dostateczne.

Podczas gdy Eleonora studiowała treść telegramu, Stefania lustrowała budynek dworca. W krótkim czasie była tu już po raz kolejny.

– Wiesz, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy bywam tu częściej niż przez całe moje życie. Bo i kiedy miałabym tu być wcześniej. Raz jeden, kiedy przyszłam zobaczyć masowe wyjazdy w czasie wojny. A przedtem... – Stefania zawiesiła głos. – Nie przypominam sobie. Nie uważasz, że to dziwne, że tak rzadko wyjeżdżaliśmy? Prawie wcale nie opuszczaliśmy Krakowa. Gdyby nie było nas stać, ale przecież było. Dzięki ojcu mogliśmy pozwolić sobie na wyjazdy. Nie tylko te bliskie, lokalne. Mogliśmy jeździć po kraju, ale i za granicę. Zwiedzać, jak robią to inni. Zamiast tego nie wyściubialiśmy nosa poza miasto. Raz, no może dwa. Bardziej z przypadku niż intencjonalnie. Pamiętam nasz wypad do Sopotu.

Miałam nadzieję, że skoro papa dał się namówić wtedy, to letnie wypadki wpiszą się w rodzinną tradycję. Nic z tego. Gdyby nie wyjazd do Paryża, niecodzienny i niezwykły, zrządzenie losu, które przysparza mi tyleż samo radości, co trosk, nie wiedziałabym, jak wygląda świat.

– Pamiętam, jak byłam swego czasu zafascynowana ideą wyprawy dookoła świata. Pomysł ten wydawał mi się równie szalony, co niezwykły. Był moim cichym, niewyjawionym nikomu marzeniem. Kiedyś z wypiekami na twarzy opowiadałam Julianowi o pannie Bly, dziennikarce, która, po pierwsze, odważnie, dla zbadania sprawy dała się zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, a po drugie, podążyła śladami pana Fogga. Ale to były marzenia. I jak wiele rzeczy w życiu, -podróżowanie po zamorskich krainach pozostanie w sferze marzeń.

Stefania słuchała z uwagą. Nie skomentowała jednak słów siostry ani nie podjęła tematu. Zamiast tego sięgnęła do torebki, wyciągając z niej papierosa w długiej lufce.

– Nie zamierzasz chyba tego palić?

– Od kiedy zrobiłaś się taka święta? Ja palę tylko papierosa, ty sięgałaś po mocniejsze używki. Już zapomniałaś? – Stefania wpatrywała się w siostrę.

Spojrzenie miała intensywne, harde, wyzywające, jakby czekała na słowny pojedynek, który pozwoli ukoić jej skołatane nerwy.

– Ale wtedy była wojna – odparła Eleonora.

– Każdy toczy swoje wojny. Więc pozwolisz, że póki nie odnajdę spokoju, to będę przynajmniej szukała jego namiastki w papierosie. Ciesz się, że nie zabrałam ze sobą piersiówki. – I po tych słowach, nie czekając na odpowiedź Nory, Stefania oddaliła się w stronę kas.

Zaczynała się już niecierpliwie. Pociąg ojca powinien zajechać na peron pół godziny temu. Zamierzała się dowiedzieć, czy wiadomo coś na temat opóźnienia.

Piękne ryzality, pod którymi znajdowały się wejścia do poczekalni, kas i biur kolejowych, budziły jej zachwyty. Żałowała, że nie było jej dane zobaczyć przydworcowych ogrodów, które zostały zlikwidowane na kilka lat przed jej narodzinami. Rezygnacja z części zielonej była jednak konieczna ze względu na rozbudowę, która powiększyła dworzec niemal dwukrotnie. Od tamtego czasu miejsce to przechodziło kolejne modernizacje, nadające mu ostateczny, bardzo modernistyczny wygląd. Z czasem nowe całkowicie wyparło stare. Stara hala peronowa ustąpiła miejsca nowej, zadaszonej. Powstała parowozownia z warsztatami i osiedlem dla pracowników kolei oraz wiadukt nad ulicą Lubicz, a z tego, co opowiadał pan Grabowski, opierający się na słowach swojego przyjaciela, w planach – już niedalekich – było wybudowanie wieży wodnej i drukarni kolejowej.

Stefania stanęła w ogonku do kasy. Czekwała cierpliwie, przyglądając się pasażerom spieszącym do swoich pociągów. Zerknęła za siebie, jakby spodziewała się zobaczyć tam Janka. Miała nadzieję, że napotka jego spojrzenie. Niestety, gdziekolwiek spojrzała, widziała tylko obce, obojętne twarze.

Już miała podchodzić do kasowego okienka, kiedy usłyszała -charakterystyczny szum pociągu wtaczającego się na peron.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę miejsca, gdzie zostawiła siostrę. Już z daleka zobaczyła ojca witającego Eleonorę. Przystanęła, żeby spokojnie się rozejrzeć. Ojciec był sam. Nie było niespodzianki. Matka wciąż przebywała poza domem. Może w Londynie, a może na drugim końcu świata? Stefania wzruszyła ramionami. Nie chciała roztrząsać powodów, dla których Tekla Schramm zostawiła swojego męża i córki, bo gdyby zaczęła martwić się jeszcze tym, musiałaby niechybnie zwariować.

\*\*\*

– Mam wrażenie, że zapamiętałem to miejsce inaczej. Czyżby hrabia zrobił przemeblowanie gabinetu? – Jan Schramm rozglądał się po pokoju, do którego wprowadził go Aleksander hrabia Michałowski.

– Ma pan rację. W pewnym sensie – odparł Michałowski, uśmiechając się pod wąsem. – To nie gabinet uległ reorganizacji, a znacznie większa od niego biblioteka, do której przenieśliśmy całość dawnej kancelarii. Miałem zamiar zmieścić się w palarni, w której, mój Boże, nie byłem już od kilku tygodni, ale kiedy małżonka dowiedziała się o moim zamiśle, zwyzywała mnie jak małego chłopca, a potem jeszcze doniosła na mnie Julianowi. Mówię panu, panie Schramm, to już starość niechybnie, kiedy dzieci



dyrygują rodzicami. Julian poszedł w ślady matki. Dostało mi się z obu stron. I teraz, a przyrzekam, że moje zamiary były niewinne i wcale nie zamierzałem palić cygar, nie dość, że gabinet powędrował do biblioteki, to jeszcze co rusz małżonka zagląda do mnie, sprawdzając, czy nie popalam po kątach.

– Nie ma pan chyba jednak małżonke za złe, że troszczy się o pana. Znam wielu takich, którzy gotowi byliby poważnie zachorować, żeby tylko poczuć namiastkę troski ze strony swoich drugich połówek.

– Może brzmię jak ostatni niewdzięcznik, ale uwielbiałem tamten pokój. Wszak zaszywałem się w nim nie tylko ze względu na cygara, które zresztą pałę od wielkiego dzwonu. Mój ojciec, świeć, Panie, nad jego duszą, stworzył w nim wspaniałą kolekcję myśliwskich trofeów. Pan nie miał niestety okazji być w palarni, a i dziś pana tam nie zaprowadzę, Janie, bo obaj mielibyśmy się z pyszna, ale ten klimat! Och, żaden z pokoi we dworze nie może się z nim równać. Najprzedniejsze jest wiszące tam niedźwiedzie futro, chociaż jako dziecko wolałem skórę wilka. Pies mojego ojca uwielbiał się na niej wylegiwać. Józefa zawsze powtarzała, że to swoista zemsta domowego pupila na dzikim kuzynie. A i fotele tam stojące są daleko bardziej wygodne niż te.

– Czemu zatem nie przetransportowano ich tutaj? – zapytał przytomnie Schramm.

– Chciałem, a jakże, ale Józefa powiedziała, że nikogo nie będzie obarczała tymi ciężarami, skoro w gabinecie też są fotele. Dużo mniejsze i lżejsze, a przez to łatwiejsze do przeniesienia. Nie mogłem się z nią nie zgodzić.

– I tak po prawdzie nie ciągnie pana, Aleksandrze, żeby zapalić dobre, aromatyczne cygaro, którym zresztą kiedyś mnie hrabia częstował?

– Oczywiście, że tak. Chociaż bardziej mam ochotę na fajkę. Cóż z tego, kiedy fajczarnia została w palarni. Pamiętam, jak ojciec z namaszczeniem układał fajkę na tym stojaku. Robił to z taką delikatnością. Mam wrażenie, że nawet matki mojej nie dotykał tak czule jak swoich fajek, których miewał na pęczki.

– Musi jednak hrabia przyznać, że gabinet w bibliotece to bardzo dobre połączenie.

– Nie narzekam, zwłaszcza że straszny ze mnie bibliofil, co zresztą widać po zbiorach. Mam tu kilka białych kruków.

– Moja Eleonora mogłaby w nieskończoność rozprawiać o książkach. Był czas, że całymi godzinami przesiadywała w antykwariacie w kamienicy Kromerowskiej. Zachodziła także do księgarni Gebethnera, ale od czasu, kiedy zamordowano jego zięcia, przestała tam zaglądać.

– Pamiętam ten wypadek doskonale. Wszak Julian był pomocnikiem w sprawie. Ówczesny jego pracodawca i przyjaciel, nieodżałowany Edmund Szalit, bronił jednego z tych złoczyńców. Muszę zapytać Juliana, co się z nim dzieje.

– Straszna tragedia, straszna – skwitował Schramm, sadowiąc się na dość miękkim fotelu, który wskazał mu Michałowski.

Schramm dyskretnie wodził wzrokiem po gabinecie. Na biurku zauważył eleganckie, zapewne wykonane na zamówienie, przybory do pisania: markowe pióro, fikuśny w kształcie kałamarz, piaseczniczkę, wycieraczkę do piór, płaską łódeczkę do osuszania tekstu. Na bibliotecznych półkach wygospodarowano nieco miejsca na dokumenty, które zapewne w gabinecie stały w specjalnie przygotowanych do tego celu szafach.

– Miałem od razu zapytać, jak się hrabia czuje? – odezwał się Schramm, kiedy Michałowski usadowił się na krześle za masywnym dębowym biurkiem, które musiało pamiętać kilka poprzednich pokoleń Michałowskich.

– Na szczęście z dnia na dzień lepiej, ale jak zauważyły moje dzieci, nastraszyłem je niemiłosiernie. Mało tego, sam siebie nastraszyłem. Opiekujący się mną doktor Leopold Tyliński powiedział, że jestem jednym z tych szczęśliwców, u których zator tętnicy wieńcowej serca został rozpoznany za życia. Miałem dużo szczęścia w nieszczęściu. Szybka reakcja i przede wszystkim odpowiedni lekarze, w tym wspomniany Tyliński, który swego czasu doskonalił swój warsztat pod okiem Edwarda Sas-Korczyńskiego.

– Coś słyszałem. Czyż to nie ten uczoney, którego opisywano ze względu na pionierskie podejście właśnie do spraw związanych z zawałem serca?

– Ma pan rację, panie Schramm. Dokładnie ten sam. Wyszkolił kilku doskonałych lekarzy, którzy podążają jego ścieżką. Poza tym Tyliński sięga także po zagraniczne periodyki, poszerzając naukowe horyzonty. Opowiadał mi, że leczenie opiera na opracowaniu niejakiego Herricka, który doszedł do wniosku, że przy zawale najwłaściwsze jest długotrwałe unieruchomienie pacjenta. Cieszy mnie postęp w nauce i leczeniu, ale akurat ten nurt zaczyna mi być obmierzły.

– A więc dlatego tak długo trzymano pana w szpitalu.

– Nie inaczej. Kiedy zacząłem domagać się wypuszczenia, doktor Tyliński powiedział, że powinienem się przyzwyczaić i powściągnąć nerwy, bo te kilkanaście dni hospitalizacji jest zaledwie preludium powolnego domowego życia. Całe podstawowe leczenie trwało ponad sześć tygodni od chwili wypisania ze szpitala. Teraz zaś to dodatkowa rekonwalescencja, której z wielką skrupulatnością przestrzega moja żona. Marzy mi się soczysta pieczeń, ale o niej mogę na razie pomarzyć. Dieta niskokaloryczna to cały mój jadłospis, nie mówiąc o pigułkach i witaminach.

– Całe szczęście, że ma hrabia co czytać – zażartował Schramm.

– O, tak. Zawsze uwielbiałem zagłębiać się w słowo pisane, ale nie zawsze był na to czas. Najczęściej mi go brakowało, na czym cierpiała moja pasja. Nadrabiam. A czy pan wie, Janie, że moja Rozalia też lubuje się w książkach? Ona jednak poszła o krok dalej. Ona oprócz czytania także pisze.

– Oczywiście, że słyszałem. Jakże mógłbym nie słyszeć. Eleonora od razu mi doniosła, jaką zdolną siostrę ma Julian. I powiem panu, hrabio, że chociaż najczęściej czytam indeksy giełdowe, to z ciekawości, a potem czystej przyjemności sięgnąłem po „Nowości Ilustrowane”, które drukują powieść Rozalii. Ma talent. Ona nie pisze, ona maluje słowem.

– Pięknie pan to ujął. Jakaż to radość, że mamy tak zdolne dzieci, nieprawdaż? – Pytanie było retoryczne, dlatego Schramm, zamiast odpowiedzieć, tylko pokiwał głową, zgadzając się zupełnie z Michałowskim.

Pukanie do drzwi przerwało panującą w gabinecie ciszę.

– Proszę – odezwał się Michałowski.

W drzwiach ukazała się filigranowa postać pokojówki niosącej tacę z elegancką porcelaną.

– Pani hrabina nalega, aby panowie podczas rozmowy poczęstowali się wyśmienitą kawą i słodkościami – mówiąc to, zaczęła ustawiać na stoliczku stojącym w rogu biblioteki dzbanek, filiżanki, talerzyki i niewielkie patery, na których wyłożono ciasteczka, cukierki oraz domowej roboty konfitury.

Panowie podnieśli się z miejsc, zajmując nowe, tuż przy stoliku. Aromatyczną, mocną kawę popijali w milczeniu, racząc się słodyczami.

– A jak znajduje pan wyprawę do Londynu? Czy owocna? – zapytał Michałowski, odstawiając pustą filiżankę.

– Na pewno niezwykła, niemniej jednak nie mam złudzeń. Aż takim optymistą i marzycielem nie jestem. Nawet gdybyśmy bardzo się starali, ograniczają nas gabaryty budynku.

– Nie miałem okazji być w Londynie, ale słyszałem, że Harrods robi wrażenie. To moloch.

– Ma pan, rację. Harrods to szyk, luksus, przepych i nowoczesność. Miałem przyjemność skorzystać z ruchomych schodów. Mam nadzieję, że nikt nie zauważył, ale korzystałem z nich kilka razy. To wspinała zabawa. Gdyby tylko było nas stać na taki wydatek, nie wahałbym się ani chwili, żeby zainstalować je w naszej nieruchomości. Już sama chęć skorzystania z nich przyciągnęłaby tłumy.

– Faktycznie, niesamowite.

– Przy tylu piętrach i odwiedzających, bo musi pan wiedzieć, hrabio, że gros ludzi chodzi tam jak do muzeum, ruchome schody są niezbędne. Są oczywiście i eleganckie windy, i schody tradycyjne, ale te dodają Harrodsowi prestiżu. W końcu jakoś trzeba dostać się na siódme piętro. Dobrze, że pojechałem tam na dłużej. Jeden, dwa, a nawet trzy dni to za mało, aby zobaczyć wszystko, co oferuje sklep. Trudno sobie wyobrazić osiemdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych zaprojektowanych w najdrobniejszych szczegółach, w najdrobniejszych detalach. Wszystko wypieszczone, dopasowane. Pałac, panie hrabio, to pałac, a nie dom handlowy. – Schramm nie krył ekscytacji.

– Jeden z moich znajomych, który kilka lat temu podróżował do Londynu, opowiadał, że ponoć w sklepie jest wszystko, czego dusza zapagnie.

– Bo to prawda. Można tam kupić wszystko, zresztą takie jest motto placówki. „Mamy wszystko,

czego chcesz”. Jest tam aż trzysta działów. Od najdroższych, najprzedniejszych alkoholi przez bezcenną biżuterię, której nie powstydziliby się królowa Maria, ubrania od najsztywniejszych projektantów po pączki, których nie mogłem sobie odmówić.

– Słuchając, śmiem sądzić, że nasze małżonki miałyby tam używanie.

– Hrabio, Harrods to sklep, w którym nikt się nie nudzi. Jako łasuch musiałem zajrzeć do Food Hall, gdzie na długie minuty zatrzymały mnie sklepy z czekoladkami. Ach! – wykrzyknął nagle Schramm, pukając się teatralnie w czoło. – Jakiż ze mnie niezguła. Na śmierć bym zapomniał. – Zerwał się z fotela i ruszył w stronę teczki, którą położył na krześle, tuż przy drzwiach biblioteki. – Kupiłem dla hrabiny. Mam nadzieję, że lubi czekoladę. Te wykwintne pralinki znalazłem w Charbonnel et Walker. Firma istnieje od 1875 roku. Od chwili jej założenia do dziś czekoladki robione są ręcznie. Czysta ambrozja. Zresztą nie tylko smak mają niebiański. I opakowanie zasługuje na pochwałę – mówiąc to, Schramm podał Michałowskiemu prezent dla Józefy.

– Dziękuję w imieniu małżonki. Na pewno będzie zachwycona. Uwielbia delektować się znakomitą czekoladą. Jej zamiłowanie do słodczy znają nasi krakowscy kupcy i producenci, którzy każdego roku w okolicach świąt ślą do nas katalogi z najnowszą ofertą.

– To przedni pomysł – podchwycił Schramm. – Nie pomyślałem o tym. – Zamilkł na chwilę, jakby nie mógł uwierzyć, że rzecz tak prosta nie wpadła mu do głowy. – Muszę jeszcze nadmienić, że nie każdy może wejść do Harrodsa. Mają tam pewne obostrzenia co do garderoby. Należy ubrać się schludnie, żeby nie powiedzieć elegancko. Ma to zapobiec wizytom, przykro to mówić, biedoty, która w spacerach po domu towarowym upatrywała okazji do kradzieży, nie tyleż produktów w sklepie, ile portfeli zamożnych klientów.

– Sądząc po pana entuzjastycznych reakcjach, miarkuję, że chciałby pan, aby nasza inicjatywa szła w tymże kierunku. Domu handlowego dla określonego nabywcy.

– Jak najbardziej. Typowych składów w Krakowie nie brakuje. Brak nam domu towarowego, którego pozazdrościłaby nam nawet stolica. Ach, cóż ja mówię. O którym głośno byłoby i za granicą. Ma być ekskluzywnie, luksusowo, bogato.

– To wymaga nakładów finansowych. I to niemałych. Obawiam się, że możemy porwać się z motyką na słońce.

– Hrabio, może daleko mi do sklepikarza, ale rozmawia pan z człowiekiem obytym z pieniędzmi. Czy byłbym tak dobrym bankierem, jakim byłem, gdybym inwestycji nie lustrował z każdej strony? Nie jestem raptus, a mój entuzjazm jest czysto teoretyczny. Zanim nasz, mam nadzieję, że nasz, a nie mój, wymarzony dom handlowy otworzy swoje podwoje, upłynie sporo czasu. Plany, kapitał, pozwolenia et cetera. To wymaga czasu, ale wielkie rzeczy nie rodzą się z dnia na dzień.

– Wszak i Rzymu nie zbudowano w jeden dzień – podsumował Michałowski, potakując głową.

W bibliotece zaległa cisza, przerywana tylko dochodzącymi z oddali odgłosami żyjącego domu. Schramm dźwigał się już powoli, żeby pożegnać Michałowskiego, kiedy ten podjął nieoczekiwany temat.

– Myślałem ostatnio o cukrowni, panie Schramm. – Jan usiadł na fotelu. Słuchał z uwagą. – Mieliśmy plan otworzyć kiedyś własną. Była swego czasu w Zakrzówku cukrownia. Wniosło ją Towarzystwo Akcyjne Cukrowni „Zakrzówek”. Słyszał pan może? – Schramm przytaknął, ale nie odezwał się słowem, czując, że Michałowski jeszcze nie skończył podjętego wątku. – Wiem, że sam zrezygnowałem z naszej wspólnej inicjatywy, ale wtedy... – Michałowski zawiesił głos. – Wtedy były inne realia. Od jakiegoś czasu znowu wracam do tych planów. Do tych marzeń, które miał mój ojciec. Zarzucić je tak całkowicie? Absolutnie. Nie może być. Pan, panie Schramm, swoją pasją związaną z otwarciem domu handlowego obudził we mnie pragnienie zrobienia czegoś wielkiego. Myślałem. Analizowałem. Wie pan, że tamta cukrownia upadła? – zapytał nagle hrabia.

– Zdaje się, że to było jakoś na dekadę przed końcem ubiegłego stulecia? – Pytanie zawisło w powietrzu.

– Zapaliłbym. – Schramm uśmiechnął się szeroko na słowa hrabiego. Też miałby ochotę na aromatyczne cygaro.

Aleksander podszedł do drzwi. Uchylił je lekko i wystawił głowę. Przez chwilę lustrował

korytarz, chcąc się upewnić, że Józefy nie ma w pobliżu. Potem wrócił do biurka, otworzył szufladę. Pogrzebał w niej chwilę i nagle w jego palcach ukazały się dwa ciemne, grube cygara.

– Przespacerujmy się – powiedział do Schramma. – Spacer na świeżym powietrzu to w końcu samo zdrowie.

Wyszli przed dwór, kierując się w stronę niewielkiego parku, który okalał domostwo.

– Przechera z pana, panie hrabio – odezwał się Schramm, zaciągając się z przyjemnością cygarem.

Wypuścił w powietrze gęsty, pachnący dym.

– Człowiek uczy się całe życie. Trzeba sobie w końcu jakoś radzić, ale wracając do cukrowni... – Michałowski przez chwilę delektował się paleniem. – Jakiż to ma smak. Jakież to dekadencje. Jakież grzeszne i zabawne, kiedy robi się to w ukryciu. – Zaśmiał się, a z jego ust uniosła się w niebo smuga dymu. – Tak więc, cukrownia. Upadła, ponieważ nie było surowca. Potem jeszcze próbowano ją ratować, sprzedając niejakiemu Sachsowi, Żydowi z Kijowa. Niestety, zakład przetrwał tylko do 1915 roku. Jego ponowny upadek nie ma nic wspólnego ze złym gospodarowaniem ani wojną. Markus Sachs zmarł, a że nie miał nikogo, kto mógłby prowadzić przedsiębiorstwo, jego koniec był naturalną kolejną rzeczą. Zatrudniał około stu pracowników oraz kilkuset pracowników sezonowych. Ci ludzie gdzieś tu mieszkali. Możliwe, że część z nich wciąż nie ma pracy. Bieduje. Wspomina pracę w cukrowni i za tą pracą tęskni.

– Czyżby proponował pan, hrabio, wznowienie prac nad cukrownią? – zapytał Schramm, przystając w cieniu rozłożystego kasztana.

– Zastanawiam się, czy nie otworzyć na nowo cukrowni Sachsa. Wiem, gdzie mieszka jego żona. Jeżeli jest pan zainteresowany, panie Schramm, poproszę Juliana, żeby skontaktował się z wdową po Markusie.

\*\*\*

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Stefania, wchodząc do sypialni, którą swego czasu dzieliła z Eleonorą. – Ostatnio rzadko bywasz w domu. Aż dziw bierze, że ojciec znosi to z istic stoickim spokojem. – Na twarzy młodszej córki Schramma pojawił się szeroki uśmiech.

– Rozmowy związane z przyjęciem, które chcemy niebawem wydać, zajmują nam z Julianem mnóstwo czasu. To w końcu nie błahostka. – Eleonora przymrużyło jedno oko, odwzajemniając uśmiech.

– Nie mnie osądzać wasze wysiłki, mam tylko nadzieję, że hrabina zaniemówi na widok waszych starań. A skoro już jesteśmy przy temacie rodziców, to czy nie uważasz, że byłby już najwyższy czas, abyśmy przeczytały list, który matka przesłała przez ojca? – Stefania usiadła na jednym z łóżek.

– Rozumiem, że pytanie jest czysto retoryczne, ponieważ niezależnie od tego, czy przytaknę, czy odmówię, i tak zechcesz to zrobić. Niemniej jednak musisz poznać moje zdanie. Nie miałam i nadal nie mam ochoty na czytanie informacji, jakie śle matka. Kiedy wyjechała, nie wiedziałam, jak się ustosunkować do jej decyzji, jednak nie potępiałam jej za ten krok. Może nawet skrycie podziwiałam za odwagę. W końcu miała siłę, żeby zacząć realizować własne marzenia, ale teraz, kiedy jej wypad zaczyna wpływać na życie całej naszej rodziny, dochodzę do wniosku, że to nie odwaga, a kaprys, który nagle postanowiła zrealizować, niepomna na nas i ojca, szczególnie na ojca. A kiedy jeszcze przypomnę sobie te wszystkie połajanki, pogaduszki i kazania związane z prawidłowym zachowaniem... – Eleonora westchnęła głęboko. Była poruszona. Stefania od dawna nie widziała jej tak zdenerwowanej. – Matka zaczyna jawić mi się jako hipokrytka. Przez lata udawała, kryła się za konwenansami, których strzegła niczym Cerber, a potem nagle zapomniwała o własnych naukach. Wzięła nogi za pas i wyjechała.

– Tym bardziej nalegam, żebyśmy przeczytały list.

– Och, zapewniam cię, że znajdziesz w nich tłumaczenia. Może nawet zgrabne przeprosimy. Stefciu – Eleonora podeszła do łóżka i usiadła koło siostry – nie potępiam jej za chęć zrealizowania marzeń, pragnień, pasji. Sama je mam, ale nie mam zamiaru rozgrzeszać matki za hipokryzję. O ileż łatwiej byłoby mi w życiu. Nie musiałabym kryć się z chęcią do nauki. Dziś, kto wie, może byłabym po studiach. A tak, moje zamiary wciąż pozostają w strefie marzeń. Dlaczego? Dlatego, że Tekla

Schramm przez lata grała konserwatywną tradycjonalistkę, a tymczasem okazała się nowoczesną, wyzwoloną kobietą. – Eleonora zamilkła.

W pokoju zapanowała cisza. Gdzieś w domu rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zapewne Justysi wyleciał z rąk talerz, a może filiżanka. Otwierane i zamykane drzwi zdradziły ciekawość ojca, który zapewne wyrzwał z gabinetu, żeby sprawdzić wielkość poczynionych szkód.

– Czytaj – odezwała się wreszcie Eleonora. – Masz rację, w końcu kiedyś trzeba to przeczytać.

Eleonoro, Stefano,

nie zamierzam Was przepraszać, a tego zapewne spodziewałyście się w pierwszych słowach listu – czytała Stefania. Zerknęła przy tym znacząco na siostrę. Nora przewróciła teatralnie oczami. Stefcia wróciła do lektury. – Niemniej jednak poczuwam się w obowiązku, żeby jakoś wytłumaczyć zaistniałą sytuację. Jakiś czas temu pomiędzy mną a Waszym ojcem doszło do pewnego nieporozumienia, które najpierw zrodziło kłótnię, a później porozumienie, jakiego brakowało nam przez lata naszego małżeństwa.

Nie jesteście już małymi dziewczynkami, ale świadomymi, dorosłymi kobietami, które układają sobie życie, a jednak mam wrażenie, że w waszej świadomości pokutuje przekonanie, że małżeństwo moje z Waszym ojcem było poukładane, zgodne i niezmiernie szczęśliwe.

Nie przeczę. Byliśmy na swój sposób szczęśliwi, poukładani i zgodni, ale następnego dnia po wspomnianej wymianie zadań przeprowadziliśmy z Janem spokojną rozmowę. Wróciliśmy do początków naszego związku. Do tych początków, o których my nie pamiętaliśmy albo nie chcieliśmy pamiętać, a Wy nie wiedziałyście i nie miałyście się dowiedzieć.

Otóż nasz związek był mariażem, który zaplanowali nasi rodzice. Pobraliśmy się, ponieważ tak uzgodniono. Nikt nie pytał nas o zdanie. Nikt nie zadawał sobie trudu, aby porozmawiać ze mną czy z Janem o tym, co czujemy i czy tego chcemy. Znałam Waszego ojca od zawsze. Niemal od kołyski. Był dla mnie jak brat. Traktowałam go podobnie jak Władysława. Nie widziałam w nim mężczyzny. Nie patrzyłam na niego, jak Ty, Eleonoro, patrzysz na Juliana albo Ty, Stefciu, na Janka. Nie myślałam o Waszym ojcu w taki sposób. Więc kiedy Wasz dziadek, a mój ojciec zapytał, czy chciałabym wyjść za Jana, pomyślałam, na Boga, nie. A jednak stanęłam z nim na ślubnym kobiercu.

Nigdy, aż do tamtego pamiętnego dnia, nie rozmawialiśmy z Janem o tym, co czuliśmy. Czego chcieliśmy i przede wszystkim czy -kochaliśmy innych ludzi.

Dla Was i otoczenia byliśmy zgodni, jak mało które stadło. Wiem, że pewne panie z towarzystwa zazdrościły mi męża, który nie utrzymuje kochanki albo nie chodzi do wiadomych domów. Tak, jestem Waszemu ojcu za to niezmiernie wdzięczna, ale od niedawna zaczęłam sobie zadawać pytanie, czy gdyby było inaczej, byłabym zdruzgotana. Pewnie jak każda kobieta czułabym się upokorzona, ale czy zazdrosna?

Bałam się odpowiedzieć sobie na to pytanie. Tamtego dnia odpowiedzieliśmy na nie z ojcem razem. Żyliśmy razem, ale nie ze sobą, tylko koło siebie. Wynieśliśmy na wyżyny umiejętność udawania kochającego się małżeństwa.

Tak, kochamy się, ale jak para dobrych przyjaciół. Dzięki problemom, w które uwikłał się Jan, odpowiedzieliśmy sobie na wiele pytań. Rozwialiśmy wątpliwości. Staliśmy się wobec siebie uczciwi i prawdomówni. Bez półśrodków. Bez półprawd. Bez niedomówień. Także w kwestii dalszego pożycia. Zobaczyliśmy nasz związek takim, jaki był naprawdę. I zgodnie doszliśmy do wniosku, że może któreś z nas zechce jeszcze żyć pełną piersią.

Wasz ojciec jeździł do Wieliczki. Rozmawiał ze mną. Pewnie wnioskowałyście, że stara się mnie ściągnąć za wszelką cenę do domu. Musicie mu wybaczyć, że utrzymywał Was w tym przekonaniu. Był tam, żeby porozmawiać. Przekazać wieści. Zapytać, co u mnie.

Zgodnie zdecydowaliśmy, że już żadne z nas nigdy nie będzie drugiej strony namawiało na udawanie. Nie młodniejemy. Czas ucieka. Ten, który nam pozostał, chcemy przeżyć po swojemu, tak aby nie żałować u kresu, że nie mieliśmy odwagi zrzucić jarzma konwenansów, nawet jeżeli narazi nas to na ostracyzm, krytykę i pomówienia o hipokryzję.

Zdaję sobie sprawę, że tak właśnie będzie, ale Wy, a zwłaszcza Ty, Eleonoro, powinnyście wiedzieć, jak to jest realizować marzenia.

A ja właśnie je realizuję. I jestem szczęśliwa.

Pobyt w Wieliczce okazał się dla mnie jakby przejściem przez bramę, za którą droga wiodła do poznania tego, co niepoznane. Do odkrywania tajemnic i zawierania znajomości, o których nawet nie śmiałam marzyć.

Ten początkowo ryzykowny i nawet dla mnie lekkomyślny wyjazd do Londynu okazał się milowym krokiem w poznawaniu świata nadprzyrodzonego, którym interesuję się od dawna. Nie, moje kochane córeczki, jeżeli myślicie, że zaczęłam się z nim zaznajamiać, kiedy byliście już na świecie, a ja byłam mężatką, to muszę Was srodze rozczarować.

Już jako dziecko miałam przecucie, że nasz świat nie jest tak prosty i mało skomplikowany, jak go przedstawiają rodzice, nauczyciele, naukowcy. Jest druga, trzecia, a może i kolejne warstwy. Tajemnicze, ciekawe, fascynujące, ale także niebezpieczne. Kuszą, mamią, wciągają, lecz każdy, kto podchodzi do nich niefrasobliwie, płaci wysoką cenę. Najwyższą...

Dlatego uczę się. Poznaję. Czytam. Studiuję. Odbywam praktyki, a wszystko pod czujnym okiem najpierw samego Mistrza Aleistera Crowleya, a teraz jego najlepszej uczennicy, Szkarłatnej Kobiety – Ewy Piotrowny Biesłanowny.

Od Mistrza nauczyłam się cierpliwości i perfekcjonizmu. Poznałam szereg „magicznych broni”, dzięki którym można sprawować kontrolę nad żywiołami i duchami. Tworzę pentakle, kielichy. Używam mieczy i sztyletów.

Każdy z nas, każda żywa istota jest magazynem magii. Od wiary w świat nadprzyrodzony, ale i od charakteru oraz moralności zależy jej ilość i jakość. Zadajecie sobie pewnie pytanie, czy wciąż czytacie list, który skreśliła Wasza matka, czy może to pismo nieznannej kobiety. Jestem i jednym, i drugim. Sama odkrywam siebie na nowo. Sama siebie nie poznaję. Czasami pragnę uciec od tego wszystkiego. Wrócić do domu, do Krakowa. Być ową hipokrytką, która za skostniałymi tradycjami chowa swoje prawdziwe „ja”, ale wtedy odzywa się moja druga natura. Woła, krzyczy, wyrwa się. Słuchałam, jak Mistrz opowiada o prawdach zawartych w starochińskiej Księdze Przemian.

Nie jest łatwo. Wciąż borykam się z barierą językową. Tych kilka jałowych lekcji angielskiego, które pobrałam, będąc panną, nie mogło stanowić o moich umiejętnościach, ale było bazą do ciężkiej pracy, która już przynosi efekty. Na razie nie takie, jakich bym oczekiwała. Nic to jednak, dla świata niematerialnego bariery językowe nie mają znaczenia.

Niedawno Mistrz wraz z kilkoma Szkarłatnymi Kobietami wyjechał do domu na Sycylię, do Opactwa Thelemy, zwanego także Opactwem Siły Woli. Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym i ja będę mogła dołączyć do jego mieszkańców, pogłębiających naukę nad magicznymi rytuałami.

Niestety, przede mną jeszcze długa droga. Liczę, że starczy mi życia, aby ją przebyć, wszak chcąc zostać magiem, muszę wspiąć się po Drzewie Życia, do którego prowadzą określone ścieżki, a każda z nich jest kolejnym wyzwaniem.

Dzisiaj moje życie to samodoskonalenie i poszerzanie horyzontów własnego umysłu. Nie poznałabyś mnie, Eleonoro. Dziś z radością przysiadłabym koło Ciebie w starym antykwariacie. Dziś z błogością porozmawiałabym o anatomii. O sile umysłu i serca. O tym, co cielesne, a co duchowe. O sacrum i profanum. Czy pomyślałabyś, że Twoja matka będzie kiedyś pobierać nauki hebrajskiego? Tak, dobrze przeczytałyście. Poznaję tajniki tego języka, aby móc dopełnić oczyszczającego rytuału Mniejszego Pentagramu, który wyzwala od kompleksów i obsesyjnych myśli... – Stefania zawiesiła głos. Spojrzała na Eleonorę. Chciała coś wyczytać z jej twarzy, ale mina Nory była nieodgadniona. – Jestem zelatorem – zaczęła Stefania, odkładając kolejną, ściśle zapisaną kartkę szeleszczącego papieru. – Uczniem na początku drogi. Przede mną lata praktyki. Kolejne stopnie wtajemniczenia. Czy osiągnę całą dziesiątkę? Mam nadzieję, że tak, zwłaszcza że rozpoczęła się era Horusa, a naszym jedynym prawem jest realizowanie własnej prawdziwej Woli. Stefcu, Norciu, otwórzcie się na własne pragnienia. Wiem, że w moich ustach brzmi to niesamowicie, ale nie pozwólcie zamknąć się sztywnym umysłem w klatce. Żyjcie. Bawcie się. Kochajcie.

I wybaczcie, że nie będzie mnie przy Was. Na razie nie zamierzam wracać. Nie teraz. Nie, kiedy mam tyle do odkrycia. Może kiedyś... Może kiedyś mi wybaczycie?

Ręka Stefanii opadła wraz z listem na kolana. Eleonora podniosła się z łóżka i podeszła do okna.

Pamiętała, jak lubiła wpatrywać się w latarnie. Pamiętała, jak matka marudziła, że nie pozwalają jej spać, ponieważ świecą tak jasnym blaskiem. Pamiętała, jak Tekla besztowała ją za wielogodzinne przesiadywanie w antykwariacie. Za marzenia, że zostanie lekarzem. Za decyzję, aby iść do szkoły pielęgniarek. Pamiętała, jak matka boczyła się na nią, kiedy poszła na wojnę.

Oczy Eleonory zrobiły się wilgotne. Jedna, samotna łza spłynęła po policzku.

– Czy to już wszystko? – zapytała, nie odwracając się w stronę Stefanii.

Nie chciała, aby siostra zobaczyła jej słabość. Zaszleściły kartki papieru.

– Nie, w kopercie są jeszcze dwie strony. To rysunki, a pod nimi opis. Zapewne sporządzony przez matkę.

Eleonora odwróciła się od okna. Emocje i wspomnienia ustały. Uspokoiła się. Ponownie usiadła przy Stefci, biorąc do ręki wspomniane szkice.

– Piękne – odparła. – Nie wiedziałam, że Tekla Schramm ma taki talent.

– Tak, są piękne. Dopracowane. Spójrz na te linie. Wydają się niedbałe, a jednak są przemyślane. – Stefania podziwiała rysunki. – W końcu po kimś musiałam ten talent odziedziczyć, nieprawdaż? – Zasmiała się krótko, ale nie był to radosny śmiech. Eleonora nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową.

– Przeczytaj – poprosiła Nora, wskazując na tekst, który Tekla umieściła pod szkicami.

Nie byłabym sobą, gdybym na dobre rozstała się z moim tarotem. Wciąż polegam na jego wskazówkach i pisząc do Was, postanowiłam podzielić się z Wami przyszłością, jaką przedstawiły mi dla was Wielkie Arkana.

– Oczywiście. – Eleonora z dezaprobatą pokręciła głową, jednak nadal słuchała słów czytanych przez siostrę.

Noro, ojciec przekazał mi informacje o Twoich i Juliana przygotowaniach. To cudowne wieści i chociaż nie będzie mnie ani na Waszym przyjęciu zaręczynowym, ani zapewne na Waszym ślubie, wiedz, że błogosławię tej decyzji i całkowicie ją popieram. Musiałam zapytać tarota o Twoją przyszłość. Twojej siostry także. Dla każdej z Was wyciągnęłam karty dwa razy. Twoje, Eleonoro, to Śmierć i Świat. Nie, nie obawiaj się, Śmierć to doskonała karta, która ukazała mi się w pozycji prostej, jakby potwierdzając nadchodzące, nieuchronne zmiany, jakie nastąpią w Twoim życiu. Czekają cię nieodwracalne zmiany, które będą miały znaczący wpływ na Twoje życie. Nie, nie wzdrygaj się na myśl o karcie Śmierć. Ona nie mówi o śmierci. Twoja godzina nie jest znana. Nikomu. Ani mnie, ani Tobie, ani kartom.

Śmierć to metafora. To koniec, ale także... Śmierć to dopiero początek. Nie wzdrygam się, dotykając karty. Czuję zadowolenie. Śmierć niesie dla Ciebie coś lepszego. Metamorfozę, odrodzenie. Zmianę w życiu. Ślub to krok milowy, a małżeństwo z miłości to szczęście, które nie każdemu jest dane. Myśl pozytywnie, Norciu. To, co przed Tobą, jest konsekwencją Twoich dotychczasowych działań. Kto wie, może Śmierć przyniesie Ci realizację marzeń, zwłaszcza że tuż za nią podąża Świat, który wróży Ci odnalezienie swojego miejsca w życiu, w życiu przy boku Juliana, hrabiego Michałowskiego. Wróży Ci sukces materialny, radość, dojrzałość. Tak, masz rację, zastanawiając się, czy Świat to także wskazówka do dalekich podróży. Uwierzyć, że granice są już tylko w Tobie, nie bój się ich przekroczyć. Wszak świat stoi przed Tobą otworem.

Stefania wyciągnęła rękę, w której trzymała kartkę z wróżbą, w stronę Eleonory.

– Czy potrzeba tarota do tego, żeby wiedzieć, że wyjdę w końcu za mąż, skoro od lat spotykam się z mężczyzną, który oświadczył mi się nie raz, a dwa razy? Cóż za banialuki.

– Wiesz, że mama zawsze miała inklinacje do infantylności, a teraz, zapewne pod wpływem Mistrza, jeszcze się one pogłębiły. – Sarkazm w ustach Stefanii brzmiał dziwnie i nietypowo, dlatego Eleonora spojrzała na siostrę uważnie. Nie mogła jednak nic wyczytać z jej oczu, ponieważ Stefcia już pochylała się nad kolejną kartką. – Teraz moja kolej. Posłuchasz?

– Czytaj zatem – odparła Nora, wzdychając teatralnie. Roześmiały się radośnie. Głośno. Bez troski. – Przynajmniej wrócił nam dobry humor. Posłuchaj.

Zdziwiłam się, ale widać taka krąży teraz wokół Ciebie energia. Wybierając dla Ciebie karty, Stefanie, dwa razy natrafiłam na Pustelnika. Mogłabym pisać o nim bez końca, ale jego główne

przesłanie to samotność. Czuję ją tak głęboko. To osamotnienie aż boli. Stefciu, dlaczego odgradzasz się od ludzi? Dlaczego odpychasz tych, których ko...

Stefania zerwała się z łóżka. Kartka, którą przed chwilą trzymała w dłoni, opadła na miękki dywan.

– Banialuki – skwitowała młodsza córka Schrammów, wychodząc z sypialni Eleonory, która sięgnęła po list.

Szybko przebiegła wzrokiem kolejne zdania.

Wiem, że w życiu każdego przychodzi czas, kiedy pragnie samotności, szuka własnej drogi. Zagląda do własnego wnętrza, zastanawiając się, jaką wybrać. Ty, kochanie, stoisz na rozstaju, co tylko wzmaga poczucie zagubienia. Nie mocuj się z własną bezsilnością. Nie myśl o kłopotach. Nie zastanawiaj się, co i jak powinnaś zrobić. Pozwól się unosić zrządzeniom losu. Zdaj się na opatrność. I, na Boga, nie izoluj się. Nie uciekaj przed życiem. Musisz zaakceptować siebie. Daj się odnaleźć tym, którzy Cię szukają. Którzy zabiegają o Ciebie. Którzy Cię kochają. Ta karta krzyczy do Ciebie. Krzyczy: „Otwórz się na innych”. Przestań zamykać się w rzeczywistości, którą dla siebie stworzyłaś. Pamiętaj, że nie jesteś sama.

Eleonora odłożyła list. Mogła myśleć o matczynych fanaberiach jako o głupotach i o ile nie przywiązywała wagi do słów, jakie Tekla skierowała do niej, nie mogła nie zgodzić się z tym, co matka napisała do Stefanii.

Pragnęła, aby siostra przestała się zamartwiać i zamykać w sobie, ale wiedziała z własnego doświadczenia, że tylko Stefania może przerwać ten zamknięty krąg.

Że tylko ona może podjąć decyzję, jak będzie wyglądało jej życie.

Eleonora spojrzała na stos kartek zapisanych pismem matki. O ile jej córki wciąż jeszcze były na etapie decydowania, Tekla Schramm już decyzję podjęła. Przestała udawać. Zaczęła żyć.



## Rozdział 7

Eleonora zatrzymała się tuż za drzwiami katedry wawelskiej. O tak wczesnej porze kościół był prawie pusty. Nie była tu od dawna, a przecież kiedyś uwielbiała tutaj przychodzić. Od dziecka zaglądała do bazyliki przy każdej nadarzającej się okazji. Snuła wówczas w myślach bajeczne opowieści. O księżniczkach, królewiczach, walecznych -rycerzach, smokach i wielkiej, niekończącej się miłości.

Przeżegnała się w skupieniu. Po chwili, wystarczającej na krótką, ale intensywną modlitwę, skierowała się w stronę nagrobka Władysława Warneńczyka, który od najmłodszych lat fascynował ją najbardziej. Pamiętała, jak wuj Władysław opowiadał o historycznych konsultacjach, jakich udzielali wykładowcy uniwersyteccy. Profesor miał przyjemność zobaczyć rzeźbę kilka miesięcy przed jej oficjalnym odsłonięciem, które nastąpiło w lipcu 1906 roku.

– Jest niesamowita, zapadająca w pamięć. Hipnotyzująca – mówił z takim samym przejęciem, z jakim Eleonora go słuchała. – Nie jestem esteta, znawcą sztuki czy koneserem ludzkiego piękna, ale ta rzeźba porusza moje wnętrze i sprawia, że cierpię na myśl o śmierci tego młodego władcy.

W dniu oficjalnego odsłonięcia cenotafu w katedrze zebrały się spore tłumy, chcące nie tylko ocenić kunszt rzeźbiarza Antoniego Madeyskiego, który do wykonania dzieła użył czerwonego marmuru i brązu, ale także oddać cześć bohaterstwu, z jakim walczył król Władysław poległy pod Warną.

Eleonora jak zwykle zatrzymała się przy nagrobku. Wiedziona emocjami, jakie zawsze wywoływała w niej wizyta w tym miejscu, dotknęła zimnego rzeźbionego ramienia, jakby chciała dodać otuchy leżącemu rycerzowi, trzymającemu w skrzyżowanych na piersi dłoniach miecz – Szczerbiec. Zamknęła oczy. Modliła się w ciszy i skupieniu.

Prosiła o pomyślność dla bliskich, o zdrowie, o szczęśliwe rozwiązanie kłopotów. Modliła się o przyszłość, która dziś miała wreszcie zacząć nabierać realnych kształtów. Wreszcie pomodliła się za zmarłego.

Odgłos zbliżających się kroków wyrwał Schrammównę z zamyślenia. Na odchodnym pogładziła ramię Warneńczyka, spojrzała na doskonałe oblicze i ruszyła do wyjścia. Zerknęła na zegarek. Miała wrażenie, że w kościele spędziła zaledwie kwadrans, a tymczasem od chwili, kiedy przekroczyła próg katedry, upłynęła prawie godzina. Dochodziła dziewiąta.

Szybszym krokiem Eleonora skierowała się w stronę ulicy Kanoniczej, przechodząc obok Domu Długosza; nieco zwolniła kroku, mijając kamienicę pod numerem 21, gdzie nie tak dawno mieszkał znany historyk Ludwik Łętowski, którego książkę traktującą o wawelskiej katedrze miała w swoich zbiorach; wolniej przeszła także obok Bursy Grochowej, w której w XV wieku mieszkali ubodzy studenci prawa. Na samo wspomnienie o prawie pomyślała o Julianie, z którym rozstała się wczoraj późnym wieczorem.

– Zostań – szepnął Julian, przyciągając ją do siebie.

Stali w salonie wynajmowanego mieszkania, tuż nad kancelarią, do której Michałowski nie zaglądał od samego rana, oddając się tego dnia we władanie Eleonory.

– Jesteś niepoprawny – odpowiedziała, odsuwając się na wyciągnięcie ramion. – Ludzie i tak już szepczą za naszymi plecami. Czuję na sobie ich wzrok. Jeżeli będziesz taki obcesowy, zobaczysz, złożą skargę na ręce wdowy po Szalicie i będziesz zmuszony szukać nowego lokum. I kancelarii też. – Niemniej jednak nie odsunęła się od niego całkowicie. Zamiast tego wspięła się na palce i pocałowała lekko rozchylone usta Juliana.

Całował ją długo, namiętnie, ale tym razem powoli, subtelnie. Nie było w tym dzikości, napastliwości, a nawet złości, jaka niekiedy wybuchała między nimi, jakby karali siebie za stracony czas.

– Zostań – szepnął znowu.

Była gotowa ulec. Czuł, że jej wola słabnie. Przyciągnął ją jeszcze bardziej. Poczowała go. Był gotowy znowu zabrać ją do łóżka.

– Nie potrafię się tobą nasycić – mówił tuż przy jej ustach.

– Więc niech tak zostanie. – Odepchnęła go lekko od siebie.

Zdrowy rozsądek jednak zwyciężył. Poprawiła sukienkę i kardigan. Sięgnęła do spiętych w kok

włosów.

– Cieszę się, że nie poszłaś za modą i nie ścięłaś włosów, tak jak zrobiła to Rozalia i Stefania. Chociaż muszę przyznać, że obie wyglądają znakomicie. – Julian zmienił temat.

Znał Eleonorę bardzo dobrze. Podjęła decyzję.

– Przepraszam – powiedziała, znowu do niego podchodząc. Stała blisko, jednak nie dążyła do tego, żeby ją objął. Julian nie miał takiego zamiaru. Gdyby to zrobił, znowu musiałby ją pocałować. Znowu zacząłby ją namawiać na pozostanie, a przecież wiedział, że ta zabawa nie miała sensu. – Przepraszam, że odrzucam propozycję. Pragnę tu zostać. Nie tylko dziś. Nie tylko tej nocy, ale już na zawsze. Niemniej jednak nie żyjemy na odludnej planecie. Wiem, że ostatnio za nic masz konwenanse i ludzkie spojrzenia, lecz czasami trzeba iść na kompromis. Poza tym mój ojciec... – Eleonora zamilkła na chwilę. – Jest wyrozumiały, cierpliwy i nad wyraz dyskretny, ale nie chcę przeciągać struny. Zresztą jutro czeka mnie pracowity dzień.

– Wiem. Rozmawiałem z Rozalią. Podziękowałem jej, że będzie ci towarzyszyć. Musisz mi wybaczyć. Praca adwokata to coś więcej niż sztywne godziny w biurze. To powołanie.

– Wybaczam, choć nie dlatego, że to powołanie, bo oboje doskonale wiemy, że mógłbyś zrobić wyjątek, ale nie możesz być przy mnie, kiedy będę szukać ślubnej sukienki.

Na wspomnienie ich wczorajszej rozmowy Eleonora musiała się uśmiechnąć. Jadący na rowerze młody chłopak, którego mijają na Grodzkiej tuż u wylotu na plac Wszystkich Świętych, zagwizdał z uznaniem na jej widok. Pomachała mu rękę, ciesząc się, że dzień zaczął się tak optymistycznie.

Już z daleka zauważyła Rozalię czekającą przed gmachem magistratu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się być dziś moją towarzyszką i doradcą. – Eleonora złożyła na policzkach siostry Juliana dwa przyjacielskie pocałunki. – Julian sprytnie wymówił się obowiązkami, chociaż cieszę się, że tak się stało. Chciałabym dziś odwiedzić pracownię krawieckie i ustalić szczegóły sukni ślubnej.

– A więc to jednak się wydarzy? – Rozalia uśmiechała się szeroko. – Wybacz mój drobny żart, ale po tylu latach straciłam już nadzieję, że mój braciszek, wieczny kawaler, zmieni stan cywilny. A więc zaczynamy od magistratu? – zapytała córka Michałowskich, kierując się w stronę pałacu Wielopolskich.

– Rozczaruję cię. W magistracie byliśmy z Julianem już kilka dni temu. Termin zarezerwowany. Oferowano nam aż dwa do wyboru. Nie namyślaliśmy się jednak długo. Już dawno wiedzieliśmy, jaką datę wybrać. Były pewne obawy, ale los się do nas uśmiechnął. Najchętniej teraz zdradziłabym ci szczegóły, lecz Julian wymógł na mnie obietnicę, że nie pisnę słówka. Dowiesz się tak jak wszyscy pozostali, na uroczystym przyjęciu, które wydajemy za kilka dni. Wiesz zresztą doskonale, że to już w tę sobotę. Julian oczywiście przekazał ci zaproszenie?

– Tak. – Rozalia zatrzymała się po kilku krokach. – Znasz Juliana. On nie zapomina o niczym. Był u mnie w tej sprawie nawet kilka razy. Za pierwszym razem przyniósł zaproszenie. Potem wpadł jeszcze raz czy drugi, żeby się upewnić, że będę. Ja i Eryk. Powiedziałam, że przyjdę, ale tylko z Erykiem.

– Oczywiście, nawet nie pomyślałam, że mogłabyś przyjść bez niego. – Eleonora czekała na dalsze słowa Rozalii, ale chociaż siostra Michałowskiego nie zdążyła jeszcze nic dodać, Schrammówna -wiedziała, że nie spodoba jej się to, co usłyszy.

– Eryk nie przyjedzie. Starał się, prosił o możliwość krótkiego wyjazdu, ale nie otrzymał zgody. Przepraszam, Eleonoro, ciebie i Juliana, lecz tym razem nie skorzystam z zaproszenia. Julian prosił, namawiał, tłumaczył, żebym porozmawiała z matką, ale nie potrafię się zebrać. Za każdym razem, kiedy wybieram się do Zakrzówka, słyszę jej krzywdzące słowa, które wypowiedziała w wigilijny wieczór. Zresztą to nawet nie słowa bołą mnie najbardziej, ale wyraz jej oczu i zaciętość wypisana na twarzy, kiedy do mnie mówiła. Wtedy zawracam. Wyrzucam sobie swoją małośćkowość, jednak nie potrafię inaczej.

– Żałuję, że nie zaszczycisz nas swoją obecnością, ale wolę, żeby nie było cię teraz, niż gdybyś miała odmówić przyjścia na ślub. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię zabraknąć.

– Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko sobie z matką wytłumaczymy. Że zapomnimy o niesnaskach. Że wypracujemy spokojny kompromis, który pozwoli nam egzystować obok siebie.

W końcu jesteśmy rodziną. Niedyskretnie zapytam, czy pomimo złożonej -obietnicy... – Rozalia zawiesiła głos.

– Chodźmy na Szpitalną. – Eleonora skręciła w Grodzką. – A wracając do terminu... Powiem, ale może sama zgadniesz. Mam dla ciebie kilka wskazówek. – Rozalia zaśmiała się głośno. Wysoki, szczupły mężczyzna obejrzał się za nimi. Patrzył na ich zgrabne sylwetki, wpatrywał się, ścigał wzrokiem, ale ani Nora, ani Rozalia nie zwróciły na niego uwagi. – Kiedy zaczęliśmy zastanawiać się nad najlepszą datą, Julian co rusz wskazywał na jakieś przesady. Znam go od tylu lat, a dopiero teraz dowiedziałam się, jaki jest przesądny. Kto by pomyślał, że mocno stąpający po ziemi prawnik wierzy w stare zabobony, ale nie chciał ustąpić ani na krok, przynajmniej w kwestii liter. Wybraliśmy miesiąc z literą „r” w nazwie. Od razu postawiliśmy tylko na dwa miesiące. Oczywiście, żeby było zabawniej, każde z nas wybrało inny. Oba doskonale na wyprawienie ślubu i wesela, ale w końcu po długich dysputach, w których główną rolę odgrywał czas pozostały na resztę przygotowań, padło na wybór twojego brata.

– To bardzo ułatwia rozwikłanie zagadki – przekomarzała się Rozalia.

Chwilę później Eleonora pochyliła się nad jej uchem. Konspiracyjnym szeptem, rozglądając się na boki, zdradziła pilnie strzeżony sekret, czym na twarzy Rozalii wywołała prawdziwą radość i -nieskrywany zachwyty.

\*\*\*

Ze Szpitalnej, gdzie długi czas zabawiły w pracowni pana Kuci, krawca znanego głównie w kręgach krakowskiej arystokracji, do którego Eleonora zaszła z polecenia Idy Goldbaum, żwawym krokiem ruszyły przez św. Tomasza na róg ze Sławkowską, gdzie w restauracji hotelu Grand czekał na Eleonorę Julian. Kiedy Frau Goldbaum dowiedziała się od Stefci o planowanym ślubie Nory, od razu zaoferowała nie tylko pomoc w wyborze krawca sukni ślubnej, ale także zaprojektowanie obrączek, który to projekt w skrytości poleciła wykonać Stefanii.

– Proszę, wejdź. Usiądziesz z nami – mówiła Eleonora, stojąc przed głównym wejściem hotelu.

– Baw się dobrze. – Rozalia nachyliła się nad policzkiem Schrammówny. Ucałowała ją po przyjacielsku, ściskając za ramię. – W tej sytuacji troje to już tłum. Poza tym obiecałam matce Eryka, że zabiorę dziś Magdalenkę do siebie. Zdanowscy przeprowadzają się do majątku po Tojewie, gdzie będą teraz mieszkać i pracować.

– Julian wspominał o twoim pomysśle. Cieszę się, że może w końcu ich życie lepiej się potoczy, i będzie to miało także wpływ na Eryka.

– Jacek już od jakiegoś czasu pomieszkuje w Zakrzówku. Pomaga we dworze, chociaż najczęściej, o czym sama dobrze wiesz, przebywa w kancelarii. Nie wiem tylko, jak sobie tam radzi, ponieważ Julian nie zdradza szczegółów. Czyżby było tak źle? – Eleonora odsunęła się od wejścia, nie chcąc tarasować drogi gościom hotelowym.

– Jacek to pojętny i sprytny chłopak, jednak nie wykazuje takiego zainteresowania prawem, jakiego oczekiwałby Julian. Wydaje mi się, że dużo lepiej czuje się we dworze. Godzinami potrafi rozprawiać o zwierzętach, szczególnie o koniach.

– O, tak. Kocha je bardzo. Ma wrodzony talent do jazdy. Ponoć nigdy nie uczył się jeździć, bo i gdzie, a już po kilku lekcjach, jakich udzielił mu Julian, dobrze i pewnie czuje się w siodle.

– Może należałoby zmienić kierunek jego nauki. Czasami, o czym same dobrze wiemy, przymuszanie do rzeczy, w których się nie odnajdujemy, przynosi rezultat odwrotny do oczekiwanego. – Rozalia zamilkła na chwilę. – Kochana, baw się dobrze. I pamiętaj, gdybyś potrzebowała towarzystwa na przymiarce, wystarczy szepnąć słówko. Kiedyś nie przypuszczałabym, że tak dobrze można czuć się u krawca. A jednak...

– Czasami wystarczy odpowiednie towarzystwo.

Rozalia skinęła głową, raz jeszcze ucałowała przyjaciółkę i radośnie, podniesiona na duchu dotychczasowym przebiegiem dnia, ruszyła na Łobzowską.

Tymczasem Eleonora, prowadzona przez gospodarza sali, szła w stronę stolika, przy którym siedział Julian.

– Wybacz, że musiałeś czekać nieco dłużej, ale jeszcze chwilę temu, tuż przed wejściem do hotelu, rozmawiałam z Rozalią. – Julian -ucałował zaczerwienione policzki Eleonory.

Z galanterią odsunął krzesło, czekając, aż Eleonora wygodnie usiądzie. Przyglądał się jej z wielką przyjemnością. Widać było, że zakupy, przymiarki i plotki z Rozalią dobrze jej zrobiły. Przynajmniej na chwilę zapomniała o problemach związanych z Teklą, Stefanią oraz przestała się denerwować spotkaniem rodzinnym, które miało odbyć się za kilka dni w mieszkaniu Juliana, na ulicy Szlak 21, na co młody hrabia bardzo nalegał.

– Pozwól, że twój ojciec, Stefcia oraz moi rodzice zagoszczą w tych progach. Teraz, kiedy nie ma twojej matki, taki wybór wydaje się najwłaściwszy – perorował niedawno, starając się przekonać wciąż sceptyczną Eleonorę.

– Masz na myśli swoistą ziemię niczyją? – zapytała, dając tym samym przyzwolenie na zorganizowanie uroczystości właśnie tam, w dawnym mieszkaniu Edmunda Szalita.

W czasie, kiedy Eleonora po raz kolejny z zachwytem, ale dyskretnie, rozglądała się po sali restauracyjnej, Julian zajmował swoje miejsce.

– I pomyśleć, że jeszcze w czasach młodości naszych rodziców ten kwartał nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym – zaczął Julian, podążając za wzrokiem Eleonory. – Ot, standardowe czynszówki.

Nora przytaknęła skinieniem głowy. Była tu raz jeden z rodzicami. Wówczas ojciec, który swego czasu mocno interesował się dziejami krakowskich kamieniczek, nie z powodu fascynacji historią, ale z racji finansowej, upatrując ewentualnego klienta we właścicielach tej czy innej znanej kamienicy, opowiedział historię gmachów na rogu św. Tomasza i Sławkowskiej.

Schramm ubolewał wówczas, że kiedy Chronowski przymierzał się do stworzenia hotelu, nie zamierzał zaciągać kredytów, albowiem wszystkie koszty pokrywał z własnej, głębokiej kieszeni.

– Mój ojciec nie mógł uwierzyć, że Marcelina Czartoryska zamierza sprzedać pałac – mówił Julian, doceniając piękno Grand Signature, jednej z sal restauracji. – W głównej sali pałacu, marmurowej, księżna Marcelina dawała koncerty fortepianowe. Na kilku z nich udało się być także mojemu ojcu. Tak jak wtedy, kiedy jeszcze grywała tam Marcelina, tak i dziś stoją w niej kominek, fortepian, popiersie Fryderyka Szopena, którego księżna Czartoryska uwielbiała, a kotary wiszące w oknach nadal w niektórych miejscach ozdobione są Pogonią, herbem rodowym Czartoryskich. Jeżeli będziesz miała ochotę, przejdziemy później do wielkiego salonu, w którym wciąż wisi obraz księżnej Marceliny pędzla Jana Matejki.

– Kiedy ojciec zaprosił nas na obiad do Sali Lustrzanej, byłam jeszcze nieopierzoną panią, zaś Stefcia dzieckiem. Tatko przyznał, że gdy pałac został przebudowany na Grand Hotel, z niezdrowej ciekawości wykupił nocleg w jednym z apartamentów, bodajże Kominowym, za który zapłacił krocie, chcąc się przekonać, że plotki krążące po Krakowie o przepychu hotelu są prawdziwe. – Eleonora sięgnęła po leżącą na stoliku kartę. Nie otworzyła jej jednak od razu.

– Jesteś więc pewna, że to w Sali Lustrzanej ma się odbyć nasze weselne przyjęcie? – zapytał Julian, przerywając trwające milczenie.

– To wybór podyktowany praktycznymi przesłankami. Daleka jestem od snobowania się. Tu wszystko jest pod ręką. W hotelu mają restaurację, cukiernię, kawiarnię, a nawet salę bilardową, w której bawić się mogą goście zmęczeni jedzeniem frykasów i tańcami. Zresztą jak sam wiesz, jest kilkoro gości na liście, którym należy zagwarantować nocleg, jak chociażby państwo Ochoccy, przyjaciele waszej rodziny.

– Uwierz mi, noclegiem dla Ochockich nie musielibyśmy się -kło-potać. Wszak nie raz i nie dwa nocowali w Zakrzówku.

– Wówczas jednak byli gośćmi twoich rodziców, Julianie. Nie możemy obarczać ich swoimi gośćmi, a przecież ludzie, którzy zjadą na nasz ślub i wesele, będą gośćmi nie Michałowskich z Zakrzówka, a Michałowskich ze Szlaku.

– Ufam twoim osądom i w materiałach związanych z planowaniem ślubu oraz wesela nie zamierzam się sprzeciwiać, chociaż pozwolisz, że wypowiem swoje opinie, jeżeli takowe będę miał. A skoro jesteśmy już przy tych sprawach, jak udał się wypad do krawca? Proszę, tylko bez zbędnych

szczegółów. Zanim jednak zaczniesz opowiadać, złożmy zamówienie – mówiąc to, Julian dyskretnie przywołał kelnera czekającego w gotowości. – Po takim wypadzie jesteś zapewne głodna, a że pora obiadowa zbliża się wielkimi krokami, zamówmy najpierw coś konkretniejszego.

– Aż do teraz nie myślałam o głodzie, a przecież od śniadania nic nie jadłam. Byłam tak podekscytowana wydarzeniami, że zapomniałam o jedzeniu. Dla mnie więc barszczyk z uszkami i stek na szparagach z sosem holenderskim, bez purée z ziemniaków.

– Dla mnie to samo, ale z ziemniaczkami. Później zamówimy jeszcze deser – dodał Julian, odkładając kartę dań. – Jedzenie będzie z pewnością wysmienite. Miejsce to od dawna przyciąga nie tylko wystrojem, ale także wykwinnością i umiejętnościami francuskiego kucharza, szefa Maurica. W tutejszym jadłospisie gustowali Sienkiewicz czy Żeromski. Zresztą nie bez powodów miejsce to wpisano do przewodnika Cooka. Śmiejesz się? – zapytał Julian, wpatrując się w roześmianą twarz Eleonory.

– Słucham cię i nie mogę uwierzyć, ale muszę przyznać rację tym, którzy twierdzą, że „z jakim przystajesz, takim się stajesz”, Julianie hrabio Michałowski. Mam wrażenie, że słucham siebie. I nie wiem, czy sprawia mi to nieskrywaną przyjemność, czy raczej budzi -przerażenie na myśl, że byłam taką mądralińską?

Julian roześmiał się nieco głośniejszym głosem, zwracając uwagę siedzącej nieopodal pary. Nie przeprosił jednak za swoje zachowanie. Czuł się szczęśliwy, wyluzowany i nie miał zamiaru za to przeproszać.

– Myślę jednak, że przewodniki Cooka czy francuski kucharz są tylko miłym dodatkiem do tych wspaniałych, świeżych produktów, które całymi furmankami zajeżdżają pod hotel – dodała Eleonora po chwili. – Kiedy stałam przed wejściem, zauważyłam kilka. Chłopskie wozy wypełnione pachnącymi produktami. Jaja prosto od kury, śmietana i mleko z porannego dojenia, kurczaki, jarzyna o soczystych barwach, dorodna i smakowita. Ziemniaki, szczypior, cebula... Czy mam wymieniać dalej? – zapytała zaczepnie, -uśmiechając się do Juliana.

Julian już miał podjąć rzuconą rękawicę, kiedy do stolika podeszli kelnerzy z zamówionym pierwszym daniem. Jedli w milczeniu, delektując się wybornym smakiem, najpierw barszczu, a potem miękką wołowiną i chrupiącymi zielonymi szparagami zanurzonymi w gładkim, aromatycznym sosie holenderskim, do którego użyto smakowitego masła, świeżych żółtek i zamiast octu białego wina.

Na deser zamówili aromatyczną czarną kawę. Eleonora z odrobiną kardamonu, Julian czarną niczym noc, mocną, bez dodatku cukru.

– Nie skusisz się na ciasto? – zapytał Michałowski.

– Wczoraj pewnie jeszcze bym się skusiła. Na pachnącą kremówkę, ale dziś to już wykluczone. Krawiec zapisał wymiary. Nie chcesz chyba, żeby już pierwsza przymiarka stała się grecką tragedią?

– Skoro mowa o krawcu... – zaczął Julian, czekając, aż Eleonora rozwinie wątek.

– A, tak – zaczęła wesoło. – Nie planowałam wizyty w pracowni pana Kuci. Prawdę powiedziawszy, chciałam obstałować sukienkę u Szarskiego, wybierając ją z jednego z żurnali, jakie przyniosła Stefania. Ponoć w składzie zaoferowano dostarczenie jeszcze innych, gdybym niczego nie wybrała z tych, jakie już mi przekazano. Muszę przyznać, że wybór miałabym niełatwy. Siedziałam właśnie nad zeszytami, wertując kolejne strony... – Eleonora przerwała nagle. Uśmiechnęła się szeroko, z niedowierzaniem kręcąc głową. Julian czekał z niecierpliwością na jej słowa. – Boże, Julianie, jakież to do mnie niepodobne. Pamiętam, że kiedy cię poznałam, w duszy wciąż przekonywałam siebie, że zaręczyny, narzeczone, małżeństwo są nie dla mnie. Potem stopniowo zmieniałam zdanie, ale nadal daleka byłam od tego szaleństwa związanego z zakupami, sukniami. Czasami w myślach drwiłam ze Stefanii. A teraz, spójrz na mnie. Wszystko przewróciło się do góry nogami. Ja ślęczę nad żurnalami, nie mogąc podjąć prostej decyzji, a moja frywolna, radosna siostra nosi się jak chłopczyca. Rezygnuje z fikuśnych sukienek. Obcina włosy. Pali i, dobrze, że matka tego nie widzi, pociąga z piersiówki, nawet w ciepłe dni, które nie usprawiedliwiają chęci rozgrzania zziębniętego ciała. Na ulicy! – Eleonora nieco uniosła głos. Zmitygowała się jednak od razu. – Ślęczałam więc z nosem w katalogach, kiedy Stefania wróciła od Frau Goldbaum z adresem do pracowni Kuci. I tak, stanęłam dziś w jego progach.

– Czy aby wizyta była udana? Czy podobnie jak z żurnalami nie mogłaś podjąć decyzji?

Eleonora zamyśliła się na chwilę. Wróciła wspomnieniami do niedawnej wizyty u krawca.

Rozsiadły się w przymierzalni. Miały z Rozalią dużo do przedyskutowania, zwłaszcza że córka Michałowskich miała całkiem odmienne zdanie w kwestii kroju i koloru sukni.

– Nie potrafię zrozumieć, jak możesz odrzucać ten projekt? – mówiła Rozalia z entuzjazmem.

Wpatrywała się w kolorowy szkic eleganckiej długiej sukni, bogato zdobionej złotymi i srebrnymi cekinami, do której dobrano jeszcze dłuższy, wyhaftowany u dołu welon.

– Nie powiesz mi chyba – ciągnęła Rozalia, wykorzystując milczenie Eleonory – że będziesz optować za trendem „na chłopczyce”, który owszem, jest wygodny, ba, w swoim stylu elegancki i bardzo zmysłowy, o ile kobieta potrafi się w nim nosić, ale niepasujący zupełnie do idei panny młodej. Tu trzeba bezsprzecznie podkreślić kobiecość. Wiem, że co poniektóre elegantki i modnisie wybierają suknie skrócone do połowy łydki, ale nie ty, Eleonoro. Tu potrzeba długości, zwiewności, tiulu, jedwabiu i brukselskich koronek. A wszystko to w czystej, nieskalanej bieli. Och, wiem, że ty i Julian... – Rozalia zawiesiła głos, zdając sobie sprawę, że nieopodal krzątała się żona pana Kuci, przygotowująca pachnącą herbatę i ciasteczka. – Ale przecież zasługujesz na biel. Kto, jak nie ty, Eleonoro?

– Nie zasługuję. – Eleonora nigdy jeszcze nie widziała tak zaskoczonej Rozalii. – Nie zasługuję na biel, na welon. Nie wiem nawet, czy zasługuję na Juliana.

– Noro, o czym ty, na litość boską, mówisz?

– Julian nic nie wie. Chyba? A może wie, w końcu jest mężczyzną. Jest, był, jednak na tyle taktowny, że nic nie powiedział.

– Eleonoro.

– Tamtego dnia, lata temu, kiedy Julian wciąż dochodził do siebie po powrocie z frontu. Kiedy leczył rany. Kiedy nie chciał mnie widzieć, a ja uparcie przychodziłam, mając nadzieję, że jednak się otworzy. Jednak zmieni zdanie. Że razem stawimy czoła przeciwnościom. Tamtego dnia... – Głos Eleonory załamał się niebezpiecznie. Rozalia pogładziła dłoń przyjaciółki, chcąc dodać jej otuchy. – Z jego ust padły okrutne słowa. Pokłóciliśmy się. Wyrzucił mnie. Wygnał. Byłam zdruzgotana. Byłam wściekła. Byłam pełna nienawiści i chciałam zemsty. Chciałam zrobić coś, co pozwoliłoby mi zapomnieć. Od Juliana, nie bacząc na późną porę, poszłam wprost do Dawida. Nie, nie chciałam tego, co się stało. Chciałam porozmawiać, a może podświadomie -wiedziałam, jak wszystko się skończy.

– Nie muszę zgadywać, jak się skończyło – powiedziała Rozalia.

Eleonora wpatrywała się w siostrę Juliana. Czekwała na słowa potępienia. Czekwała na słowa oskarżenia. Ale z ust Rozalii nie wyszły żadne pretensje. Nie było ich także w oczach wdowy po Tojewie.

– Chciałam ukarać Juliana – zaczęła Eleonora, przerywając milczenie. – A tak po prawdzie ukarałam trzy osoby. Juliana, któremu nic nie powiedziałam, ponieważ jestem tchórzem. Dawida, któremu dałam fałszywą nadzieję i którego wykorzystałam w haniebny sposób, wiedząc, co do mnie czuje. I siebie, ponieważ do końca życia będę nosić w sobie to poczucie winy w stosunku do nich obu. Każdego z nich skrzywdziłam. Każdego w inny sposób, ale zrobiłam to. Więc, Rozalio, nie zasługuję na biel, na welon, na...

– Ciiii. To stres. To nerwy przez ciebie przemawiają. Nie musisz iść do ślubu w bieli. Nie musisz stroić się w welon, ale do ślubu musisz iść. Przecież nie trzeba mówić ci rzeczy oczywistych, prawda? – Eleonora skinęła głową. Rozalia miała rację. Nie mówiła poważnie o rezygnacji ze ślubu. – A co do tych rzeczy. – Rozalia podkreśliła słowo „tych”. – Nie pochwalam tego, co się stało, ale wszyscy mamy jakieś tajemnice, prawda?

Delikatny dotyk męskiej dłoni sprawił, że Eleonora ocknęła się z zamyślenia.

– Przepraszam – powiedziała, widząc pytające spojrzenie Juliana. – O co pytałeś?

– Czy podjęłaś decyzję. Tylko nie wdawaj się w szczegóły, bo nie powinienem wiedzieć, jaką będziesz miała suknię. To wszak przynosi pecha.

– Och, aż o tak wybujałą wyobraźnię pana, panie hrabio, nie posądzam, skoro jednak nie chcesz wdawać się w szczegóły, powiem tylko, że wybrałam. I jestem umówiona za kilkanaście dni na pierwszą przymiarkę. Tak więc od dziś aż do ślubu muszę miarkować się w picciu i jedzeniu. I we wszystkich innych pokusach również.

Julian zamierzał odpowiedzieć zabawną ripostą, ale w chwili, kiedy otwierał usta, przy ich stoliku

pojawił się mężczyzna w średnim wieku, ubrany w wytworny garnitur z inicjałami hotelu w klapie marynarki.

– Jestem Antoni Galiński, konsjerż. Będę miał przyjemność oprowadzić państwa po Sali Lustranej oraz zaprezentować naszą szeroką ofertę przyjęcia weselnego. Czy są państwo gotowi na rozmowę?

– Oczywiście. – Michałowski skinął głową. Wstał, po czym odsunął krzesło Eleonory.

Po chwili ruszyli za hotelowym konsjerżem.

– Pracuję tutaj od lat, więc powinienem oswoić się z pięknem tej sali, ale ona zawsze mnie zaskakuje. Za każdym razem, kiedy do niej wchodzę, wstrzymuję oddech, zachwycając się jej pięknem.

– Jest... – Eleonora przerwała, stając tuż za progiem wysokich drzwi. – Po prostu brak mi słów, a proszę mi wierzyć, rzecz to niesamowita.

– Tak, proszę uwierzyć mojej narzeczonej. Przychylę się do jej zachwytu. Sala jest, rzekłbym, onieśmielająca – dodał Julian, podając Eleonorze ramię.

Ruszyli za konsjerżem.

– Uroku dodaje witrażowy sufit o secesyjnym sznycie oraz kryształowy żyrandol. Nie wspomnę o ogromnych lustrach, które zostały zawieszona w ten sposób, żeby powielać odbicie, zwiększając salę optycznie. Zapytam na wstępie, czy ustalili państwo już liczbę gości?

– Jeszcze nie zamknęliśmy listy – odparła Eleonora.

– Czy spodziewają się państwo, że gości będzie więcej niż sto dwadzieścioro?

– Nie, zdecydowanie mniej. – Julian uchwycił spojrzenie Nory, która skinieniem głowy potwierdziła jego słowa.

– Sala nasza mieści sto dwadzieścia osób. Orkiestra może zająć miejsca na tamtym podwyższeniu lub jeśli państwo zdecydują, może ustawić się na balkonie, pozostawiając to miejsce – mówiąc to, wskazał parkiet – dla tańczących. Rozumiem, że tę kwestię ostatecznie rozwiążemy, poznając liczbę gości. Zanim przejdziemy do omówienia weselnego menu, chciałbym przedstawić państwu dodatkowe udogodnienia, jakie oferujemy tak parze młodej, jak i jej gościom. Może usiądziemy? – Konsjerż wskazał jeden z pięknie nakrytych okrągłych stolików, na którym stały pachnące, świeżo ścięte kwiaty, ułożone w przemyślane, dobrane kolorystycznie kompozycje. – Czy państwo zechcą przenocować w hotelu?

– Nie planowaliśmy tego – odparł Julian. – Mieszkamy w Krakowie. Zresztą nieopodal. Jednak to całkiem przyjemna myśl, nie sądzisz, Norciu?

– Zanim państwo zdecydujecie, muszę powiedzieć, że ów nocleg pary młode otrzymują od naszego hotelu w prezencie. Nocleg ze śniadaniem do łóżka w pokoju dla nowożeńców. W pierwszą rocznicę ślubu zapraszamy zaś na kolację przy świecach. Organizujemy także sesję zdjęciową w naszych apartamentach. Współpracujemy z najzdolniejszymi fotografami. Ich artyzm przebija się z każdej fotografii, która będzie cieszyć państwa oczy przez wiele lat, a i dla następnych pokoleń będzie cudowną pamiątką.

– Rozważymy tę kuszącą propozycję, zwłaszcza że planujemy zapewnić nocleg niektórym naszym gościom. – Julian patrzył uważnie na pana Galińskiego, czekając na przedstawienie korzystnej oferty.

– Ależ oczywiście. Dla państwa młodych i ich gości mamy specjalne ceny, także apartamentów. Poza tym, aby zapewnić maksymalny komfort, przydzielamy gościom osobistego kamerdynera, który przez cały czas pobytu u nas będzie do wyłącznej dyspozycji gości. Z przyjemnością zaopiekuje się bagażem czy pomoże w rozpakowaniu. Nasza recepcja jest otwarta całą dobę. Jak państwo wiedzą, jest portier. Mamy także przechowalnię bagażu i sejf, gdyby któryś z gości lub państwo chcieli skorzystać. Jeżeli takie będzie państwa życzenie, możemy zagwarantować opiekunkę dla dzieci czy automobil z kierowcą. Dla gości spoza miasta możemy przygotować interesującą wycieczkę z naszym przewodnikiem, który posiada imponującą wiedzę o mieście oraz ciekawostkach z nim związanych. Mamy własną pralnię, która zatroszczy się o państwa ubrania, aby były nieskazitelne. Umożliwiamy także pobyt z czworonożnym pupilem.

– Mam nadzieję, że nie wydarzy się żaden przykry incydent, który zmusi nas lub gości

do korzystania z pralni. – Eleonora uśmiechnęła się do Galińskiego, rozładowując nieco sztywną atmosferę.

Miała wrażenie, że z konsjerża uszło powietrze i wreszcie zaczął się nieco rozluźniać. Sięgnął po dwie karty oprawione w czerwoną skórę, na której wyciśnięto znak firmowy hotelu.

– Zostawię państwa na jakiś czas samych. Proszę spokojnie przejrzeć menu weselne. Mamy tu dwa zestawy. Możecie państwo wybrać jeden z nich lub wedle uznania skomponować własny. Wrócę za jakiś czas. Czy mają państwo jakieś pytania, a może życzenia? Czy podczas omawiania menu zechcieliby państwo napić się kawy, herbaty, a może kieliszeczek czegoś mocniejszego?

– Poprosimy po lampce koniaku. Zdajemy się na pana wybór, licząc, że trunek będzie przedni – odparł Julian.

Chwilę później zostali sami w towarzystwie kart dań.

– Wypijmy za pomyślność. – Eleonora uniosła swój kieliszek.

– Za pomyślność. – Julian uniół swój, stukając nim w kieliszek Nory.

Charakterystyczny dźwięk rozniósł się po sali. Siedzieli w milczeniu, racząc się rozgrzewającym trunkiem.

– Może zajrzemy? – zapytała w końcu Eleonora.

– Te karty – odparł Julian, pochylając się ponad stołem w stronę Schrammówny – sprawiły, że zrobiłem się głodny.

– Sądząc po błysku w pana oczach, hrabio, nie mówi pan o talerzu zupy.

– Czy będzie wielkim afrontem, jeżeli opuścimy tę salę dyskretnie, po angielsku, nie tłumacząc się konsjerżowi. Głód doskwiera mi niemiłosierny. Czuję go w całym ciele, a najbardziej... – Julian nie dokończył, ponieważ Eleonora położyła mu palec na ustach.

Schrammówna wstała z zajmowanego krzesła. Podała Michałowskiemu rękę.

– Nie mogę pozwolić, żebyś głodował, zwłaszcza że i mnie zaczęło burczeć w brzuchu.

Śmiejąc się, niezaczepiani przez nikogo opuścili Grand Hotel, przed którym stała dorożka czekająca na turystów.

– Chodź – powiedział Julian, ciągnąc Eleonorę w jej kierunku.

Roześmiana, nie protestując, wsiadła do środka.

– Na Szlak 21! – krzyknął rozbawiony Michałowski. – A żwawo, bo jesteśmy niebywale głodni – dodał ciszej, tuż przy uchu Nory, korzystając z okazji, że na ulicy nie było żywej duszy, i całując ją namiętnie. – Właśnie dostała pani przystawkę – szepnął tuż przy jej ustach.

– To był ledwie mały aperitif – obruszyła się, oddając pocałunek.

– Doskonale. Mniemam, że zaostrzył ci apetyt.

– Bardzo. Obawiam się, że danie główne będzie musiało być obfite.

\*\*\*

Józefa Michałowska nerwowo przemierzała swój buduar. Właśnie wróciła z miasta, do którego z oczywistych powodów udała się sama, i wciąż jeszcze nie potrafiła otrząsnąć się z emocji, jakich dostarczyła jej wizyta na krakowskim Kazimierzu. Żałowała, że porwała się na tę wyprawę całkiem sama. Na dodatek pieszo. Pomijając zmęczenie fizyczne, które czuła w całym ciele, od dłuższego czasu zmagala się także ze zmęczeniem psychicznym, które ujawniało się pod postacią narastającego bólu głowy.

Na spotkanie z żydowskim prawnikiem Ignacym Landauem, który prowadził swoją małą i, jak oceniła hrabina, obskurną kancelarię na Szerokiej, umówiła się jakiś czas temu. Od tamtego dnia wciąż zadawała sobie pytanie, czy powinna działać za plecami syna. Miała nawet moment zwątpienia. Zaczęła podważać zasadność swoich intencji, jednakże niedawne przyjęcie, jak to nazywał Julian, zaręczynowe tylko umocniło ją w podjętym postanowieniu. Wróciła jeszcze raz myślami do tego dnia.

– Milczałaś całą drogę. Ba, byłaś także wyjątkowo milcząca podczas przyjęcia. Miałem wrażenie, że nie możesz się doczekać końca. – Aleksander Michałowski spojrzał na żonę kątem oka, nie chcąc odrywać wzroku od drogi.

Wracali z rodzinnego spotkania, które skończyło się przed kwadranssem.



– Czy ty tego nie widzisz, Aleksandrze? Oczywiście, że nie. Od razu byłeś przychylny tej dziewczynie. Od samego początku, jak tylko zobaczyłeś ją na balu wydawanym przez Schrammów.

– Nie zaprzeczaj, że ty także byłeś nią oczarowany.

– Proszę cię – sapnęła Michałowska. – Spodobała mi się tylko dlatego, że w ówczesnym czasie stanowiła przeciwieństwo Rozalii. Boże, cóż się porobiło z naszą rodziną – zaczęła biadolić. Szybko jednak wróciła do poprzedniego tonu, który smagał niczym bicz przy każdym wypowiedzianym przez Michałowską słowie. – Już wtedy nie podobały mi się jej idee. Nauka, studia. Sufrażystki. A potem jeszcze ta praca. Hańbiąca. U tego zbrodźca. Ja nie mogę nawet o tym myśleć spokojnie.

– Józefo, dlaczego ciągle wracamy do tego samego tematu? Czyż nie mieliśmy w związku z tym scysji w Boże Narodzenie? Czas idzie naprzód. Zmieniają się tradycje, zapatrywania. Zmieniają się kobiety. Mężczyźni. Nasze widzenie społeczeństwa i rola, jaką w nim pełni.

– To barbarzyństwo. Ale nic to, przełknęłabym tę gorzką pigułkę, gdyby ta dziewczyna...

– Eleonora, Józefo. Narzeczona twojego syna ma na imię Eleonora – poprawił żonę Michałowski. Mówił z naciskiem, jednakże hrabina wydawała się go nie słuchać.

– Ta dziewczyna – ciągnęła niezrażona – pracowała w szpitalu, jak kiedyś. Teraz ponoć pracuje w pogotowiu. Chwalebne to, ale nie zatrze złego wrażenia, kiedy przez długie miesiące współpracowała z Kurkiewiczem. Czy ty wiesz, co on wyprawiał? Czy ty wiesz, czego można się było dowiedzieć w jego gabinecie? Bezceństwa? A! – wykrzyknęła Michałowska, jakby nagle coś sobie przypomniała. – I czy ty zdajesz sobie sprawę, że ona czasami zostaje u Juliana na noc? Po co?

– Józefo, na Boga, nie bądź niemądra. A po cóż młoda kobieta może zostać na noc u młodego, zdrowego mężczyzny? Proszę cię, nie udawaj naiwnej!

– I ciebie to nie oburza?

– Bardziej oburzałoby mnie, gdyby Julian, będąc po słowie, wciąż chadzał do burdelu. Nie rób, proszę, takiej miny, chyba nie myślisz, że nasz syn żył i żyje w celibacie.

– Nie mogę tego słuchać. To okropne.

– Nie, to nie jest okropne. Powiem nawet, że jeżeli wiąże się z miłością, to jest piękne, ale ty już tego zapewne nie pamiętasz, prawda? – Michałowski patrzył przed siebie. Nie miał ochoty przyglądać się żonie, z którą rozumiał się coraz mniej i której chyba już od dawna nie tylko nie kochał, ale nawet, co gorsza, nie lubił.

– Nie będę o tym z tobą dyskutować. To nie przystoi porządnej kobiecie. A wracając do tej dziewczyny – powiedziała Michałowska, robiąc nacisk na słowa, na które przed chwilą Aleksander zwrócił jej uwagę. – Teraz jeszcze jej matka okryła hańbą całą rodzinę. Ty nie bywasz, więc nie wiesz, co mówi się w porządnym domu o Tekli Schramm.

– A skąd pewność, że domy, w których bywasz, są porządne, -Józefo? Skąd? – zapytał Michałowski.

– Nie będę się z tobą przegadywać. Widzę, że ona omotała cię tak samo jak naszego syna, ale ja nie dam się tak łatwo omamić.

– Posłuchaj, Józefo, może powinnaś wyjechać. Pooddychać innym powietrzem. Zacząć na wszystko patrzeć z innej perspektywy. Wyjazd dobrze ci zrobi. Prawdę mówiąc, twój wyjazd dobrze zrobi wszystkim.

– A dokąd miałabym pojechać? Chyba nie sądzisz, że do Ochoc-kich? Zresztą to gdybanie nie ma sensu. Nie zamierzam ruszać się z domu. Jedno mogę ci obiecać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do tego ślubu. Wszystko.

Michałowski westchnął zrezygnowany. Aż do samego Zakrzówka nie odezwał się słowem. Nie odezwał się także później. Milczał przez kolejne dni, co skutkowało tym, że Michałowska, zamiast poprosić go o podrzucenie do centrum, sama wybrała się na Kazimierz.

Na wspomnienie o spacerze ulicami Kazimierza Michałowska złapała się za skronie. Przecinając plac Nowy, chciała zasłonić uszy dłońmi, żeby nie słyszeć, jak jej się wydawało, ogłuszającego gdakania przetrzymywanego i zarzylanego w tamtejszej koszernej ubojni drobiu. Jeszcze gorzej poczuła się, szybkim krokiem przecinając plac przy synagodze Izaaka, gdzie rozstawiły się kramy targu rybnego. Smród był wręcz nie do wytrzymania. Z chusteczką przyciśniętą do nosa przepychała się przez tłum

ludzi kręcących się nie tylko koło przeladowanych straganów, ale także na ulicy, gdzie co rusz przystawali, sprzedając nic niewarte rzeczy, w tym ubrania i -schodzone buty.

Nawet na Szerokiej, gdzie wprawdzie nie śmierzdziało rybami oraz krwią spływającą z zabitych zwierząt, napotkała ludzką ciżbę, przekrzykujących się żydowskich sprzedawców, którzy zachwalali trzymane w rękę tandetne towary. Musiała się oganiać od przekupek, usilnie starających się przekonać ją do jakości i wartości drobnych rzeczy, które miały na zbyciu.

Małe, ciasne pomieszczenia kancelarii Landaua wydawały się Michałowskiej schronieniem doskonałym, chociaż i tam spędziła tylko niecały kwadrans, chcąc uwolnić się od charakterystycznego zapachu cebuli, atakującego ją w tym miejscu z każdej strony. Przyszła tam tylko po kilka dokumentów. Zapłaciła z nawiązką, nie czekając nawet na resztę. Do domu wróciła, nadkładając drogi, ale za nic w świecie nie wyobrażała sobie powrotu przez te cuchnące ulice.

Wciąż rozemocjonowana, ale już nie roztrzęsiona, usiadła w wygodnym fotelu. Sięgnęła po plik dokumentów, których treść Landau pragnął jej wytłumaczyć. Zbyła go jednak, chcąc wrócić do Zakrzówka jak najszybciej.

Rozsiadła się wygodniej. Sięgnęła po okulary i zaczęła czytać -materiały przygotowane przez prawnika.

„W czerwcu 1919 roku powołana do życia Komisja Kodyfikacyjna podjęła próbę ujednoczenia oraz usystematyzowania kodeksów prawa polskiego. W trakcie prac pojawiły się postulaty, aby państwo polskie objąć mocą obowiązujących przepisów jednego z zaborców lub stworzyć ich kompilację. Postulowano także utworzenie całkiem nowych przepisów. Niestety, do chwili obecnej proponowane zmiany nie weszły w życie, przez co na określonych terenach obowiązują nadal przepisy ówczesnych państw zaborczych. Przepisy te rozumie się jako prawo dzielnicowe, nie zaś jako prawo państwa obcego, także w wymiarze przepisów regulujących zasady zawierania małżeństwa.

Na terenie byłego zaboru austriackiego, a więc także na terenie Krakowa, już w czasach przed odzyskaniem niepodległości nastąpiła częściowa sekularyzacja prawa małżeńskiego. Oznacza to, że instytucja małżeństwa regulowana jest przez prawo świeckie, niemniej jednak w przepisach znajdują się odniesienia do instytucji religijnych, które mają jednakże znikomą właściwość. Należy z całą mocą zaznaczyć, że system ma charakter mieszany, a więc przewiduje różne regulacje dla różnych wyznań religijnych. Nie należy jednak mylić przepisów prawa małżeńskiego z samą formą zawarcia małżeństwa, ponieważ w większości przypadków małżeństwo zawierane jest w ramach -określonego obrządku religijnego”.

Michałowska westchnęła zdenerwowana. Miała ochotę rzucić je na pożarcie buzującego w kominku ognia, ale nie traciła nadziei, że wśród tego prawniczego bełkotu znajdzie coś, co pozwoli uratować Juliana przed popełnieniem błędu i poślubieniem Eleonory. Z rezygnacją wróciła do pisma, szybko przelatując po nim wzrokiem. W końcu zatrzymała się na interesującym ją zdaniu.

„Przeszkodą do zawarcia małżeństwa może być brak zezwolenia. Kodeks nie przewiduje możliwości udzielenia prawa do zawarcia związku osobom szalonym, obłąkanym, głupkowatym lub niedorośli. Za obłąkanego czy głupkowatego uznaje się osobę dopiero po dokładnym zbadaniu przez wyznaczonych przez sąd lekarzy. Takie małżeństwa uważa się także za nieważne, nawet jeżeli sąd wyraził na nie zgodę.

Ślubu nie mogą także zawierać małoletni, chyba że posiadają zgodę »ślubnego ojca«”.

Michałowska przewróciła stronę, szukając kolejnych interesujących ją wskazówek. Odrzuciła tłumaczenia dotyczące osób małoletnich. W końcu i Julian, i Eleonora byli już dorosłymi ludźmi, którzy przynajmniej w tej materii nie musieli prosić rodziców o pozwolenie.

– Odmówić zezwolenia – zaczęła szeptać cicho, czytając kolejne zdania – można także z powodu braku dochodów, ze względu na złe obyczaje. – Zatrzymała się przy dwóch ostatnich słowach. Sięgnęła po karafkę, którą zawsze trzymała na stoliczku. Nalała sobie kieliszeczek domowej, ostrej nalewki i wypijała jednym haustem. Nalała jeszcze raz. – Na drugą nogę. – Uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast. – Ze względu na złe obyczaje – czytała dalej, z szerokim uśmiechem na twarzy. Szybkim, niecierpliwym wzrokiem przelatowała pismo, szukając kąsków, które wydawały się idealne dla zrodzonego w jej głowie planu. – Inną przeszkodą jest niemożność o charakterze moralnym, która odnosi

się do skazanych na karę ciężkiego lub najcięższego więzienia. Nie, nie... – szeptała Józefa gorączkowo. – Przesłanką do niemożności zawarcia związku małżeńskiego może być także wyznanie. Nie ma możliwości zawarcia małżeństwa, jeżeli jedna z osób jest innego wyznania niż katolickie. Może, może... – Michałowska nerwowo bębniła palcami po kryształowej nóżce kieliszka. – Tak! Tak! – krzyknęła hrabina podekscytowana. Kiedy sięgała po wachlarz, żeby ostudzić nieco emocje, trzęsły jej się ręce.

– Czy coś się stało? – zapytał skonsternowany Aleksander, stając w drzwiach pokoju żony.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ale te okrzyki?

– Znalazłam kolczyk, który zapodziałam dawno temu. Uważałam go za stracony, a tu taka niespodzianka.

Michałowski wzruszył ramionami, zamykając drzwi buduaru. Tymczasem Józefa z emocji chodziła po całym pokoju. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Wzięła kilka głębokich oddechów i dopiero po chwili raz jeszcze sięgnęła po pismo prawnika.

– „Nie ma możliwości, aby w związek małżeński wstąpiły osoby, które wobec siebie dopuściły się cudzołóstwa, przy czym akt ten powinien być potwierdzony przed zawarciem małżeństwa. Przy czym cudzołóstwo może mieć charakter pojedynczy, kiedy dopuści się go tylko jedna ze stron, albo podwójny, kiedy obie strony są oskarżone”. Och, Aleksandrze złoty – szepnęła Józefa na wspomnienie niedawnej rozmowy o życiu intymnym ich syna. – Julianie, może i jesteś teraz wierny, ale wszak nie zawsze tak było. Nie było... – szeptała niczym mantrę.

Patrząc na pismo, hrabina miała wrażenie, że złapała pana Boga za nogi. Niemniej jednak sięgnęła po nie raz jeszcze. Chciała mieć pewność, że nie pominęła niczego istotnego. Może wśród tylu zawitych artykułów znajdował się kolejny, jeszcze lepszy niż ten dotyczący niewierności. Miała nadzieję, że tak właśnie się stanie. Oskarżenie Juliana o cudzołóstwo było ostatecznością, której, chociaż nie chciała oczerniać własnego syna, nie wahałaby się użyć, byleby tylko nie pozwolić mu na małżeństwo z panną Schramm.

„Inne przeszkody mogą mieć charakter niedotrzymania warunków formalnych. Do warunków takich zalicza się ogłoszenie zapowiedzi, w których wylicza się wszystkie dane przyszłych małżonków, po to aby strony mające wątpliwości i wiedzące o określonych przeszkodach mogły zgłosić się do władz duchownych. Ogłoszenia takiego należy dokonać trzykrotnie w dni świąteczne lub niedziele w parafii każdego z nupturientów. Jeżeli małżonkowie decydują się na ślub cywilny, wówczas stroną właściwą do ogłoszenia zapowiedzi jest magistrat”.

\*\*\*

Dzień Bożego Ciała przywitał Kraków słoneczną pogodą. Rozalia wstała kilka minut po ósmej. Już dawno nie spała tak dobrze i tak długo, ale wczorajsze przygotowania Magdalenki do dzisiejszej procesji, w której dziewczynka miała wziąć udział, były niezwykle męczące. Na samo wspomnienie narzekań dziewczynki Rozalia zajrzała do wiklinowego koszyka, do którego zebrały mnóstwo kwiatowych płatków. Przejęła ją sama myśl, że kwiaty mogłyby nie nadawać się na procesję. Wprawdzie w ogrodzie tuż za domem rosło kilka róż oraz cała masa kolorowych bratków i łatwych w uprawie aksamitek, które Rozalia szczególnie sobie upodobała, ponieważ kwitły od wczesnej wiosny do późnej jesieni, dodając ogrodowi kolorów, nawet kiedy świat zaczynał już robić się szary, to i tak ilość kwiecica mogłaby się okazać niewystarczająca.

– Czy płatki dobrze wyglądają? – Na nieoczekiwane pytanie Madzi Rozalia aż podskoczyła.

– Nie śpisz już?

– Wcale nie spałam – odparła siostra Eryka. – Nie mogłam. Wciąż czekałam, aż zrobi się jasno. Już nie mogę się doczekać.

– Idź do łóżka. Mamy jeszcze sporo czasu. Zawołam cię na śniadanie.

– Ale...

– Proszę, bądź grzeczną dziewczynką. – Rozalia weszła Madzi w słowo. Spojrzała na nią groźniej, nie dając możliwości podjęcia negocjacji.

Magdalena odwróciła się na pięcie i z głośnym teatralnym sapnięciem wróciła do pokoju, w którym stało łóżko, komódka, szafa, niewielki sekretarzyk oraz skrzynia z zabawkami. Najmłodsza z rodzeństwa Zdanowskich już od jakiegoś czasu mieszkała z Rozalią. Była grzecznym dzieckiem, chociaż czasami zdarzało jej się marudzić i być upartą. W takich chwilach Rozalia straszyla ją Jackiem, który zawsze potrafił przywołać siostrę do porządku, nie podnosząc na nią ani ręki, ani głosu. Rozalia chciała kiedyś podsłuchać ich rozmowę, ale Jacek łypnął na nią tylko okiem i bezceremonialnie zamknął drzwi do pokoju dziewczynki, ścisząc przy tym głos do -konspiracyjnego szeptu.

Dwie godziny później rozemocjonowana Madzia w towarzystwie nie mniej podekscytowanej Rozalii stały przed katedrą wawelską, w której biskup Sapieha akurat kończył odprawiać mszę.

Z kościoła zaczęły wysypywać się tłumy. W końcu oczom zebranych ukazał się metropolita w towarzystwie innych biskupów. Duchowni weszli pod wielki baldachim, trzymany przez ministrantów. Po obu stronach baldachimu stanęła straż honorowa 8. Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Tuż za baldachimem ustawiły się delegacje rządowe i samorządowe.

Za nimi stanął sznur rozradowanych dzieci, trzymających koszycki pełne pachnącego kwiecia. Wśród nich znalazła się także Madzia, której Rozalia starała się nie spuszczać z oka.

Zanim jeszcze procesja ruszyła, wdowa Tojew pochyliła się nad małą Zdanowską.

– Gdybyśmy się zagubili w tłumie, co jest wielce prawdopodobne, czekaj na mnie przy głównym wejściu do Sukiennic. Dobrze? – Rozalia patrzyła uważnie na Madzię, która grzecznie skinęła głową. – Uważaj na siebie. Trzymaj się pozostałych dzieci. Przy Sukiennicach, pamiętaj – powiedziała z naciskiem, odsuwając się od dziecięcej grupki.

Chwilę później procesja ruszyła w stronę Rynku, wzdłuż ulicy Grodzkiej, przy której widniały sztandary wszystkich krakowskich kościołów.

Na Rynku ustawiono cztery ołtarze, przy których biskup zatrzymywał procesję, modląc się głośno. Posuwali się wolno, krok za krokiem. Cała procesja zatrzymała się jeszcze obok głównej strażnicy. Po krótkiej modlitwie Sapieha pobłogosławił pełniących służbę.

Uroczystość z wolna dobiegała końca. Rozalia gorączkowo szukała znajomej sylwetki. Niestety, nigdzie nie widziała Magdaleny. Serce podeszło jej do gardła. Przeciskała się przez rozchodzących się do domów krakowian. Miała ochotę biec w stronę Sukiennic, jednak przyspieszyła tylko kroku. Zadyszana, ze łzami w oczach dopadła do głównego wejścia.

– Madziu! – zawołała. Kilka osób odwróciło się w jej stronę. – Madziu! – Wołała, nie zważając na przechodzących.

– Och, ciociu, nie krzycz, bo ludzie patrzą. – Miała wrażenie, że zaraz się rozplacze na dźwięk znajomego głosu.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał.

– Stefcia? – Rozalia niespodziewanie przyciągnęła do siebie młodszą siostrę Eleonory, dając w tym gorącym powitaniu upust nagromadzonemu strachowi. – Byłaś na procesji? – zapytała po chwili już nieco spokojniej, trzymając małą, kruchą rączkę Madzi w swojej dłoni.

– Nie ściskaj tak, bo zgnieciesz. – Mała szarpnęła delikatnie, luzując mocny uścisk Rozalii.

– Nie, zobaczyłam ją przez przypadek. Rozglądała się bezradnie. Pewnie w końcu znalazłaby główne wejście, ale miała szczęście, prawda? – Na ustach Stefani zagościł słaby uśmiech, chociaż oczy pozostały poważne i smutne.

– Moje pytanie pewnie zabrzmiało jak frazes albo banał, ale muszę spytać. Co u ciebie? Czy widzisz Ja...

– Nie. – Stefania nie pozwoliła Rozalii dokończyć słowa, jakby bała się usłyszeć imię Jana. – Jeszcze nie. Nie wiem kiedy. Nie wiem, czy w ogóle. Nie widuję też Mikołaja. Potrzebuję spokoju. Ciszy. Muszę odnaleźć siebie. Przekonać się, co jest właściwe. Ale nie dają mi spokoju. Nie tak dawno odwiedziła mnie pani Grabowska, matka Mikołaja.

Stefania zamilkła. Wspomnienie wizyty Grabowskiej było wciąż świeże. Była już przy drzwiach wejściowych kamienicy na Wiślniej, kiedy te otworzyły się z impetem i do sieni, gdzie na ścianie pysznił się piękny fresk przedstawiający irysy, ulubione kwiaty Tekli Schramm, wpadła matka Mikołaja.

– Dobrze, że cię spotykam – zaczęła od wejścia, nie trudząc się nawet, żeby odpowiedzieć

na słowa powitania, jakie padły z ust -zaskoczonej Stefanii. – Chciałam z tobą porozmawiać.

– Chętnie z panią rozmawiam, ale nie teraz. Bardzo panią przepraszam, ale jak pani widzi, właśnie wychodzę. Jestem umówiona...

– Och, pewnie, że gdzieś jesteś umówiona. – Prychnęła Grabowska, tarasując główne drzwi do kamienicy. – Zapewne na schadzke z tym bogatym chłoptasiem od Matuli. Myślisz, że nie wiem, że byłeś u niego. Kraków to małe miasto, ludzie dużo widzą i dużo mówią, zwłaszcza kiedy dotyczy to tak pikantnego kęsa, jak powrót uznanego za zmarłego. Mój syn to bohater. Należy mu się szacunek. A ty co? Biegasz na schadzki z innym?

– Pani Grabowska, Jan też był na wojnie. Też jest bohaterem i podobnie jak Mikołaj został odznaczony za to bohaterstwo. Nie chadzam na schadzki ani z Janem, ani z nikim innym, a nawet gdyby tak było, to ani Mikołaj, ani tym bardziej pani nie powinniście robić mi z tego powodu wyrzutów.

– To bezczelność! Impertynencja! – krzyczała pani Grabowska. Podeszła do Stefanii bliżej. Ta jednak nie odsunęła się ani na krok. – Nie masz prawa widywać się z nikim innym. Jesteś to winna Mikołajowi. On wciąż na ciebie czeka. Pyta o ciebie. Tylko ty możesz sprawić, że wróci do zdrowia. Masz wobec niego obowiązek. Nie masz prawa myśleć o sobie, słyszysz?

Stefania nie odezwała się ani słowem. Grabowska, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, ruszyła do wyjścia, zamykając drzwi z impetem.

– Byłam akurat umówiona z Frau Goldbaum, kiedy ta straszna kobieta na mnie napadła. – Stefania opowiadała z wypiekami na twarzy. Wciąż jeszcze przeżywała napaść, jakiej dopuściła się matka Mikołaja. – Nie byłam u niego ani następnego dnia, ani kolejnego. I nie jest to odwet za słowa matki. Zresztą staram się ją zrozumieć. Ale nie ja jestem odpowiedzialna za losy Mikołaja. I nie ode mnie zależy jego powrót do zdrowia.

– A jednak podświadomie odmawiasz sobie szczęścia. – Między Rozalią a Stefanią zapadło ciężkie milczenie, które przerwała dopiero Madzia.

– Dokąd się wybierasz? – Magdalena z zainteresowaniem przyglądała się Stefanii. – Masz podobną fryzurę do cioci, ale ona jednak wygląda bardziej elegancko – skwitowała z rozbijającą szczerością, sprawiając, że ponury nastrój prysnął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Za dwie godziny mam spotkanie z Idą. Nie miałam jednak ochoty siedzieć sama w domu. Ojciec wyjechał na spotkanie z hrabią Michałowskim. Od wielu dni omawiają kwestię przebudowy willi Decjusza. Ojciec znowu jest w swoim żywiole. Eleonora, chociaż ma dziś wolny dzień na pogotowiu, wybrała się pomagać do budynku misji ratunkowej, którą Amerykanie zamierzają otworzyć za kilkanaście dni, bodajże w połowie czerwca.

– Nic o tym nie wiem. – Rozalia wyglądała na zaskoczoną.

– Och, ja też nie miałabym o tym pojęcia, gdyby nie Eleonora. Przyniosła tę informację z pracy. W oficynie na św. Krzyża, pod numerem 7, powstaje kuchnia, która codziennie przez kilka godzin będzie wydawać obiady dla ubogiej inteligencji. Zechcecie mi towarzyszyć? – zapytała Stefcia, patrząc nie na Rozalię, a na przestępującą z nogi na nogę Magdalenkę. Dziewczynka ochoczo skinęła głową.

– Wyobraź sobie, że rozmawiałam niedawno z Julianem. Zagadnęłam go oczywiście o przygotowania do ślubu i wesela. Mój stąpający twardo po ziemi brat wyglądał na załamane. Powiedziałabym nawet na zdruzgotanego. Kiedy zapytałam go o przyczynę jego nastroju, powiedział mi, że służba hotelowa rozpoczęła strajk, domagając się ośmiogodzinnego dnia pracy. Uwierz, zrobiłam podobnie zdziwioną minę, informując Juliana, że nie widzę związku. Tymczasem jest, moja droga, jest związek. – Rozalia ściszyła głos. – Mój braciszek powiedział mi o tym konspiracyjnym tonem. Otóż w czasie, kiedy byli w Grandzie, zamiast zaczekać na konsjerża, który omawiał z nimi detale przyjęcia, wymknęli się pod jego nieobecność z hotelu i pognali do domu. Julian nie powiedział po co, ale po jego minie jasno wywnioskowałam przyczynę tej dezercji. Założyli, że na ustalenie menu będzie mnóstwo czasu. Kiedy więc poszli tam po kilku dniach, okazało się, że konsjerż był zajęty. Ustalono odpowiedni dla Eleonory i Juliana termin następnego spotkania, ale w tym czasie rozpoczął się strajk. I nie wiadomo, kiedy się skończy.

– Przecież nie będzie trwać wiecznie – skwitowała Stefania. – Jutro, pojutrze, najdalej za parę dni wszystko wróci do normy.

– Owszem, ale jak zapewniał Julian, menu w Grandzie ustala się z odpowiednim wyprzedzeniem. Kilkumiesięcznym.

– Cóż, kiedy człowiek udaje snoba, musi pogodzić się z trudnościami i konsekwencjami frywolnego zachowania – parsknęła Stefania, czując, że powoli wraca jej humor. Przynajmniej na chwilę.

\*\*\*

– Podziwiam cię – mówiła Rozalia, czekając, aż Magdalenka ułoży się w łóżku. – Musiałaś być niemiłosiernie zmęczona, a jednak do końca pomagałaś cioci Eleonorze. Jestem z ciebie dumna. – Pochyliła się, żeby złożyć na czole dziewczynki pocałunek na dobranoc.

– Więc mogę powiedzieć życzenie?

– Ty mały spryciarzu. – Rozalia potargała włosy dziewczynki. – Jedno małe życzenie.

– Chcę, żebyś przeczytała mi tę bajeczkę, którą znalazłam parę dni temu. Tę, którą trzymasz w szufladzie u siebie w biurku – dodała Magdalena, tak aby Rozalia nie miała żadnych wątpliwości, o jakiej bajce mowa.

Rozalia westchnęła. Jakiś czas temu odnalazła tych kilkanaście zapisanych stron. Zanim zaczęła pisać powieść dla „Nowości Ilustrowanych”, rozpoczęła snucie opowieści dla młodych dziewcząt. Kiedy była w wieku Magdalenki, a nawet trochę starsza, uwielbiała słuchać bajek o czarodziejach, magii, zaklęciach i szczęśliwych zakończeniach. Przez długi czas nie wracała do tego tekstu, przekonana, że ten temat jednak nie jest jej najbliższy. Że woli pisać dla dorosłych. Kiedy jednak wróciła z rozmowy ze Słapą, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie powinna wrócić do dziecięcych, młodzieżowych opowieści.

– Życzenie. – Upomniała ją Magdalena.

– Kilka stron, dobrze? – zapytała Rozalia, kiedy już rozsiadła się wygodnie w fotelu, który specjalnie wstawiła do pokoju Madzi.

Na wypadek, gdyby trzeba było poczytać.

„Wszystko zaczęło się dawno, dawno temu w średniowiecznym miasteczku otoczonym wysokim obronnym murem. Jak co dnia na tutejszym rynku zgromadziło się mnóstwo ludzi. Pośród tłumu przechadzał się spokojnie mistrz Celtis, nadworny krawiec, u którego odzienie zamawiał nie tylko dwór królewski i król we własnej osobie, ale także co bogatsi mieszkańcy. Zwyczajem Jana Celtisa stała się codzienna przechadzka po ulicach miasta. Doceniał umiejętności innych krawców i wyłapywał nowinki, które przywozili ze sobą zagraniczni goście.

Lubił przystawać przy gmachu Sukiennic. Zaglądał do hali, gdzie mieściły się kramy żelazne, sklepiki jubilerskie, w których można było przetopić srebro lub złoto, kupić drogocenne kamienie i bursztyń. Częściej jednak zaglądał do domu kuśnierskiego, gdzie dokonywał zakupów drogich futer i skór. Nawet wtedy, kiedy nie nosił się z zamiarem zrobienia zakupów, zaglądał do Ludwika – kuśnierza, z którym przyjaźnił się od lat.

– Witaj, Ludwiku – przywitał się Jan Celtis, wchodząc do domu kuśnierskiego.

Panował tu półmrok, a w powietrzu unosił się zapach świeżej skóry i futer, które przyciągały spojrzenia oglądających, ciekawskich i zdecydowanych na zakup. Również Jan zaczął przeglądać futra i skóry, sondując ich delikatność. Upodobał sobie skóry srebrnych lisów, których włos był nader gęsty i miękki.

– Niech któryś z twoich pomocników dostarczy je dziś do mojego zakładu – powiedział, wskazując na trzy wybrane.

– Czuję jednak, że nie zakupy ściągnęły cię dziś do mnie. – Oczy Jana przyzwyczyły się już do półmroku. Zauważył Ludwika siedzącego za kontuarem z naręczem skór na kolanach.

– Rady szukam, przyjacielu. – Usiadł na niewygodnym zydlu i spojrzał w kierunku kuśnierza. – Wiesz, że Barbara od lat zamartwia się tym, że nie mamy dzieci. Mówi, że jest już coraz starsza. Dwa tygodnie temu skończyła dwudziesty piąty rok życia. W tym wieku większość kobiet wychowuje już kilkoro potomstwa. Zamartwia się tym, biorąc całą winę na siebie. Żal patrzeć, jak z tego zmartwienia chudnie w oczach. Ostatnio zrezygnowała nawet z wizyty na Zamku, chociaż zawsze bardzo ceniła sobie

możliwość przebywania na dworze. Powiedziałem Jego Wysokości, że małżonka zaniemogła i dlatego przybywam sam. To tylko pogorszyło sytuację, bo król nasz szacowny, martwiący się o wszystkich, chciał wybrać się, by odwiedzić ją w naszym domu. Przeraziłem się, że tym samym przyłapie mnie niechybnie na kłamstwie. Całe szczęście, nieodstępujący go na krok błazen, który zapewne zauważył trwogę na mojej twarzy, odwiódł go od tego zamiaru. Zachodzę w głowę, co robić.

Ludwik przerwał sortowanie skór i futer. Westchnął ciężko.

– Porozmawiam z moją małżonką. Kiedyś zmusiła mnie do wysłuchania opowieści o pewnym małżeństwie, które nie mogło mieć dzieci. Wstyd się przyznać, ale nie słuchałem jej z wielką uwagą, dlatego nie przypominam sobie szczegółów. Wiem jednak na pewno, że w końcu para doczekała się syna. Zajdź do mnie jutro, dziś jeszcze pomówię z Elżbietą. Będzie wniebowzięta. – Ludwik uśmiechnął się na samą myśl, jak zareaguje jego gadatliwa połowica, kiedy poprosi ją o -opowiedzenie tej historii raz jeszcze.

– Będę jutro. Do zobaczenia zatem. – Z tymi słowami Jan opuścił dom kuśnierski, kierując się w stronę kramów przekupniów.

Na jednym z nich oferowano pachnące pierniki i kruche ciasteczka. Z myślą o Barbarze zatrzymał się, aby zakupić po kilka z każdego rodzaju. Potem wolnym krokiem udał się w kierunku kurzego targu, gdzie oferowano drób. Zegar na kościelnej wieży wybił godzinę dwunastą, kiedy Jan targował się ze sprzedawcą oferującym świeży, chrupiący chleb. Powinien jeszcze zajrzeć do rzeźniczych jatek i na targ rybny, ale godzina była już późna, a na dziś umówił kupca oferującego tkaniny, dlatego przyspieszył kroku, kierując się na powrót w stronę Rynku, gdzie znajdował się nie tylko jego warsztat, ale także dom.

Kamienica, która od dziesiątek lat znajdowała się w rękach jego rodziny, niczym szczególnym nie wyróżniała się od pozostałych domów. Dół kamienicy wykonano z kamienia, pierwsze i drugie piętro z czerwonej cegły, a strych z drewna, które pociemniało na przestrzeni lat.

Wszedł do sieni przez ogromną bramę, zamykając ciężkie, metalowe, masywne drzwi z okuciami. Klamka wymagała naoliwienia. Zabierze się do niej zapewne dopiero wtedy, kiedy nie będzie już chciała poddawać się pod naporem dłoni i któregoś pięknego dnia drzwi się nie otworzą. Zatrzymał się na chwilę, ponieważ w sieni panowała ciemność. Barbara zapomniała zostawić zapalony kaganek i dlatego oczy przepełnione letnim słońcem musiały przyzwyczać się do ciemności.

Przed wizytą kupca musiał sprawdzić zapasy tkanin, jakie trzymał na stanie w pracowni. Wreszcie po kilkudziesięciu minutach zamknął warsztat i udał się do komnat na górze.

Na pierwszym piętrze mieściła się duża izba, w której znajdował się piec zdobiony pięknymi, ręcznie malowanymi w myśliwskie scenki rodzajowe kaflami, w którym Barbara nawet latem lubiła na chwilę zapalić ogień. Okna wychodzące na Rynek ozdabiały kolorowe witraże, które można było zabezpieczyć, zamykając – otwarte w tej chwili – okiennice. Pośrodku izby ustawiono stół przykryty białym haftowanym w roślinne wzory obrusem.

Na środku stał wazon, do którego Barbara wstawiła bukiet polnych kwiatów, jaki wczoraj dostała od jednego z czeladników. Gdyby ofiarodawca był nieco starszy, z pewnością Jan poczułby ukłucie zazdrości, ale kwiaty jego pięknej żonie wręczył mały Janek, którego rodzice posłali na naukę do mistrza Celtisa.

Wokół stołu rozstawiono sześć tapicerowanych aksamitem krzeseł. Pod ścianą, naprzeciwko okna, nieopodal kominka stała masywna witryna, w której Barbara trzymała zastawę stołową. Obok witryny, jedno na drugim, mniejszy na większym, stały ogromne kufry, w których małżonkowie chowali ubrania, pościel, obrusy i ciężkie zasłony.

Tuż za izbą znajdowała się kuchnia. Chociaż mogli pozwolić sobie na służbę, Barbara lubiła robić wszystko sama. Gotowanie było jej pasją.

Znalazł Barbarę w kuchni przygotowującą obiad. Kuchnia oświetlona była nie tylko wpadającym przez okno światłem dziennym, ale także tym pochodzącym z palących się świec łożowych. Dające więcej światła świece woskowe zostawiali tylko na czas przyjmowania gości albo na inne uroczyste okazje i święta.

Na drugim piętrze znajdowały się trzy sypialnie i łazienka do prywatnego użytku. Strych zaś pełnił

funkcję spiżarni, w której przechowywano żywność, aby mogła dłużej zachować świeżość.

– Za pół godziny spodziewam się kupca z tkaninami, dlatego będę w warsztacie – mówiąc to, Jan zatrzymał się w drzwiach kuchni, w której Barbara obierała jabłka na ciasto.

– Tylko zachowaj umiar i z zakupami, i z czasem, który na nie poświęcisz. – Głos żony doleciał do niego, kiedy schodził już po schodach.

Lubił swoją pracę. Wspiął się na wyżyny sztuki krawieckiej. -Odnosił prawdziwy sukces.

Lubił szyc płaszcze z obszernymi kapturami, które suto bramowane futrem, pięknie układały się aż na ramionach, stanowiąc nie tylko ciepłe okrycie głowy, ale przede wszystkim ozdobę stroju. Poza tym dużą radość czerpał z ubierania kobiet, tym bardziej że suknie podkreślała damską sylwetkę i powabną kibić. Przeważnie panie nakładały na siebie dwie suknie jednocześnie, jedną spodnią, drugą wierzchnią, daleko bardziej ozdobną i strojną. Suknia wierzchnia miała zazwyczaj krótkie bufiaste rękawki, obszyte wstążkami, które zaplatano w wymyślne kokardy. Spod rękawków wyłaniał się długi rękaw należący do sukni spodniej. Górna część sukni miała charakter gorsetu. Sznurowana była z reguły z przodu, z rzadka tylko z boku, czasami jeszcze z tyłu.

Kobiece płaszcze były dopasowane do sylwetki, ale w odróżnieniu od wąskich rękawów sukni szyto je nad wyraz szerokie, opadające swobodnie w dół, nierzadko obszywane takim samym futrem, jakie znalazło się przy kapturze. Na samą myśl o płaszcach Jan uśmiechnął się do siebie. Było wprawdzie lato, ale mieszczanie, zwłaszcza ci bogatsi, oraz dwór królewski, z monarchą na czele, byli ludźmi zapobiegliwymi i już teraz zamawiali nakrycia na nadchodzącą jesień i zimę. Futra, które kupił dziś u Ludwika, z pewnością nie będą wisieć zbyt długo, nie zdążą nawet złapać kurzu, a już zostaną wykorzystane, żeby ozdobić płaszcze miejskiej strojnisy.

Z zamyślenia wyrwało go głośne pukanie do drzwi warsztatu. To zapewne kupiec Mieczysław, który wracając z dalekich wojaży, zawsze w pierwszej kolejności zaglądał do pracowni Celtisa. Na wozie, który zatrzymał się przed kamienicą krawca, znajdowały się najlepsze tkaniny z fabryk flandryjskich i angielskich. Jan Celtis wybierał tylko spośród najelegantszych i najdroższych materii, takich jak wełny, jedwabie, atłasy, adamaszek i złotogłów.

Kilka godzin później powoli, z zadowoleniem wspinał się po -schodach do domu.

– Jak zwykle warsztat pochłonął cię całkowicie. Obiad już dawno zimny. – Barbara westchnęła z rezygnacją. – A jakby tego było mało, Ludwik przesyła dla ciebie wiadomość, że masz jutro koniecznie zajrzeć do niego w sprawie, o której dziś rozprawialiście.

Z tymi słowami żona Celtisa wyszła z kuchni, kierując się w stronę schodów prowadzących na piętro”.

Rozalia uniosła głowę znad szeleszczących kart. Miała nadzieję, że Madzia już dawno zasnęła.

– Dlaczego przerwałaś? – zapytała dziewczynka, której oczy wciąż były okrągłe jak spodki.

– Pora spać. – Rozalia chciała unieść się z fotela, ale Madzia zaprotestowała.

– Proszę, ciociu. Jeszcze tylko kilka stron. Proszę. – Błagalny ton podziałał na Rozalię. Nie miała serca odmówić tej prośbie.

– Trzy strony i kończymy. Jutro nie będziesz mogła wstać, a twoja nauczycielka, panna Katarzyna, już kilka razy zwracała uwagę, że przysypiasz na lekcjach.

– Ale kiedy ty czytasz, ciociu, nigdy nie zasypiam. – Słowa Madzi były rozbrajająco szczere i działały na serce Rozalii niczym balsam.

Patrząc na tę niewinną twarzyczkę, myślała o Eryku. Tak bardzo za nim tęskniła. Doskwierała jej samotność. Nie potrafiła zapanować nad złością, ponieważ Eryk pisał rzadko, a kiedy już przychodziły od niego listy, były zbyt krótkie. Zdawkowe. Umysł tłumaczył, że to zmęczenie, ale serce drżało na myśl, że może to obojętność.

– Czytaj, ciociu. Proszę – nalegała Magdalena.

„Jan Celtis nie mógł zasnąć, przewracając się z boku na bok. Podobnie jak Barbara pragnął potomstwa, najlepiej syna, któremu mógłby przekazać fach, zostawić warsztat i pracownię.

Zerwał się z łóżka bladym świtem. Kiedy był już gotowy do wyjścia, zreflektował się, że słońce dopiero powoli zaczyna wyłaniać się na horyzoncie i Ludwik, o ile już nie śpi, to z pewnością nie jest jeszcze gotowy do rozmowy.



W końcu zegar na wieży kościelnej wybił ósmą. Jan pochylił się nad leżącą ciągle jeszcze w łóżku Barbarą i prawie szeptem oznajmił, że wychodzi do Ludwika.

– Nareszcie jesteś. – Tymi słowami przywitał go kuśnierz. – Nie śpię pół nocy, a drugie pół czekam, aż w końcu zegar wybije jakąś przyzwoitą godzinę, żebym mógł wybrać się do ciebie. Gdybyś teraz nie przyszedł, sam złożyłbym ci wizytę.

– Gdybym wiedział, że czekasz, to nie siedziałbym w warsztacie od świtu, tylko przyszedłbym od razu. – Uśmiechnął się Jan, potrząsając dłonią wyciągniętą przez Ludwika na powitanie.

– Podobno jest kobieta, która może sprawić, że doczekacie się potomstwa. Tu masz jej adres. Powiedz, że przysłała cię Elżbieta, żona kuśnierza. To właśnie dzięki niej urodziło się dziecko pary z historii mojej żony. Mam nadzieję, że i wam pomoże.

Jan postanowił, że na razie o niczym nie powie Barbarze, żeby nie budzić w niej nadziei. Najpierw sam chciał zamienić kilka słów z tą kobietą. Nagle zatrzymał się i spojrzał na mały świstek papieru. Stał pośrodku Rynku i uśmiechał się sam do siebie. Przecież może pójść do niej od razu, po co czekać. Znał adres. Na św. Tomasza znajdowała się mała kamienica. Miała tylko jedno piętro, a na parterze nie było sklepów ani warsztatów, co wyróżniało ją nieco od innych domów znajdujących się w ścisłym centrum.

Szedł powoli jak nigdy dotąd. Podświadomie przedłużał chwilę nadziei. Droga nie była jednak daleka i nawet pogaduszki ze snującymi się po ulicach kalekami i żebrakami, których liczba rosła z roku na rok, nie wydłużyły spaceru tak bardzo, jakby sobie tego życzył. Wreszcie zatrzymał się przed kamienicą na św. Tomasza. W kamienne odrzwia, podobnie jak w większości kamienic, wmontowano ciężkie, masywne drzwi, które zabezpieczały przed rabusiami.

Okna zasłaniały okiennice. Dom wyglądał na uspioły i Jan zaczął się obawiać, że nikogo nie zastał. Stał tak dobrą chwilę, nie mogąc zdecydować się, czy złapać za kołatkę w kształcie maszkarona, czy może odwrócić się i odejść. Z opresji wyratowała go mieszkanka kamienicy.

Drzwi otwarły się na oścież i do ciemnej sieni wpadł promień słońca. Mrok panujący wewnątrz domu nie pozwolił Janowi dostrzec twarzy. Widział tylko zarys niezbyt wysokiej sylwetki.

– Dostałem ten adres od Elżbiety, żony kuśnierza. Potrzebuję pomocy i nie wiem, czy dobrze trafiłem. – Głos Jana zdradzał zdenerwowanie.

– Mój drogi. – Kobieta brzmiała, jakby od dawna zmagająca się z -chrypką. – Każdy potrzebuje pomocy, ale dobrze trafiłeś.

Jan zrobił krok do przodu, chcąc wejść do środka, aby w spokoju wytłumaczyć, z czym przychodzi. Kobieta jednak cofnęła się głębiej do sieni, jednocześnie przysmykając trzymane drzwi, czym dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych intruzów.

– Mój dom jest moją twierdzą – powiedziała, po czym znowu szerzej otworzyła drzwi, a po chwili, która dla Jana trwała wieczność, dodała: Ale skoro przyszedłeś do mnie jako do ostatniej deski ratunku, musisz zdawać sobie sprawę, że nie ma konieczności, abyś wtajemniczał mnie w szczegóły problemu. Spotkaj się ze mną dziś o zmierzchu, kiedy księżyc będzie już dobrze widoczny na niebie. Będę czekać na rozstaju dróg za murami miasta. – Już miała zamknąć drzwi przed Janem, kiedy zawahała się na chwilę. – Zapomniałabym o zapłacie. Jesteś krawcem. Mistrz Jan we własnej osobie, nieprawdaż? – Nie czekała jednak na odpowiedź. – Przynieś płaszcz z kapturem obszytym lisim futrem. – Po tych słowach zniknęła w ciemnej sieni.

Jan stał jeszcze chwilę przed kamienicą. Trudno mu było uwierzyć, że Ludwik skierował go do kobiety zajmującej się magią, ale widać nie było innego sposobu. O zmierzchu miał się spotkać z czarownicą.

Jan słyszał wiele złego o rozstajach dróg i od zawsze starał się ich unikać. W takich miejscach zmarli próbowali kontaktować się z żywymi. Robili to za pomocą wiejącego wiatru, który poruszał koronami drzew, zaś szelest liści był odgłosem dusz zmarłych przodków.

A jednak przyszedł w wyznaczone miejsce. Był sam. Cisza panująca w tym miejscu sprawiła, że zaczęło piszczeć mu w uszach. Od czasu do czasu jego twarz smagana była podmuchami wiejącego, -zawodzącego wiatru.

Starał się nie słuchać «jęków», jakie dolatywały do niego wraz z każdym podmuchaem. Zadrżał,

a po plecach przeszły mu ciarki. Poczul, że na czoło wystąpiły krople potu. Robiło się coraz ciemniej i powoli zaczął obawiać się nie tylko duchów, ale rabusiów.

Aż podskoczył z krzykiem na ustach, kiedy poczul na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się natychmiast i krzyknął po raz drugi. Stała przed nim kobieta, z którą rozmawiał wcześniej dzisiejszego dnia.

Włosy, nad wyraz gęste i długie, puszczone wolno, miały kolor czystej bieli. Nie zauważył w nich ani jednego włosa, który miałby inny odcień. Skóra, niewystawiana na promienie słońca, była prawie przezroczysta. Pomimo mroku widać było na policzkach błękitne żyłki. Trudny do określenia był wiek kobiety, ale sądząc po zmarszczkach, musiała być bardzo stara. Usta, ledwo widoczne, prawie sine, zapadały się do wewnątrz, ponieważ starucha nie miała zębów. Nos musiał być kiedyś złamany, gdyż krzywił się na czubku w stronę prawego ucha. Ale najbardziej przerażające były jej oczy, których młode, bystre spojrzenie nie licowało z całym wizerunkiem. Miały one barwę roztopionego srebra, a źrenica, wydająca się małym punkcikiem, była w kolorze czystej, niczym niezmaconej czerni.

– Trzymaj. – Kobieta wyciągnęła rękę w stronę Jana Celtisa, podając mu zawiniątko. Krawiec z obawą sięgnął po rzecz, którą trzymała starucha, a kiedy wreszcie wziął ją w dłoń, czarownica przemówiła spokojnym głosem. – To prosty gliniany kielich. Na dwa dni przed pełnią księżyca napełnisz go wodą źródlaną i dodasz po szczypcie krwawnika, przywrotnika, ruty, lawendy oraz szyszkę chmielu i kwiat róży. Na dnie położysz srebrną monetę. Naczynie z zawartością musisz wynieść na dwór i ustawić tak, aby padało na nie światło księżyca. Twoja żona musi usiąść przy kielichu. Niech zamknie oczy i wyobrazi sobie, że rośnie w niej dziecko, że obfitość spływa na nią. Po chwili musi podnieść kielich i poczuć, jak pomiędzy nią a naczyniem przepływa energia. Potem musi upić łyk wody i ciągle wyobrażając sobie stan błogosławiony, zwróciwszy twarz w stronę księżyca, wypowiedzieć słowa: Bogini Księżyca, w pełni zanoszę do ciebie modlitwę, abys obdarzyła mnie i mojego męża obfitością. Rytuał musi powtarzać przez trzy kolejne noce. W czwartą noc, o godzinie trzeciej... Słuchaj uważnie! – Kobieta upomniała Jana, którego myśli zaczęły błądzić gdzieś daleko. – O trzeciej nad ranem musi wylać zawartość kielicha, a monetę nosić zawsze przy sobie, aż do rozwiązania.

– I to wszystko? – Celtis nie mógł uwierzyć, że czynności, które wydały mu się błahe, mogły sprawić, że on i Barbara doczekają się potomstwa.

– Wszystko. Zanim jednak odejdziesz, czeka mnie zapłata. – Starucha uśmiechnęła się szeroko, pokazując bezzębne usta.

– A tak. – Zreflektował się Jan, schylając się do tobołka, który postawił na ziemi. – Twój płaszcz. – Podał jej worek z odzieniem w środku. Kobieta jednak nie wyciągnęła po niego ręki. – Zachowaj płaszcz. Ponieważ wątpisz w moją uczciwość i prawdziwość moich słów, mam inną propozycję. Jeżeli wróżba się spełni i urodzi się wam dziecko, wówczas przyjdę po zapłatę.

– Jeśli twój rytuał się spełni, daję ci moje słowo, że kiedy tylko przyjdiesz, dostaniesz wszystko, o co poprosisz. – Jan położył rękę na sercu, żeby potwierdzić swoją przysięgę.

– Będę o tym pamiętała i mam nadzieję, że Ty też nie zapomnisz swoich słów. A na przyszłość, zanim cokolwiek obiecasz, dobrze waż słowa.

Nagle zerwał się wiatr. Był na tyle silny, że ogromny kołnierz przy okryciu Jana podniósł się i zasłonił mu twarz. Kiedy krawiec uporał się z niesforną tkaniną, staruchy już nie było.

Stał sam na rozstaju dróg, mając za towarzystwo jęczący wiatr i szepczące korony rosnących przy drodze drzew. Ściskając kielich i powtarzając słowa zaklęcia, powoli, pełen nadziei ruszył w stronę domu”.

Rozalia zerknęła w stronę łóżka. Magdalenka smacznie spała.

## Rozdział 8

Po wczorajszej nawałnicy, jaka przetoczyła się nad miastem, pozostały jedynie ogromne kałuże i niesprzątnięte jeszcze z chodników i dróg gałązki drzew, których krucha konstrukcja nie wytrzymała pod -naporem porywistego wiatru.

Stefania, spacerując nad Wisłą, przystanęła na chwilę. Zadarła głowę, wpatrując się w błękitne niebo. Czyste, przejrzyste, podświetlone jasnymi promieniami słońca. Żar, który z każdą godziną wzrastał się coraz bardziej, doskwierał mieszkańcom, chociaż Stefania nie narzekała. Zawsze lubiła ciepło, a jednak zatęskniła dziś za strzępiastymi białymi chmurami, które przynosiły wytchnienie, dając przyjemny cień choć na kilka chwil.

– Niech panienka nawet nie szuka. Dziś na niebie nie ma ani jednej chmurki – zagadnął ją starszy jegomość, idący przed siebie spacerowym krokiem.

Niebo od dawna nie było tak czyste, jakby pogoda chciała wynagrodzić mieszkańcom Krakowa tych kilka dni rześnego deszczu, który zakończył się wczorajszą gwałtowną burzą z piorunami.

– Odejdź od okna. – Ojciec zatrzymał się w drzwiach dawnego buduaru żony, przyglądając się stojącej przy oknie córce. – Nie jestem zabobonny ani przesądny, a tym bardziej nie panikuję w czasie burzy, ale moja matka zawsze powtarzała, żeby nie stać w oknie, kiedy biją pioruny.

– Słyszałam, że mogą na zawsze zostawić odbicie człowieka na szybie – odparła Stefania, siadając na łóżku.

Czekała, aż ojciec powie coś więcej, usiądzie obok, ale Jan Schramm wzruszył tylko ramionami. Odchodząc w stronę swojego gabinetu, w którym od czasu wznowienia współpracy z hrabią Michałowskim przesiadywał całe dni, przynajmniej nie zapomniał, żeby życzyć jej dobrej, spokojnej nocy.

Kiedy dziś Stefania wychodziła po południu z domu, żeby pospacerować nad rzeką, nad którą od jakiegoś czasu najlepiej jej się myślało, ojca od dawna nie było. Mijali się jak obcy ludzie, którzy tylko pomieszkują ze sobą. Zamieniali zdawkowo kilka słów. Dzień dobry, do zobaczenia, dobranoc. Nic osobistego. Żadnych błahych rozmów, które kiedyś odbywały się w salonie, przy kominku, gdzie siadywała cała rodzina.

Rodzina, pomyślała Stefania. Nie ma już rodziny. Ta smutna myśl nawiedzała ją coraz częściej. Coraz częściej łapała się także na tym, że zapominała o matce. Czasami miała wrażenie, że Tekla Schramm nie wyjechała, ale umarła. Że już nigdy nie wróci. Nie będzie zrzędzić, że Eleonora za długo przesiaduje w księgarni. Że zamiast stroić się, myśli tylko o nauce.

Na wspomnienie siostry poczuła przejmujący żal. Już niebawem Nora na zawsze opuści kamienicę Pod Irysami. Podjęła decyzję. Przyjęła oświadczyzny mężczyzny, którego kochała. Ustaliła datę ślubu. Przygotowuje się do roli panny młodej, a potem żony i zapewne matki. Chociaż od jakiegoś czasu prawie nie sypiała w domu, to jednak świadomość, że za kilka miesięcy Eleonora w ogóle przestanie mieszkać na Wiślniej, sprawiła, że Stefania musiała przełknąć rosnącą w gardle gulę i zatrzepotać rzesami, żeby powstrzymać łzy. Rodzina powoli, ale systematycznie zaczynała zanikać.

Rozeszli się, rozstali, nawet o tym nie wiedząc. Nie bacząc na pozostałych członków rodziny, każde zajęło się sobą. Uprzejme pytanie „czy wszystko w porządku”, które czasami padało z ust ojca lub Eleonory, było zwykłą kurtuazją. Tylko czasami, w takie dni jak dziś, kiedy czuła się osamotniona, miała do najbliższych pretensje. Potrzebowała wsparcia.

Nie bądź hipokrytką, usłyszała głos w swojej głowie. Kiedy próbowali cię pocieszać, doradzać, wskazywać kierunek, odrzucałaś pomocne dłonie. Byłaś pewna swoich racji. Zamknęłaś się w sobie, a najgorsze, że to zamknięcie doprowadziło do tego, że w ogóle o sobie zapomniałaś. Sama nie wiesz, czego chcesz. Nie masz zamiaru wracać do Mikołaja, bo uważasz ten rozdział za zamknięty, a jednak ciągle rozdrapujesz tę ranę. Katujesz się poczuciem winy za grzechy, których nie ponosisz.

Zdecyduj coś. Zrób coś. Głos w głowie panoszył się coraz bardziej.

Nie tylko ty jesteś w to zamieszana. Nie tylko siebie ranisz.

Stefania złapała się za skronie, które zaczęły pulsować od natrętnych myśli. Pomasowała je, ale

wewnętrzne „ja” nie dawało za wygraną.

Dajesz im złudne nadzieje. Mamisz. Odpychasz i przyciągasz. Chcesz ich mieć obu pod ręką? Nie potrafisz wybrać? Nie możesz mieć i Janka, i Mikołaja. Dobrze o tym wiesz, ale ta gra na zwłokę, ta gra w zagubioną pannicę pozwala ci wciąż się nimi bawić. Tak, dobrze słyszysz, bawić.

Stefania potrząsnęła głową. Starła się skupić myśli na czymś innym. Na zbierających się nad rzeką ludziach. Na ich rozmowach. Na harcujących psach. Na goniących po trawie i śmiejących się wniebogłoso dzieciach. Na muzykantach, którzy rozstawili się to tu, to tam, umieszczając koło nóg kapelusze, do których spacerowicze -wrzucali drobne.

Ale uparte sumienie nie poddawało się. Uwzięło się na Stefanię.

Ranisz nie tylko siebie. Ranisz Mikołaja, dając mu fałszywe nadzieje, że możecie odzyskać to, co było kiedyś. Czy możesz mu to dać? Wrócisz do chwil sprzed pożegnania na Oleandrach? Nie!

Znowu złapała się za głowę. Przystanąła. Przytrzymała się ławki, na której usiadła starsza kobieta. Zakręciło jej się w głowie.

– Czy panna dobrze się czuje? – Zatroskany głos na chwilę oderwał Stefcię od walki, jaką prowadziła sama ze sobą.

– Tak, to chyba od upału – odparła i nie chcąc wdawać się w dyskusję, ruszyła dalej.

Powoli, ostrożnie stawiała każdy krok. Pociemniało jej w oczach. Powachlowała się „Nowościami Ilustrowanymi”, które trzymała pod pachą. Kupiła je zaraz po wyjściu z domu. Chciała poczytać powieść, którą publikowała w nich Rozalia. Ciemność odeszła. Słabość również.

Ale nie uparty głos w jej głowie.

Ha, usłyszała w myślach. Na wzmiankę o Oleandrach nie myślisz o Mikołaju. Od razu przed oczami pojawia się smukła sylwetka Janka, a serce wyrывa się z piersi. Nie, nie zaprzeczaj. Kogo chcesz oszukać? Samą siebie. Po co to udawanie?

Kochasz go. Tęsknisz.

Przestań się karać, bo nie masz za co.

Przestań spełniać czyjeś oczekiwania. Tak, wiesz, o kim mowa. O państwie Grabowskich. Nie jesteś im nic winna.

Ale...

Nie ma żadnych „ale”. Nie ma żadnych „ale”. Nie ma żadnych „ale”.

Głos wreszcie ucichł. Stefania odetchnęła. Wiedziała, co powinna zrobić.

Nie, nie była jeszcze całkiem gotowa, lecz dzięki tej batalii, jaką właśnie przeprowadziła, znalazła się na dobrej drodze, żeby wreszcie odzyskać swoje życie.

Uśmiechnęła się do własnych, radośniejszych myśli. Gdzieś w głowie zaczął kiełkować plan. Jeszcze dziś rano nie robiła żadnych planów. A teraz...

Ruszyła wzdłuż Wisły, patrząc na skrzącą się ciemną otchłań. Przypomniała sobie legendę o Kraku i jego córce Wandzie, którą dziś znowu w trakcie puszczania wianków będą wspominać w przygotowanej barwnej inscenizacji. Przystanąła. Zerknęła na zegarek. Dochodziła piąta po południu. Nad wodą powoli zaczęli zbierać się ludzie. Nie planowała zostać. Tak naprawdę już dawno powinna wracać do domu. Nie miała jednak ochoty na samotne spędzenie wieczoru. Wołała zostać tu. Może wciąż była samotna, ale przynajmniej nie sama.

Ruszyła w stronę sceny, jaką towarzystwo „Sokół” wzniosło kilka dni temu. Miała nadzieję, że wczorajszy ulewny deszcz nie wyrządził zbytnich szkód. Ludzie siadali na trawie. Rozmawiali, śmiali się. Podjadali wiktuały przyniesione w wiklinowych koszach, ciesząc się piknikową pogodą. Usiadła nieopodal grupki młodych, -rozradowanych dziewcząt. Uśmiechnęła się, patrząc na ich beztroskę.

– Podobno mają być sztuczne ognie, bo jak wiesz, wianki bez nich nigdy by się nie odbyły. – Znajomy głos sprawił, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Czyżbym ściągnęła cię myślami? – Spojrzała na stojącego tuż za nią Mikołaja. – Spodziewałabym się wszystkich, tylko nie ciebie. Wybacz za szczerłość, ale kiedy ostatnio...

– Wiem, nie byłem dobrym kompanem. I dziś może też nie będę, ale staram się wrócić do normalności. Tak po prawdzie szukałem cię. Byłem u was w domu. Franciszek powiedział, że wyszłaś już jakiś czas temu. Może wrócisz za chwilę, a może za kilka godzin. Dodał, że chciałaś

pospacerować. Założyłem, że bliskość wody w tak upalny dzień i wianki, które niedługo się zaczną, skuszą cię do przyjścia nad Wisłę. Nie musiałem długo szukać.

– Czy jest jakiś konkretny powód tych poszukiwań?

– Chciałem z tobą porozmawiać. Chyba już dawno powinniśmy to zrobić, nie sądzisz?

– Coś w tym jest – powiedziała Stefania. – Przed chwilą doszłam do tego samego wniosku i chciałam jutro cię odwiedzić, ale skoro już tu jesteśmy...

– Chcesz zostać? – Mikołaj ruchem głowy wskazał scenę, na której zaczęli pojawiać się aktorzy.

– Nie. – Stefania ruszyła w stronę placu Na Groblach. Mikołaj dotrzymywał jej kroku. – Nie przeciągajmy tego. W końcu już nie raz widziałam palenie ogniska, skoki przez ogień. Kiedyś sama wrzucałam wianki do wody. Kiedyś...

Po ostatnich słowach Stefanii zapadło milczenie, ale o dziwo, nie było ciężkie, przytłaczające. Stefania odniosła wrażenie, że jest oczyszczające.

– Wiem, że moja matka była u ciebie. – Mikołaj zaczął rozmowę.

– Tak, nie zaprzeczam. Była. Chciała porozmawiać.

– Zawsze byłaś zbyt uprzejma i zbyt delikatna. Nie musisz tuszować prawdy. To, co zrobiła moja matka, nie miało nic wspólnego z rozmową. Wiem, bo wymusiłem na niej przyznanie się do winy i opowiedzenie wszystkiego słowo w słowo, jak robiła ci wymówki. Oskarżała cię i chciała wymusić, żebyś ze mną została. – Mikołaj przystanął.

Odwrócił się w stronę budynku wyrastającego za jego plecami.

– Czyż to nie swoiste *déjà vu* – powiedział, wskazując na należącego do wojska gmach, w którym kiedyś znajdował się krakowski browar. – Mam wrażenie, że żołnierka wciąż mnie prześladuje. Pamiętam, że byłem tu na kilka dni przed wymarszem. Wiesz, że mieściła się tu szkoła podkuwania koni? – Stefania nie odpowiedziała. Mikołaj wcale tego nie oczekiwał. – Byłem głupi. Byłem głupi, nie dlatego że poszedłem na wojnę, ale dlatego że wydawało mi się, że wrócę.

– Wróciłeś.

– Nie, nie rozumiesz. Wydawało mi się, że czas się zatrzyma. Że lata wojaczki miną, a ja wrócę do tego, co było. Uwierz mi, nawet gdybym wrócił od razu albo po kilku miesiącach, nic nie byłoby takie samo. Nie, nie będę opowiadał o okropnościach, których doświadczyłem. Które widziałem i za które sam jestem odpowiedzialny. Te koszmary należą tylko do mnie.

– Powinieneś o nich z kimś porozmawiać.

– Porozmawiam. Zamierzam. – Wciąż stali w tym samym miejscu.

Stefania bała się zrobić krok do przodu. Musiała wysłuchać tego, co powie Mikołaj. Nie chciała burzyć atmosfery, która się między nimi wytworzyła. Możliwe, że Grabowski myślał tak samo, dlatego trwali przed budynkiem dawnego browaru, próbując wypowiedzieć słowa, dzięki którym obydwójce będą mogli zacząć znowu żyć.

– Powiedziałem, że moja matka nie miała prawa do ciebie przychodzić, i podtrzymuję swoje słowa, ale jednocześnie proszę, żebyś nie miała jej tego za złe. I ona, i ojciec, który stara się być twardym mężczyzną, codziennie borykają się z moją chorobą. Nie, nie zaprzeczaj. – Mikołaj nie dopuścił Stefanii do głosu. – Najtrudniej było zdać sobie z tego sprawę. Że jestem chory. I moi najbliżsi muszą się razem ze mną zmagać z tą chorobą. Kiedy przyjechałaś z moimi rodzicami do Francji, kiedy cię zobaczyłem, miałem wrażenie, że wciąż jest 1914. Przez większość czasu myślałem, że wojna to tylko zbyt realistyczny i przerażający sen. Chciałem porwać cię do teatru. Na próbę. Chciałem stanąć razem z tobą na scenie i wtedy nachodziła mnie dziwna, niepokojąca myśl, że nie mam gdzie cię zabrać. Że coś się zmieniło. Powoli, dzięki waszej obecności, dzięki waszym opowieściom, zacząłem rozumieć upływ czasu. To już nie był 1914 rok. To nawet nie był 1918 rok. Minęło setki dni, odkąd widziałem cię po raz ostatni. Najdziwniejsze było to, że gdy dotarła do mnie ta koszmarna rzeczywistość, zapragnąłem wrócić na front. Nagle przy tobie, przy moich rodzicach, we własnym pokoju, w mieście, które kocham, poczułem się wyobcowany. Nie pomagały oczekiwania rodziców. Nie pomagały nawet twoje wizyty. Chciałem widywać cię każdego dnia, odchodziłem od zmysłów, kiedy nie przychodziłaś zbyt długo, a jednak podświadomie dziękowałem, że nie ma cię przy mnie, bo kiedy siedziałaś tuż obok, wizje z frontu powracały ze zdwojoną siłą. Tamtego dnia, kiedy schowałem się za fotelem...

– Nie, nie musisz nic tłumaczyć. – Stefania przerwała opowieść Mikołaja.

– Nie muszę, ale chcę. – Przerwał na chwilę. Czekał na przyzwolenie. Stefania skinęła głową. – Tamtego dnia znalazłem się znowu w naszym batalionie. Podzielono nas na cztery grupy. Żeby ruszyć na wroga, musieliśmy ominąć zasieki, które sami postawiliśmy. Małymi grupami podchodziliśmy do nich. Przecinaliśmy je i białą taśmą albo sznurkiem oznaczaliśmy miejsca, w których można było się przedostać dalej. Ci, którzy już przeszli, czekali na pozostałych, formując linie. – Mikołaj zamknął oczy. Obrazy stały się bardziej wyraziste. – Ruszyliśmy. Po chwili nad naszymi głowami rozległy się strzały. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, wspiałem się na nasyp. Byłem czujny. Ostrożny. Wyteżałem wzrok, a jednak nie zwróciłem uwagi na kolejne zasieki, które wyrosły nagle przede mną. Zaplątałem się w nie. Zamarłem z przerażenia. Pot lał się ze mnie strumieniami. Serce o mało nie wyskoczyło z piersi, a w głowie pojawiła się jedna myśl, że za kilka minut zaleje mnie grad pocisków. Przypomniałem sobie dom, ciebie. Deski teatru. Oklaski. Nie wiem, co zmotywowało mnie do działania. Może widok twojej roześmianej twarzy, a może gwizdy na bis, które usłyszałem w wyobraźni. Szarpałem się tak długo, aż w końcu zasieki puściły. Biegłem przed siebie na oślep. Byłem dalej od miejsca, w którym czekała mnie pewna śmierć.

Stefania czuła, jak do oczu napływają jej łzy. Chciała objąć Mikołaja. Chciała prosić, żeby przestał. Że te wspomnienia są niepotrzebne. Tylko rozdrapują stare rany.

– Nie płacz – powiedział Mikołaj, otwierając przymrużone oczy. – Wiem, co myślisz. Że to nie ma sensu. Że niepotrzebnie do tego wracam, ale mylisz się. Potrzebuję tego. – Zamilkł, lecz tylko na chwilę. – Wreszcie oddaliłem się od tego miejsca. Przystanąłem, żeby uspokoić oddech. Szukałem ciemności. Najczarniejszego miejsca. Najciemniejszego. Szukałem kryjówki. Jak tchórz. Za nic miałem los moich kolegów, których ani nie słyszałem, ani nie widziałem. Nikogo. Ani dowódcy, ani łączników. Byłem sam. Sam jak palec. Zrobiło mi się słabo. Ugięły się podę mną nogi. Padłem w błoto zmieszane z krwią, której na polach bitwy było tyle, że ziemia przestała ją przyjmować. Ten upadek... – Głos Mikołaja się załamał. – Był zrzędzeniem losu, a może darem od Boga. Chwilę później nad moją głowę przeleciał grad pocisków. Na kilka dni straciłem słuch. Wybuchy już wtedy przestały robić na mnie większe wrażenie. Już nie wzdrygałem się za każdym razem, ale tamtej nocy zacząłem się zastanawiać, czy żyję. Żyłem, choć to mogło się wkrótce zmienić. I zmieniło się. Jeszcze przed świtem zostałem poważnie ranny. Ta rana zmieniła wszystko.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Prawdy. – Spojrzenie Mikołaja było twarde. Rzucił jej wyzwanie. – Nie wahaj się. Nie klucz. Nie kłam. Chcę prawdy. Moje ciało i umysł są zmęczone. Już nie tak jak kiedyś. Kiedyś było zmęczone śmiertelnie. Od musztry, od ćwiczeń, od apeli. Musieliśmy spełniać zachcianki dowódców. Byliśmy w stanie ciągłej gotowości i zagrożenia. Baliśmy się ukrytego, niewidzialnego przeciwnika. Baliśmy się tego, co nas czeka. Baliśmy się widoku martwych kolegów. Ich poharatanych ciał. Ich rozczłonkowanych torsów. Ten stres, który czułem na wojnie, wciąż się we mnie czai, ale mimo to jestem gotów na prawdę. Nie zniosę niedomówień. Mam dość półsłówek. Dość czekania, zwłaszcza że zamierzam wyjechać.

– Dokąd?

– Nie mogę tak żyć. Nie, nie mówię o tobie. Mówię o sobie. Nie mogę do końca życia bać się własnego cienia i wspomnień. Muszę podjąć próbę. Ojciec znalazł lekarza we Wrocławiu, który podejmuje się eksperymentalnego leczenia stresu powojennego. Jadę tam. Muszę spróbować uratować samego siebie. Ale zanim wyjadę, muszę uporządkować sprawy tu, na miejscu. Chęć rozmowy z tobą była tak wielka, że wypędziła mnie z domu, a wiesz, że nie było łatwo. I nie jest. Jestem tu, ale wciąż pragnę zaszyć się w bezpiecznych czterech ścianach.

– Wracajmy więc.

– Nie. Tego też muszę się nauczyć od nowa. Wychodzenia na świat. Życia wśród ludzi. Życia wśród nieoczekiwanych odgłosów. Nie martw się o mnie. Teraz liczy się tylko prawda.

Stefania westchnęła. Zdała sobie sprawę, że we Francji nie podejmowali najistotniejszych tematów. Unikali tego jak ognia, jednak widocznie wreszcie nadszedł czas. Mikołaj podjął odważną decyzję. Podjął ją za siebie, ale w pewnym sensie także za Stefanię.

– Czekałam na ciebie każdego dnia od chwili rozstania. Czekałam na twoje listy. Kiedy Julian wrócił z frontu, wypytywałam go o ciebie. Czekałam na jakiś znak. I wtedy powiedzieli mi, że nie żyjesz. Wyparłam ze świadomości te straszne uczucia. Nie pamiętam ich dokładnie i nie chcę do nich wracać. Przeszłam przez wszystkie etapy żałoby. Zaprzeczałam twojej śmierci, buntowałam się. Wreszcie zrozumiałam, że nie dotrzymasz obietnicy. Pożegnałam się z tobą, Mikołaju. Umarłeś. W końcu mogłam przejść żałobę. Pomogła mi rodzina. Pomogła mi panna Bronisława i pobierane u niej lekcje rysunku i malarstwa. A potem poznałam Janka.

– Janek...

– Tak, Janka. Nie wiedziałam, że był twoim przyjacielem. On nie wiedział, że spotykałeś się ze mną. Nie chciałam tego uczucia. Odpychałam je od siebie, ale pewnego dnia zrozumiałam, że mam prawo żyć. Pozwoliłam się pokochać. I sama pokochałam. Tak, Mikołaju, Kocham Jana.

– Sam tego chciałem, prawda?

– Sam tego chciałeś, ale i tak zamierzałam ci o tym powiedzieć. Dziś, tam nad rzeką, zrozumiałam, że nie mogę zaprzeczać temu w nieskończoność. Nie mogę krzywdzić i siebie, i was.

– Wrócisz do niego?

– Wrócę, ale jeszcze nie teraz. Nie od razu. To nie tak, że po tej rozmowie wszystko wróci na stare tory. To wymaga czasu.

– Miałem nadzieję, że może zaczniemy od nowa, ale nie jestem głupcem, Stefaniu. Nie będę cię szantażował. Nie będę błagał i nie będę udawał, że wciąż cię Kocham. Jakaś część mnie wciąż Kocha tamtą Stefcie, ale ty już nią nie jesteś. Tak jak ja nie jestem tamtym Mikołajem. Kto wie, czy nowi my bylibyśmy gotowi do tamtego uczucia?

– Obawiam się, że nie. Jesteśmy innymi ludźmi. Wojna ma z tym wiele wspólnego, ale nie wszystko. Dorosliśmy.

– Niezaprzeczalnie. – Mikołaj zerknął w stronę Wisły.

– Nie, nie mam na to ochoty – powiedziała Stefania, jakby odpowiadała na niezadane pytanie. – Odprowadzę cię do domu.

Powoli ruszyli przez Tarłowską w stronę Zwierzynieckiej. Po kilku minutach stanęli nieopodal tylnego wejścia do apteki Grabowskich. Okna na piętrze, należące do mieszkania Grabowskich, były otwarte. Pani Grabowska zapraszała słońce do domu. Mikołaj położył palec na ustach.

Przysunął się blisko Stefanii.

– Cii – szepnął jej do ucha. Odsunął się nieznacznie, żeby spojrzeć jej w oczy.

A potem pochylił się do jej ust. Nie odsunęła się. Nie zabroniła mu tego. Przycisnęła wargi do jego ust. Oddała pocałunek. Ostatni. Pożegnalny. Pocałunek, w którym nie było namiętności, tylko tęsknota za straconym życiem. Po chwili Mikołaj zamknął Stefcie w ciasnym uścisku. Stali tak przez dłuższy czas. W milczeniu.

– Ja podjąłem decyzję. Teraz twoja kolej, Stefaniu Schramm – powiedział, odsuwając ją na wyciągnięcie ramion.

– Żegnaj, Mikołaju.

Po tych słowach, nie czekając, aż Grabowski wejdzie do domu, Stefania odwróciła się i wolnym krokiem odeszła w stronę Rynku.

\*\*\*

Jan Matula od kilku godzin siedział przy biurku, które ustawił tuż przy okrągłym oknie swojego pokoju na ostatnim piętrze willi należącej do jego wuja, znanego krakowskiego aptekarza Dionizego Matuli. Od kwadransa, a może dwóch, Jan wpatrywał się w ulicę widniejącą za oknem. Czekał. Miał nadzieję, że któregoś dnia znowu zobaczy Stefanię siedzącą na ławeczce naprzeciwko ich domu.

– Tak myślałem, że tu cię znajde. – Głos wuja wyrwał Jana z zamyślenia. – Uczysz się?

– Próbuję – odparł Jan zgodnie z prawdą.

Niebawem czekało go kolokwium z farmacji stosowanej, który to przedmiot lubił najbardziej. Na biurku piętrzyły się notatki, głównie dotyczące aptekarskich przepisów.

– Przychodzę z prośbą. – Matula przysiadł na krześle stojącym po drugiej stronie biurka.

Wyciągnął rękę, w której trzymał sfatygowany notatnik w skórzanej okładce.

– To moje zapiski, które prowadzę od lat. Pewnie zająłbym się tym sam, ale oczy już nie te, a i ręka odwykła od ciągłego pisania zaczyna boleć już po kilku zdaniach. Czy w wolnej chwili, traktując moją prośbę jako ekscentryczną rozrywkę, mógłbyś przepisać notatki do nowego, nierozlatującego się zeszytu, tak aby służyły nam jeszcze przez lata?

– Zrobię to z radością – odparł Jan, odsuwając przepisy dotyczące taksy aptekarskiej.

Otworzył notatnik. Przewertował kilka pierwszych kartek. Uniósł brew, patrząc na wuja z podziwem.

– Przepisy, receptury, porady, rysunki – wyliczał Jan.

– Nazywam to manuałem magistra Matuli. I teraz zostawiam go pod twoją opieką. – Po tych słowach dźwignął się, ale nagle usiadł z powrotem, jakby o czymś sobie przypomniał.

– Spotkałem wczoraj Grabowskiego. – Jan nadstawił uszu. – Wydawał się zakłopotany naszym spotkaniem. Miałem wrażenie, że jest rozdarty pomiędzy lojalnością wobec swojego syna a długoletnią znajomością ze mną. W końcu jednak zaczęliśmy rozmawiać. Nie, nie od razu zapytałem o Mikołaja. Zostawiłem to Grabowskiemu.

– I co u niego słychać? – zapytał Jan. – Wie wuj, że cały czas biję się z myślami, czy odwiedzić Mikołaja, czy nie. Wiem, że powinienem, ale nie potrafię się zmusić. Nie, nie dlatego, że czuję się winny, bo tak nie jest. Dlatego, że jestem na niego wściekły, że przeżył, ale kiedy o tym myślę, to nienawidzę siebie.

– Posłuchaj, czego się dowiedziałem. – Matula nie odniósł się do ostatnich słów bratanka.

Chciał go pocieszyć, chciał go usprawiedliwić, ale nie potrafił ubrać tych uczuć w odpowiednie słowa, a skoro nie umiał tego uczynić, wołał nie robić tego wcale.

– Przez długi czas – mówił Matula dalej – Mikołaj nie wychodził z domu. Dziwnie się zachowywał, co martwiło i zapewne nadal martwi rodziców, a w szczególności Grabowską. Nie będę ci opowiadał o czymś, czego sam doświadczyłeś. Czekał na Stefanię, która wprawdzie pojechała do Francji, ale później wcale nie odwiedzała Mikołaja tak często, jak życzyliby sobie tego Grabowscy. Teofil nie był skory do zwierzeń, lecz wiem, że Mikołaj ostatnio lepiej się czuje i że podjął ważną decyzję. Wyjeżdża do Wrocławia.

– A Stefania? – Jan pochylił się w stronę Dionizego.

– Mikołaj pożegnał się ze Stefcią. Ponoć spotkali się nad Wisłą w dniu, kiedy organizowano wianki. Długo rozmawiali. Wyłumaczyli sobie wszystkie niedomówienia. Mikołaj zażądał prawdy i ją otrzymał.

Dopiero teraz Matula podniósł się na dobre z krzesła i bez słowa wyszedł z pokoju Jana, zostawiając go z natłokiem myśli.

Mijały minuty, kwadranse, godziny. Dzień zbliżał się ku końcowi, chociaż za oknem wciąż było jasno, a słońce jeszcze nie schowało się za horyzontem. W końcu Jan sięgnął po leżące na biurku przepisy. Nie miał głowy do nauki, ale musiał zerknąć do notatek, jeżeli chciał mieć jakiegokolwiek szanse na rozpoczęcie nauki w następnym roku.

– Apteki mogą pobierać ceny maksymalne określone w niniejszej taksie aptekarskiej lub mogą pobierać opłaty niższe, o ile nie są one reklamowane. – Jan czytał szeptem. – Cenę lekarstwa wykonanego według receptury określa się przez zsumowanie cen wykorzystanych do jego przygotowania, materiałów, w tym naczyń oraz poświęconego czasu. Taksa aptekarska to wykaz substancji chemicznych, z których przygotowywane są leki recepturowe, który obejmuje ceny urzędowe stosowane przez apteki w całym kraju.

Jan odłożył notatki z niechęcią. Nie potrafił się skupić. Jego myśli krążyły wokół Stefanii. Zerwał się z krzesła i ruszył w stronę schodów. Zatrzymał się jednak w połowie. Stał tam niezdecydowany.

Iść czy poczekać?

– Iść czy nie iść – mówił do siebie, parafrazując słynne powiedzenie.

Zawrócił. Usiadł przy biurku, nie zanurzył się jednak w lekturze przepisów, ale otworzył notatnik wuja.

Na pierwszych kilku stronach znajdował się alfabetyczny spis preparatów farmaceutycznych. Jan



znalazł tam opis octów oraz wód aromatycznych powszechnie stosowanych w leczeniu. Dalej znajdował się wykaz balsamów zawierających aromatyczne olejki: lawendowy, majerankowy, goździkowy czy cynamonowy. Czytał z zainteresowaniem, zatrzymując się przy przepisie na balsam na odmrożenia. Kartkował dalej, przesuając szybko wzrokiem po gęsto zapisanych stronicach. Przepisy na leki w postaci plastrów, na etery i eliksiry, wina lecznicze i krople. Zatrzymał się przy kilku recepturach leków używanych w weterynarii.

– Maść ostra dla konia – szeptał. – Na parchy dla owiec i psów. Co my tu jeszcze mamy – mamrotał, przewracając delikatne, uszkodzone wielokrotnym przeglądaniem, poźółkłe ze starości i poplamione czynnikami stronice. – Jak pozbyć się much. Przepis na puder cielisty, płyn na włosy, na pozbycie się potu u nóg. – Uśmiechnął się na ostatnie słowa. – Woda na piegi. Po co komu woda na piegi, kiedy piegi są takie urocze?

Zajrzał na ostatnie strony, na których znajdowały się, o dziwo, przepisy kulinarne: na musztardę, na maliniak, na syrop z poziomek.

Mniej więcej pośrodku znalazł Jan wskazówki, jak prowadzić krakowską aptekę. Przejrzał jeszcze kilka kartek, zanim zamknął zeszyt.

– Janku, ekspres przyniósł to do ciebie.

Wuj, stojąc w drzwiach pokoju bratanka, w wyciągniętej ręce trzymał białą kopertę. Jan wziął ją niepewnie. Od razu poznał pismo Stefanii. A więc doczekał się szybciej, niż przypuszczał.

– Będę u siebie w gabinecie, gdybyś chciał porozmawiać. – I nie czekając na odpowiedź, Matula zszedł powoli po schodach.

Stefania pisała:

Janku,

siedzę przed pustą kartką od kilku godzin. Tak, nie ma tu żadnej pomyłki. To nie są minuty ani kwadransy. Siedzę nad nią od kilku godzin. Nie dlatego, że nie wiem, co napisać. Nie wiem, jak to wszystko, co chciałabym Ci powiedzieć, ubrać w słowa.

Kiedy o tym myślę, wszystko wydaje się takie łatwe, ale kiedy sięgam po pióro, słowa ulatują z mojej głowy, a ręka opada w niemoc, nie mogąc skreślić prostych zdań.

Kiedys moja matka powiedziała, że Kraków to małe miasto. Tak, małe. Jeszcze do niedawna nie miałam porównania, ale teraz wiem, że jest malutkie. To miścinka. Więc może, jak w każdej miścinie, i tu pewne sprawy rozchodzą się lotem błyskawicy.

Może dotarła do Ciebie już wieść, że Mikołaj wyjeżdża i że odbyliśmy długą, ważną rozmowę.

Taka rozmowa czeka także nas. Musimy ją odbyć, ponieważ – mam takie przeczucie – bez tego nie będziemy mogli odbudować tego, co wieść o Mikołaju może nie zniszczyła, ale zawiesiła na czas bliżej nieokreślony.

Jan na chwilę odłożył list. Chciał zerwać się i pobiec do kamienicy Pod Irysami. Jednak siedział dalej, zmuszając się do zachowania spokoju.

Wiem, że czytając te słowa, chciałbyś przybiec do mnie. Chciałbyś odbyć tę rozmowę już dziś. Teraz. Ja w pewnym sensie także, ale boję się, że to jeszcze za wcześnie. Intuicja podpowiada mi, że potrzebuję złapać nową, inną perspektywę, nie na Ciebie, Janku, ani nie na nasze uczucie. Ta perspektywa potrzebna jest mnie. Muszę wreszcie przekonać się, że mam prawo do szczęścia. Wiem, że mam, ale...

Widzisz, jakie to trudne. Nie potrafię przekazać tego, co czuje moje serce i co podpowiada mi mój umysł. Mam wrażenie, że mieszkają we mnie dwie Stefanie. Ta racjonalna i ta emocjonalna. Ta beztraska i ta ciągle obwiniająca samą siebie.

Nie mam prawa Cię o to prosić, ale poproszę. Poczekaj na mnie. Daj mi jeszcze trochę czasu.

Wyjeżdżam na chwilę do Berlina, a potem do Wiednia, gdzie zaprosiła mnie Frau Goldbaum.

Ale wrócę. Obiecuję, że wrócę.

Pamiętasz, Ty też złożyłeś mi obietnicę. Dotrzymałeś jej.

Ja też dotrzymam swojej.

Kocham Cię.

Stefania

Jan podszedł do okna. Zerknął w stronę ławeczki. Miał nadzieję, że zobaczy tam Stefanię, ale ławka była pusta, tak samo jak cała ulica. Zerknął na zegarek. Nie wiedzieć czemu myślał, że nie minęła jeszcze siódma po południu, a tymczasem za kilka minut zegar miał wybić ósmą.

Na dworze wciąż było jasno i słonecznie. Gdyby nie to, że za chwilę zostanie poproszony na kolację, z chęcią udałby się na spacer. Potrzebował przewietrzyć głowę. Pomyśleć na spokojnie. Zastanowić się, czy pomimo zawartej w piśmie, niejasno przedstawionej, prośby złożyć Stefanii wizytę, czy jednak grzecznie zaczekać.

Wciąż stał przy oknie, kiedy na schodach usłyszał kroki. Kolacja, pomyślał i uśmiechnął się zadowolony. Jeszcze kilkadziesiąt minut temu nie był głodny, a teraz, kiedy poczuł, że rozpira go energia, zjadłby przysłowiowego konia z kopytami.

– Zaraz zejść – powiedział, odwracając się w stronę drzwi. – Stefania?

Nie ruszył się z miejsca. Zaczął się zastanawiać, czy widzi ją na pewno, czy jest ona tylko wytworem jego wyobraźni.

– Jutro wyjeżdżam. Nie mogłam zrobić tego bez pożegnania. – Podeszła bliżej.

Bardzo blisko.

– Najpierw jedziemy z Frau Goldbaum do Berlina, a potem do Wiednia. W Berlinie zostajemy na kilka dni zaledwie. Mam zamiar odwiedzić przyjaciela, Tristana. Mówiłam ci kiedyś o nim. Niedawno dostałam list. Smutny, nostalgiczny, melancholijny. Niepodobny do tych wcześniejszych, które były pełne radości, nadziei, oczekiwania na nowe życie. Tristan nie skarży się, nie odkrywa tajemnicy, ale jakąś chowa. Mniemam, że bardzo smutną, a że Ida zaproponowała wyjazd, poprosiłam o te kilka dni. Zgodziła się.

Jan milczał, lecz jego milczenie nie przeszkadzało Stefanii.

– Potem jedziemy do Wiednia. Mam zamiar nie tylko szkicować, ale także w praktyce zajmować się biżuterią. Chcę zobaczyć, jak robią to najlepsi z najlepszych. Chcę spróbować. Nie, nie dla sklepu, bo tu trzeba lat praktyki, ale dla siebie. Wrócimy jak najszybciej, jednak nie wiem kiedy. Pisałam... – Zawahała się. – Prosiłam. Zaczekasz? – I nie czekając na jego odpowiedź, nie czekając na jakikolwiek gest ze strony Janka, wspięła się na palce, całując go namiętnie.

Janek przyciągnął ją do siebie. Tęsknił za tym uczuciem. Tęsknił za jej ciałem. Mógłby ją tak całować bez końca, ale Stefcia delikatnie wyswobodziła się z jego objęć.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha. – Wracaj jak najszybciej.

– Obiecuję. I dotrzymam obietnicy.

## Rozdział 9

Rozalia zerknęła na zegarek. Miała nadal sporo czasu, chociaż jeszcze przed dwoma godzinami myślała, że spóźni się na oba spotkania planowane już od dawna. A wszystko przez Madzię, która akurat dziś postanowiła być niegrzeczną, rozkapryszoną pannicą.

– Nie mam zamiaru jechać do Zakrzówka – powiedziała, odrzucając przygotowane przez Rozalię ubrania. – Nie będę siedzieć razem z Jackiem.

Rozalia wzięła kilka uspokajających oddechów i policzyła do dziesięciu. Wcale nie czuła się przez to spokojniejsza, a jednak zaczęła tłumaczenia od początku. Prosiła, błagała. W końcu posunęła się do groźby. Jedyne efekty, jakie osiągnęła, to płaczące dziecko, zaklinające ją, że będzie grzeczne we wszystkim, tylko niech nie zmusza do wizyty w Zakrzówku. Kiedy w końcu Rozalia wyraziła zdziwienie, że mała tak się wzbrania przed zobaczeniem się z bratem, Madzia otworzyła usta ze zdumienia, a na jej twarzy, przed chwilą mokrej od łez, pojawił się słaby uśmiech. Nieco kpiarski, jak -zauważyła Rozalia.

– Ależ to wcale nie chodzi o Jacka – zaczęła tonem, jakim siostra Juliana zwracała się do niej. – Przecież dobrze wiesz, że boję się koni, a on tylko by siedział w tej stajni. Poza tym tam strasznie śmierdzi.

Rozalia załamała ręce na ten argument. Pomyślała, że ostatecznie zabierze ją ze sobą. Z pomocą przysłała kucharka.

– Proszę ją zostawić w domu. Przecież mogę ją przypilnować, a i Magdalenka z pewnością zechce pomóc mi przy ciasteczkach, prawda?

Na twarzy Zdanowskiej pojawił się wreszcie szeroki uśmiech, a Rozalia mogła odetchnąć z ulgą. Dzięki takiemu obrotowi sprawy zostało jej znacznie więcej czasu, niż potrzebowała. Ubrana w zwiewne spodnie i bluzeczkę z białym kołnierzykiem wsiadła na rower i ruszyła przed siebie. Decyzję o wyborze tego środka transportu podjęła w ostatniej chwili. Skoro nie musiała odstawiać Magdaleny na Zakrzówek, zamiast taksówki mogła skorzystać z roweru, na -którym nie jeździła już od dawna.

Swojego wyboru pożałowała już na wysokości parku Bednarskiego. Kiedy wychodziła z domu, przyjemny wietrzyk zapowiadał miłą przejażdżkę. Niestety, za chwilę wiatr ustał, chmury zniknęły z nieboskłonu, na którym pozostało tylko zabójcze sierpniowe słońce.

Dochodziła dopiero dziewiąta, a upał wydawał się nie do wytrzymania.

Jak tak dalej pójdzie, pomyślała Rozalia, to na spotkaniu z naczelnym „Nowości Ilustrowanych” będę wyglądała jak zmokła kura.

Czuła, że pot powoli spływa jej po plecach. Naszła ją nieodparta pokusa, żeby zejść z roweru i porzucić go gdzieś po drodze, a samej zatrzymać taksówkę. Na myśl o tym przypomniało jej się spotkanie z Erykiem. Nie widziała go od tyłu miesiący. Dni z jednej strony mijały szybko, zatrważająco szybko, z drugiej – każdy tydzień ciągnął się w nieskończoność.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w końcu już był sierpień. Ona jednak odpowiedziałaby, że dopiero. Kurs Eryka miał się skończyć za cztery miesiące. Tylko cztery i aż cztery, przemknęło jej przez myśl.

Jechała coraz wolniej. Była zmęczona i przegrzana. Mokra od potu i spragniona jak nigdy w życiu.

W końcu w oddali zamajaczyła siedziba „Nowości Ilustrowanych”, nie podjechała jednak pod gmach od razu. Musiała odsapnąć. -Odetchnąć. Nieco się osuszyć.

Przystanęła przed Pałacem Królewskim na Łobzowie. W cieniu starych rozłożystych drzew, szemrzących kojąco pod wpływem niewyczuwalnego wiatru, od razu poczuła ulgę. Zsiadła z roweru. Prowadząc go wolno, ruszyła spacerkiem w stronę parku. Zieleń koła wzrok. Korony drzew zapewniały przyjemne schronienie, tworząc nad głową Rozalii naturalną, pachnącą parasolkę. Była tu zaledwie kilka razy, czego szczerze żałowała, bo miejsce było nie tylko piękne, ale i klimatyczne. Pierwszy gmach wzniesiono tu już za panowania Kazimierza Wielkiego. Posiadłość stanęła na szlaku handlowym wiodącym kupców z Krakowa na Śląsk. I chociaż starej twierdzy już dawno nie było, jej pozostałości wciąż tkwiły w nowych murach.

Ale to nie historia budynku urzekła Rozalię najbardziej, a legenda, którą opowiedział jej kiedyś nieżyjący od wielu lat dziadek ze strony ojca.

Owczesny senior rodu Michałowskich imponował wiedzą, także tą na temat Krakowa, miasta, które kochał i na temat którego chciał wiedzieć jak najwięcej.

– Musisz wiedzieć, że kiedyś miejsce to wyglądało inaczej. Król Kazimierz lubował się w tym zamku, szczególnie w porze letniej. Legenda mówi, że mieszkała tu jego wielka miłość, piękna Estera, która powiła mu synów Niemierzę i Pełkę – opowiadał dziadek.

Przechadzając się po pałacowym parku, Rozalia słyszała w myślach jego dźwięczny głos. Jego opowiadanie natchnęło ją do tego, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Esterce. Zaszyła się w bibliotece ojca, przeczesując książki. W kronice Jana Długosza znalazła informację, że Estera słynęła z urody. Była ponoć wnuczką szanowanego kupca oraz lekarza z Opoczna, który przekazał jej wiele medycznych tajemnic.

Rozalia przystanęła, wpatrując się w okna pałacu. Czy Estera faktycznie mieszkała w fortyfikacji, jaka kiedyś stała na miejscu współczesnego gmachu, zajmowanego przez młodych adeptów Szkoły Podchorążych? Przemknęło jej przez myśl pytanie, na które ostatecznej odpowiedzi nie mieli nawet historycy.

Odetchnęła i zawróciła rower w stronę ulicy Kazimierza Wielkiego. Samopoczucie nieco jej się poprawiło. Nie czuła już spływającego po plecach potu. Serce pracowało w miarę normalnie. Policzki przestały płonąć, a nogi drżeć z nadmiernego wysiłku. I na dodatek w końcu zerwał się mocniejszy wiatr.

Pod numerem 95 znalazła się na pięć minut przed wyznaczoną godziną. Ustawiła rower tak, by nikomu nie przeszkadzał. Zerknęła do lusterka, poprawiając nieco rozwiane włosy. Chusteczką przetarła twarz nadal lśniąca od potu, a usta musnęła czerwoną szminką, której nadmiar odcisnęła na małym skrawku papieru wyrwanym z notatnika, jaki zawsze przy sobie nosiła.

– Redaktor Bartoszewicz już na panią czeka.

Młoda kobieta, zapewne sekretarka Bartoszewicza, zaprowadziła ją do jego gabinetu.

– Wprawdzie przybyła pani punktualnie, ale obawiałem się, że ze względu na panujący skwar daruje sobie pani takie wyprawy. Najodpowiedniejszym miejscem dziś jest brzeg Wisły. Czy widziała pani te nieprzebrane tłumy na plaży nieopodal klasztoru Norbertanek?

Bartoszewicz, wciąż mówiąc, wyszedł zza biurka i wyciągnął w stronę Rozalii dłoń na powitanie.

– Proszę, nich pani siądzie. Coś do picia? – zapytał. – Oczywiście. Przy takim upale człowiek wciąż myśli o wodzie. – I nie czekając na odpowiedź Rozalii, wychylił głowę zza drzwi gabinetu, prosząc o szklankę wody dla gościa. – Pani powieść została bardzo dobrze przyjęta. Czytelnicy skarżą się, że to już koniec. Nie tylko kobiety przywiązały się do bohaterów, ale i panowie pisali listy, prosząc o ciąg dalszy.

– Nie przewidziałam takiego zainteresowania. Gdybym wiedziała, że odzew będzie tak entuzjastyczny, pozostawiłabym zakończenie otwarte. Dzięki temu w każdej chwili mogłabym dopisać ciąg dalszy, ale w tym wypadku...

– Tak, oczywiście. Fabuła została zakończona, ale nie nasza współpraca. – Bartoszewicz zajął miejsce za biurkiem.

Sekretarka przyniosła wodę dla Rozalii w wysokiej szklance.

– Chciałabym o tym z panem porozmawiać. – Zaczęła nieśmiało Rozalia.

– Ach, wszystko jest dla mnie jasne. Osiągnęła pani sukces na łamach naszej gazety, a tak kreatywnych ludzi, którzy sprawiają, że przybywa nam czytelników, nagradzamy. Oczywiście nowa umowa będzie opiewała na znacznie lepsze stawki.

– Pan mnie źle zrozumiał – odparła Rozalia. – To znaczy bardzo się chwali chęć renegocjacji, ale sęk w tym, że zamierzam opublikować powieść u Gebethnera, z którym podpisałam umowę.

– Ależ to doskonałe wieści, pani Rozalio, mogę tak do pani mówić?

Rozalia skinęła twierdząco głową. Reakcja Bartoszewicza bardzo ją zaskoczyła.

– Nic pani nie mówi? Przecież ja nie wymagam od pani wyłączności. Jest ona nawet niewskazana. Wydanie powieści ułatwi pani zdobywanie czytelników. Na obu frontach. – Bartoszewicz uniósł brwi.

Rozalia uśmiechnęła się delikatnie. Naczelnny „Nowości” miał rację.

– Widzę, że dobrze się rozumiemy – zauważył dziennikarz. – Czytelnicy wierni naszemu piśmie, którzy zachwycili się pani powieścią, czekają na kolejne odcinki nowej książki. Kiedy się dowiedzą, że wydała pani książkę w całości, od razu udadzą się do księgarń. Ci zaś, którzy najpierw przeczytają powieść opublikowaną przez Gebethnera, przyjdą po naszą gazetę, żeby czytać to, co wydaje pani u nas w odcinkach.

Rozalia nie mogła się z nim nie zgodzić. Miała tylko nadzieję, że podobnie będzie myślał Aleksander Słapa, z którym miała spotkać się także dziś. Kolejne trzy kwadransy dyskutowała z Bartoszewiczem nad umową oraz koncepcją fabuły, którą gazeta zamierzała publikować w kolejnych numerach, zaczynając od października.

– Oczywiście, w najbliższych numerach będziemy czytelników informować, że już niebawem ukaże się nowość pani pióra. Nie możemy pozwolić im o pani zapomnieć, tak jak nie pozwalamy zapomnieć im także o innych naszych autorach. W końcu nasza gazeta słynie z drukowania fragmentów powieści, dobrych powieści.

Niecałe półtorej godziny później z niewielkim okładem wchodziła do gabinetu Słapy, gdzie wprowadziła ją sympatyczna, roześmiana asystentka, którą Rozalia poznała podczas poprzedniego spotkania.

– Miałem nadzieję, że przyjdzie pani nieco wcześniej. Od jakiegoś już czasu marzę, żeby wydostać się z tych czterech ścian. Uwielbiam słoneczną pogodę i siedzenie w zamknięciu wywołuje u mnie nieznośne poczucie krzywdy. Przejdziemy się? – zapytał Słapa, patrząc na Rozalię uważnie i zbyt intensywnie.

Uważaj na niego, przypomniały jej się słowa Juliana. To człowiek o wyjątkowej aparycji i inteligencji. On czaruje, uwodzi. Sprawia, że ludzie stają się od niego zależni.

Rozalia odwróciła wzrok, kierując się w stronę drzwi.

– Spacerujmy zatem. Mamy to szczęście, że lekki wietrzyk, który wieje od jakiegoś czasu, łagodzi nieznośność lejącego się z nieba żaru – mówiła, idąc w stronę Wisły. Nagle zatrzymała się, zdając sobie sprawę, że Słapa nie sprecyzował, dokąd zamierza się udać. – Czy aby obrałam dobry kierunek?

– Najlepszy – odparł, uśmiechając się zawadiacko. – Czy wie pani, że wczoraj było ponoć trzydzieści osiem stopni Celsjusza w cieniu?

– Oczywiście, proszę mi wierzyć, czytam gazety – odparła Stefania, a wydawca roześmiał się beztrasko. – To podobno najcieplejszy dzień w historii pomiarów zarejestrowanych w Krakowie. Nie mogę w to uwierzyć. Wydaje mi się, że w ubiegłym roku było cieplej. Znacznie cieplej.

– Mam wrażenie, że pod tymi słowami kryje się jakaś tajemnica, nieprawdaż? – Słapa czekał na wytłumaczenie, ale Rozalia tylko wzruszyła ramionami.

Wspomnienie Eryka i jego ust zawsze powodowało, że robiło się jej ciepło. Niebezpiecznie ciepło.

– Szkoda, że nie zabrała pani stroju kąpielowego, moglibyśmy schłodzić się w rzece.

– Niestety, nie potrafię pływać. A i w stroju kąpielowym czuję się niewygodnie. To dla mnie zbytnia ekstrawagancja.

– Sądząc po szybko zmieniającej się modzie i jej liberalizacji, dochodzę do wniosku, że już niebawem i te kombinezony, które wywołują u pani odruch obronny, znikną z naszych plaż na rzecz znacznie skromniejszych fatałaszków.

– Mam tylko nadzieję, że frywolność stroju będzie dotyczyła także mody męskiej. Dlaczego panowie mają zawsze mieć nad nami przewagę. Proszę mi wierzyć, my kobiety, chociaż nie chcecie tego wiedzieć i zaprzeczacie temu z całą stanowczością, też jesteśmy wzrokowcami. Tyle tylko że my mamy jeszcze serce.

Po tych słowach Rozalia wysforowała się do przodu, zostawiając zaskoczony Aleksandra nieco z tyłu. Kierowała się w stronę wyspy, na której od wielu lat stało masywne gmaszysko Rożno---wskich.

– Czy wie pani, że dom ten miał nigdy nie powstać? – zapytał Słapa, zmieniając temat. – Rzecz zaczyna się na początku ostatniej dekady ubiegłego wieku. – Rozalia słuchała z uwagą. – Mówi się,

że Rożnowscy dorobili się fortuny na produkcji mydła. Małżonka Rożnowskiego upatrzyła sobie to miejsce na dom. Piękny widok. Budzić się każdego ranka u stóp zamku i czuć się jego częścią. Niestety, przez długie lata Rożnowski napotykał proceduralne schody. Nie mógł dostać pozwolenia. Ponoć z uwagi na zagrożenia, jakie niesła ze sobą rzeka, i możliwość podtopień. W końcu jednak zaczął budować. Nikt nie wie, czy to była zwykła samowolka, czy jednak któryś z urzędników zlitował się nad bogaczem. I oto jest.

– O ile wiem, willa dziś już nie należy do Rożnowskich. W ubiegłym roku przeszła na rzecz Skarbu Państwa, który od lat odgraża się, że ją wyburzy.

– Niech pani w to nie wierzy. To zbyt piękny i cenny budynek, żeby zrównać go z ziemią. Niedawno wprowadziła się tam Dyrekcja Dróg Wodnych. Mam jedną głowę, ale jestem gotowy położyć ją pod topór, że nie wyprowadzą się stąd przez długie lata.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– O, tam. – Wskazał Słapa. – Usiądźmy w cieniu. Porozmawiamy.

Po kilku krokach zatrzymali się przy małej sfatygowanej ławeczce. Może nie była najwygodniejsza, ale i tak dawała odetchnąć zmęczonym nogom.

Rozalia wyciągnęła z torebki plik kartek. Zasześciły na wietrze. Przekazała je wydawcy.

– Konrad Celtis – przeczytał Słapa.

– Są dwie wersje tej powieści. Ma je pan tu obie. Jedna to bajka dla dzieci, młodzieży. Obszerne fragmenty przeczytałam już mojej podopiecznej i muszę przyznać, że Magdalena jest zachwycona. Wierzę więc, że książka jest dobra, bo jak pan wie, dzieci są zbyt szczerze, żeby kłamać akurat w takiej kwestii.

– A druga wersja?

– To wersja dla pań. Baśniowy romans osadzony w średniowiecznym i współczesnym Krakowie. Naczelny wydawnictwa Gebethnera uniósł pytająco brwi.

– Tak, wiem. Na poprzednim spotkaniu brzmiałam jak walcząca feministka, która pragnie pisać czarne kryminały, ale prawdę mówiąc, siedzi we mnie niepoprawna romantyczka. Proszę mi wierzyć, przymierzałam się nie raz i nie dwa, żeby napisać kryminał. Mroczny i przerażający, ale nic z tego.

– Którą wersję chciałaby pani wydać?

– Ja? Najlepiej obie, ale wiem, że to niemożliwe. Nie jestem obiektywna. Kocham i jedną, i drugą, dlatego proszę je przeczytać i samemu zdecydować. To w końcu pan ma większe doświadczenie.

Po tych słowach Rozalia uniosła się z ławeczki. Ruszyła z powrotem. Była zmęczona dniem pełnym napięcia, niepewności i emocji. Pragnęła już tylko znaleźć się w domu, zjeść coś pożywnego, przytulić Magdalenkę, napisać list do Eryka i położyć się spać.

Musiała jednak poruszyć ze Słapą jeszcze jeden ważny temat. Kwestię współpracy z gazetą Bartoszewicza, który dobrze przewidział -reakcję kolegi po fachu.

– To doskonały manewr reklamowy. Samonapędzająca się sprzedaż. Zapewne redaktor naczelny „Nowości Ilustrowanych” powiedział pani to samo.

Rozalia skinęła głową. Byli z powrotem na Rynku.

– Proszę pozwolić się odwieźć – powiedział Słapa.

Najwyraźniej musiała wyglądać na zmęczoną, a może z niewyraźną miną spojrzała na rower, który po długim dniu jawił jej się narzędziem tortur. Wiedziała, że nie powinna się zgadzać, ale nie mogła odmówić sobie, a szczególnie swoim nogom, tej przyjemności. Skinęła głową.

Nieco ponad kwadrans później automobil Słapy podjechał pod dom Rozalii.

– Dziękuję za dzisiejsze spotkanie – powiedziała siostra Juliana, zмирzając w stronę ogrodowej furtki.

– To ja dziękuję – rzekł Słapa, tarasując Rozalii przejście. Schylił się, żeby wziąć ją za rękę. – To było niezwykle popołudnie. Najprzyjemniejszy spacer, jakiego ostatnio zażyłem.

Rozalia chciała się odsunąć, ale wydawca przytrzymał ją nieco dłużej, a potem nagle pochylił się i delikatnie pocałował. Rozalia odskoczyła.

– Proszę nigdy wię... – Nie dokończyła zdania, ponieważ ogrodowa furka otworzyła się

z impetem.

– Ty chamie! Odsuń się od niej, bo dostaniesz w ten wymuskany dziób! – Eryk natarł na Słapę z furją.

– Eryk! Eryk! Na Boga, przestań! – krzyknęła Rozalia, widząc, że Zdanowski zamierza się na Słapę.

Podbiegła do niego i z trudem wciągnęła za bramę. Tymczasem Słapa wskoczył do samochodu.

Dopiero teraz, będąc blisko Eryka, poczuła od niego alkohol. Chwyciła go za rękę i siłą zaciągnęła do ogrodu za domem. Z dała od wścibskich spojrzeń.

– Eryk? Co ty tu robisz? – zapytała, patrząc na jego wymizerowaną twarz z podkrążonymi oczami. Ubranie miał w nieładzie, włosy tłuste i potargane. Cuchnął potem i alkoholem. Stojąc, kolebał się na nogach w przód i w tył. Czasami odchyłał się tak mocno, że Rozalia wyciągała rękę, żeby go asekurować w razie upadku.

– A co? – zapytał zaczepnie. – Nie w nos ci mój przyjazd? Nakryłem pannę, o wróć, panią Tojew, szlag – bełkotał – Michałowską na schadzce. Chciałaś się puszczać w domu, w którym jest moja siostra, bo jest tu? A może wywozilaś ją gdzieś do obcych ludzi, żeby mieć chatę dla siebie i tego podejrzenie wymuskanego typu, który patrzył na ciebie, jak patrzy się na dziwki stojące na Plan... – Nie dokończył, bo ciężka ręka spadła na jego policzek.

Uderzenie było tak silne, że Eryk w końcu stracił równowagę.

– Idiota! Wiedziałaś, że straszny z ciebie osioł i impertynent, ale nie wiedziałam, że do tego ochlaptus i niewychowany, wulgarny... – Rozalii załamał się głos.

Uklękła na kolanach przy siedzącym na trawie Eryku. Objęła go, chociaż miała ochotę przełożyć przez kolano i sprać na kwaśne jabłko. Tuliła go do siebie jak dziecko, szczęśliwa, że wreszcie jest. Że może go poczuć. Zobaczyć. Dopiero po chwili zrozumiała, że Eryk płacze.

– Eryku, co się stało? – zapytała przerażona, odsuwając go na -wyciągnięcie ramion.

Przyglądała się jego czerwonej od przepicia i łez twarzy. Czekiła na wyjaśnienia. W końcu Zdanowski zdołał się nieco opanować. Podniósł się na nogi, ale zamiast odpowiedzieć, ruszył szybko w stronę furtki.

– Eryk! – Rozalia złapała go za rękę.

Wyrwał się jej, omal znowu się nie przewracając.

– Eryk! Co się stało?! – zawołała, próbując go zatrzymać po raz kolejny.

– Gównno! Gównno! Wszystko gównno! – krzyczał, idąc w stronę bramy. – Ty, oni. I ten cholerny Augustyn...

Po tych słowach odepchnął Rozalię i wybiegł na ulicę.

– Eryk! Eryk! – Rozalia pobiegła za nim, ale Eryk, nawet pijany, biegł znacznie szybciej.

Była zbyt zmęczona, żeby próbować go dogonić. Wróciła do domu, w którym czekała na nią przerażona Magdalenka. Rozalia usiadła na fotelu, biorąc ją na kolana. Nie mówiła nic. Tuliła dziewczynkę, kołyszac delikatnie. Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, czy trzymała ją w ramionach kwadrans, godzinę czy może dwie. Zapomniała o jedzeniu i planach, które snuła po drodze do domu.

Otrzeźwił ją dźwięk zamykanych drzwi. Szybkie kroki kierowały się w ich stronę. Po chwili w progu stanął Jacek.

– Eryk tu był. – Rozalia nie odpowiedziała. Nie musiała, ponieważ Jacek nie pytał. – Śpi? – wskazał na Magdalenkę.

Rozalia skinęła głową. Podeszedł do niej i delikatnie wziął siostrę na ręce. Tak żeby jej nie obudzić, zaniósł ją do pokoju i położył na łóżku.

– Augustyn miał wypadek – powiedział, przysiadając na krześle, które stało przy biurku Rozalii. – Eryk dowiedział się przedwczoraj. Samolot Augustyna miał problem z wylądowaniem. Rozbili się. Nie, nie zginął, ale jest poważnie ranny. Bardzo poważnie.

– Jak...

– Stracił obie nogi. Leży w szpitalu w Bydgoszczy. Grimmowie pojechali tam wczoraj. Matka została, stary Grimm wrócił dziś do Krakowa. Po kilka rzeczy, ale i z powodu Eryka. Zadzwonili do niego, że Zdanowski uciekł ze szkoły.

– Jak to?

– Normalnie. Wsiadł do pociągu i najpierw pojechał do Augustyna, ale go nie wpuścili. Zamiast wrócić, przyjechał tu i od wczoraj pije. Wiedziałem, że tu przyjdzie, i liczyłem na to, że zastanę go śpiącego gdzieś na podłodze.

– Pokłóciliśmy się. Wybiegł, krzycząc coś, co nie było wtedy dla mnie zrozumiałe. Chciałam go zatrzymać, ale nie dałam rady.

– Julian też go szuka – powiedział Jacek, chcąc uspokoić Rozalię, która nawet nie zareagowała na to, że brat Eryka tak poufale mówi o jej bracie.

Jacek podniósł się z krzesła. Rozalia też wstała.

– Zaczekaj, idę z tobą.

– Zawsze wiedziałem, że baby mają coś z głową, ale nie aż tak. Ani myślę zabierać cię ze sobą.

– Po pierwsze, ta baba wciąż może porządnie ci przywalić. A po drugie, kto mówił, że będę pytać cię o zdanie, smarkaczu.

– Szkoda, że nie masz młodszej siostry – mówiąc to, Jacek mrugnął do Rozalii.

Chociaż wcale nie było jej do śmiechu, musiała się roześmiać. Dzięki temu przełknęła łzy, które uparcie zbierały jej się pod powiekami.

Wyszli, gdy Rozalia ułożyła Magdalenkę do snu, chociaż dziewczynka była roztrzęsiona. Nie chciała słuchać Jacka i ani myślała przestać płakać, kiedy Rozalia powiedziała, że wychodzi. Dopiero dzięki interwencji kucharki, która obiecała przygotować czekoladowe ciasteczka i gorące słodkie mleko, za którym Madzia przepadała, udało się ją usadzić w łóżku, gdzie miała czekać na słodkie specjały. Była też prośba, żeby ktoś poczytał jej bajeczkę, zanim zaśnie.

– Tę od ciebie. – Zaznaczyła, kiedy Rozalia kierowała się w stronę biblioteczki.

Wreszcie Jacek i wdowa Tojew mogli zacząć poszukiwania. Na dworze zrobiło się już prawie całkiem ciemno.

– Widać, że siedzisz w domu po nocy, bo inaczej wiedziałabyś, że to najlepsza pora na szukanie Eryka tam, gdzie zamierzam to robić. – Rozalia od dawna już nie upominała Jacka, że zbyt poufała.

Prawdę powiedziawszy, lubiła go za to. Nie onieśmiewały go tytuły czy pieniądze. Mówił, jak chciał i to, co myślał, a przy tym był pewny siebie. Takiej pewności mógłby mu pozazdrościć niejeden dorosły, zamożny i dobrze ustawiony w życiu mężczyzna. Rozalia pomyślała, że gdyby Jacek miał szczęście urodzić się w innej rodzinie, świat stałby przed nim otworem. Bez kłopotów. Bez przeszkód. Mógłby wiele osiągnąć albo i nic, jak zauważył Julian, kiedy podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem.

– Mylisz się, myśląc w ten sposób – perorował jej brat podczas ich ostatniego spotkania w kancelarii na Szlaku. – Jacek jest, jaki jest, właśnie dlatego, że urodził się i wychował w takiej, a nie innej rodzinie. Od najmłodszych lat musiał sobie radzić. Pod nieobecność Eryka i Adama, który zginął na wojnie, był obrońcą matki i pozostałego rodzeństwa. To wpłynęło na jego charakter. Sprawilo, że stał się twardy. Zahartowany. Jest odważny, może nawet lekkomyślny. Jest cwany, ale uczciwy. I szybko się uczy. Jest inteligentny i zdaje sobie z tego sprawę, dlatego czasami jest przemądrzały. Ale cieszy mnie, że nie daje sobie w kaszę dmuchać. Jednak martwi fakt, że mając taki umysł, woli zajmować się robotą fizyczną, niż chłonąć wiedzę, żeby w przyszłości zostać choćby adwokatem. Drogę miałby utorowaną. Wziąłbym go na asystenta, kto wie, może współnika, ale Jacek nie kocha prawa. On kocha konie.

Taki właśnie był młodszy brat Eryka. Rozalia uśmiechnęła się pod nosem. Byli bardzo do siebie podobni, przy czym Eryk lubił się uczyć. Dzięki temu miał szansę na karierę pilota, o ile już jej nie zaprzepaścił samowolnym oddaleniem się ze szkoły.

– Mówię ci, jak tylko robi się ciemniej, to kurwy wylażą na miasto. Rozlażą się po ulicach jak wszy po grzebieniu. Zaczepiają wszystkich, jak popadnie, zwłaszcza jak zapuścisz się w nieodpowiednie ulice. Czasami dopadają człowieka stadami. Nie, nie przesadzam.

– Nie powiesz mi chyba, że napastują także takich chłopców jak ty? – Rozalia zrobiła zaskoczoną minę.

– Wyglądasz mi na bardziej nowoczesną. Jak chcesz, możemy udawać, że nic nie wiem o tych sprawach, ale po co zaklinać rzeczywistość.



Rozalia wciągnęła powietrze. Mogła się tego spodziewać. Jacek nie był już dzieckiem ani nawet dorastającym chłopcem. Czas leciał tak szybko, że nawet nie zauważyła, kiedy urósł, zmężniał. W końcu niebawem miał wkroczyć w dorosłość.

– Widzę, jak w twojej głowie pracują trybiki. Więc powiem ci w sekrecie, że mam to już za sobą. Ale nie martw się, nie byłem w burdelu. My, chłopcy od Zdanowskich, jesteśmy zbyt przystojni, żeby płacić za...

– Ani słowa więcej, bo jak mi Bóg miły, pokażę ci, gdzie raki zimują – warknęła Rozalia. – Nie jestem purytanką. Nie jestem hipokrytką, ale nie mam zamiaru wysłuchiwać zwierzeń nastolatka, który chętnie pochwaliłby się swoimi podbojami.

Przez chwilę szli w zupełnej ciszy, nie odzywając się do siebie ani na siebie nie patrząc.

– Tu, na Podgórzu, dziwki lubią gromadzić się na Lwowskiej – zaczął Jacek, przerywając ciężkie, krępujące milczenie. – Wątpię jednak, żebyśmy go tu znaleźli.

– Dlaczego uważasz, że Eryk poszedł szukać... szukać... – Te słowa nie chciały przejść Rozalii przez gardło.

Poczuła, że robi się jej niedobrze na myśl, że Eryk mógłby spotykać się z inną kobietą. Ba, mógłby iść z nią do łóżka. Było jej niedobrze, słabo i chciało jej się płakać nad własną naiwnością. Jej walkę z emocjami najwyraźniej musiał dostrzec Jacek, ponieważ zatrzymał się nagle, łapiąc Rozalię za rękę i zmuszając, żeby też przystanąła.

– Nie powiedziałem, że Eryk poszedł tam po to, żeby iść z kimś do łóżka. Myślisz, że gdyby mój brat był taką świnią, próbowałbym odzyskać cię dla niego? On kocha cię na zabój. Świata poza tobą nie widzi. Jest zapewne w którymś z tych burdeli, bo tam oprócz dziwek dają też nielegalne alkohole, których o tej porze nigdzie nie dostaniesz. Jeszcze mało wiesz. Większość chłopów chodzi tam, nie żeby podu..., nie dla miłości, ale żeby się napić.

Jak przewidział Jacek, Eryka nie było na Lwowskiej. Nie było go też na Estery i Miodowej, gdzie trzy dziwki chciały zaatakować Rozalię, ponieważ wzięły ją za konkurentkę, i to na dodatek z już przygruchanym klientem.

Kilka kroków od Miodowej Jacek i Rozalia byli świadkami niecodziennej sceny. Jedna z prostytutek zaczęła się rozbierać, zapamiętała zdzierając z siebie ubranie. Od razu zrobiło się małe zbiegowisko, które rozpedzili dopiero policjanci, aresztując przy tym rozwścieconą pónagą kobietę.

– Wy skurwysyny! Wy gnoje bez honoru! Niech was wszystkich szlag trafi! – krzywała na całe gardło, nie dając się uspokoić.

Jej przeraźliwe krzyki było słychać jeszcze kilka przecznic dalej. Jacek ruszył w stronę ulicy Dietla.

– Mam nadzieję, że tam go znajdziemy. To najbardziej znany burdel w mieście. I największy. Byłem tam kiedyś, szukając ojca. Zaczepił mnie starszy dziadek. Mieszkał w tej kamienicy. Miałem wtedy jakieś dwanaście, może trzynaście lat – mówił Jacek, idąc Starowiślną w kierunku Dietla. – Chciał mnie na siłę zatrzymać. W końcu machnął ręką i pozwolił mi wejść do środka. Czekał jednak na mnie na zewnątrz. Najwyraźniej musiał z kimś pogadać. Już na początku powiedział mi, że takich jak ja tu też widywał. Usiadłem przy nim. Opowiadał, że codziennie spotyka tam różnych ludzi. Z różnych środowisk i na różnych stanowiskach. Cywilów i wojskowych. Byli i gliniarze. Żalił się, że zamiast rozgonić całe tałatajstwo, psy -przychodzą na suki.

– Jacek! – krzyknęła Rozalia.

– To nie moje słowa. Zresztą nie będę udawać, że ich nie słyszałem. Skoro moje uszy zniosły to, jak miałem lat dwanaście, to twoje zniosą to teraz, jak masz... – Jacek zawahał się. – A właściwie ile ty masz lat? Bo coś mi się zdaje, że tak ze...

– Kobiet nie pyta się o wiek.

– Nieważne. Wy zawsze jesteście niezadowolone. Jak się wam ujmuje, to biadolicie, że robi się z was dzieci. Jak się wam dodaje, to warczycie, że robi się z was stare baby. Dzwki przynajmniej nie udają. Stare lampucery nie zgrywają młódek, bo wiedzą, że ich wiek i tak poznać po...

– Jacek – warknęła Rozalia ostrzegawczo, mimo to z całych sił starała się nie rozeźmiać.

– prostytutki przychodziły całymi stadami, opowiadał dziadek. Zaczepiały przechodniów,

krzyczały i awanturowały się. Staruszek mówił, że jego żona i inne sąsiadki narzekały, że odbywają się tam wstętnie orgie. Podejrzane odgłosy, które po nocy nie dawały spać.

– Dziadek był pewnie innego zdania – wypaliła Rozalia. Jacek roześmiał się na głos.

Niestety, na Dietla też nie zastali Eryka.

– Tak wam spieszno? – zapytała burdelmama, kiedy Jacek wcisnął jej do ręki jakieś pieniądze, prosząc, żeby pozwoliła mu wejść i rozejrzeć się za bratem. – Ty, ładniutka jesteś. – Kobieta wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić włosy Rozalii.

– Mama – rzucił w jej stronę Jacek, zasłaniając Rozalię własnym ciałem. – Ta pani jest ze mną. Ładnie rozkłada nogi, ale tylko dla młodych chłopców. – Potem wspiał się na palce i szepnął jej do ucha, lecz na tyle głośno, że Rozalia także usłyszała. – To jedna z tych, co to za chłopą mają starego dziada, który nie daje już rady, ale za to miał dość forsy, żeby skusiła się na jego majątek.

– Szkoda, wielka szkoda – mówiła kobieta. – Ale przyjdź do mnie, jak ten przystojniaczek ci się znudzi albo puści cię kantem dla jakiejś innej. Mam tu kilka panienek z wyższych sfer. Udadą ciche wody, ale w te klocki są lepsze niż moje dziewczynki. Prawdziwe znawczynie. Ty mi też na taką wyglądasz! – krzyknęła za oddalającymi się Rozalią i Jackiem.

– Wracajmy – powiedziała siostra Juliana. Była zmęczona, zrezygnowana i wściekła na siebie i Eryka, że musi się za nim uganiać po mieście, narażając się na niewybredne zaczepki.

– Jeszcze jedno miejsce. Na św. Katarzyny.

– Jedno. I wracamy do domu.

Pod adresem wskazanym przez Jacka ponoć od dawna mieścił się jeden z wielu dobrze prosperujących przybytków rozkoszy. Miejsce znajdowały tam niezbyt młode i umęczone życiem dziwki, podejrzane indywidua i krakowscy bandyci. Zdarzały się tam dzikie orgie, kłótnie i walki na noże.

– Zaczekaj. – Jacek zatrzymał się w połowie drogi. – Nie możesz tam iść ze mną. Wszędzie jest niebezpiecznie, ale tam chyba najbardziej. Tamta burdelmama dała mi do myślenia, kiedy cię zaczepiła. Przed nią mogłem cię obronić, z bandziorami ze św. Katarzyny nie mam szans.

– Chodź. – Rozalia pociągnęła Jacka w stronę Rynku. – I tak potrzebujemy taksówki. Jeżeli znajdziemy Eryka, nie zataszczymy go na plecach, a jak nie znajdziemy, to przynajmniej oszczędzimy nogi. Ja poczekam w środku, w aucie, ty pójdziesz szukać brata.

Nie musieli długo szukać pojazdu. Kwadrans później wrócili na św. Katarzynę. Jacek wszedł do środka kamienicy, która z zewnątrz wyglądała jak wszystkie inne. Spokojnie i zachęcająco.

Rozalia zamknęła oczy. Chciała, żeby Jacek znalazł w końcu Eryka. Chciała go sprać na kwaśne jabłko. Chciała go bić i tulić. Chciała z nim skończyć i prosić, żeby jej nie zostawiał. Walnęła pięścią w siedzenie. Bezsilność i wściekłość doprowadzały ją do szału. I jeszcze to czekanie.

W końcu w drzwiach domu pojawił się Jacek, chwiejący się pod ciężarem prawie nieprzytomnego Eryka, który bełkotał coś niezrozumiale.

– Chyba nie zamierza go pani zapakować do mojego samochodu? – zapytał taksówkarz. – To porządny wóz. Pachnący, czysty.

– Proszę się nie martwić. Dostanie pan stosowne wynagrodzenie za kawałek drogi. Opłaci się panu.

Kierowca coś jeszcze pomarudził, ale wysiadł z auta, żeby pomóc Jackowi wpakować stawiającego opór Eryka do środka. Na szczęście rytmiczne kołysanie jadącego auta na dobre uspiło starszego Zdanowskiego. Do domu Rozalii wtaszczyli go we trójkę. Gdy położyli Eryka na kanapie w salonie, Rozalia bez sił i wszelkich chęci padła na fotel obok. Jacek położył się na dywanie.

– Idź do siostry – powiedziała Rozalia, zamykając oczy.

Dziś miała zamiar spać w salonie, żeby przypilnować Eryka.

– Nie – odparł Jacek stanowczo. – Idź spać. Popilnuję go.

Rozalia nie zamierzała się spierać. Krótka wieczorna toaleta wykończyła ją do cna. Zasnęła od razu. Spała snem sprawiedliwego. Obudziły ją podniesione głosy dochodzące z salonu. To Eryk kłócił się z Jackiem.

Chwilę później dołączyła do nich także Rozalia.

– Na mnie już pora – powiedział Jacek, ruszając w stronę wyjścia bez pożegnania.

W salonie zaległa głucha cisza. Eryk stał przy oknie, plecami zwrócony do Rozalii. W końcu się odwrócił, nie mogąc znieść przedłużającego się milczenia.

– Jeszcze przed chwilą chciałam wygarnąć ci wszystko, co leży mi na sercu, ale po co. Ty doskonale o tym wiesz, prawda?

– Nie prosiłem ani Jacka, ani ciebie, żebyście mnie szukali.

– O to nie prosiłeś, ale za to prosiłeś o to. – Rozalia wyciągnęła z kieszeni szlafroka, który narzuciła na nocną koszulę, listy Eryka, które słał do niej, kiedy chciała zakończyć ich znajomość.

Była już w drzwiach, gdy zatrzymał ją ochryply od przepicia głos Zdanowskiego.

– Nie zapomniałem. To, co stało się wczoraj, nie miało nic wspólnego z tobą.

– Miało. – Rozalia podeszła do niego tak szybko, że Eryk cofnął się machinalnie. – Miało, do cholery. Wszystko ma ze mną coś wspólnego od dnia, w którym spotkałam cię w tej przeklętej taryfie. Na co był mój strach o ciebie? Po co nasze rozstanie? Po co te cholerne listy? Po co te błagania i w końcu przekonanie, że latanie to twoja przyszłość? W cholerę z tym, skoro właśnie wszystko zaprzepaściłeś. Zerwałeś się z lekcji jak jakiś uczeń. Tylko że do szkoły można było wrócić z rodzicielskim usprawiedliwieniem. Czy możesz wrócić do szkoły? Masz usprawiedliwienie? – zapytała zaczepnie, zmuszając go, żeby na nią spojrzął.

– To nie ma znaczenia – odezwał się Eryk. – Nie wracam.

– Słucham?

– Nie wracam. Nie zamierzam skończyć jak Augustyn. Doszedłem do wniosku, że miałaś rację. Latanie to fanaberia. Skończyłem z tym.

– Nie mówisz poważnie? – Rozalia nie mogła uwierzyć w jego słowa.

– Jak najpoważniej. Gdyby Bóg chciał dać nam skrzydła, tobyśmy je dostali. W końcu to twoje słowa.

– Nie łap mnie za słówka. Latanie to twoje marzenie.

– Może kiedyś. Chciałabyś, żebym nie miał nóg?

– Czymże jest brak nóg przy braku rozumu? – zapytała Rozalia wściekła, że prowadzi tę jałową dyskusję.

– Jakbym słyszał moją dawną Rozalię. Tę z taksówki. Zaczepną. Złośliwą, ale uroczą. – Eryk zbliżył się do niej. Wyciągnął rękę, żeby przyciągnąć ją do siebie, lecz Rozalia odsunęła się od niego o kilka kroków. – Czyżby kara? Nie będziesz ze mną sypiać, bo zrezygnowałem ze szkoły? Zrobiłem to dla ciebie. Zrobiłem to, bo nie mam zamiaru zostać kaleką jak Augustyn.

– Jesteś kaleką. Umysłowym, skoro nie rozumiesz pewnych rzeczy. Miałam o tobie inne zdanie, Eryku Zdanowski. Zawiodłam się. Myślałam, że masz zasady, i przede wszystkim myślałam, że nie poddajesz się tak łatwo. A tu proszę. Zrezygnujesz z marzeń, bo twój przyjaciel miał wypadek. Wiem, to straszne, ale jeszcze nie tak dawno nie obawiałeś się nawet śmierci. Więc albo wtedy kłamałeś, albo teraz? – Rozalia podeszła do Eryka. Złapała go za ramiona. – Musisz tam wrócić. Nie dla mnie. Dla siebie. Nie możesz teraz zrezygnować, tłumacząc sobie, że to z powodu Augustyna, bo on w końcu wyzdrowieje. Kiedyś wróci do siebie. Będzie żył, a ty zawsze będziesz żałował, że zrezygnowałeś ze swojej pasji. Najpierw znienawidzisz jego, potem mnie. I jego, i mnie będziesz obwiniał za decyzję, której winien będziesz sam. Więc powinieneś...

– Nic nie powinienem! Przestań mnie pouczać! – krzyknął Eryk, wyrwijąc się z objęcia Rozalii i waląc pięścią w stół z taką siłą, że spadły z niego zostawione tam wczoraj filiżanki.

– Proszę! Nie bij Rozalii! – Krzyk Magdalenki przebił się przez dźwięk tłuczonej porcelany.

W salonie zapadła głucha cisza. Eryk struchlał. Oddychał głęboko, jakby przebiegł maraton. Powoli podszedł do łkającej cichutko siostry.

– Madziu, Madziu, proszę, spójrz na mnie – mówił łagodnie. Czekał, aż mała podniesie wzrok. – Nigdy, zapamiętaj, nigdy nie uderzyłbym Rozalii. Ani jej, ani ciebie. Rozumiesz?

Magdalena skinęła głową, ale mimo to schowała się za Rozalię. Eryk dźwignął się na nogi. Spojrzął na nie obie. Przestraszone. Zaskoczone.

– Przepraszam – wymruczał i wybiegł z domu.

Tym razem Rozalia nie zamierzała za nim biec.

Dzień minął w ciszy. Pomimo pięknej pogody Magdalenka uparła się, że zostanie w domu. Zaszyła się w swoim pokoju, bawiąc się lalkami. Po południu, wymawiając się zmęczeniem, położyła się spać. Spała aż do kolacji.

W tym samym czasie Rozalia starała się pisać, ale za każdym razem, kiedy sięgała po pióro, wena gdzieś ulatywała. Zamiast niej pojawiały się obrazy z poprzedniego dnia. Eryk atakujący Słapę. Eryk rzucający w jej kierunku obrzydliwe oskarżenia. Eryk wybiegający z domu. Eryk wyprowadzany z burdelu przez Jacka i w końcu Eryk walący pięścią na oślep. Rozjuszony. Wściekły. Niepanujący nad emocjami.

Spojrzała w okno. Powoli zbliżał się mrok. Magdalenka już dawno poszła spać. Cichutka. Przygaszona. Nawet nie poprosiła o bajeczkę, pomyślała Rozalia.

Pomimo że wściekała się na Eryka, nie potrafiła przestać się o niego martwić. Od jego wyjścia minęło już wiele godzin. Nie dawał znaku życia. Nie wiedziała, co robić. Czy pojechać do Zakrzówka i prosić Jacka o pomoc w poszukiwaniach? Powtarzać wszystko z poprzedniej nocy. Wizyty w burdelach. Wyciąganie pijanego Zdanowskiego. Nie, nie zamierzała.

Ale strach ścinał jej krew w żyłach. Przypomniała sobie słowa Jacka, że w tych przybytkach rozpusty jest niebezpiecznie. Zaglądają tam gangsterzy i zwykle zbiry. Serce waliło jej w piersi.

Chodziła po salonie tam i z powrotem. Wciąż podchodziła do okna. Spoglądała na zegar. Dom od dawna był uśpiony, tylko ona czuwała, pełna nadziei, że Eryk wróci. Dochodziła jedenasta.

Stała przy oknie. Ulica była jasna, nie tylko od zapalonych latarni. Księżyc w pełni rozświetlał miasto. Oblekał je w niebiesko-żółtą poświatę. Malował półcieniami. Otulał tajemnicą.

W końcu go zobaczyła. Szedł powoli. Obserwowała Eryka zza firanki. Zastanawiała się, czy znowu jest pijany.

Nie odsunęła się od okna nawet wtedy, kiedy usłyszała jego kroki. Stał tuż za nią, ale jej nie objął, a ona nie oparła się o niego.

– Spacerowałem – odezwał się cicho, tuż nad jej uchem.

Nie wyczuła alkoholu. Skinęła głową. Nadal milczała.

– Poszedłem na Łobzowską. Stara rudera nadal tam stoi. Zresztą ktoś w niej jeszcze mieszka. Przypomniało mi się moje dzieciństwo. I nie były to wesołe wspomnienia. Przeważnie, chociaż i takie się zdarzały. Pamiętam, że już wtedy obiecałem sobie, że nigdy nie będę taki jak ojciec. Nigdy. – Eryk złapał Rozalię za ramiona i odwrócił do siebie.

Promienie księżycy padały na twarz Rozalii przez koronkową firankę, malując na niej kwiatowe wzory.

– Przepraszam. Wiem, to tylko słowa, ale moja skrucha jest prawdziwa. Nigdy nie uderzyłbym ani ciebie, ani Magdalenki. I nie piję, dobrze o tym wiesz. Mam słabą głowę, czego byłaś świadkiem. Miałem sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Wracam do szkoły. Skończę ją, bo chcę, ale nie jestem pewien, czy chcę od razu siadać za sterami.

Rozalia milczała. W gardle tkwiła wielka łzawa gula. Miała wrażenie, że jeżeli otworzy usta, żeby coś powiedzieć, wybuchnie płaczem.

Eryk odsunął się powoli. Pokiwał głową, jakby przytakiwał swoim myślom, a potem odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

– Czy pozwoliłam ci odejść? – zapytała Rozalia.

Zdażyła się opanować. Nie chciała, żeby słyszał jej drżący głos, a tym bardziej żeby widział jej łzy.

Eryk odwrócił się z szerokim uśmiechem na ustach.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała Rozalia, podchodząc do Eryka, który wciąż stał w drzwiach. – Wczoraj, kiedy napadłeś na mojego wydawcę, wyobrażałam sobie, że przyjedziesz niespodziewanie. Że zrobisz mi niespodziankę.

– I zrobiłem, prawda?

– W pewnym sensie tak, ale wykonanie nie było zbyt wysokich lotów.

Eryk pochylił się, żeby ją pocałować. Kiedy nie uniosła głowy, zawahał się.

– Zjedz coś – powiedziała. – Na pewno nie jadłeś nic przez cały dzień.

– Skąd wiesz? – zapytał, siłąc się na tajemniczy ton.

– Burczy ci w brzuchu – odparła Rozalia, kierując się w stronę kuchni, gdzie czekała wcześniej przygotowana kolacja. – Miałam nadzieję, że wrócisz. Poprosiłam, żeby ją dla ciebie zostawili.

Usiedli przy stole. Przez dłuższą chwilę milczeli, w końcu Rozalia zapytała o Augustyna.

– Nie wiem, jak do tego doszło. Powiedzieli, że rozbił się przy lądowaniu. Zapewniali Grimmów, że i tak miał sporo szczęścia. Stracił tylko nogi, a przecież mógł żyć. Byłem u niego, ale nie wpuszcili mnie. Nie wiedziałem, co robić. – Głos Eryka się załamał. – Chciałem cię zobaczyć. Chciałem poczuć...

Rozalia wstała. Podała Erykowi rękę. O nic nie pytał. Poddał się jej delikatnemu dyktatowi. Zamknęła drzwi swojej sypialni.

– Teraz możesz poczuć – szepnęła Erykowi do ucha, rozpinając jego koszulę.

## Rozdział 10

– Masz gościa. – Matka Mikołaja zajrzała do pokoju syna, który wrócił z Wrocławia do domu na kilka dni. – Czeka na podwórku. Od tyłu domu.

– Nie mnie się spodziewałeś? – zapytał Janek, widząc zaskoczoną minę dawnego przyjaciela. Stali tak naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

– Nie ciebie – odparł w końcu Mikołaj. – Ale dobrze, że jesteś. Chyba powinniśmy porozmawiać. Usiedli na ławce ustawionej na podwórku. Przez chwilę milczeli. Żaden nie chciał zaczynać pierwszy.

– Kiedy wróciłem – odezwał się Janek – lało jak z cebra. Zapamiętałem ten cholerny deszcz. Wszystko mnie bolało, szczególnie stopy, które kurowałem jeszcze przez długie dnie, a ta ulewa tylko pogarszała moje samopoczucie.

– Jak ją poznałeś? – zapytał cicho Mikołaj.

– Nie wiedziałem, że Stefania... Nie pamiętałem jej z Oleandrów. Byłem w końcu zdolny wyjść z domu. Wybrałem się z wujem do centrum. Wiesz, że wuj Dionizy wciąż coś załatwia. Nadal nie potrafi usiedzieć na miejscu. Miałem ochotę pochodzić po Rynku, posiedzieć w kościele. Zauważyłem ją, bo niosła nieproporcjonalnie wielką teczkę. Ta teczka wyglądała jak rycerska tarcza. Nie wiem, jak to się stało, bo byliśmy od siebie sporo oddaleni, przedzieleni spacerującymi ludźmi, a jednak nasze spojrzenia się spotkały. Zatrzymała się na ułamek sekundy, a potem potrząsnęła głową, jakby strzepywała z siebie wspomnienie o mnie, i ruszyła dalej. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Kiedy straciłem nadzieję, że znowu się spotkamy, zobaczyłem ją siedzącą na ławce przed naszym domem. Szkicowała główne drzwi willi. Studium z rysunku czy coś w tym stylu. Pobierała lekcje malarstwa u naszej sąsiadki, panny Bronisławy. Potem spotkałem ją jeszcze kilka razy. Przez przypadek, chociaż starałem się ten przypadek zaaranżować. W końcu doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu udawać. Że chcemy się widywać. Znowu wybuchła wojna. Zgłosiłem się na ochotnika. Nie mogła mi tego wybaczyć. Powiedziała, że już ktoś kiedyś dał jej obietnicę, że wróci. Tak dowiedziałem się o tobie. Dopiero wtedy zrozumieliśmy, że jesteś nam bliski, każdemu na swój sposób. Odepchnęła mnie, ponieważ nie chciałem zrezygnować, ale dałem jej obietnicę, że wrócę. I wróciłem. Długo zajęło mi jej -odzyskanie i kiedy myślałem, że...

– Powróciły upiory przeszłości. – Mikołaj wszedł Jankowi w słowo. – Długo nie pamiętałem niczego. Potem przebłyski, ale w tych przebłyskach zawsze była dziewczyna. Czuję, że jest mi bliska. Chęć przypomnienia sobie, kim ona jest, i chęć ponownego jej zobaczenia trzymała mnie przy życiu i dopingowała do szybszego powrotu do zdrowia. Ale... – Mikołaj się zawahał.

Janek czekał na dalszą opowieść.

– Kiedy ją zobaczyłem, poczułem się szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Na chwilę. Długo okłamywałem siebie, Stefcie i pośrednio moich rodziców, że ona jest dla mnie tym, czym była przed wojną. Wyparłem z umysłu tę myśl, że tamto uczucie umarło. Umarło w chwili, kiedy za takiego mnie uznano. Byłem wściekły na cały świat. Jednak po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że tamto uczucie i tak nie miało prawa bytu. Nie byliśmy na nie gotowi. Byliśmy zbyt młodzi, żeby udało nam się je zatrzymać. Jestem wdzięczny Stefcie za tamtą miłość. Za żalobę, którą przeszła. Nie raz, ale dwa razy. Za pierwszym razem, kiedy dowiedziała się, że nie żyję, i za drugim, kiedy powiedzieli, że jednak nie umarłem. Wtedy pochowała drugie uczucie, do ciebie. Ono jednak jest silne. Bardzo silne. Nie potrafiła pogodzić się z tą śmiercią. Ty jesteś dla niej tym kimś, kim ja miałem kiedyś nadzieję być. – Mikołaj zamilkł na chwilę.

Janek nie miał słów, żeby cokolwiek skomentować.

– Nie musisz nic mówić – odezwał się Grabowski, jakby czytał w myślach młodego Matuli. – Rozmawiałem ze Stefanią. Powiedziałem jej, co myślę o naszym uczuciu. Tamtym i tym. Zawsze będę kochał wspomnienie o niej. O młodej, frywolnej, nieokrzesej dziewczynie. I zawsze będę kochał przyjaciółkę, którą się stała, pozwalając mi na powrót do jako takiej normalności. Reszta zależy już tylko ode mnie. Mam nadzieję, że jej nie skrzywdzisz.

Po tych słowach wstał i nie czekając na odpowiedź Janka, zniknął w sieni domu Grabowskich.

\*\*\*

– Przez całą drogę do Berlina zastanawiałam się, gdzie Frau Goldbaum zamierza nas zakwaterować – relacjonowała Stefania, która wreszcie po długiej nieobecności wróciła do Krakowa. – Berlin pełen jest hoteli i pensjonatów, a poza tym Ida... Tak, wyobraź sobie, że zakazała mi zwracać się do niej per Frau Goldbaum, chociaż ja wciąż się zapominam. Więc poza tym Ida, jak się okazuje, ma wszędzie przyjaciół. Ale to byłoby zbyt prozaiczne. Wynajęła apartament w Adlonie. Nie byle jaki. Najdroższy. Mówią na niego Royal Suite. Z grzeczności nie pytałam o kwotę, chociaż w dobrym tonie byłoby poprosić o rachunek, w którym ojciec mógłby partycypować. Ida jednak stanowczo odmówiła.

Eleonora przyglądała się siostrze z zadowoleniem. Stefania nareszcie zaczęła przypominać dawną Stefcię. Bardzo dawną, pomyślała Nora, przysłuchując się potokowi słów, które bardziej pasowały do trzpiotki, jaką młodsza siostra była przed wojną, niż statecznej młodej kobiety, wyjeżdżającej z Krakowa kilka tygodni wcześniej. Nie zamierzała jednak narzekać. Zdecydowanie bardziej wolała frywolną niż zamartwiającą się Stefanię.

– Mieszkałyśmy tam trzy dni. Gościom apartamentu przysługuje prywatna limuzyna oraz lokaj, który był gotowy na nasze zawołanie przez cały dzień i całą noc. Podobno w ściany, dla bezpieczeństwa, wprawiono stalowe płyty. W hotelu są dwie restauracje, ale nie jadłyśmy tam ani razu, ponieważ przez kolejne wieczory Tristan zabierał nas na miasto. Raz jeden byłyśmy w lokalu, który z pozoru tylko wygląda na zwyczajną restaurację. Mając jednak znajomości, można było dostać się na górne piętro. Nie uwierzysz, co tam zobaczyłam. Kasyno. Kasyno jak się patrzy. Dawno tak się nie bawiłam. Tatko będzie zapewne niezadowolony, że część pieniędzy, które otrzymałam, przegrałam na ruletce. I po twojej minie widzę, że jesteś niezadowolona. Nie bój się, nie wpadłam w nałóg. Po prostu... Zresztą nieważne. Co się stało, to się już nie odstanie. Kiedy Tristan powiedział, że w Adlonie zaledwie kilka lat wcześniej, podczas wojny, kiedy przekształcono go w lazaret, wybuchł pożar, nie mogłam w to uwierzyć. Wszystko wygląda jak nowe. Hotel jest piękny i mam nadzieję, że śmierć Lorenza Adlona, który zaledwie kilka miesięcy temu zginął w wypadku, nie wpłynie na dalsze jego prosperowanie.

Stefania zmilkła. Nagle na jej roześmianej twarzy pojawił się grymas smutku.

– Jak wiesz, przed wyjazdem otrzymałam list od Tristana. Nie, wtedy się nie skarżył, nawet słowem się nie zająknął, ale list nie był tak wesoły jak zawsze. Dostałam ich już trochę, więc potrafię wyczuć emocje, jakie rządzą piszącym. Czy wiesz, że Lena zerwała zaręczyny? Zrobiła to na wiosnę, po powrocie z Wysp. Nie rozumiem, jak można zostawić takiego mężczyznę jak Tristan? Gdyby nie Janek, mogłabym się w nim zakochać. To takie proste.

– Wiem o wszystkim. Lena pisała mi o tym w ostatnim liście. Dostałam go już po twoim wyjeździe. Rzeczywiście zerwała zaręczyny, ale nie myśl o niej źle. Zrobiła to, żeby być uczciwą w stosunku do Tristana. Kiedy była w Anglii, zrządzeniem losu odnalazła Roana. Tak, właśnie tego Roana. Jej pierwszą miłość. Nie mogła postąpić inaczej.

– Miłość... Dziwna i niezrozumiała.

– Masz rację. I ja, i Lena nie potrafiłyśmy obdarzyć nią dwóch cudownych mężczyzn, którzy stanęli na naszej drodze, ponieważ kochałyśmy już kogoś innego. Dla ciebie zaś takim mężczyzną jest Janek. Nie widziałas go jeszcze, prawda?

– Nie. Rozmawiałam z nim przed wyjazdem. Każdego dnia tęskniłam i chciałam wracać, a kiedy siedziałam w pociągu, zmierzając do domu, obleciał mnie strach przed spotkaniem z nim. Boję się tego. Czy swoim zachowaniem nie zepsułam wszystkiego? Czy uda nam się wrócić na dawne tory? Czy możemy kontynuować to, co przerwałam? Każdego dnia biję się z myślami. Przekonuję się, że w końcu to tylko kilka miesięcy, a nie długie lata, a potem znowu nachodzą mnie wstrętne myśli. Wątpliwości.

– Nigdy się nie przekonasz, jeżeli nie spróbujesz. Uwierz mi, wiem, co mówię. Byłam w bardzo podobnej sytuacji. Moim postępowaniem zraniłam Dawida i Juliana, chociaż ten ostatni nie jest tego świadomy. Kiedy odrzuciłam Blocha, tam we Francji, miałam wrażenie, że zabawiłam się okrutnie jego kosztem, chociaż oczywiście wcale tak nie było. Mimo wszystko od czasu do czasu wraca poczucie winy. I strach. Strach, że kiedy Julian się dowie, nigdy mi nie wybaczy. Myśląc o tym, wyrzucam sobie, że byłam zbyt wielkim tchórzem i nie miałam odwagi, żeby się przyznać. Nie zrobiłam tego, bo bałam

się nie tylko o to, że mnie odrzuci, ale też że mocno go zranię. Dlatego milczę. I czekam, kiedy spadnie miecz Damoklesa.

– Nie mówmy już o tak smutnych rzeczach – odezwała się po krótkiej chwili milczenia Stefania. – Wczoraj przez chwilę widziałam się z ojcem. Przywitał mnie wylewnie. Zbeształ za to, że nie uprzedziłam go o powrocie, a potem szybko zniknął w czeluściach gabinetu. Miałam ochotę porozmawiać z nim przy śniadaniu, ale Justysia powiedziała, że tatko wstał skoro świt, zabrał gazetę, którą dostarczono zaledwie kwadrans wcześniej, i nawet nie zjadł śniadania. Nie było go także na obiedzie. Zaraz podwieczorek, a ojca nadal nie ma.

– Nie dziw się. Od czasu, kiedy uruchomili z ojcem Juliana, hrabią Aleksandrem, spółkę, która ma przebudować willę Decjusza, wariuje. Nie przesadzam. Ojciec wariuje. Chciałam wywieść się, co jest tego przyczyną, ale machnął tylko ręką i powiedział, że bym go nie denerwowała. Zapytałam więc Juliana. Okazuje się, że ekipa budowlana, którą obstalowano, nie może zaczynać, ponieważ magistrat nie chce wydać jakiegoś błahego, zdaniem ojca oczywiście, pozwolenia. „Dranie, krzyczał ponoć w kancelarii Juliana, czekają na łapówki”. Tu byłabym skłonna zgodzić się z ojcem, ale po co te nerwy?

– A zatem ojciec cały czas pracuje? – Eleonora odpowiedziała Stefaniu skinieniem głowy.

– Wracając do wyprawy. Kiedy byliśmy z Idą w Berlinie, nie tylko przepuszczałyśmy pieniądze, ale także zwiedzałyśmy, a dzięki Tristanowi miałyśmy okazję zobaczyć precudną Nefretiti. Jestem zauroczona. Norciu, być tak skandalicznie piękną – to powinno być zakazane. Powiedziałam Tristanowi, że przy jej obliczu każda kobieta wypada blade. Zaśmiał się i skomplementował nie tylko Lenę, ale nas obie. Pochlebca – zaśmiała się Stefania.

– A jak Wiedeń?

– Nie tak cudowny jak Paryż. Ale ty nic nie wiesz! – wykrzyknęła Stefania. – Ida zabrała mnie do Paryża na parę dni. Miała tam kilka ważnych spraw do załatwienia. Tak się cieszę, że mogłam pojechać do Paryża jeszcze raz. Bez bagażu trosk i zmartwień. Bez lęku, co mnie czeka. Będąc tam z Grabowskimi, nie mogłam się cieszyć tym pobytem. Teraz było zupełnie inaczej. Miałam okazję pozwiedzać. Pospacerować uliczkami miasta. Całą sobą chłonąc tę atmosferę.

– Widać gołym okiem, że wyjazd był udany i bardzo ci posłużył.

– Myślę, że tak. Odpoczęłam od rozmyślań. Pogodziłam się z pewnymi faktami. Powoli, każdego dnia tłumaczyłam sobie, że to, co się stało, nie było moją winą. Że nie powinnam się karać za chęć powrotu do życia po tym, jak przeżyłam żałobę po Mikołaju. Nikt nie mógł przewidzieć, że zdarzy się cud. Wiem, ktoś mógłby powiedzieć... – Stefania zawahała się na chwilę. – Czy wiesz, że Grabowska powiedziała mi, kiedy byliśmy we Francji, że są kobiety, które całe życie czekają na powrót swoich ukochanych? Poczułam się okropnie. To poczucie winy, które we mnie wtłaczała każdego dnia, zagościło na dobre. Nie musiała nic mówić, ale patrzyła. Obwiniła samym wzrokiem. Tak, miała rację. Są takie kobiety, ale dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, że ja nie byłam wtedy jeszcze świadomą kobietą, a nasze uczucie okazało się młodzieńczym szaleństwem, które być może w innych okolicznościach mogło przerodzić się w długotrwałą miłość.

– Już dobrze. – Eleonora przytuliła siostrę.

Kołysała ją tak przez chwilę. W końcu Stefania delikatnie wysunęła się z objęć Nory. Wstała i wyszła z salonu. Wróciła jednak zaraz, niosąc w dłoni niewielki obraz.

– Spójrz. – Podała Norze portret. – To ja. Cudowne kolory. Wspomniała kreska.

– Przepiękny. Boże, Stefcu, masz niesamowity talent.

– Och, chciałabym. To nie moje dzieło. – Eleonora westchnęła zawiedziona. – Będąc w Paryżu, na jednej z proszonych kolacji poznałyśmy z Idą wschodzącą gwiazdę malarstwa. Ponoć w przyszłym roku ma mieć pierwszą wystawę w stolicy Francji. Tajemnicą poliszynela jest, że za jej zorganizowaniem stoi siostra malarki, ale tylko głupcy uważają, że na nią nie zasługuje. Nazywa się Tamara Łempicka.

– Polka?

– Owszem, chociaż od lat mieszka za granicą. Posłuchaj, bo to niesamowicie romantyczna historia. Jej mąż Tadeusz podczas rewolucji został aresztowany przez bolszewików. Tamara nie szczędziła wysiłków, żeby go uwolnić. Ponoć udała się aż do szwedzkiego konsula, który pomógł uciec



małżonkom z Rosji. Przez pewien czas mieszkali w Kopenhadze. Do Paryża przyjechali bodajże w ubiegłym roku. Łempicki przed aresztowaniem był wybitnym prawnikiem, ale z powodu traumy, z jaką wciąż się zmagają, nie praktykuje i nie może utrzymać rodziny. Żony i córki. W ten sposób Tamara odkryła swój talent. Jest samoukiem. Zaczęła malować dla zysku. Dzięki temu mam ten portret. Zamówiłam go dla Janka. Jak myślisz, spodoba mu się?

– Będzie zachwycony. Jest piękny. Ty jesteś na nim piękna. Te czerwone usta. Krótkie falujące włosy i wyrazisty fiolet sukienki zachwycają. Mogłabym patrzeć na niego godzinami.

– Rozmawialiśmy trochę o malarstwie. Opowiedziałam jej o moich lekcjach u panny Bronisławy. Tamara w końcu podzieliła się tajemnicą, że przez pewien czas uczęszczała do pracowni mistrza kubistycznego. Nie, nie pytaj. Nie znam się na tym kierunku. Pokazała mi kilka dzieł namalowanych w tej manierze, ale nie zachwyciły mnie. Wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, że patrzę na bohomy. Oczywiście nie powiedziałam tego Tamarze. Kiedy wracaliśmy z Idą do Wiednia, zdradziła mi, że w towarzystwie krąży plotka, jakoby Tamara lubiła nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Ponoć znana jest z romansów.

– Nie wiem, jak na tobie, ale na mnie nie robi to wrażenia. Naczytałam się zbyt wielu rzeczy, pracując u doktora Kurkiewicza. Niesłychanych, niegrzecznych, niesamowitych, a czasami odstręczających. Nie, nawet mnie nie kuś. W końcu obowiązuje mnie tajemnica. Zamiast zaglądać ludziom pod kołdrę, opowiedz, jak spędzałaś czas w Wiedniu.

– Na nauce. Na pracy. Na próbach naśladowania jubilerów. I na tworzeniu. Prawie całymi dniami przesiadywałam w pracowniach. Ida zaprowadziła mnie nawet do tak słynnych zakładów, jak pracownia Cemlinera czy Hamla. Życia by mi nie starczyło, żeby opanować tę sztukę. To wirtuozeria. Co ja sobie myślałam?

– Nie od razu Rzym zbudowano.

– Powiedziałaś dokładnie to samo co Ida. Jestem jednak niecierpliwa. Będę próbować. Będę się szkolić, ale przede wszystkim skupię się na tworzeniu projektów. Po cóż mam być miernym jubilerem, skoro mogę być bardzo dobrym projektantem. A uwierz mi, głowę mam pełną pomysłów. W przyszłym roku Ida wystawi w sklepie dwie kolekcje mojego autorstwa.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jestem taka szczęśliwa. – Eleonora czuła, jak ze wzruszenia zbierają się jej pod powiekami łzy. – Moja Stefcia, trzpiotka, która marzyła o księciu z bajki, realizuje się w pracy. Jesteś samodzielna, niezależna. I utalentowana.

– Ty i Tristan byliście moim natchnieniem. On dał mi wizję biżuterii rodem z Egiptu, ty natchnęłaś mnie swoim ślubem. Mogłabym pokazać szkice, ale nie zrobię tego. To ma być niespodzianka. – Zobaczysz gotową biżuterię.

Rozmawiały jeszcze przez kolejne godziny. Plotkowały, marzyły, wspominały. Po powrocie z Woli Justowskiej dołączył do nich ojciec. Wysłuchał skróconej opowieści, którą wcześniej Stefcia uraczyła siostrę, a potem pogratulował jej sukcesu i zniknął za drzwiami gabinetu.

– Martwię się o niego. Pracuje ponad swoje siły. Gdyby mama tu była... – Stefania pokiwała ze smutkiem głową.

– Gdyby była... – zawtórowała jej Eleonora, spoglądając przez okno na krakowską ulicę, po której wciąż przechadzali się mieszkańcy i turyści. Wprawdzie dzień był coraz krótszy, ale wrześniowe wieczory nadal były ciepłe i zachęcały do spacerów.

\*\*\*

Choć minęła połowa września, dni były jeszcze słoneczne i pogodne. Rozalia stanęła na schodach budynku „Nowości Ilustrowanych”, zastanawiając się, czy skorzystać z przyjaznej aury i pójść pieszo, czy może jednak skusić się na zbliżającą się powoli taryfę. Samochód zatrzymał się nieopodal. A niech mnie, pomyślała, idąc w jego kierunku. Dochodziło południe, a ona była na nogach od wczesnych godzin rannych, na dodatek przed chwilą odbyła bardzo konstruktywną, pozytywną, ale i męczącą rozmowę z redaktorem naczelnym gazety.

– Następnym razem – szeptała do siebie.

Czuła się zmęczona, śpiąca, głodna i na dodatek było jej za ciepło.

– Dzień dobry, na Podgórze, na... – zaczęła mówić, wsiadając, ale już po chwili zdała sobie sprawę, że w środku jest już pasażer.

– Czy pani przypadkiem nie jedzie na lotnisko? – Eryk uśmiechał się do niej od ucha do ucha.

– Eryk!? – wykrzyknęła.

Nie bacząc na kierowcę i przechodniów, wpadła w objęcia Zdanowskiego. Trwali tak przez dłuższą chwilę, ciesząc się swoją bliskością. Rozalia delikatnie wysunęła się z ramion Eryka, dyskretnie zerkając na taryfiarza.

– To pan! – wykrzyknęła, rozpoznając w mężczyźnie taksówkarza, który prowadził automobil podczas pierwszego spotkania jej i Eryka. – To spisek?

– Droga pani, ja daleki jestem od spisków. Jeżdżę sobie po mieście, szukając klientów. Cóż ja poradzę, że mam niesamowite szczęście spotykać państwa na swojej drodze – mówił rozbawiony kierowca.

– Więc pani jednak nie na lotnisko? A może na zakupy? Na przymiarkę?

– Nie zgadł pan. Ani na zakupy, ani na przymiarkę i ani myślę zwalniać taryfy, ale jeżeli panu spieszno do dziewczyny, to proszę poszukać innego wozu. – Rozalia roześmiała się głośno. – Cóż za wspaniała niespodzianka. Do domu? – zapytała, patrząc na Eryka.

– Jeżeli pozwolisz, chciałbym cię gdzieś zabrać?

– Ale pod warunkiem, że tam, dokąd mnie porywasz, jest coś do jedzenia.

– Na Rakowice – zaordynował Zdanowski i taryfa ruszyła.

– Skąd wiedziałeś, że będę tu o tej porze?

– Pisałaś. Czekam tu już jakiś czas.

– Masz więcej szczęścia niż rozumu. – Rozalia oparła się o Eryka, który objął ją ramieniem i mocno przytulił.

Resztę drogi jechali w milczeniu. Rozalia nigdy nie lubiła rozmawiać w samochodzie, a i Eryk nie potrzebował zagłuszać panującej ciszy niepotrzebną rozmową. Na Rakowice podjechali od strony ulicy Ułanów.

– Chodź, mam dla ciebie niespodziankę, ale najpierw dam ci zjeść, żebyś nie myślała o jedzeniu, kiedy czeka cię przystanek.

Ruszyli w stronę budynku koszar wojskowych, do którego Rozalia zaglądała swego czasu, czekając na rozmowę z zastępcą redaktora naczelnego „Ilustrowanego Kuriera”.

– Usiądź. – W kantine Eryk odsunął krzesło, po czym nie czekając, aż siostra Juliana usiądzie, ruszył w stronę kontuaru, żeby złożyć zamówienie.

Nie czekali długo. Wbrew obawom pożywna zupa, którą podano im po kilku zaledwie minutach, była smaczna. Rozalia opadła na krzesło szczęśliwa, że udało jej się zagłuszyć burczenie w brzuchu i nieprzyjemne uczucie ssania.

– Było pyszne. Dziękuję. A teraz chciałabym się położyć – zażartowała.

– Nic z tego. – Eryk wstał, wyciągając w jej stronę dłoń.

Złapał ją mocno, jakby się obawiał, że Rozalia zgubi się na rozległym terenie lotniska. Idąc w stronę hangaru z podwieszonym dachem, minęli ogrody lotników oraz pole wzlotów, gdzie ustawiał się samolot, który właśnie opuścił hangar Winer Neustadt.

Eryk zajrzał do hangaru. Uśmiechnął się na widok czekającego na niego wysokiego mężczyzny.

– Rozalio pozwól, że ci przedstawię. Eugeniusz Grimm, doskonały lotnik, ojciec Augustyna, człowiek, któremu wiele zawdzięczam. Wujku, Rozalia Tojew.

– Miło mi panią poznać. Eryk wiele o pani opowiadał. Jak tylko zakochany mężczyzna może opowiadać o kobiecie. – Grimm lekko skłonił głowę, czekając, aż Rozalia wyciągnie rękę na powitanie.

– Mnie również jest bardzo miło. Mogę powiedzieć to samo. Że Eryk wiele opowiadał o państwa rodzinie. A jak czuje się Augustyn?

– Dziękuję, fizycznie coraz lepiej, a i psychicznie powoli dochodzi do siebie. Oczywiście trzeba czasu, aby, nomen omen, stanął na nogi, ale jest na dobrej drodze. Cieszymy się, że jest z nami.

– Proszę go pozdrowić i życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia – mówiąc to, Rozalia zauważyła kątem oka, że Eryk rozgląda się po hangarze i niczym dziecko niemogące doczekać się

otwarcia gwiazdkowego prezentu przestępuje z nogi na nogę.

Najwyraźniej Grimm również dostrzegł jego zniecierpliwienie, ponieważ uśmiechnął się szeroko.

– Oj, synu, synu. – Grimm poklepał Eryka po ramieniu. – Wszystko już przygotowane. I nie mnie za to dziękuj, ale oficerowi, który pełni służbę. Gdyby nie jego zgoda, na nic zdałyby się moje prośby i zapewnienia o twoich umiejętnościach i kompetencjach.

Podziękowaniom Eryka nie było końca, wreszcie złapał Rozalię za rękę. Szybkim krokiem ruszyli w stronę hangarów, w których znajdowały się warsztaty.

– Czyżbyś znowu chciał zabrać mnie do tej podniebnej łąby?

– Tylko nie mów, że się boisz, bo i tak nie uwierzę.

\*\*\*

– Dziękuję – powiedziała Rozalia, biorąc Eryka pod rękę. – Bałam się tak samo jak za pierwszym razem i pewnie za setnym wciąż będę miała obawy, ale nie ma nic piękniejszego niż podziwianie chmur, będąc na niebie. Nie! – wykrzyknęła. – Będąc w niebie. Tak, czułam się jak w niebie. Wciąż się tak czuję.

Szli wolno, spacerkiem. Cieszyli się pogodą i swoim towarzystwem.

– Wejdziemy? – zapytała Rozalia, zatrzymując się na wysokości ogrodu botanicznego. – Kiedy byłam mała, uwielbiałam tu przychodzić z ojcem, zwłaszcza zimą, gdy śnieg okrywał drzewa, ławeczki. Na dachach altanek i budynku muzeum zalegała biała kołderka, dodając im uroku. Sádzawki i stawy zamarały, tworząc białe, błyszczące plamy. Śnieg skrzypiał pod nogami, a ja marzyłam, że jestem Królową Śniegu.

– Byłem niedaleko, kiedy runął budynek ze storczykami, grzebiąc setki kwiatów. Nie udało się ich uratować. Pamiętam, że kiedy powiedziałem o tym mamie, rozplakała się jak dziecko. Była tu z ojcem. Raz jeden, kiedy był w lepszej kondycji. Zapamiętała ten dzień na długo. – Eryk zatrzymał się przy jednej z altan.

Usiedli na ławeczce, ciesząc oczy feerią barw. Rozalia wsłuchiwała się w śpiew ptaków. Ich trele działały uspokajająco, tak samo jak bzyczenie pszczół stołujących się na kwiatowych rabatach.

– Żałuję, że nie możemy zobaczyć ogrodu takiego, jaki był, kiedy otwarto go po raz pierwszy ponad sto lat temu. Jestem pewna, że byłabym zachwycona. Dobrze, że po tylu latach od upadku, który przypieczętował pożar palmiarni, nareszcie odzyskuje dawny blask.

– Miałem kiedyś przyjemność poznać Władysława Szafera, który zarządza placówką. Był na proszonym obiedzie u Grimmów, którzy prowadzą bardzo bogate życie towarzyskie. To wspaniały człowiek. Ze swadą mówił o tym miejscu, o planach z nim związanych i o swojej pracy.

– Słyszałam, że to zapalony badacz.

– Tak. Przede wszystkim interesuje się geografią roślin, ich ochroną, ale i paleobotaniką.

– Cieszę się, że są w Krakowie ludzie, którzy tworzą takie miejsca. Dzięki nim nasze miasto jest piękniejsze.

Siedzieli tam jeszcze przez chwilę. Wreszcie wrócili na Kopernika, zdążając w stronę Rynku.

Tym razem zatrzymał się Eryk. Zerknął w stronę kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny.

– Chciałbym się pomodlić za nas i za powrót Augustyna do zdrowia.

Rozalia skinęła głową. Weszli do prawie pustej świątyni. W jednej z ławek z przodu siedziały dwie starowinki zatopione w modlitwie.

Przysiedli z tyłu, nie chcąc przeszkadzać. Zdanowski pogrążył się w cichej modlitwie, zaś Rozalia podziwiała wnętrze. Odkąd pamiętała, wysokie arkady otwierające się na nawę główną wzbudzały w niej zachwyt. Popatrzyła na ołtarz, który wykonano pod koniec XVII wieku z czarnego marmuru. Biel sklepienia i ścian -uwypuklała jego piękno.

Odwróciła się w stronę Eryka, czując na sobie jego spojrzenie.

– Wyjdź za mnie – powiedział szeptem, chociaż Rozalia miała wrażenie, że echo rozniosło jego głos po całym kościele.

Spojrzała w kierunku modlących się kobiet, żeby sprawdzić, czy patrzą w ich stronę, ale one nadal przewracały w palcach paciorki różańca, bezgłośnie powtarzając słowa „Zdrowaś Mario”.

– Wyjdiesz za mnie, Rozalio? – zapytał Eryk raz jeszcze, wstrzymując oddech z niepewności.

– Kiedy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, chociaż to wystarczyło Zdanowskiemu.

Odetchnął z ulgą.

– Jutro. W południe – odparł, obserwując, jak zaskoczenie zaczyna malować się na jej rozpromienionej twarzy.

– Jak? Gdzie?

– W magistracie.

– Ale to niemożliwe... – Rozalia spojrzała na struchlałego Eryka. – A pozwolenie? A termin?

– Byłem przewidujący. – Eryk sięgnął do kieszeni.

Wyciągnął złożony dokument.

– To jest zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Wypełnione, podpisane, z wymaganymi pieczęciami urzędowymi. Posłuchaj... – Przyciągnął Rozalię bliżej siebie. – Nie było łatwo. Pewnie nie wiesz, ale uczniowie szkół wojskowych nie mogą się żenić. Powinienem, po zakończeniu kursu, zwrócić się o stosowne zezwolenie do dowódcy pododdziału, nawet jeżeli nie jestem w czynnej służbie. Powinienem przedstawić świadectwo twojej moralności, moje świadectwo lekarskie oraz dokumenty potwierdzające twoją nieposzlakowaną opinię.

– Wobec tego już zawsze będziemy żyli bez ślubu. – Rozalia weszła Erykowi w słowo. Była zdenerwowana. – Jak wiesz, wprawdzie jestem wdową, ale chciałam rozwodu, a mój mąż, świętej pamięci Tojew, nie prowadził się zbyt moralnie, przez co odium jego zdrad spada także na mnie. O czym jeszcze nie tak dawno przypominała mi nie tylko była teściowa, ale także własna matka. Czy coś jeszcze jest wymagane? – zapytała z czystej ciekawości.

– Potwierdzenie twojego wykształcenia, środowiska, z jakiego się wywodzisz, informacje o twojej rodzinie.

– Och, czy stan konta też należy przedłożyć? – Była wściekła i sama nie wiedziała dokładnie dlaczego.

– Twój nie, ale ja muszę przedstawić źródło dochodów, które zabezpieczy naszą rodzinę.

– I mimo to ufasz, że jutro w samo południe uda nam się zawrzeć związek małżeński? Czy to zezwolenie jest w ogóle oryginalne, bo jestem w stanie uwierzyć, że posunąłeś się, panie Zdanowski, do oszustwa.

– Żeby cię poślubić? Byłbym gotów – zażartował Eryk. – Chciałem prosić cię o rękę już wtedy, w taksówce, kiedy wymownym wzrokiem zmierzyłaś mnie od stóp do głów, zatrzymując się na...

– Eryku, jesteśmy w kościele – upomniała go Rozalia, uśmiechając się od ucha do ucha i wodząc wzrokiem po sylwetce Zdanowskiego, zatrzymując przy tym spojrzenie tam, gdzie nie powinna nawet zerkać.

– Dla ciebie byłbym gotów podpalić świat, Rozalio. – Eryk zbliżył się jeszcze bardziej.

Żałował, że są w kościele. Żałował, że nie są tu sami. Musiał jednak panować nad emocjami.

– Poprosiłem wuja o pomoc. Wybłągałem jego wstawiennictwo. I oto ono, prawdziwe, urzędowe, wojskowe pozwolenie. Jest ważne sześć miesięcy, a więc będzie nam służyć nawet po ukończeniu kursu, ale nie mam zamiaru czekać ani dnia dłużej.

Zamilkł. Przyglądał się wpatrzonej w niego Rozalii. Uniósł się i uklęknął przed nią. W dłoni zamiast pierścionka trzymał urzędowy dokument.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał raz jeszcze.

– Jutro, w samo południe, Eryku Zdanowski.

Wyszli z kościoła. Zanim ruszyli w stronę Rynku, Eryk, nie bacząc na przechodniów, przyciągnął Rozalię do siebie. Całował ją czule, obiecując tym samym jeszcze więcej namiętności po powrocie do domu.

– Rozalia Zdanowska – odezwał się tuż przy jej ustach. – To brzmi jak najpiękniejsza melodia.

\*\*\*

Ciemna roleta wciąż dawała poczucie wczesnego poranka, chociaż promienie słoneczne, wdzierające się do sypialni Juliana, nie pozostawiały wątpliwości, że wskazówkom zegara bliżej do południa niż poranku. Eleonora wtuliła się w ciepłe, rozgrzane snem i igraszkami ciała hrabiego.

Po wczorajszej bardzo skromnej i jeszcze bardziej prywatnej uroczystości, którą Rozalia przygotowała u siebie, żeby uczcić zawarcie małżeństwa, starsza córka Schramma spędziła noc na ulicy Szlak 21.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Rozalia wyszła za męża? – powiedziała Eleonora, poddając się czulej pieściwie Juliana, który delikatnie gładził jej ramię.

Było jej błogo, przyjemnie. Zamknęła oczy. Czuliła się bezpieczna w ramionach narzeczonego. I rozleniwiona. W myślach wróciła do tego, co działo się ostatnio. Przedwczoraj Rozalia pojawiła się na św. Łazarza, czekając, aż Eleonora skończy dyżur na pogotowiu. Widząc ją, Nora zamarła z trwogi, myślała, że stało się coś strasznego. Jej obawy rozwiął szeroki uśmiech, jaki nie schodził z twarzy szczęśliwej Rozalii.

– Wychodzę za męża! – krzyknęła siostra Juliana, nie czekając, aż Eleonora podejdzie bliżej.

Jej słowa usłyszała przechodząca obok starsza para, która złożyła jej gratulacje, życząc wszelkiej pomyślności na nowej drodze życia.

– Wychodzę za męża! – powtórzyła Rozalia, biorąc Eleonorę za rękę.

Przyciągnęła córkę Schramma do siebie i mocno przytuliła, dając upust radości, która nie opuszczała jej od chwili, kiedy powiedziała „tak”.

– Eryk wczoraj poprosił mnie o rękę. Tak, wiem... – mówiła nieskładnie, uprzedzając wątpliwości, o których zamierzała powiedzieć Eleonora. – Dokumenty, zapowiedzi i wszystkie te urzędowe drobiazgi. Okazuje się, że Eryk zadbał o wszystko. Wyprosił u pana Grimma, żeby ten wstawił się w jego sprawie. Żeby pociągnął za odpowiednie sznurki. I udało się, Norciu. Udało. Poczekaj... – odezwała się zapalczywie, widząc, że Eleonora chce coś powiedzieć. – Przyszłam prosić cię na świadka. Zgodzisz się, prawda? Proszę – dodała z nutą niepewności w głosie.

– Rozalio, jakże mogłabym się nie zgodzić? To dla mnie zaszczyt. – Eleonora uśmiechała się równie szeroko jak siostra Juliana. – Boże, jestem taka szczęśliwa. Upajam się twoim szczęściem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na twoim miejscu.

– Już niedługo, Norciu, niedługo – zapewniła Rozalia. – Jutro, w samo południe. W urzędzie. Będziemy tam na was czekali, ja i Eryk, który właśnie przekonuje Juliana, aby był jego świadkiem.

Temat nieoczekiwanego, niezapowiedzianego i niespodziewanego ślubu Rozalii zdominował wieczorne rozmowy Juliana, Eleonory i Stefanii, która rozplakała się ze szczęścia na wieść o ślubie przy-jaciółki.

Wczorajszy poranek Eleonora i Stefania spędziły na przygotowaniach. Makijaż, strój. Zakup kwiatów.

– Prezent wręczymy im później – zawyrokowała Eleonora.

Nie było czasu na szukanie odpowiedniego подарunku, a wręczenie czegokolwiek nie wchodziło w rachubę. W końcu minęła jedenasta. Szły powoli, spacerkiem, mijając po drodze plac Franciszkański.

– Chodź – powiedziała Stefania, ciągnąc siostrę w stronę bazyliki św. Franciszka z Asyżu. – Mamy jeszcze czas. Poselska jest tuż-tuż. Pomódlmy się o pomyślność dla Rozalii i Eryka.

Usiadły w ostatniej ławce. Zatopiły się w głębokiej modlitwie. Po kwadransie ruszyły w drogę.

– Lubię tę ulicę. – Eleonora wzięła głęboki oddech, ciesząc się zapewne jednym z ostatnich słonecznych, pogodnych wrześnieowych dni. – Czy wiesz, że pochodzi z XIII wieku? – zapytała Stefanię i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – Kiedyś często tu przychodziłam. Lubiłam wyobrażać sobie ludzi chodzących tam i z powrotem. Spieszących nad rzekę lub w stronę Rynku. Dowiedziałam się, że nazywano ją wówczas Zaułkiem Grodzkim. Na początku ubiegłego wieku przemianowano ją na św. Józefa, potem na chwilę była Legacką i w końcu Poselską. A tam, gdzie dziś stoi budynek urzędu, były kiedyś małe domy mieszkalne. W jednym z nich, wąskim, długim, z wielkim balkonem, mieszkał Józef Korzeniowski. Joseph Conrad – dodała, widząc pytającą minę Stefanii. – Ten od *Lorda Jima*, którego pierwszy polski przekład znajduje się także w naszej domowej biblioteczce. Zresztą kiedy domy wyburzono, a na ich miejscu wzniesiono gmach magistratu, ktoś miał przynajmniej tyle przytomności,

żeby -wmurować w boczną ścianę tablicę upamiętniającą pisarza.

– Mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie – odparła Stefcia. – Od dawna nie słyszałam wymądrzającej się Eleonory. Już myślałam, że ci przeszło, ale najwyraźniej czym skorupka za młodu... – Nie dokończyła, ponieważ Eleonora roześmiała się na głos.

Były tak zajęte przekomarzaniem się, że dopiero w ostatniej chwili zauważyły czekających pod gmachem urzędu. Stefania zatrzymała się w pół kroku.

– Dzień dobry, Stefciu. – Rozalia podeszła do siostry Eleonory. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz? – zapytała, podążając za spojrzaniem Stefanii.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Witaj. – Jan podszedł do Stefci.

Stanął blisko, ale nie tak jak kiedyś. Czuło się w jego zachowaniu niepewność. Wahanie. Stefania miała wrażenie, że świat się zatrzymał. Nie widziała innych. Nie słyszała zwyczajnego miejskiego harmidru. Ustał śpiew ptaków i szum drzew.

W końcu po chwili, która Jankowi wydawała się wiecznością, podeszła do niego i mocno go przytuliła. Zamknął ją w ramionach. Miał wrażenie, że wreszcie wrócił do domu po długiej podróży.

– Dziękuję – szepnęła Stefania, spoglądając na uszczęśliwioną Rozalię.

– Chodźmy – odezwał się Julian. Przed chwilą zerknął na zegarek. Prezent od dziadka. Starał się z nim nigdy nie rozstawać. – Pewnie już na nas czekają. Za dwie dwunasta.

Właśnie wchodzili do sali, kiedy do ich uszu doleciał hejnał wygrywany z wieży mariackiej, obwieszczający nadejście południa.

Rozalia wpatrywała się w Eryka, który wypowiadał słowa przysięgi małżeńskiej. Jej serce biło jak oszalałe. Łzy szczęścia zbierały się pod powiekami. Nagle, na krótką chwilę, przypomniała sobie ceremonię zawarcia poprzedniego małżeństwa, z Mikołajem Tojewem. Kościół wypełniony ludźmi. Morzem obcych twarzy. Twarzy wpatrujących się w nią z pewną dozą niepokoju. Gdzieś w tym tłumie stali jej rodzice i Julian, milczący, niepotrafiący się pogodzić z decyzją matki, która zmusiła ją do tego ślubu. Wtedy też pod powiekami Rozalii zbierały się łzy. Bezsilności, upokorzenia, beznadziei. Chciała powiedzieć „nie”, kiedy kapłan zapytał, czy bierze tego oto mężczyznę za męża, ale wtedy była jeszcze małą, zahukaną, bojącą się własnego cienia Rozalią. Dziś, tego była pewna, nawet nie przyszłaby do kościoła.

Rozalia powtórzyła za urzędnikiem tekst przysięgi. Mówiła głośno, wyraźnie i pewnie. Cały czas patrzyła w oczy Eryka. Roześmiane, szczęśliwe, w których błąkał się zabawny chochlik. Ten błysk w oku przypominał jej Eryka z dnia, w którym zobaczyła go po raz pierwszy. To ukłucie w sercu, które wtedy poczuła, było znakiem. Siedząc obok niego w taksówce, wiedziała, że ten mężczyzna nie pojawił się w jej życiu na chwilę.

To nie będzie przelotna znajomość. To nie będzie kilkanaście minut ciekawej, intrygującej rozmowy. Czowała całą sobą, że ciągnie ją do tego impertynta. Na myśl o tym, że nazwała go osłem, uśmiechnęła się szeroko.

– Wobec zgodnego oświadczenia – kontynuował urzędnik, nieświadomy myśli, jakie błąkały się po głowie Rozalii – złożonego w obecności świadków, oświadczam, że związek małżeński pani Rozalii i pana Eryka został zawarty zgodnie z przepisami. Jako symbol łączącego państwa związku proszę wymienić się obrączkami.

Rozalia ze strachem spojrzała na Eryka. W całym tym zamieszaniu zapomniała o tak ważnej sprawie. Zdanowski uśmiechnął się do niej uspokajająco. Odwrócił się w stronę Juliana, który na dłoni trzymał otwarte puzderko. Na ozdobnej białej poduszeczce leżały dwie złote obrączki.

– Dokumentem stwierdzającym zawarcie związku małżeńskiego jest niniejszy akt małżeństwa – odezwał się urzędnik zaraz po tym, jak Rozalia nałożyła obrączkę na palec Eryka. – Proszę o podpisanie dokumentu. Państwa – mówiąc to, zerknął na Zdanowskich – oraz świadków.

Eleonora złożyła swój podpis tuż pod zamaszystym podpisem Juliana. Patrząc na ciąg liter układających się w słowo „Michałowski”, poczuła dziwne dreszcze w brzuchu. Motyle, pomyślała z lekkim uczuciem zawodu, że jej własny ślub dopiero za kilka miesięcy.

– Żałuję, że nie pobraliśmy się wcześniej – szepnęła jej teraz do ucha Julian. – Żałuję, że nie

zrobiliśmy tego tak jak moja siostra i Eryk. Już dawno mógłbym mieć cię tu, u siebie, na zawsze. Boli mnie każda sekunda, kiedy nie ma cię w moim domu – mówił żarliwie, przyciągając Eleonorę coraz bliżej.

Pocałował ją w płatek ucha. Odchyliła nieco głowę. Powtórzył pieszczotę. Pocałował, uszczypnął.

– Wprowadź się do mnie.

– Nie możemy. – Eleonora westchnęła.

Jej protest nie brzmiał przekonująco. Julian pocałunkami torował sobie drogę coraz niżej. Przycisnął usta do jej obojczyka. Oddech Eleonory przyspieszał za każdym razem, kiedy kolejne pocałunki muskały jej ciało coraz niżej i niżej. Dłonie Juliana, niecierpliwe, gorące, gładziły jej skórę.

Jego smukłe palce brnęły w górę po wewnętrznej stronie uda.

Eleonora rozchyliła nogi, dając Julianowi do zrozumienia, jakiej pieszczoty oczekuje. Westchnęła z pretensją, kiedy ominął drżące, pulsujące wnętrze.

– Wprowadź się do mnie – nalegał Julian. – Chcę to mieć zawsze. Nie chcę czekać. Udawać. Pragnę kochać się z tobą wtedy, kiedy najdzie nas ochota. Proszę, wprowadź się do mnie.

Eleonora uniosła biodra, jasno wyrażając swoje oczekiwania. Ale Julian wciąż ją zwodził. Drażnił. Opuszkami palców gładził wyczuloną na każde, nawet najdrobniejsze muśnięcie ciepłą, zaróżowioną skórę zgrabnych nóg Schrammówny.

– Wprowadź się do mnie – powiedział z mocą, a potem odwrócił Eleonorę plecami do siebie.

Przywarł do niej. Byli jak dwie łyżeczki, idealnie do siebie przylegające. Wreszcie spełnił oczekiwanie Nory. Starał się być czuły, niespieszny, a jednak w jakimś sensie swawolny.

Bawił się tą chwilą. Igrał z nią i ze sobą. Doprowadzał na kraniec spełnienia, aby jeszcze na kilka chwil odsunąć od nich nirwanę.

– Wprowadź się do mnie – powtarzał, szepcząc słowa wprost do jej ucha.

Eleonora jednak tylko westchnęła. Była zbyt wzburzona, aby okazać chociaż nikłą chęć rozmowy.

– Powiedz, że się wprowadzisz – nalegał. – Obiecuj – szepnął.

– Obiecuję – krzyknęła.

Była jednocześnie zadowolona, ukołyszana spełnieniem i zdenerwowana, ponieważ nie mogła cieszyć się nim tylko w akompaniamencie ich przyspieszonych, namiętnych oddechów.

Uśmiechnął się szeroko.

Osiągnęli spełnienie. Miał nadzieję, że w każdym tego słowa znaczeniu.

\*\*\*

Eleonora wyszła z domu na Szlak 21 z samego rana. Julian wciąż spał.

– Wychodzę – szepnęła. Skinął nieprzytomnie głową. – Po dyżurze mam zamiar porozmawiać z ojcem. Dobrego dnia. – Pochyliła się i pocałowała Juliana w rozgrzane czoło.

Przewrócił się na bok, łapiąc ją za rękę. Odwrócił dłoń Eleonory i pocałował jej wnętrze, wciąż nie otwierając oczu.

– Uważaj na siebie – powiedział cicho.

Ulice były jeszcze puste. Eleonora spojrzała w prawo i w lewo, zastanawiając się, którą drogę wybrać. W końcu, zatopiona w myślach, skierowała się w kierunku Łobzowskiej.

Kilkanaście dni temu, po tym jak obiecała Julianowi, że wprowadzi się do mieszkania, które wynajmował od żony Edmunda Szalita, przeprowadziła z ojcem rozmowę. Nieprzyjemną.

– Wyprowadzasz się? – zapytał Jan Schramm, podnosząc głowę znad papierów zalegających na jego biurku na dźwięk słów wypowiedzianych przez starszą córkę. – Dokąd?

– Tato, przed chwilą powiedziałam, że za kilka dni wyprowadzam się do Juliana. Postanowiliśmy, że skoro już niebawem mamy wziąć ślub, który jest i tak czystą formalnością, zamieszkamy razem.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Jan dźwignął się ze swojego miejsca, ale nadal stał za biurkiem. Ściągnął okulary, które nosił od jakiegoś czasu.

– Nie, ojcze, nie żartuję. – Eleonora spięła się w sobie.

Zauważyła, że rozmowa zaczyna przybierać nieodpowiedni kierunek.

– Czy tak wychowaliśmy cię z matką?! – Schramm podniósł głos.

Nigdy jeszcze Eleonora nie słyszała ojca, który mówiłby w takim zdenerwowaniu.

– Tylko nie próbuj mówić o ostatnich wyskokach matki i wskazywać je jako przykład wyzwolenia i nieskrępowania. – Bankier nie dopuścił córki do głosu. – Od zawsze przymykałem oczy na twoje fanaberie i wyskoki. Stawałem w twojej obronie. Mówiłem Tekli, że masz prawo do nauki i własnego zdania. Tonowałem waszą matkę w zapędach, które zapewne już dawno doprowadziłyby do waszego zamążpójścia, i kto wie, może nie przyszłoby jej do głowy wyjeżdżać? Nie pozwoliłem ci zabrać głosu. – Schramm upomniał Eleonorę, widząc, że córka otwiera usta. – Kiedy lata temu wzięłaś udział w marszu sufrażystek, odbyliśmy pewną ważną rozmowę. Miałem nadzieję, że coś zrozumiesz, ale najwyraźniej moje łagodne podejście do waszego wychowania, bo i o Stefanii mówię, sprawiło, że moje córki nie tylko stały się emancypantkami, ale z wolna stają się kobietami upadłymi. Czy ty nie widzisz, w jakim stawiasz siebie świetle? Jakież kobiety mieszkają z mężczyznami bez ślubu? To wstyd. Upadłasz siebie i naszą rodzinę. Najpierw ta wzbudzająca we mnie sprzeciw posada, którą przyjęłaś u Kurkiewicza. Tak, uważałem ją za poniżającą, uwłaczającą twojej i naszej godności. Ohydna, ale na krytykę ze strony znajomych, klientów i potencjalnych inwestorów zawsze odpowiadałem z dumą. Że moja córka jest samodzielna, zdolna i pragnie zbierać różne doświadczenia. Że była na wojnie. Pomagała żołnierzom. Dbała o nich i ratowała im życie. Zamykałem plotkarzom usta. Starłem się wybielać twój wizerunek, który splamił się tą posadą. Wiesz zapewne, co mówiło się na mieście o Kurkiewiczu. Och, wiesz z pewnością, ale mimo wszystko zamierzam ci przypomnieć. Mówiło się, że to zboczeniec. Podglądacz. Perwert znajdujący niezdrową przyjemność w wysłuchiwanie nieprzyzwoitych historii. Wierzyłem, że nie weźmiesz ich sobie do serca, ale najwyraźniej się myliłem. Od dawna przymykam oczy na twoje eskapady. Nie upominam cię, kiedy nie wracasz do domu. Nie pytam, gdzie spałaś, bo to jest chyba oczywiste. Jak zresztą to, że nie sypiasz, będąc u Juliana. I nie ma się co rumienić. Skoro pragniesz być wyzwoloną kobietą, potrafisz też wysłuchać pewnych rzeczy bez krygowania się. Inaczej stajesz się hipokrytką. Widzę po tobie, że i tak zrobisz po swojemu. Zawsze byłaś uparta. Już podjęłaś decyzję. Wiedz jednak, że nie ma na to mojej zgody. Możesz odejść. Uważam rozmowę za zakończoną.

Po tych słowach Schramm usiadł z powrotem przy biurku i ignorując Eleonorę, zaczął grzebać bez ładu i składu w dokumentach.

A teraz, idąc Łobzowską, Eleonora myślała, jak udobruchać ojca. Tak, Schramm miał rację, że podjęła decyzję. To nie obietnica, którą wymógł na niej Julian, była decydująca. Na samą myśl o tym, kiedy to zrobił, poczuła płonące policzki. Już od dawna myślała o tym, aby z nim zamieszkać. Miała swoje lata. Nie była młódką. Nie była niewinną panienką. Przeżyła już swoje. Miała za sobą tragiczne chwile i chciała wreszcie cieszyć się życiem. Nadrobić to, co jej odebrano, i to, co sama straciła, pozwalając odejść Julianowi.

Nie wyobrażała sobie jednak, że między nią a ojcem zapanuje ciężkie milczenie, spowodowane rozbieżnością poglądów na życie. Dlatego dziś, zaraz po zakończonym dyżurze, wybierała się na Wiślną, do kamienicy Pod Irysami. Miała nadzieję, że ojciec nieco ochłonął i będą mogli przedyskutować ich sytuację. Podniesiona na duchu planem dnia, skierowała się w stronę Garbarskiej, przy której wyrastały czynszowe kamienice. Budowę niektórych ukończono nie tak dawno, inne wzniesiono w ubiegłym stuleciu. I chociaż prawie wszystkie stare budynki, poza kościołem Karmelitów, zniszczono podczas dawnych oblężeń miasta, to ulica ta miała w sobie jakąś nutkę nostalgii, którą Eleonora odczuwała szczególnie mocno właśnie dziś.

Na Karmelickiej minęła budynek teatru Bagatela, przypominając sobie spotkanie z Julianem i targające nią wtedy uczucie zazdrości na widok hrabiego z piękną kobietą uwieszoną na jego ramieniu. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, myśląc o tym. Przystanąła, żeby zerknąć na repertuar.

Wielkim afisz reklamował *Ósmą żonę Sinobrodego*. Marzyło jej się wyjście do teatru. Od Stefci, która miała przyjemność być na premierze w towarzystwie Janka, dowiedziała się, że sztuka jest rewelacyjna.



– Janek zaskoczył mnie ostatnio – zwierzała się Stefania Eleonorze. – Zaprosił mnie do teatru na premierę. Dotąd najczęściej zapraszał mnie na wycieczki. Uwielbia jeździć samochodami, a ostatnio dwa razy podjechał motocyklem pod sklep Idy, gdzie Frau Goldbaum przygotowała dla mnie pracownię. Tak bardzo się bałam, ale to było niesamowite doświadczenie. I powiem ci, że podobało mi się daleko bardziej niż wypadki autem. Poczuć ten wiatr we włosach. Na policzkach. Być wolnym. Kiedy jechaliśmy, trzymając się Janka i tuląc do jego pleców, zamknęłam oczy. Miałam wrażenie, że latam. Że unoszę się w powietrzu. Polecam. Nie wahaj się, kiedy ktoś zaoferuje ci przejażdżkę motocyklem. A wracając do sztuki, wspaniała – zachwycała się Stefania. – Widownia była wypełniona po brzegi. Nie znalazłam ani jednego wolnego miejsca, a kiedy zrobiło się ciemniej, na schodach pojawili się ci, którzy tak bardzo pragnęli ją zobaczyć, że nie przeszkadzało im siedzenie na stopniach. Najpierw bardzo im się dziwiłam, ale kiedy artyści zaczęli grać, kiedy wszystko się rozkręciło, przestałam. Ta akcja, ta rytmika. Ten dowcip. Gra aktorów. Mistrzostwo świata. Wiem, co mówię – roześmiała się Stefania. – W końcu sama kiedyś próbowałam swoich sił na deskach. Żałowałam, że Mikołaj tego nie widzi. Powiedziałam o tym Jankowi. Przyznał mi rację i wyraził nadzieję, że przedstawienie będzie jeszcze wystawiane, kiedy Mikołaj wróci z Wrocławia. A poza tym scenografia. Bogata, kolorowa, ale mimo wszystko będąca tylko tłem dla akcji i kunsztu aktorskiego.

Stojąc teraz przed teatrem, Eleonora żałowała, że kasy były zamknięte. Od razu, bez namysłu kupiłaby bilety. Postanowiła, że zrobi to, wracając do domu, po tym jak porozmawia z ojcem. Ostatnio złapała się na tym, że o mieszkaniu na Szlaku myślała jak o domu. Czuła się tam szczęśliwa i spełniona.

Ruszyła dalej. Szła powoli. Spacerkiem. Miała jeszcze dużo czasu. Wyszła tak wcześnie, ponieważ chciała pomyśleć. Zastanowić się nad tym, co powie ojcu, ale teraz, kiedy znalazła się na prawie pustych krakowskich ulicach, nic nie przychodziło jej do głowy. To dlatego, że wiesz, że ojciec ma rację, szeptał jej jakiś wewnętrzny głos. Tak, przyznała szczerze, wiem, że ma rację. Nie powinna mieszkać z Julianem, ale chciała i nie zamierzała odmawiać sobie przyjemności bycia z nim od rana do wieczora. Budzić się przy jego boku i zasypiać, wtulając się w jego ramiona. Nie, nie zamierzała z tego rezygnować i wiedziała, że dzisiejsza rozmowa i tak nie wpłynie na zmianę już podjętej decyzji. Miała tylko udobruchać Schramma i oczyścić -atmosferę między nią i papą.

Przebiegła Rynek, kierując się w stronę Siennej. Na Plantach spacerowali ludzie wyprowadzający swoich pupilów. Niektórzy przysiedli na ławkach, czytając najnowsze wydania porannej prasy.

Z Siennej skręciła w stronę Kolejowej. Na Pocztę Główną zamierzała nadać list do Leny von Goch, która w ostatniej korespondencji opisała wydarzenia, do jakich doszło na Wyspach.

W końcu, idąc ulicą Wielopole w stronę św. Łazarza, przyspieszyła kroku.

Na miejsce dotarła kilka minut przed rozpoczęciem dyżuru. Przystanąła na chwilę w niewielkiej odległości. Ceglany budynek wydawał się niepozorny i jakby nieprzystający do siedziby pogotowia, które zaczęło działać trzy dekady temu.

– Nasze krakowskie pogotowie – mówił dyrektor placówki, który przyjmował ją do pracy. – Zostało założone dekadę przed końcem ubiegłego stulecia. Wzorowano się na pierwszym pogotowiu w Europie, tym z Wiednia, czego może panna nie wiedzieć. – Wiedziała, ale nie zamierzała mówić o tym swojemu przełożonemu, zwłaszcza że mężczyzna ten przypominał jej właściciela księgarni, do której zachodziła lata temu. Mówił o pogotowiu z taką samą estymą, z jaką zięć Gebethnera opowiadał o najstarszej księgarni w Krakowie. – Kiedyś, pamiętam te czasy z własnego doświadczenia, pracowaliśmy *pro bono*, niczym prawnicy. – Uśmiechnął się szeroko. – Dziś dostajemy wynagrodzenie za naszą niewątpliwie ciężką pracę. Cóż, trudno porównać je do płac, jakie otrzymują lekarze, ale nie narzekamy. Wciąż jeszcze, jak panna widzi, korzystamy z ambulansów konnych. Mamy też lektykę na gumowych kołach, używaną coraz rzadziej. Jest składany fotel, rzecz bardzo przydatna, nosze. Aż cztery pary i aż siedem kufrów wyjazdowych.

Wiem, że panna była pielęgniarką podczas wojny, służąc w szpitalu na dworcu. Potem pojechała na front do Francji, a w 1920 do Warszawy.

– Skąd pan o tym wie, doktorze? – zapytała zdziwiona Eleonora.

– Och, proszę mi wierzyć, panno Schramm, Kraków to bardzo małe miasto, ale odpowiadając na panny pytanie: mój przyjaciel jest znajomym pani wuja, a poza tym znam również doktora Blocha.

– Zna pan Dawida, to znaczy doktora Blocha?

– Znam bardzo dobrze. To mój siostrzeniec. Nie mogła panna tego wiedzieć, ponieważ Dawid nosi nazwisko po ojcu. – Pospieszył z tłumaczeniem, widząc jeszcze większe zdziwienie malujące się na twarzy Eleonory. – Dawid był niedawno w Krakowie. Zaledwie kilka dni temu. Prosił, żebym przy najbliższej okazji przekazał pannie pozdrowienia. Bardzo ciepło się o pannie wypowiadał.

Eleonora skinęła głową w podziękowaniu. Zaczęła się zastanawiać, jak wiele powiedział Dawid wujowi. Doktor Błażejewski nie drażył jednak tematu.

– Wojna była okrutna, ale proszę o mnie źle nie myśleć po tym, co panna teraz usłyszy. To dzięki niej udało nam się zakupić pierwsze auto. Z demobilu, bo z demobilu, tak taniemu koniowi nie zagłąda się w zęby, ale to zawsze automobil. Było nam w czasie wojny bardzo ciężko – opowiadał Błażejewski. – Rozwijaliśmy się, ba, nawet szybciej niż zwykle, choć z drugiej strony wszystko musieliśmy reglamentować. Nie to co teraz. Brakowało opatrunków, leków i lekarzy oraz sanitariuszy. Zresztą co ja będę pannę zanudzał. Sama panna doskonale o tym wie.

Eleonora przytaknęła. Przyglądała się stojącym przed garażami wozom ratunkowym oraz pracownikom uwijającym się przy nich. Nagle na placu zaczęła się gorączkowa krzątanina. Sanitariusze łapali za kufry wyjazdowe, a kierowcy wskakiwali do aut. Z miasta nadeszło wezwanie.

Przez chwilę Eleonora i Błażejewski przyglądali się akcji rozgrywającej się na ich oczach. Kiedy samochody zniknęły z pola widzenia, doktor podjął przerwany wątek.

– Wtedy włączyli nas w wojskowe struktury. Służyliśmy nie tylko mieszkańcom, ale także żołnierzom. Tragicznie jednak było nie w czasie wojny, a po jej zakończeniu. Kiedy toczyły się działania, pieniądze na naszą działalność zawsze się znajdowały, jednak gdy podpisano pokój, zaczęliśmy borykać się z niedoborami, nie tylko kadrowymi, ale przede wszystkim finansowymi. Zebraliśmy, dosłownie zebraliśmy o każdy grosz.

– Słyszałam, że w końcu sytuacja się zmieniła. – Eleonora podjęła wątek.

– Tak, wreszcie znalazła się w magistracie mądra głowa. Zarządzono, że zostanie utworzony stały fundusz na naszą rzecz. Pięć procent podatku ze sprzedaży biletów do kina, teatru i innych imprez zasila nasze konto. Proszę spojrzeć tam. Jak panna widzi, jesteśmy sąsiadami Straży Ogniowej. Wynajmujemy od nich część pomieszczeń, ale niebawem zaczynamy rozbudowę. Powiększymy siedzibę o kolejne dziesięć pomieszczeń i cztery garaże.

Stojąc teraz przed budynkiem pogotowia, Eleonora mogła przyglądać się pracy budowlańców, którzy tuż obok dotychczasowej ceglanej siedziby wznosili kolejny, mały budynek. Praca w pogotowiu była ciężka, wyczerpująca nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, a jednak lubiła ją.

– Wyglądasz na wykończoną – mówił Julian za każdym razem, kiedy wracała z dyżuru. – Pomyśl o innej posadzie.

Nie chciała myśleć o innym etacie. Od dawna czuła, że to nie praca, nie obowiązek. To misja i chętnie wracała tu każdego kolejnego dnia, aby być jej częścią.

– O, dobrze, że panna już jest. – Usłyszała, wchodząc do pokoju, w którym razem z innymi sanitariuszami i pielęgniarkami czekała na dyspozycje. – Teraz jesteśmy w komplecie, mogę więc ogłosić pewną nowinę. Jako pracownicy pogotowia i honorowi goście dostaliśmy zaproszenie na bal wydawany przez prezydenta Jana Kantego Fedorowicza. Fundusze zebrane podczas balu zasila nasze konto. Część środków zostanie przeznaczona na wyposażenie nowych pokoi, część na zakup kolejnego ambulansu. – Po tych słowach Błażejewski zaczął wręczać eleganckie koperty z zaproszeniami.

Chociaż dzień zaczął się spokojnie, nawet leniwie, pierwsze zgłoszenie nadeszło zaledwie dwa kwadransy później. Jadąc do wypadku autobusu relacji Kraków–Wiśnicz, Eleonora myślała o pracy sanitariuszki. Była ciężka, wymagająca, niedająca chwili wytchnienia. Każdy dzień tutaj przypominał jej czas spędzony na froncie. Nieustanna walka. Każdego dnia, każdej godziny. Patrzyła na ludzkie tragedie, przeplatane od czasu do czasu chwilami szczęścia, a jednak nie była gotowa posłuchać prośb Juliana.

– W pierwszych miesiącach po wojnie nie było godziny, abyśmy nie ogłaszali zgonów. Przywożono nam najczęściej wycieńczonych walką mężczyzn. Na skraju wyczerpania. Z otwartymi, gnijącymi ranami, z gorączką. Robiliśmy, co w naszej mocy. Byliśmy pogotowiem i szpitalem –

opowiadał Błażejowski.

Eleonora słuchała z przejęciem. Miała to szczęście, że pracowała wtedy u Kurkiewicza. Miała możliwość zregenerowania sił psychicznych. Widziała, że nie dałaby rady być wówczas w takim miejscu jak to.

– Umierali jak muchy. Niewiele z tych, których tu przywieziono, cieszy się niepodległością do dziś. Smutne to, lecz jakże prawdziwe. Więcej było zgonów wśród mężczyzn niż kobiet, ale to naturalne w takich sytuacjach, prawda? – Pytanie było retoryczne, więc Eleonora milczała. – A potem jeszcze dopadła nas hiszpanka. – Na wspomnienie epidemii Eleonora aż się wzdrygnęła. Miała szczęście. Wyszła z grypy dość szybko i bez szwanku. – Jakby nieszczęście było mało, rozpętała się kolejna wojna. Jeszcze nie skończyliśmy z jedną, a już wkraczaliśmy w nową. Chciałem to rzucić i uciec gdzieś na wieś. Zapomnieć o śmierci. O tym brudzie. O krwi. Jękach, płaczu. Groźbach i prośbach. – Eleonora rozumiała Błażejowskiego bardzo dobrze. – Ale panna jest pielęgniarką. Nie zostaje się siostrą, nie czując powołania. To nie jest zawód. To nie jest praca, powtarzam swojej małżonce, która prawie każdego dnia prosi, abym wreszcie zrezygnował. Jak mówiłem, byłem tego bliski, lecz jak to zostawić? No, jak? – mówiąc to, Błażejowski zatoczył ręką, wskazując na dom, stojące automobile, konną karetkę i krzątających się ludzi.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Prosiłem Boga, żeby nas oszczędził. Żniwo zbierała grypa, a do tego zaczęli jeszcze dochodzić chorzy na cholera, czerwonkę i ospę.

Eleonora przypominała sobie szpital pod Warszawą i żołnierzy, których zmogły nie walka i rany, ale właśnie czerwonka. Przypominała sobie niepokojącego się o nią Juliana i Stefanię, która pisała do niej w listach o czerwonce. Tak, widziała na własne oczy to, o czym tamtego dnia, kiedy przyjmowała się do pracy, opowiadał Błażejowski.

– To, co się wtedy działo, można nazwać piekłem na ziemi, ale może dzięki temu, że doświadczyliśmy tego piekła, tak szybko po odzyskaniu niepodległości zabrano się do pracy nad odpowiednimi ustawami. To dzięki jednej z nich, ustawie sanitarnej, funkcjonujemy coraz lepiej.

– Proszę nie zapomnieć o ustawie o przymusowym szczepieniu przeciwko ospie – wtrąciła Eleonora, która brała przez pewien czas udział w całej akcji.

– Dobrze, że prawa tego przestrzega się tak restrykcyjnie. Już widzę progres. Moja małżonka nie była wcześniej szczepiona. Nie musiałem powtarzać jej dwa razy.

– Ale musi doktor przyznać, że wciąż spotykamy rodziców, którzy sprzeciwiają się z jakiegoś powodu zaszczepieniu niemowlęcia lub dziecka. Nie pojmuję ich postawy. Przecież szczepienie może kiedyś ocalić życie ich pociechy?

– Widzi panna, niektórym nawet niestraszne kary finansowe, które przecież są horrendalne. Dwie robotnicze pensje. Dwie! – Ostatnie słowo Błażejowski podkreślił z pełną mocą. – Jakby tego było mało, takie dziecko nie może chodzić do szkoły, a jednak znajdują się tacy, którzy nie szczepią.

Na chwilę zamilkli, pograżając się we własnych myślach. Eleonora przypominała sobie treść ustawy o zwalczaniu chorób zakaźnych, którą miała okazję przeczytać, pracując u doktora Kurkiewicza. Zapamiętała ją dobrze, ponieważ już sama preambuła zmroziła jej krew w żyłach. Czytała wówczas:

„Gdy szerzące się choroby zakaźne, obejmujące wielkie obszary, grożą klęską powszechną, a szczególnie te, które z zewnątrz zagrażają Państwu (jak dżuma, cholera, tyfus płamisty), może Rada Ministrów na wniosek Ministra Zdrowia Publicznego powołać Naczelnego -Nadzwyczajnego Komisarza do spraw walki z epidemiami [...]”.

– Dobrze, że na komisarza wybrali Godlewskiego. Miałem przyjemność poznać tego człowieka, kiedy razem z biskupem Sapiehą tworzyliśmy Książęco-Biskupi Komitet Pomocy. Już w czasie wojny walczyłem z epidemiami. Organizowaliśmy kolumny sanitarne, z których potem wielu przeszło do naszego pogotowia. Szczepiliśmy przeciwko cholera, ospie, nieszczęsnej czerwonce i durowi brzuszemu. Zrobiliśmy dużo dobrego, ale nie dość, żeby zapobiegać epidemiom. Podobno niedługo rozpoczną się kolejne szczepienia. Będziemy brali w nich udział. Tym razem tyfus. Najpierw zaszczepią nas, służbę zdrowia, potem pracowników wodociągów, marynarzy, obsługę żeglugi, kolejarzy i służby porządkowe. Będziemy mieli huk roboty. Czy panna jest na to gotowa?

– Tak – odpowiedziała bez zastanowienia.

Błażejewski nie kłamał. Pracy było zatrzęsienie. Czasami miała chwile zwątpienia, zwłaszcza kiedy dowiadywała się o niesprawiedliwościach związanych z wynagradzaniem pracowników.

– Czy potrafisz to sobie wyobrazić? – Eleonora ciskała gromy, krążąc po gabinecie Juliana w kancelarii, która znajdowała się piętro niżej niż wynajmowane mieszkanie. – Ludzka chciwość nie zna granic. Dowiedziałam się dziś, że większość lekarzy z naszych szpitali pracuje na dwóch etatach. Pierwszy to ten w państwowym szpitalu, drugi na prywatnej praktyce. I wszyscy chcą ją prowadzić w mieście, bo jak usłyszałam, tu jest łatwiej o gotówkę, a i pacjenci są dużo lepiej sytuowani. Na wsiach się nie opłaci. To niepojęte. Niepojęte – biadoliła.

Siedząc teraz w ambulansie, przypomniała sobie swój wybuch. Nadal uważała, że rzecz ta nie powinna mieć miejsca. Lekarze bardziej poświęcali się praktykom prywatnym, traktując biedniejszych pacjentów trafiających do szpitali po macoszemu. Już nie raz była tego świadkiem. Już nie raz świerzbili ją język, żeby zrugać tego czy tamtego, ale zawsze przypominała sobie, że jest tylko sanitariuszką i w takich chwilach najbardziej żałowała tego, że jednak nie zdecydowała się na podjęcie studiów. Może jestem naiwna, myślała, poddając się rytmicznemu kołysaniu auta, a może tylko tak mi się wydaje, ale ja na pewno nie byłabym jak ci lekarze.

– Przyjmujemy tu też kobiety w ciąży – przypomniała sobie słowa Błażejewskiego. – Niestety wy, panie, jesteście w szczególnie trudnej sytuacji. Możemy polegać tylko na doświadczeniu. Nie potrafimy uchronić was przed powikłaniami, problemami czy poronieniami. Może kiedyś to się zmieni. Może... Na domiar złego tylko niewielka część będących w stanie błogosławionym może pozwolić sobie na urodzenie dziecka w szpitalu albo w placówce położniczej. Ludzie są biedni, a bieda powoduje, że umierają zaraz po urodzeniu. Wiem, że niektóre kobiety wolą rodzić w domu. Tyle że przy porodzie nie ma wtedy nikogo doświadczonego. Nieraz widziałem nieprofesjonalną robotę akuszerki. Czasami przywożono tu położnicę zagrożoną zakażeniem, z wysoką gorączką popołożową. Zobaczysz panna na własne oczy.

Już w pierwszym tygodniu pracy przekonała się, ile złego może wyrządzić brak odpowiedniej opieki. Przywieziono dwie pacjentki, którym źle usunięto łożysko. Jedna z nich niestety zmarła. Od tamtej pory Eleonora była świadkiem kilku niepotrzebnych zgonów. Sanitariusze byli bezradni, chociaż starali się robić wszystko, żeby ratować te kobiety i ich dzieci.

– Jesteśmy na miejscu! – usłyszała.

Wybiegła z ambulansu. Czekala na dyspozycje. Na miejscu były już jednostki, które wyjechały wcześniej. Słyszała jęk i wołania o pomoc. Czekala ich ciężka praca.

I wtedy go zobaczyła.

– Jacek! – krzyknęła z całych sił, biegnąc w stronę leżącego na ziemi chłopaka. – Jacek! – Dopadła do niego.

Miał otwarte oczy. Oddychał. Był przytomny.

– Na Boga! Co ty tu robisz? – mówiąc to, badała go delikatnie.

– Już mnie zbadali – powiedział mocno i wyraźnie. – Jestem tylko lekko potłuczony. Kazali leżeć. Na wypadek gdybym miał zawroty głowy. Leżę i czekam, co dalej. Jechałem do rodziców. Hrabia zwolnił mnie na kilka dni. Chciałem zrobić im niespodziankę.

– Panno Schramm – usłyszała nad sobą głos lekarza. – Proszę pomóc tam. Tutaj jest pani niepotrzebna.

Przez następne godziny pracowała zapamiętała. Opatrywała, tamowała krwawienia. Przemywała rany. Pomagała ładować rannych na nosze. Pocięczała tych, którzy stracili bliskich w wypadku. W końcu harmider ustał. Ostatni pacjent został odwieziony do krakowskiego szpitala. Jacka też zabrano. Padała ze zmęczenia, ale jednocześnie czuła nieopisaną ulgę, że Jacek wyszedł z wypadku cały i zdrowy. Nie wyobrażała sobie, że coś mogłoby mu się stać. Nie wyobrażała sobie, jak miałyby o tym powiedzieć Erykowi i Rozalii. Nie teraz, kiedy młoda para wciąż cieszyła się szczęściem, jakie odczuwają tylko nowożeńcy, chociaż zapewne ponowny wyjazd Eryka do szkoły do Grudziądza nieco przytłumił radość Rozalii.

Odetchnęła. Zmęczenie spowodowało, że zaczęła kaszleć. Nie po raz pierwszy zresztą. Kiedy

nagły atak dopadł ją jakiś czas temu, pomyślała o gruźlicy. Prawie każdego dnia stykała się z chorymi. Mówiło się, że to choroba społeczna. Szerzyła się w zastraszającym tempie.

– Proszę tego nie lekceważyć – powiedziała Błażejewski, słysząc kasłanie Eleonory. – Doskonale panna wie, że gruźlica zbiera większe żniwo niż tyfus czy cholera. Całe szczęście zabrano się i za to. Mamy już bezpłatne badania profilaktyczne. Proszę z nich skorzystać.

Skorzystała. Była zdrowa.

– Panny organizm w taki sposób reaguje na zmęczenie. – Usłyszała diagnozę.

Odetchnęła z ulgą. Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia co ona, dlatego niepomna ciężkiej pracy w pogotowiu, zaczęła pomagać od czasu do czasu w stowarzyszeniu na rzecz walki z gruźlicą, które poszukiwało filantropów, którzy moglibyłożyć na walkę z tą chorobą. Pierwsze kroki skierowała do Juliana.

– Ty nigdy się nie poddajesz, prawda? – zapytał retorycznie. – Nie proszę cię nawet, żebyś zrezygnowała, bo to jak rzucanie grochem o ścianę. Proszę cię tylko, abyś była ostrożna – mówiąc to, wypisał czek na okazałą sumę.

Podziękowała mu, całując go namiętnie i zapewniając, że nigdy się nie naraża. Musiała się przy tym uśmiechnąć. Przypomniała sobie rozmowę sprzed wielu miesięcy, kiedy powiedziała mu, że jedzie na front, pod Warszawę. Wówczas też prosił, żeby na siebie uważała. Uwielbiała tę jego troskę, która chwytała ją za serce, sprawiając, że kochała go jeszcze bardziej.

\*\*\*

– Zaskoczyłeś mnie, prosząc o spotkanie akurat tutaj – powiedział hrabia Michałowski, spoglądając na syna.

Stali przed opuszczonymi budynkami należącymi niegdyś do -cukrowni.

– Od dłuższego czasu nachodziła mnie myśl o pewnym projekcie. Odsuwałem ją od siebie, skupiając się na sprawach w kancelarii, ale wie ojciec, jak to jest, kiedy jakaś idea zakiełkuje w umyśle człowieka. Ona wciąż w nas jest, nawet jeżeli nie chcemy dać jej dojsć do głosu. W końcu przemogłem się i zwierzyłem ze swoich planów Eleonorze.

– Przepraszam, że przerywam – odezwał się Aleksander. – Twoja matka nadal nie wie, że mieszkacie z Eleonorą razem bez ślubu. Nie powiem, żeby ten pomysł był mi szczególnie miły, ale zdaję sobie sprawę, że od dawna nie jesteście już nastolatkami, przeżyliście wiele złego w życiu i pragniecie nadrobić stracony czas. Nie będę biadolił i prawil ci kazań, bo wiem, że to i tak niczego nie zmieni. Mam jednak nadzieję, że matka aż do waszego ślubu pozostanie w błogiej nieświadomości. Zwłaszcza teraz, po tym czego dowiedziała się o Rozalii.

– Rozmawiał ojciec z nią?

– Owszem. Wyraziłem najgłębsze oburzenie, że nie zechciała nas powiadomić. Przyjąłem jej tłumaczenie nie dlatego, że jest ono racjonalne, ponieważ miała aż nadto czasu, aby podesłać, chociażby ekspresa, z informacją o uroczystości, ale dlatego, że kocham ją i jestem skłonny przymknąć na niektóre sprawy oko. Rzecz ma się jednak inaczej z matką. O ile wcześniej miałem nadzieję, że jej konflikt z Rozalią zakończy się przed waszym ślubem z Eleonorą, teraz jestem niemal pewny, że matka nie wybaczy twojej siostrze. Nie tylko tego, że wyszła za mąż w sekrecie, ale że powiedziała „tak” Erykowi Zdanowskiemu.

– Nie rozumiem matki. Eryk to niesamowity człowiek. Nie zadała sobie odrobiny trudu, aby go poznać. Nic nie wie na jego temat, oprócz tego, że urodził się w biednej rodzinie.

– Wiesz, że matka ma swoje snobistyczne poglądy. Próbowałem ją przekonać. Nakłonić, żeby zaprosiła Rozalię z mężem na obiad. Ale ona nie chce o tym słyszeć. Zwłaszcza teraz, kiedy twoja siostra posunęła się do takiego kroku.

– Ojciec zdaje sobie sprawę, że Rozalia nigdy nie wyraziłaby zgody na tak szybki ślub, w sekrecie, tylko w obecności świadków, gdyby matka nie potraktowała jej w ten sposób podczas świąt, pośrednio atakując także Eryka?

– Wiem, synu, wiem, ale to niestety nie zmienia faktu, że w rodzinie doszło do konfliktu, który będzie bardzo trudno załagodzić, dlatego proszę, postaraj się zrobić wszystko, aby matka nie dowiedziała

się o twojej i Eleonory decyzji o wspólnym zamieszkaniu. Mam nadzieję, że uda się przed matką ukryć ten fakt. Ostatnio nie wychodzi często z domu, a i do miasta wybiera się sporadycznie. Mamy już październik, pogoda z dnia na dzień jest gorsza, a jak pamiętasz, matka nie znosi deszczu i zimna, więc nie będzie -robiła eskapad do miasta.

– Tak, pamiętam, zawsze powtarza, że Kraków to małe miasto. Mieścina, w której nie da się zbyt długo utrzymać sekretów w tajemnicy.

Przez chwilę stali w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

– A więc cóż to za pomysł zakiełkował w twojej głowie? Musi być niezwykły, skoro odciągnął cię od spraw kancelarii – zapytał starszy hrabia, przerywając milczenie.

– Nie muszę ojcu przybliżać historii tej opuszczonej cukrowni. Zapewne ojciec pamięta, że już pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zatrudniała niebanalną liczbę czterystu pięćdziesięciu pracowników. Niestety, ówczesny właściciel albo nie miał ręki do interesów, albo przepuszczał zarobione pieniądze, ponieważ zakład szybko popadł w długi. Został przejęty przez bank, który odsprzedał go kupcowi z Kijowa. Cukrownia podniosła się z kolan, ale wojna zrobiła swoje i znowu została zamknięta.

– Stąd też nasz ówczesny pomysł, znaczy się mój, Jana Schramma i Frau Goldbaum, aby otworzyć nową cukrownię. Jak wiesz, projekt nie doczekał się realizacji, a dziś zajmuje nas ze Schrammem nowe przedsięwzięcie, muszę ci jednak powiedzieć, że Schramm znowu jakiś czas temu o tym napomknął.

– Niestety, i ono utknęło w martwym punkcie – zakomunikował Julian, a widząc zdziwioną minę na twarzy ojca, dodał gwoli wyjaśnienia: – Kraków jest mały.

Ojciec roześmiał się głośno i swobodnie.

– Tak, masz całkowitą rację. To bardzo deprymujące. Nasza ekipa budowlana tylko czeka na pozwolenia rozpoczęcia remontu i przebudowy, ale gdzieś tam w urzędach utknął stosowny dokument.

– Popytałem – wtrącił Julian. – Możliwe, że pozwolenie nie utknęło, a nigdy nie zostanie wydane. Willa Decjusza jest zabytkiem. Chodzą słuchy, że miasto będzie chciało ją od was odkupić, ponieważ ktoś z samej góry nie daje zgody, aby zmieniono ją w sklep, nawet jeżeli ma być tak okazały i elegancki jak Harrods.

– Schramm będzie niepokieszony. Tak zapalił się do tego pomysłu, że trudno będzie mu się pogodzić z porażką.

– Możliwe, że przełknie ją łatwiej, kiedy od razu zacznie pracę nad nową ideą.

– Mów więc, Julianie, bo intrygujesz mnie coraz bardziej – ponaglił Michałowski.

– Czy ojciec wie, co obok cukrownictwa jest uważane za najważniejszą gałąź przemysłu? – pytanie było retoryczne, dlatego hrabia milczał, słuchając uważnie swojego syna. – Gorzelnictwo. Nasz folwark nie produkuje aż takiej ilości ziemniaków, jaka byłaby potrzebna, ale zanim zaprosiłem ojca w to miejsce, zrobiłem rekonesans. Po wojnie maszyny cukrowni wywieziono. Zostały tylko budynki, które nieużywane niszczeją, oraz grunty należące do nieruchomości. Jest ich dużo. Doskonałe pod uprawę kartofla.

– Spirytus – zaczął Michałowski z błyskiem w oku – stanowi naj-obfitsze źródło dochodu, nie tylko przedsiębiorcy, ale i państwa.

– Ze zdobytych przeze mnie informacji wynika, że na przełomie lat 1917/1918 pięćset sześćdziesiąt gorzeln z niewielkim okładem produkowało rocznie około sześćdziesięciu milionów litrów spirytusu. Z jakiegoś powodu w kolejnym roku produkcja spadła aż o połowę. Jest więc miejsce na nowe przedsięwzięcie. Ponadto nasza waluta notuje spadki. Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że wyroby alkoholowe wykupywane są przez Zachód. Z tego powodu w kraju odczuwa się prawie całkowity brak spirytusu, a na tamtejszych -rynkach nasze produkty są tańsze niż ich własne.

– Sugerujesz, że powinniśmy otworzyć gorzelnię? – zapytał Aleksander Michałowski.

– Nie sugeruję, ojczu. Doradzam. Stanowczo doradzam. Kiedy zacząłem rozpytywać na ten temat, w zaufaniu poradzono mi, żebym nie zwlekał, ponieważ wzmożona produkcja jest wskazana. Należy zerwać krępujące nas od dawna więzy urzędu spirytusowego z Poznania.

– Masz rację, toż to przeżytek dawnej epoki, o której chyba pragniemy zapomnieć? – pytanie starszego Michałowskiego zawisło w powietrzu.

Aleksander przyglądał się budynkom, które kiedyś należały do cukrowni. Kątem oka zerkał na syna. Jak dziwnie układa się życie, pomyślał. Ileż by dał lata temu, kiedy obrażony na Juliana za jego decyzję podjęcia studiów na Sorbonie nie żegnał go wyjeżdżającego do Francji, aby Julian zaproponował mu taką współpracę? Marzył o pracy z synem, wspólnym prowadzeniu czy to folwarku w Zakrzówku, czy innego rolniczego przedsięwzięcia. Niestety, wówczas, kiedy on nie widział dla syna innej drogi jak studia agronomiczne, Julian marzył o prawie. Udało mu się. Skończył prestiżowe studia. Zrobił doktorat. Założył kancelarię, a nawet zaczął uczyć, przekazując swoją wiedzę innym, i nagle zaczął interesować się prowadzeniem interesu związanego z rolnictwem.

– Co cię do tego skłoniło? – Michałowski patrzył uważnie na syna.

– Nie wiem – odpowiedział Julian zgodnie z prawdą. – Po prostu od dłuższego czasu rozmyślałem o idei cukrowni, którą podjąłeś przed wojną, a którą jeszcze rozważał dziadek, i poczułem, że chciałbym coś zrobić. Może nie konkretnie z cukrownią, ale z produkcją. Poczytałem. Zasięgnąłem języka. Posprawdzałem. Popytałem to tu, to tam. Innych przedsiębiorców. Kupców. Handlowców. Zrobiłem listę „za” i „przeciw”. Obliczyłem potencjalne koszty i zyski. I w końcu nie mogłem pozostać obojętny na wyliczenia. Tu zysk kłania się w pas. Czy możemy sobie pozwolić, aby zmarnować taką okazję? Aby ktoś inny ją przejął, a że tak się stanie, tego jestem pewny. Przyroda nie znosi próżni. Od razu ją zapełnia. Więc jeśli nie my, to ktoś inny – perorował Julian. – Poza tym potrzebuję zmiany. Może to dziwne, ale czuję się wypalony. Praca w kancelarii już od jakiegoś czasu mnie nie cieszy. Staję się rutyniarzem. A rutyna zabija pasję i sprawia, że stajemy się mierni. Nie chcę być miernym adwokatem. Zawsze byłem bardzo dobry. Przegrałem zaledwie kilka spraw, które i tak od samego początku były na straconej pozycji. Nie chciałbym doczekać czasów, kiedy więcej spraw będę przegrywał, niż wygrywał.

– Więc co z kancelarią? Zrezygnujesz?

– Nie. Rozmawiałem z Rosenblattem. Był zdolnym asystentem. Zobaczyłem w nim to, co kiedyś widziałem u siebie. Niekłamaną miłość do litery prawa, chęć niesienia pomocy, domaganie się sprawiedliwości i pasję wygrywania. Teraz jest bardzo dobrym prawnikiem. Prowadził już niejedną sprawę. Jestem z niego dumny. Wezmę go na wspólnika. Zatrudnimy mu asystenta, może dwóch. Nie zamierzam całkowicie zrezygnować z adwokatury, ale znacznie ograniczę swoją pracę w kancelarii.

– Czy Rosenblatt już wie? Powiedziałeś mu?

– Tak, wstępnie. Jest zachwycony. Naturalnie nieco się obawia, ale wiem, że da sobie radę. Patrząc na niego i na mnie, widzę siebie sprzed lat i Edmunda. On też mi zaufał. Jego żona powiedziała, że zawsze wiedział, że będę doskonałym prawnikiem. Mam nadzieję, że jest ze mnie dumny, o ile może mnie zobaczyć, gdziekolwiek teraz przebywa.

– A co z pracą w szkole? Czy będziesz miał na nią czas?

– Uprzedziłem, że ten semestr jest ostatnim semestrem, w jakim nauczam. Zaoferowano mi prowadzenie gościnnych wykładów monograficznych. Podobno studenci bardzo lubią zajęcia ze mną, a i sama dyrekcja szkoły jest zadowolona, stąd owa propozycja. Przyjąłem ją z wielką ochotą.

– Nie powiem, że bym nie był zaskoczony. Widzę, że zaplanowałeś już wszystko.

– Zrobiłem to, wierząc, że ojciec będzie zainteresowany. Pomyślałem też o moim przyszłym teściu. Mam nadzieję, że jego niesnaski z Eleonorą, efekt naszego wspólnego zamieszkania, nie będą miały wpływu na jego racjonalne decyzje. Uważam go za profesjonalistę, a człowiek tak obyty z finansami jak Schramm byłby cennym wspólnikiem.

– Masz więc finansistę. Sam jesteś prawnikiem, do czego więc jest ci potrzebny stary, schorowany człowiek?

– Kto inny tak dobrze zna się na rolnictwie, ojczu? Kto inny, jak nie ty? Kto zna się lepiej na ludziach i potrafi z nimi nawiązać dobre relacje? Może nie zawsze interesowałem się pracą w folwarku, lecz wiem jedno. Ze świeczką szukać drugiego takiego właściciela, który potrafi docenić ciężką pracę, ale umie także, jeżeli trzeba, bez obelg i poniżania dać reprimendę.

Michałowski, opierający się na lasce, którą nosił ze sobą od wypadku, do którego doszło

w ubiegłym roku, odwrócił się do syna i objął go jedną ręką. Julian oddał uścisk, poklepując ojca po plecach. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był z hrabią Michałowskim w tak dobrych, zażyłych stosunkach.

– Spotkałem się z człowiekiem, który pracował w gorzelnii wielkopolskiej. Na razie przeprowadziliśmy wstępne rozmowy. Zrobiliśmy mały zarys tego, co i jak chcielibyśmy produkować. Wcześniej obejrzałem budynki po cukrowni. Obawiałem się, że będą w dużo gorszej kondycji. Zasadniczo wymagają niewielkiego remontu. Odświeżenia. Rozpytałem o maszyny i czas realizacji zamówienia. Wychodzi na to, że moglibyśmy zacząć jeżeli nie przed Bożym Narodzeniem, to z pewnością na początku przyszłego roku. Wstępnie, na rozruch, można zaplanować pół miliona litrów spirytusu rocznie. Gorzelnia, w której pracował ów człowiek, przerabiała osiemset tysięcy, a na przyszły rok, wietrząc rosnący popyt, zamierza produkować milion. Jak przypuszczałem, żeby wyrobić założenia, najlepiej założyć własną plantację. Tak zresztą zrobił właściciel wielkopolskiej gorzelnii. Kazimierczak, tak nazywa się mój człowiek, uważa, że na początek bez uszczerbku dla produktu można używać drewnianych kadzi. – Julian wziął głębszy oddech. Spojrzał na ojca, który słuchał go z zainteresowaniem i uznaniem dla jego przygotowania. – Przejdźmy się. – Zaproponował Julian. Weszli do budynków cukrowni. – W piwnicy można by urządzić słodownię. Należałoby ją pokryć ceramicznym stropem. Kapą pruską. Podobny można zrobić w aparatowni. Pozostałe części mogą zostać tak, jak są obecnie. Te pomieszczenia od strony północno-wschodniej można zaadaptować na parnik. Takie rozwiązanie jest doskonałe, jeżeli po stronie zachodniej zostanie postawiona kotłownia parowa i -magazyn spirytusu.

– A tu, w tym pomieszczeniu? – zapytał Michałowski, kiedy stanęli w drzwiach ogromnej hali.

– Kiedyś było to serce cukrowni, a teraz stanie się sercem gorzelnii. Tu zlokalizujemy aparatownię. Tam, za tymi metalowymi drzwiami, powstanie skład celny.

– Widzę, że przemyślałeś już wszystko. – Hrabia uśmiechnął się szeroko.

– Ma ojciec rację. Myślałem o wszystkim. Także o produkcji, którą będziemy tu produkować. Surówkę można wytwarzać z pszenicy, ziemniaków i kukurydzy. Jak mówiłem, powinniśmy skoncentrować się na kartoflach. Czy ojciec byłby skłonny rozważyć moją propozycję?

– Ja, Julianie, nie tylko jestem skłonny ją rozważyć, ja daję całkowitą moją zgodę i zgłaszam chęć wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu. Po naszej rozmowie wróciła mi ochota do pracy. Mam wrażenie, że wstąpił we mnie nowy duch. Aż rwę się do roboty. Do planów. Do pomysłów. Jeszcze dziś poproszę Schramma na rozmowę. Mam wrażenie, że z moich ust łatwiej będzie mu przyjąć ofertę. Obawiam się, że może cię obarczać winą za decyzję córki, co z wiadomych względów może wpływać na racjonalność decyzji. Wiem po sobie, jak emocje potrafią namieszać, robiąc wiele złego. Więc jeżeli nie masz nic przeciwko, pozwól, że ja przedstawię Janowi plan nowej, potencjalnej inwestycji?

– Jestem ojcu wdzięczny. Sam chciałem to zaproponować. Wierzę, że Schramm nie da się omotać złymi emocjami. Jest zbyt wielkim profesjonalistą, a poza tym to człowiek czynu. Nie usiedzi na miejscu. Nowy pomysł odciągnie go od zmartwień związanych z żoną i od problemu, który widzi w moim i Eleonory wspólnym mieszkaniu, oraz od przeciągających się spraw urzędowych dotyczących willi Decjusza.

Jeszcze przez jakiś czas spacerowali po terenie cukrowni. Omawiali ewentualne poprawki. Snuli plany na najbliższe miesiące.

– Chciałem ojcu powierzyć jeszcze jedną sprawę. Mam przy tym prośbę, żeby została ona między nami i żeby nie wspominał tata o niej matce. – Michałowski uniósł brew, patrząc na syna.

– Czy pamięta ojciec tego strażaka Tadeusza Morawskiego, który podczas akcji we dworze uległ wypadkowi? Miał złamaną nogę, która dodatkowo uległa poparzeniom.

– Ależ oczywiście, że pamiętam. Byłem nawet u niego z wizytą, jak tylko poczułem się lepiej. Wyglądał dobrze, chociaż narzekał na ból, co w jego przypadku było uzasadnione.

– Morawski zmarł.

– Zmarł? – Aleksander Michałowski był autentycznie zdziwiony. – Przed wyjściem ze szpitala zagadnąłem swojego lekarza o Morawskiego i jego stan. W końcu otwarte złamanie kości i poparzenia to ciężki przypadek, ale powiedział mi, że wszystko goi się nad wyraz dobrze. Zresztą jak wspominałem,



podczas mojej u niego wizyty też wyglądał, nie boję się użyć słowa, zdrowo.

– Dowiedzieliśmy się niedawno. Przez czysty przypadek, ale do tego jeszcze wrócę. Ma ojciec rację. Wyglądał zdrowo i kiedy lekarze już myśleli, że jest na najlepszej drodze do całkowitego uleczenia, że niebawem będzie go można wypisać, jego stan pogorszył się drastycznie. Serce pracowało jak oszalałe. Dostał wysokiej, niedającej się zbić gorączki. Zbyt wysokiej. Potem doszły jeszcze wymioty, ból głowy, który nie ustępował także po zaaplikowaniu odpowiednich środków; ponoć raziło go światło, a na kilkanaście godzin przed śmiercią dostał drgawek.

– Przykro mi to słyszeć. Pamiętam, że kiedy ładowano go do -ambulansu, mówił coś o córeczce.

– Tak, córeczka. Eleonora, jak tata wie, pracuje na pogotowiu. Jakiś czas temu przywieziono na św. Łazarza zaniedbaną, włóczącą się po ulicach dziewczynkę. Lat sześć, może nieco mniej. Po dokonaniu niezbędnych formalności okazało się, że mała nazywa się Helena Morawska. Tak, dobrze się ojciec domyśla. To córka zmarłego -Morawskiego. Została sierotą. Nie ma braci ani siostr.

Julian zamilkł. Także starszy hrabia Michałowski nie odezwał się słowem, w milczeniu ubolewając nad losem biednego dziecka.

– Kiedy Eleonora powiedziała mi o Helence, zacząłem drażnić pewne kwestie, zwłaszcza że już przed wojną Eleonora próbowała zająć mnie sprawą biedy i ubóstwa. Wtedy mówiła o tym z perspektywy zachorowalności.

Julian pokręcił głową. Rzeczy, których się dowiedział, wydawały się niemożliwe. Nie w XX wieku. Nie w mieście takim jak Kraków. Wyrzucał sobie, że on i jemu podobni, opływający w luksusy, żyją w innym świecie. Czy nie zdają sobie sprawy, że obok toczy się walka nie tylko o zdrowie, ale o przetrwanie?

– Unikamy takich rozmów. Unikamy czytania o tym. Odwracamy wzrok od pewnych spraw – mówił z pasją. – Ale one od tego nie znikną. Były, są i będą i tylko od nas, od ludzi zamożnych, wpływowych, od naszej empatii i chęci niesienia pomocy mogą nieco zelżeć. Nędza i bieda, które najczęściej są skutkiem bezrobocia, nie tylko mają wpływ na fizyczność dziecka, ale i na jego psychikę. Wraz z Eleonorą rozmawialiśmy z doktorem Ksawerym Lewkowiczem ze szpitala św. Ludwika. Po śmierci Jakubowskiego on przejął pałeczkę. Pracował przez lata pod okiem Jakubowskiego, o którym wypowiadał się w samych superlatywach. Był pod wrażeniem jego metod leczniczych oraz tego, że jako jeden z pierwszych Jakubowski zajmował się leczeniem dziecięcej psychiki, co znajduje się także w orbicie zainteresowań Lewkowicza. To właśnie on opowiedział nam, jak wiele złego robią z dzieckiem pod względem psychologicznym bieda i nędza. Najsilniej sytuację rodziców przeżywają dzieci wrażliwe i inteligentne, zdając sobie sprawę, znacznie szybciej niż rówieśnicy, że bezrobotni tatusiowie bardzo szybko tracą wiarę we własne siły, co prowadzi prostą drogą do alkoholizmu. A stamtąd już tylko krok do zatracenia ludzkiej godności. Traci się poczucie własnej wartości. Bezsilność toczy człowieka. Pojawia się nienawiść, która najczęściej ukierunkowana jest na rodzinę.

– Powinniśmy się wstydzić, ale wiesz doskonale, że przykro mi to mówić i zapewne będzie to brutalne, ale takie jest życie. Nie zmusisz ludzi, mówię o takich jak my, bogatych, uprzywilejowanych, mających władzę, aby zaczęli zajmować się nagle tym, czego nie dostrzegano, nie przez dziesięciolecia, a przez setki, tysiące lat.

– Zgadzam się z ojcem. To nie wymysł naszych czasów, ale ciężko uzmysłwić sobie, że do tej pory stałem z boku. Przy okazji dowiedziałem się, że sytuacja mieszkaniowa w mieście jest zatrważająca. Większość ludzi o niskich dochodach całymi rodzinami gnieździ się jednoizbowych klitkach, co także odbija się na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Wielu traci życie w takich warunkach, a dzieci trafiają albo do zaniedbywanych ochronek, albo na ulicę. To prowadzi do demoralizacji. Nie będę tu już podejmował kwestii szerzących się chorób, jak choćby gruźlicy.

– Tak, gruźlica to prawdziwy problem. Czy Eleonora uważa na siebie? Przecież styka się z chorymi każdego dnia, a jak wiadomo, to choróbko atakuje każdego? – zapytał zatroskany Michałowski.

– Mówi, że uważa, ale proszę ją o to każdego dnia. Najchętniej poprosiłbym ją, żeby zrezygnowała z pracy. Pewnie tak zrobię, choć jeszcze nie teraz. Eleonora to taka samodzielna osoba. Wie przecież ojciec, że od zawsze była za zdobywaniem dla kobiet nowych praw. Prawo do głosowania,

prawo do pracy. Nie mam nic przeciwko, ale boję się o nią. Tak po prostu, po ludzku drzę na samą myśl, że mogłaby poważnie zachorować.

– Miłość, mój synu, rządzi się własnymi prawami.

– Wracając do tematu, dowiedziałem się, że w schroniskach dla dzieci i ochronkach przebywają nie tylko sieroty takie jak Helenka, ale również dzieci, których rodzice są bezrobotni, niemogący zaoferować swoim pociechom odpowiedniej opieki. Jakby te schroniska to robiły? – Fuknął Julian. – Domy te są przepełnione. Nikt nie przejmuje się dziećmi. Pozostawione są same sobie. Uciekają. Włóczą się. Tak jak Helenka, która przyznała, że wyszła z ochronki bez problemu. Nikt jej nie zatrzymał. Nikt jej nie szukał, o czym przekonaliśmy się, kiedy została odstawiona tam z powrotem. Zapewniam ojca, że schroniska te nie powinny istnieć w przestrzeni opieki społecznej. To skupiska demoralizacji, chorób i wiecznych malkontentów, którzy znaleźli sobie ciepłą posadkę w miejscu, któremu nie poświęcają należytej uwagi. Jest oczywiście kilka wyjątków, jak choćby Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet czy Towarzystwo „Gniazd Sierocych”. Helenkę, po moim wstawiennictwie, udało nam się przenieść tymczasowo do tego pierwszego ośrodka. Dzięki Bogu będzie tam miała opiekę całkowitą. Zostanie zaopatrzona w odzież i żywność, chociaż Eleonora w każdą wolną chwilę odwiedza małą. Zresztą ja też. To cudowne dziecko. Mamy pewność, że tam zostanie przypilnowana i nie dojdzie do tego, że kolejny raz będzie włóczyć się po mieście i okolicy narażona na niebezpieczeństwa. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że zjawisko włóczęgostwa jest tak powszechne, zwłaszcza w miastach. Wielu z tych małych włóczęgów ma rodziców, którzy zmuszają je do żebractwa. Dzięki temu zarabiają na utrzymanie niejednokrotnie całej rodziny. Pół biedy, kiedy robią coś legalnie, bo mają się też sprzedaży gazet czy kwiatów, ale gros z nich para się złodziejstwem. A co gorsza, nawet nie chcę o tym myśleć, ale taka jest brutalna rzeczywistość, małeletnie dziewczynki, dwunastolatki, a czasami i młodsze, trudnią się prostytutką.

– Jak nisko upadliśmy – powiedział Michałowski, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Podobno w samym tylko Krakowie liczbę bezdomnych, włóczęgów się dzieci szacuje się na około tysiąc. Ojciec może to sobie wyobrazić? W jakim nas to stawia świetle? Nas, dorosłych?

Michałowscy zamilkli. Otuliła ich ciężka, dzwoniąca w uszach cisza. Nie było nawet słychać ptaków, jakby i one struchlały po -słowach Juliana.

– Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze sieroty wojenne. Ostatni spis ludności pokazał skalę tego zjawiska. Piętnaście procent z ogólnej liczby dzieci do lat szesnastu to sieroty wojenne. Można mieć tylko nadzieję, że oficjalne liczby niewiele różnią się od rzeczywistych, bo mam dziwne przeczucie, że dzieci tych jest znacznie więcej. Kiedy odwiedziliśmy jednego razu Helenkę, czy wie ojciec, że słowa tej małej dziewczynki, które wówczas wyrzekła, sprawiły, że popłakałem się jak małe dziecko. Powiedziała, że już wolałaby mieć tatusia pijaka, tak jak Karolek, czy głupią matkę, jak Marysia, ale mieć kogoś, do kogo można się zwrócić, a nie być samotną, tak całkiem samą na świecie. Opiekun ośrodka przekazał nam, że Helenka się izoluje. Nie bawi się z innymi dziećmi. Jest samotnikiem, co może mieć zły wpływ na jej psychikę i przyszłe życie.

– Tęskni za kochającym ojcem – podsumował hrabia Michałowski.

– Niedawno usłyszałem, że dzieci mają prawo do bycia dziećmi, a co za tym idzie do bycia szczęśliwymi. Czy te dzieci wiedzą, co to szczęście? – Julian nie czekał na odpowiedź ojca. – Ręczę, że ośrodek, choćby najlepszy, nie zapewni szczęścia. Przebywające tam dzieci stają się nieśmiałe, strwożone i milczące. Ich świat ulega zniszczeniu. To koszmar, dlatego postanowiłem ubiegać się o przysposobienie i zapewnienie Helence domu. Już teraz, jeszcze przed ślubem z Eleonorą. Po ślubie zaś, kto wie, czy nie zdecydujemy się, aby dać ciepły dom jeszcze innym dzieciom.

– To szlachetne, ale czy dobrze się nad tym zastanowiłeś? To trudne dzieci. Wymagają cierpliwości i możliwe, że takie dziecko nigdy nie zaakceptuje cię jako, nie śmiem mówić, rodzica, ale nawet opiekuna. Czy ty i Eleonora jesteście gotowi na wyrzeczenia, bo będzie ich wiele? Dziecko to nie pies wzięty ze schroniska, którego możesz oddać, a i tego nie zrobiłbym psu. Jeżeli weźmiesz Helenkę z ośrodka, staniesz się za nią odpowiedzialny. Nie chciałbym wstydzić się za syna, który nie dając sobie rady z ojcowaniem obcemu dziecku, oddaje je na powrót do ochronki.

– Niech się tato nie martwi. Nigdy nie podejmowałem pochopnych decyzji, a jeżeli już jakąś

powziąłem, to nigdy się nie wycofywałem. Podobnie jak Eleonora. Wiem, że na początku nie będzie to sielanka, ale nie możemy pozwolić, żeby ta dziewczynka została w ochronce. Wciąż mam w głowie wołanie Morawskiego, który po wypadku w Zakrzówku martwił się o córkę. Mam dziwne wrażenie, że przeczuwał swój los. Może nie jestem mu tego winny, ale chciałbym, żeby Helenka była bezpieczna.

– Nigdy nie stanąłem przed takim dylematem. Nigdy nie musiałem pytać o formalności, ale chyba nie będzie to sprawa skomplikowana. Ufam, że ci z ochronki będą wdzięczni za okazanie dziecku serca i chęć zapewnienia mu domu.

– Najlepiej, gdybym był żonaty, ale wiem, że nazwisko i status społeczny mogą otworzyć wiele drzwi i zniwelować problemy, a także pomóc pominąć niektóre formalności. Zresztą już niebawem zawrę związek małżeński, co także powinno mieć wpływ na przychylność urzędników. Dzieci ślubnych nie posiadamy. Oczywiście nie wykluczam tego, nawet byłbym zadowolony z posiadania własnych, ale kwestia przysposobienia odbywa się tu i teraz i nie ma nic wspólnego z naszymi planami na przyszłość. Nie ma między Helenką a mną także konfliktu wyznaniowego. Jej ojciec, podobnie jak ja i Eleonora, należał do Kościoła rzymskokatolickiego. Mamy z Eleonorą nadzieję, że jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, to Helenka będzie z nami jeszcze przed ślubem.

Michałowski pokiwał głową. Był pełen uznania dla syna, ale także pełen obaw. Także tych związanych z reakcją Józefy na zasłyszane rewelacje.

## Rozdział 11

Józefa Michałowska od dawna nie wychodziła do miasta. Ostatnim razem, kiedy jej noga postąpiła w Krakowie, był koniec września, a ona zamawiała w pracowni krawieckiej kilka nowych strojów. Kiedyś uwielbiała wypady do centrum. Kiedyś, jeszcze przed wojną. Dziś stanowczo tego unikała, zwłaszcza po tym, co zrobiła Rozalia. Chadzała tam tylko w razie najwyższej konieczności.

Nie lubiła przyznawać się do tego nawet przed sobą, ale obawiała się pytań znajomych. Ich ciekawskich spojrzeń. Szeptów za plecami. Sekretnego odprowadzania wzrokiem, kiedy przemierzałyby krakowskie ulice, dlatego zamiast wybrać się do mistrza Kuci na jeszcze jedną przysmarę, napisała informację, że prosi o dostarczenie gotowych rzeczy.

Spojrzała na zegarek. Dostawa miała dotrzeć dziś.

– Najwyższa pora – mruknęła Józefa.

Od pierwszej wizyty u krawca minęło już prawie trzy tygodnie. Kiedyś rzecz nie do pomyślenia, że mogłaby czekać tak długo. W większości pracowni, które odwiedzała, wiedzieli dwie rzeczy: Michałowska czeka najwyżej kilka dni od wzięcia miary do odebrania gotowego stroju oraz żadna suknia, żaden płaszcz, kamizelka czy żakiet nie mogą się powtórzyć u innej klientki.

Nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Chodziła po pokoju, od drzwi do okna. Przyczyną nie było bynajmniej przedłużające się oczekiwanie na dostawę garderoby, ale nieopuszczające ją myśli o wyczynie Rozalii. Minęło już tyle czasu od ślubu jej córki, a ona wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Kiedy Aleksander przekazał jej informację, że Rozalia zawarła związek małżeński z tym... tym Zdanowskim, wpadła w histerię. Chciała biec do urzędu i wymóc na urzędnikach, żeby wszystko anulowali. Chciała wpaść do domu Rozalii i zmusić ją do odwołania małżeństwa. Była tak wściekła, że z tej złości aż się pochorowała. Dostała gorączki i kilka dni przeleżała w łóżku.

– Jeszcze parę dni temu, zanim powiedziałeś mi, co zrobiła, byłam skłonna wyciągnąć rękę na zgodę. Byłam skłonna jej wybaczyć. W końcu zachowała się w święta karygodnie, jednak jestem jej matką, więc potrafię wiele znieść, ale tego zdzierżyć nie mogę. Wybacz, Aleksandrze, lecz nie zamierzam odzywać się do naszej córki. Nie mam ochoty z nią rozmawiać i jej widywać. Tak długo, jak długo będzie żoną tego Zdanowskiego, i proszę cię, bo widzę, że chcesz agitować na jej i jego rzecz, nie przekonuj mnie. To zbędny wysiłek. Zdania nie zmienię.

Myśli o Rozalii naprowadziły ją na Juliana. Była jeszcze nadzieja, myślała o synu. Miała jeszcze czas, żeby coś zrobić. Wciąż zastanawiała się, jakie podjąć kroki. Przedłużała wprowadzenie jedyne planu, jaki wpadł jej do głowy, ponieważ wierzyła, że stanie się coś, co otrzeźwi Juliana. Modliła się o przytomność umysłu dla swego syna. Nigdy nie była zbyt wierząca, ale jak to mówią, jak trwoga, to do Boga. Więc spędzała długie minuty na obracaniu paciorków różańca.

Zastanawiała się nawet nad pójściem do wróżki, a może szeptuchy. Żałowała, że nie ma już czarownic, które przygotowują specjalne napoje. Imiała się różnych pomysłów, ale wiedziała, że może liczyć tylko na zrządzenie losu albo na własną inicjatywę.

– Cóż – mówiła do siebie, chodząc tam i z powrotem – jeżeli nie będzie innego wyjścia...

Jej rozmyślenia przerwały kroki zmierzające w stronę buduaru. Ktoś delikatnie zapukał.

– Proszę – odparła.

– Przyszła pani Kuciowa. – W drzwiach ukazała się pokojówka.

– Czy hrabia już wrócił? Od jakiegoś czasu wychodzi na długie godziny. Cóż on tam robi, w tej cukrowni?

– Nie, pan hrabia jeszcze nie wrócił – odparła Katarzyna.

– Zaprowadź Kuciową do salonu. Zaraz do niej dołączę.

Dziewczyna skinęła głową, zamykając drzwi. Wściekłość Józefy za sprawą Aleksandra, który chował przed nią jakieś tajemnice, jakieś konszachty z Julianem, sięgnęła zenitu. Była pomijana w życiu rodziny. Rozalię wykluczyła sama, a Julian, jak zawsze wierny i lojalny wobec siostry, traktował ją chłodno i z rezerwą, nie wciągając w rozmowy. Tak samo Aleksander, który odzywał się sporadycznie. Nie zamierzał zdradzić jej planów, jakie podejmowali z Julianem, a sądząc

po intensywności spotkań i pracy, do której rzucił się jej mąż, musiało to być wielkie przedsięwzięcie.

Czyżby chodziło o cukrownię, pomyślała. Pewnie tak, w końcu już raz jeden Michałowski wpadł na pomysł wdrożenia marzenia swego ojca w życie.

– A niech tam. – Wzruszyła ramionami i w końcu uspokoiwszy się nieco, ruszyła w stronę salonu.

Kuciowa pod nieobecność hrabiny zdążyła przygotować garderobę do ostatecznej przymiarki. Józefa Michałowska obrzuciła spojrzeniem suknie oraz płaszc. Wszystko wydało jej się nudne i nie takie, jak oczekiwała, niemniej jednak nie odezwała się ani słowem. Bardzo dobrze знаła Kucię i wiedziała, że nie odważyłby się uszyć czegoś, co nie zostałoby przez nią zaakceptowane. Rzecz miała się podobnie z materiałami. Ostatnimi czasy Michałowska lubowała się w jedwabiu.

– Którą pani hrabina życzy sobie przymierzyć najpierw? – zapytała Kuciowa, czekając na sygnał Józefy, która leniwie skinęła głową w stronę długiej, ciemnej, połyskującej sukni.

– Jakaż szkoda, że suknie, które nosiło się zaledwie dekadę temu, wyszły z mody – biadoliła żona krawca, czekając, aż Michałowska, schowana za przygotowanym wcześniej parawanem, założy sukienkę. – Wtedy to kobiety miały figury, a pani hrabina ze swoją posagową to w ogóle... Oczywiście, figurze hrabiny nie brakuje niczego nawet teraz, ale czyż się hrabinie nie wydaje, że jednak obecne toalety ujmują kobiecym kształtom.

Michałowska nie miała w zwyczaju rozmawiać o błahostkach z ludźmi, których uważała za niżej stojących na społecznej drabinie, dlatego kiwnęła tylko głową, zgadzając się ze zdaniem Kuciowej.

W końcu wyszła zza parawanu. Suknia była odważna, mocno odsłaniająca ramiona i plecy. Zwiewny atłas, sięgający ziemi, przy każdym ruchu oplatał nogi, pięknie je podkreślając.

– Nie potrafię zrozumieć tych młodych dziewcząt, które każą sobie szyć garnitury, upodabniając się do mężczyzn. Mój mąż ma w zwyczaju zamawiać najnowsze żurnale z Paryża i Londynu. Chcemy, by nasze damy także były na bieżąco. Podobno we Francji furorę robią stroje niejakiej Coco. Cóż to za imię? Zresztą jakie imię, takie stroje. Proste, bez ozdób, finezji. Nie, to się nie może udać – marudziła krawcowa, chodząc wokół Michałowskiej. – Pani hrabina niestety schudła. O, proszę spojrzeć, tu w okolicach pachy widać wyraźny luz, którego być tu nie może. Niestety, ale suknię trzeba będzie zwęzić. Proszę się nie martwić, zrobimy poprawki i będzie gotowa na jutro. Nie dziwię się pani hrabinie. Też bym schudła, gdyby mój syn się żenił.

Kuciowa nie zauważyła skwaszonej miny Michałowskiej tylko dlatego, że ta schowała się za parawanem, wkładając kolejną sukienkę.

– Och, jak pani hrabina w niej wygląda! – zachwyciła się Kuciowa, przyglądając się czarnej połyskującej atłasowej sukience sięgającej do kolan. – Tylko perły, opaska i małżonek szanownej hrabiny nie będzie mógł od niej oderwać wzroku.

Po chwili znowu zaczęła się kręcić koło Józefy.

– Proszę unieść rękę – odezwała się, sprawdzając, jak sukienka układa się pod pachami. – Nieco lepiej, ale i tu należy zwęzić. A, byłabym zapomniała. Niedawno, bo jakieś trzy dni temu, odwiedziła nas państwa córka z panną Eleonorą, przyszłą synową, bo musi hrabina wiedzieć, że pani Rozalia poleciła naszą pracownię panie Schramm, która przyszła wczoraj na drugą przymiarkę. – Kuciowa paplała cały czas, nie zważając na gęstniejące w salonie powietrze i szybszy oddech Michałowskiej, która najchętniej kazałaby się jej zamknąć i wynosić. Zamiast tego uśmiechnęła się z przymusem, zaciskając zęby. – Jakże ona wygląda w tej sukni, a przecież wybrała taki skromny fason. Niemniej jednak państwa syn oniemieje, jak ją zobaczy. Pani Rozalia też nie może się nachwalić wyglądu państwa przyszłej synowej. Uwielbiam, kiedy panienki do nas przychodzą. Rzadko się widzi, żeby siostra pana młodego i narzeczona lubiły się tak bardzo i darzyły autentyczną przyjaźnią. Czekając na przymiarki, lubią sobie poplotkować, a nawet pozwierać się. Nie żebym podsłuchiwała, ale wie hrabina, że pewnych rzeczy się nie uniknie, stąd wiem, jakim panny darzą się zaufaniem. Może się hrabina rozebrać i przymierzmy płaszc.

W swoim zapamiętaniu Kuciowa nie zauważyła zmiany nastroju Michałowskiej oraz błysku w oku, kiedy padła informacja o ploteczkach Eleonory i Rozalii.

– Myślę, że przymiarka to ostatnia rzecz, na którą mam teraz ochotę. Chciałabym się zamiast

tego dowiedzieć, o czym to moja córka tak zajadle peroruje z panną Schramm, bo widzi pani, ja podobnie jak Rozalia mam skłonność do plotkowania.

Kuciowa stała oniemiała. Słowa i ton, jakim hrabina się wypowiadała, nie pasowały do uśmiechu, który zagościł na jej ustach. W salonie zaległa cisza, którą przerywało tylko miarowe tykanie zegara. Cisza przedłużająca się i przez to nieprzyjemna, ciężka do zniesienia. Michałowska czekała.

– Ależ, hrabino, pracownia mojego męża jest prawie tak samo traktowana jak gabinet lekarski. Wszyscy wiedzą, że to, co mówi się u krawca podczas przymiarki, zostaje w przymierzalni. Nie śmiałabym złamać tej zasady, nawet dla pani hrabiny, która zresztą może spytać o to córki.

– Ale nie pytam córki, pani Kuciowa. Byłoby miło, gdyby oszczędziła mi pani dalszych dywagacji na temat tego, co można zyskać albo stracić na współpracy ze mną. Mam nadzieję, że to się samo przez się rozumie. Pani mąż to niezaprzeczalny mistrz. Nie ujmuje nic jego kunsztowi, ale znam przypadki, że nawet najlepiej pracujący tracą klientelę z jakichś, czasami bardzo błahych powodów. Nie myśli pani chyba, pani Kuciowa, że pani nielojalność zostanie zapomniana. Oczywiście, potrafię docenić także współpracę. Bardzo cenię sobie ludzi potrafiących słuchać i mówić, kiedy trzeba.

Kuciowa miała ochotę wybiec z salonu. Była taka szczęśliwa, kiedy zmierzała do Zakrzówka. Cieszyła się, że to ona będzie tą osobą, która przekaże hrabinie informacje o narzeczonej syna szyjącej suknię właśnie w ich pracowni. A teraz czuła, że za chwilę się rozplacze. Groźba była jawna. Michałowska nawet nie starała się udawać, że jeżeli Kuciowa nie wyjawi tego, o czym rozmawiały Rozalia i Eleonora, wszystko to, na co jej mąż pracował przez ostatnie lata, pójdzie wniwecz. Znała ludzi pokroju Michałowskiej. Żyli w innej epoce. Wciąż nieprzystosowani do zmian. Wciąż niemogący pogodzić się z tym, że nie są już najważniejsi, a jednak nadal mający wystarczająco dużo władzy, aby takim jak ona i jej mąż uprzykrzyć, a nawet złamać życie. Kuciowa patrzyła na Michałowską błagalnie, prosząc ją bez słów, aby zrezygnowała.

– Cóż, sądziłam, że państwa lojalność przynależy się stałej klientce, a nie dziewczynie, która zapewne raz jeden do państwa zajrzy.

– Ależ oczywiście, że cieszymy się z wizyt hrabiny i zamówień, jakie pani składa. Zapewniam, że jesteśmy lojalni. Muszę podkreślić, że traktujemy wszystkich klientów tak... – Kuciowa przerwała. Zbyt późno jednak zdała sobie sprawę, że popełniła niewybaczalny błąd, zrównując Michałowską z innymi odwiedzającymi ich pracownię ludźmi.

– Myślę jednak, że skoro mowa o córce pani hrabiny – zaczęła, wiedząc, że nie ma szans, aby Michałowska zmieniła zdanie – to przecież tak, jakby rozmowa pani Rozalii i panny Eleonory odbywała się w tym salonie. W końcu panna Schramm jest już prawie córką hrabiny, prawda?

– Zawsze wierzyłam, że potrafi pani doskonale ocenić sytuację. Może napije się pani herbaty? – zapytała Michałowska, wskazując Kuciowej kanapę. Sama usiadła na wygodnym fotelu, sięgając po mały dzwoneczek.

– Przynieś herbaty dla pani Kuciowej, Katarzyno – rozkazała dziewczynie, która pojawiła się w pokoju.

Po kilku minutach na stoliczku przed Kuciową stanął mały czajniczek, filiżanka ze spodeczkiem, talerzyk z herbatnikami i domowymi powidłami.

– Proszę się częstować. Przy świeżo zaparzonej herbacie i ciasteczkach domowej roboty zawsze konwersuje się przyjemniej.

Kuciowa uśmiechnęła się z przymusem. Nie miała ochoty ani na herbatę, ani na słodki poczęstunek. Obawiała się, że jedzenie stanie jej w gardle. Mimo to upiła łyk gorącego napoju.

– A więc o czym to moja córka rozmawiała z panną Schramm, jak nie o sukniach i ślubie?

Kuciowa pomyślała, że może powinna skłamać, ale nigdy tego nie umiała. Może gdyby się przygotowała, ale nie teraz, w takiej sytuacji.

– Nie wiem, od czego zacząć? – jęknęła, kurcząc się w sobie.

– Od początku, oczywiście.

Pół godziny później Michałowska wreszcie siedziała uśmiechnięta. Kiedy zaczynał się dzień, nawet nie marzyła, że zakończy go w tak dobrym nastroju.

\*\*\*

– Niech papa zobaczy – odezwała się Stefania, potrząsając gazetą, którą Schramm zostawił rankiem w przedpokoju, nawet do niej nie zaglądając. – Piszą, że niebawem ukaże się ustawa o porządkach na drogach publicznych, którą ponoć przegłosowano na początku miesiąca. Czyż to nie fascynujący zbieg okoliczności, że w tym samym czasie, kiedy ja zdałam egzamin na prawo jazdy, ruch wreszcie zostanie uporządkowany i usprawniony?

Schramm pokiwał głową. Stefania wzruszyła ramionami. Ojciec ostatnio wciąż błędził w obłokach. Jakiś czas temu wrócił do domu rozradowany, chociaż jeszcze rankiem wychodził w nie najlepszym humorze.

– Nie uwierzysz... – zaczął.

– Wreszcie dali pozwolenie na remont? – zapytała Stefcia, wchodząc ojcu w słowo.

Siedziała przy stole w salonie, czekając na kolację. Miała nadzieję, że skoro papa wrócił akurat w porze posiłku, nie będzie jadła sama.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknął radośnie, czym wprowadził młodszą córkę w osłupienie.

Stefcia pomyślała, że ojciec z rozpaczy zapewne zbyt pofolgował sobie z alkoholem albo, nie daj Boże, znowu wrócił do nałogu palenia opium. Przyglądała mu się z ciekawością i podejrzliwością.

– Julian, och, gotów jestem mu wybaczyć to, że namówił twoją siostrę do zgorszenia, jakim jest wspólne zamieszkanie przed ślubem, ponieważ chłopak ma głowę na karku. – Podeszedł do Stefci, ujął jej głowę i ucałował w czoło. – Mówię ci, Stefciu, mój przyszły zięć ma głowę na karku. Otwieramy gorzelnię.

– Gorzelnię? Czyżby ojciec już coś próbował na poczet nowego interesu?

– Córciu, złotko ty moje, jakbym słyszał Teklę. Nie, to szczęście mnie tak upaja. Znowu wre w interesie. Ten marazm urzędniczy zostawiam za sobą. Niech płynie wolno, z biegiem rzeki. Niech czas pokaże, co przyniosą decyzje bezdusznych urzędników. Nie spieszy nam się. Ręce mamy pełne roboty. Już zaczynamy. Uprawa kartofli. Remont budynków po dawnej cukrowni. Obstalowanie maszyn. Poszukiwanie odpowiednich ludzi, chociaż z tymi będzie najmniejszy kłopot, bo już się wieść rozniosła, że przedsiębiorstwo startuje, i zgłaszają się do nas dawni pracownicy. Cóż, wołałbym swoich, ale ponoć ci Żydzi, którzy tam pracowali, znali się na robocie.

– Ojciec zapomina, że to była cukrownia. Pytanie, czy będą się znać na robocie w gorzelni?

– Cukrownia, gorzelnia... – I z tymi słowami zniknął w gabinecie, nie wspominając ani słowem o szczęśliwym zdaniu przez Stefcię egzaminów na prawo jazdy.

Stefcia przewróciła oczami. Nic nie mogło zburzyć jej radości. Z zamiarem nauki prowadzenia samochodu nosiła się już od dawna. Jeszcze zanim wyjechała do Francji. Po powrocie z wiadomych względów nie miała na nic ochoty, ale teraz, kiedy jej życie powoli wracało na dawne tory, myśl ta kiełkowała coraz szybciej. Już dawno skończyła osiemnaście lat, pisała i czytała biegle po polsku.

– Mam do wuja serdeczną prośbę – mówiła, zjawiając się niespodziewanie u wuja Władysława i ciotki Leokadii. – Zamierzam zdobyć uprawnienia do jazdy. Mam jednak problem. Muszę albo odbyć sześciomiesięczną praktykę w warsztacie samochodowym, albo ukończyć specjalną szkołę szoferską, albo posiadać własny samochód, jednakże swoje umiejętności jazdy będę musiała potwierdzić przed specjalną komisją egzaminacyjną. Na razie brak mi jakichkolwiek umiejętności.

I tak przez kilka tygodni, pod czujnym okiem wuja Władysława i za zgodą ojca, uczyła się prowadzić samochód papy, który drżał nad jego losiem za każdym razem, kiedy Stefcia wsiadała za kierownicę. Zdobyła nie tylko standardowe uprawnienia, ale także kategorię IIB, która dawała jej prawo poruszania się fordem T. Od razu umyśliła sobie plan.

Od Eleonory dowiedziała się, że Julian zamówił dla rodziny, którą niebawem będą, nowy model Fiata. Ford miał już swoje lata, ale ponieważ Julian kochał go jak, nie przymierzając, brata, dbał o niego niesamowicie. Dzięki jego trosce samochód wyglądał jak nowy i dlatego Stefcia zamierzała uprosić ojca, aby odkupił go od Juliana.

Stefcia zerknęła na zamykające się drzwi ojcowskiego gabinetu. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo się bała. Gdyby tylko musiała wykazać się jazdą? Ale niestety musiała zdać test z przepisów

na drogach publicznych, rozporządzeń policyjnych. Musiała posiadać wiedzę o tym, jak obchodzić się z paliwem i jak je przechowywać. To było łatwe i nie stanowiło dla Stefcy problemu. Te zaczynały się, kiedy przychodziło pochwalić się znajomością konstrukcji pojazdu. Modliła się w duchu, żeby wszystko się udało. Gdyby nie zdała, na kolejną próbę musiałaby czekać aż pół roku. Nie wyobrażała sobie, że miałaby nie wsiąść do auta przez tyle miesięcy. Prowadzenie samochodu było jej nową pasją. Dawało poczucie wolności, nieskrępowania. Była prawdziwie niezależna. Żałowała tylko, że prawo jazdy wydawane jest na tak krótki okres. Rok. Czymże jest rok, myślała. Miała nadzieję, że nie zapomni prolongować dokumentu przed pierwszym kwietniem następnego roku.

Kiedy dziś podjechała na plac Lasoty, pod dom Janka, cieszyła się jak małe dziecko. Jan nie wiedział ani o jej nauce, ani o pomyślnie zdanym egzaminie. Zamierzała go zaskoczyć, zapraszając na przejażdżkę. Może do Tyńca, przeszło jej przez myśl. Mieli z tym miejscem dużo wspomnień. Tak, do Tyńca, postanowiła.

Wypożyczony samochód, który wynajęła w „Monopolu” na Gertrudy 7, zaparkowała zamiast przy willi Mira nieco dalej, żeby nie zepsuć niespodzianki. W środku zostawiła obraz, który namalowała Łempicka podczas jej ostatniego pobytu w Paryżu. Portret był pięknie zapakowany. Ozdobny papier oraz wielkie kokardy Stefcia kupiła nieopodal wypożyczalni automobili, na Gertrudy 28, w domu-handlowym „Peag”.

Przystanęła nieopodal ławki, na której siedziała tamtego pamiętnego dnia, kiedy poznała Janka. Ten dom nieodmiennie robił na niej wrażenie. Patrząc na niego, przypomniła sobie rozmowę z Dionizym Matulą, którego spotkała kilka tygodni temu na mieście. Wracając do domu ze sklepu Idy, taszcząc pod pachą wielką teczkę skrywającą szkice biżuterii do wiosennej kolekcji, o której rozmawiała z Frau Goldbaum.

– Panna Stefania? – usłyszała za plecami znajomy głos. – Oczywiście. Dzień dobry. Panna mnie poznaje, prawda?

– Dzień dobry, panie Matula. Jakże miałabym pana nie poznać?

– Czy to ta teczka, którą niosła pani wtedy, idąc przez Rynek? – Nie musiał dodawać, jaki spacer ma na myśli.

– Nie, tamta już nie istnieje.

– Ostatnio Janek oprawił pani szkic naszego domu. Pięknie wygląda. Ucieszyłby się, gdyby mogła panna to zobaczyć. – Czekał przez chwilę na odpowiedź Stefcy, gdy jednak Schrammówna nie podjęła tematu, odezwał się ponownie. – Pięknie uchwyciła panna detale naszego domu.

– Kiedy panna Bronisława zleciła mi zadanie, od razu pomyślałam o willi. Przechodząc koło niej, za każdym razem, kiedy szłam na umówione lekcje, nie mogłam się nadziwić jej pięknu. Trudno mi było uwierzyć, że mieszka w niej aptekarz. Przepraszam, nie miałam nic złego na myśli. Chodzi mi bardziej o to, że ona raczej kojarzy się z architektem albo... – Zawahała się. – Albo miłośnikiem magii. Moja matka powinna w niej mieszkać.

– Bo, widzi panna, nie zawsze chciałem zostać aptekarzem. Kiedy byłem młodym człowiekiem, zanim jeszcze oczywiście podjąłem studia, marzyła mi się architektura, ale ostatecznie, zamiast ślęczyć nad rysunkiem technicznym, ślęczę nad aptecznymi fiolkami. Ktoś musiał przejąć rodzinny interes. Niemniej jednak kiedy przyszło mi podjąć decyzję o budowie domu w miejscu starego budynku, którego niektóre fragmenty zostały sprytnie wkomponowane w nowy, zatrudniłem najzdolniejszego moim zdaniem architekta. Może panna zna prace Kryłowskiego? – Stefania zaprzeczyła ruchem głowy. – Nic nie szkodzi. Nie możemy wiedzieć wszystkiego i znać wszystkich, ale zapewniam, to bardzo zdolny fachowiec, czego dowodzi moja willa, nieprawdaż?

– O, tak. Zapewniam, że nie widziałam piękniejszego, bardziej zachwycającego i tajemniczego domu.

Stefania stała teraz, wpatrując się w sylwetkę budynku przywodzącego na myśl średniowieczną twierdzę dzięki masywnej wapiennej skale oraz strzelistej wieży, wyglądającej prawie tak samo, jak ta z obrazka w książce z baśniami braci Grimm, którą ona i Eleonora dostały w dzieciństwie. Ten charakterystyczny klimat starego zamczyska odnalazła także w piwnicach domu, gdzie zaprowadził ją swego czasu Janek.



– Kiedy byłem dzieckiem – opowiadał – zawsze czułem się tu jak w lochach. Jednocześnie bałem się tego miejsca i lubiłem je, ale pomimo strachu i tak schodziłem na dół, udając właściciela zamku. Tylko że wtedy jeszcze nie marzyłem o księżniczce. – I nie bacząc na to, że ktoś może ich zobaczyć, przysunął Stefcie do skalnej ściany i całował ją zachłannie.

Na samo wspomnienie na policzkach Stefci pojawił się rumieniec. Ruszyła w stronę masywnych dębowych drzwi, które uwieczniła na szkicu wiszącym teraz w pokoju Janka.

– Faktycznie, wygląda pięknie – powiedziała, gładząc masywną, pozłacaną, ozdobną ramę.

Swój rysunek zobaczyła niedawno, kiedy odwiedziła Janka po długiej nieobecności w tym domu.

Zanim sięgnęła dzwonka, zatrzymała się jeszcze na chwilę. Ręka Stefci spoczęła na misternie zdobionej balustradzie.

Zerknęła w stronę ogrodu. O tej porze roku już prawie nie było w nim kwiatów, za to liście na drzewach mieniły się soczystymi kolorami żółci, czerwieni i brązu. Zapamiętała jednak, że na wiosnę i w lecie ogród pełen jest kwiatowych, pachnących plam pełnych soczystych kolorów. Był tam fioletowy i biały bez o uwodzicielskim zapachu. Były róże i piwonie. Był jaśmin i fiołki. Uwielbiała ten ogród wiosną i latem.

Sięgnęła do dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Już miałem otworzyć, ale czekałem cierpliwie. Pomyślałem, że jest jakiś powód, dla którego podziwiasz nasz dom i obejście. – Janek przyciągnął Stefcie do siebie, całując szybko, ale namiętnie. – Zapraszam – powiedział, odsuwając się od drzwi.

– Nie, to ja zapraszam – poprawiła go Stefania, stając tak, że wychyliwszy się nieco, mógł zobaczyć czekający na nich samochód.

Na twarzy Stefanii pojawił się łobuzerski uśmiech. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz uśmiechała się tak bez troski. Jak dziecko. Jak -człowiek szczęśliwy.

– Zapraszam na wyprawę. Do Tyńca! – wykrzyknęła, unosząc rękę, jakby markowała uniesienie miecza.

– Kocham cię – skwitował jej wygłupy Janek.

Jakiś czas później stali oparci o studnię, do której zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej wrzucali pieniądze, prosząc o spełnienie życzeń. Janek spojrzął na Stefanię z ukosa. Słońce wciąż grzało i Stefca wystawiła twarz w kierunku nieba, ciesząc się pieszczącymi jej policzki promieniami.

– Jakie było twoje życzenie? – zapytał.

Nie musiał precyzować. Odwróciła się w jego stronę.

– Zmieniłam je, kiedy mnie odwiozłeś, a ja zostawiłam cię pod naszym domem, nie chcąc słuchać twoich tłumaczeń i zapewnień. Biegłam do domu po schodach, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu. Zatrzymałam się dopiero pod drzwiami. Zdyszana, zrezygnowana. Wtedy powiedziałam, że zmieniam życzenie. Że chcę, żebyś do mnie wrócił.

– Spełniło się.

– Oba życzenia się spełniły – dodała Stefca z łobuzerskim uśmiechem na twarzy. – Wcześniej prosiłam, żebyś zakochał się we mnie bez pamięci. – Roześmiała się głośno, ciesząc się chwilą u boku Jana.

– W zasadzie poprosiliśmy o to samo. Po rozstaniu z tobą zmieniłem życzenie. Chciałem spełnić daną obietnicę. Ale wcześniej nieśmiało marzyłem, żebyś się we mnie zakochała, tak jak ja zakochałem się w tobie.

Objął ją mocno i przytulił. Stali tak oparci o starą, pamiętającą poprzednie stulecia studnię.

– Szkoda, że klasztor wciąż niszczy – odezwała się po chwili Stefca. – Ktoś podobno słyszał, że znalazł się brat, który zamierzał przywrócić jego świetność, ale może to tylko takie ludzkie gadanie.

– Czy wiesz, że kilka lat po śmierci moich rodziców wuj Dionizy zabrał mnie tu ponownie. Zapamiętałem, że moja matka bardzo lubiła to miejsce. Tu znajdowała odprężenie i natchnienie. Mówiła, że tu czuje się najbliżej Boga, i coś w tym jest, ponieważ ja też mam wrażenie, że On tu słyszy mnie lepiej. Tak było i wtedy. Wieczorem powiedziałem wujowi, że chcę wstąpić do klasztoru. Uśmiechnął się i życzył dobrej nocy, myśląc, że to tylko takie majaki nastolatka. Ale ja co jakiś czas mu o tym przypominałem. A kiedy wciąż mnie zbywał, naciskałem jeszcze bardziej.

I co zrobił? – wtrąciła Stefania.

– Uległ. Zaczął rozpytywać. Rozmawiał z naszym proboszczem. Okazało się, że klasztory benedyktyńskie w Polsce prawie nie istniały. Zaborcy pozamykali je. Niektóre zburzyli, inne przekazali kościołom, jak ten w Lubiniu, który dostał się w ręce protestantów. Ale byłem uparty. Wuj zaczął wierzyć, że poczułem powołanie. Jeszcze raz udał się do proboszcza wypytać o zasady przyjęcia do zgromadzenia. Pamiętam, że wuj wezwał mnie do swojego gabinetu i kazał uważnie słuchać. Zaczął od przekazania mi, że to ciężkie życie. Że kiedy się na nie zdecyduję, zwiążę się na zawsze z jedną wspólnotą. Okazało się, że wstąpienie do zakonu nie było taką łatwą sprawą. Musiałbym przejść określone szczeble. Postulat, nowicjat i juniorat. W tym czasie potwierdziłbym swoją miłość do Boga. Byłbym obserwowany. Poddawany ciągłej, swoistej kontroli. Czy szukam Boga, czy gorliwie uczestniczę w liturgii. Czy jestem posłuszny, czy chętnie włączam się w prace wspólnoty.

– I nadal, po tym wszystkim co usłyszałeś, chciałeś przystąpić do zgromadzenia? – Stefania była pełna podziwu dla determinacji Janka.

– Tak. I pewnie bym to zrobił, gdyby nie przeszkody, jakie stawały mi na drodze. Zwłaszcza że każdy kandydat może na kilka dni zamieszkać we wspólnocie. Zapoznać się z rytmem życia w klasztorze. Porozmawiać z braćmi i mistrzem nowicjatu, którego zwą magistrem. Gdybym po takim pobycie był nadal chętny, otrzymałbym zaproszenie na odbycie czegoś w rodzaju stażu. Musiałbym na dwa tygodnie zamieszkać w klasztorze. Traktowano by mnie jak postulanta, ale nadal miałbym możliwość opuszczenia murów zgromadzenia.

– Czyli bycie mnichem na próbę? – zapytała retorycznie Stefcia.

– Gdybym wytrwał do końca próby, wtedy zaproszono by mnie na rozmowy z mistrzem nowicjatu i po ustaleniu terminu mógłbym rozpocząć postulat.

– Cieszę się, że jednak zrezygnowałeś.

– Nie zrezygnowałem. Nie miałem możliwości przystąpienia. Żeby rozpocząć cały proces, trzeba mieć ukończone dziewiętnaście lat albo nie przekroczyć trzydziestu pięciu. Tymczasem rozpętała się wojna, a ja zamiast do klasztoru wstąpiłem do wojska. Co było potem, już wiesz.

– Wiem, że wróciłeś schorowany i wymęczony, co jednak nie tłumaczy, dlaczego po odbytej rekonwalescencji i powrocie do zdrowia nie zrealizowałeś swojego pragnienia.

– Ponieważ pewnego pięknego dnia przez krakowski Rynek przeparaowała pewna dziewczyna z ogromną teczką. I tak zawróciła mi w głowie, że zupełnie zapomniałem o powołaniu, które -odczuwałem jako dorastający chłopak.

– Chodźmy – powiedziała Stefcia.

Wzięła Janka za rękę i pociągnęła w stronę ścieżki, którą przywędrowali na plac klasztorny. Zmierzała w kierunku zaparkowanego samochodu.

– Wracamy? – zapytał Jan.

Stefcia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mam dla ciebie niespodziankę – odpowiedziała, widząc jego zdziwioną minę.

Po krótkim spacerze, podczas którego prawie się nie odzywali, kontemplując piękno otaczającej przyrody, dotarli do samochodu. Stefania otworzyła bagażnik, wyjmując z niego zapakowany -elegancko kwadrat.

– Książka? – zapytał Jan, ale od razu zaprzeczył ruchem głowy, zdając sobie sprawę, że rzecz, którą Stefcia trzymała w dłoniach, była zdecydowanie za duża czy to na powieść, czy na ozdobny album zdjęciowy.

Nic nie mówiąc, nie tłumacząc, Stefania wręczyła podarunek Jankowi, który nie bacząc na finezję opakowania, zdarł je szybko, niecierpliwymi palcami. Kiedy jego oczom ukazał się portret Stefanii, zaniemówił. Długo, w milczeniu, przyglądał się twarzy spoglądającej na niego z płótna. Stefcia zaczęła się niecierpliwić.

– Jest... – zrobił przerwę. – Jest cudowny. Onieśmielający. Nowatorski. Pociągający. Sprawia, że chciałoby się na niego patrzeć cały czas. Nie odrywać od niego wzroku. Jest tak dlatego, bo ty jesteś na nim doskonała. Nie wiem, jak ci dziękować. Nie wiem, jak wyrazić uznanie dla twojego niezaprzeczalnego talentu. Zawsze wiedziałem, że go masz. Byłem pewien, ale to... Przeszłaś samą

siebie. To mistrzostwo. To... – Stefania zakryła usta Janka dłonią, zabraniając mu dalej mówić.

– To nie ja namalowałam ten portret. Chciałabym móc pochwalić się takim kunsztem, ale niestety, chociaż kusilo mnie, żeby powiedzieć, że to moje dzieło, to jednak uczciwość malarza nie pozwala mi tego zrobić. To byłoby oszustwo. To byłaby kradzież cudzego dorobku, a przecież i tak dowiedziałbyś się, że nie ja namalowałam tę twarz.

– Nieważne, że nie wyszedł spod twojego pędzla. Fakt ten nie umniejsza twoich zdolności, a są wielkie. Przecież mój portret, który swego czasu wzięłaś za zakładnika, jest tak samo dobry. Nie, proszę, nie zaprzeczaj. Nie możesz ich porównywać. To dwa inne style. Myślałem, że twój ewoluował. Że eksperymentujesz. Szukasz. Że w Paryżu podpatrzyłaś coś podobnego.

– Próbowалам naśladować tę malarkę, ale nie potrafię. Nazywa się Łempicka i chociaż na razie maluje za pieniądze, które przeznacza na utrzymanie domu, to wiem, że kiedyś będzie bardzo sławną malarską osobistością. Patrząc na nią, miałam taką pewność.

– Spodobałby się mojej babce – odezwał się Janek. – Nie opowiadałem ci o tym, ponieważ nie było okazji, a i sprawa nie była jeszcze do niedawna zamknięta i potwierdzona. Dostałem pokazywany spadek.

– Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, ponieważ mam wrażenie, że w twoim głosie zamiast nut radości wychwytyję smutek.

– Tamten dzień zapamiętam na zawsze. Wuj zaprosił mnie do gabinetu. Chociaż mieszkam w tym domu od tylu lat, zaglądam tam bardzo rzadko. W naprawdę ważnych sprawach. Sam się sobie dziwię, że jako dziecko nie zakradałem się tam pod nieobecność wuja, bo bardzo lubię to miejsce. Wisi tam szabla paradna, którą wuj nosił przy stroju galowym rajcy miejskiego. Wyobrażałem sobie, że jest moja, a ja jestem mistrzem szpady. Zapytał mnie wtedy, czy pamiętam dziadków od strony matki. Nie pamiętałem nawet, czy kiedykolwiek na ich temat rozmawiałem z rodzicami, bo mama zawsze tak prowadziła rozmowę, że starannie omijała temat. W końcu dotarło do mnie, że nie chce o nich mówić. Nie nalegałem. Nie miałem powodu, żeby to robić.

Stefania słuchała uważnie. Wielu rzeczy nie wiedziała jeszcze o -Janku i jego rodzinie.

– Wuj pokiwał głową i zaczął opowiadać – ciągnął dalej młody Matula. – Okazało się, że moja matka pochodziła z bardzo zamożnej rodziny. Urodziła się i dorastała w szlacheckim dworze pod Warszawą. Wuj nazwał jej rodzinę „starymi pieniędzmi” i „starą arystokracją”. Podkreślił jednak, że pomimo bogactwa i rodowodu wcale nie cieszyli się sympatią w towarzystwie.

– Dlaczego? – Stefania uwielbiała takie historie.

Jej ciekawość rosła z każdym kolejnym słowem Jana.

– Wszystko z powodu babki, to znaczy matki mojej mamy. Wydano ją za Moskala. Ponoć chodziło o pomnożenie majątku. Rzecz to była wtedy naganna i skazująca na wykluczenie z towarzystwa. Kiedy urodziła się moja mama, Justyna, babka i dziadek bardzo się starali, żeby i ona nie została odrzucona. Ponoć nie było łatwo, ale moja matka była piękną dziewczyną, więc w końcu się udało.

Rodzice, to znaczy dziadkowie, szybko zaręczyli ją z jakimś ważnym i zamożnym jegomościem. Planowano ślub, w zasadzie czyniono już stosowne przygotowania, kiedy mama poznała Adama, mojego ojca. Studiował przez pewien czas w Warszawie. Wujek powiedział, że to była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Czyżbym słyszała w twoim głosie powątpiewanie?

– Ależ skąd. Jakbym śmiał, w końcu idąc w ślady rodziców, też zakochałem się, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. Rzuciłaś na mnie urok, bo od tamtej pory nie mogłem przestać o tobie myśleć.

– Kto wie, w końcu moja matka, odkąd pamiętam, zajmowała się kartami i lubowała w sprawach tajemniczych, magicznych. Ale nie o mojej matce rozmawiamy – dodała Stefcia ostro.

Jan spojrzął na nią uważnie, lecz uśmiechnęła się do niego szeroko, chcąc zatuszować niezręczność sytuacji.

– Wuj nie powiedział, co działo się na początku ich znajomości. On nie pytał, a mój ojciec nie kwapił się do zwierzeń. Wuj Dionizy napomknął, że mój ojciec zawsze był romantykiem. Przywiózł matkę do Krakowa bez ślubu. Justyna, chcąc spędzić resztę życia u boku Adama Matuli, uciekła z domu.

I wuj Dionizy, i rodzice obawiali się pościgu, oskarżenia o porwanie, ale dziadkowie nie podjęli żadnych kroków. Najwyraźniej jedyne, czego chcieli, to zatuszowania kolejnego skandalu. Wyrzekli się córki. Od tamtej pory udawali, że nigdy nie istniała.

– Nie chcieli poznać wnuka?

– Najwyraźniej byłem im obojętny. Wiem, że gdyby babka zwróciła się do mojej mamy, że chce mnie zobaczyć, matka nigdy by nie odmówiła. Nigdy nie zabroniłabym mi kontaktu z dziadkami. Kiedy więc wuj Dionizy zaczął opowiadać, byłem zdziwiony. Zapytałem, czy nagle coś się zmieniło.

– Czyżby twoi dziadkowie w końcu zmądrzeli? Przepraszam, że tak mówię, ale niechęć do dziecka, do własnego wnuka, jest największą głupotą.

– Oczywiście, że nie. Chociaż coś musiało zmienić nastawienie babki przed śmiercią. Może, mówiąc kolokwialnie, gryzło ją sumienie, ponieważ zmieniła testament. W pierwszej wersji wszystko, co było w jej posiadaniu, miało przypaść w udziale instytucjom zajmującym się biednymi i bezdomnymi. Coś się jednak musiało stać, bo ostatecznie moja babka dworek w Karpiskach, całą ziemię, las, folwark i inne dobra zostawiła mnie. Swojemu jedynemu wnukowi. Zapisała mi także pokaźną kwotę gotówki i znacznej wartości biżuterię rodową, która znajdowała się w banku w Szwajcarii, ale od niedawna jest już w Krakowie.

– Jesteś właścicielem ziemskim – zawołała Stefcia. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic, ponieważ odrzuciłem tę część spadku, która mówiła o nieruchomościach. Nie mogłem go przyjąć. – Jan nie pozwolił Stefanii dojść do głosu. – Babka postawiła warunek, którego nie mogłem wypełnić. Poza tym, nawet gdyby nie było obostrzeń, i tak bym się wahał. Z przyjęciem majątku wiązałyby się niechybnie przeprowadzka, a ja nie zamierzałem i nie zamierzam opuszczać Krakowa. Tu jest mój dom. Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Dlatego przyjąłem tylko ruchomości. Gotówka, biżuteria, obrazy. Reszta poszła na słuszny cel. Innym ludziom dom z -przynależnościami bardziej się przyda.

Między Stefcią a Janem zapadło milczenie. Każde na kilka chwil pogrążyło się w myślach. W końcu Jan spojrział uważnie na Stefanię.

– Nie zacząłem tej opowieści dlatego, żeby się pochwalić. Chciałbym cię o czymś poinformować i niezależnie od tego, co powiesz, nie zmienię zdania. Już w chwili, kiedy wuj Dionizy mówił mi o testamencie i o tym, co zawiera, wpadłem na pewien pomysł. Pomysł, który powoli kielkował. Rozwijał się. Nabierał kształtu.

Stefania była kłębkim nerwów. Słowa Jana sprawiły, że serce zaczęło jej bić zbyt szybko. Czują strach pomieszany z podekscytowaniem. Chciała, żeby już wykrztusił z siebie, co miał do powiedzenia, a jednak nie chciała tego usłyszeć. Najchętniej zakryłaby uszy, jednocześnie krzycząc, żeby powiedział, o co mu chodzi.

– Doceniam twój talent. Także ten malarski, ale kiedy byłaś we Francji, z Grabowskimi, przeprowadziłem poważną rozmowę z Frau Goldbaum. Obiecałem jej, że jak tylko znajdzie się odpowiednia chwila, wszystko ci opowiem. Frau Goldbaum obawiała się, że nie dasz mi nawet dokończyć, kiedy się dowiesz, o co chodzi, więc...

– Mów już! – wykrzyknęła Stefania, zmieniając się w ciekawski kłębek nerwów.

– Zawiązaliśmy z Frau Goldbaum spółkę. Ona daje swoich mistrzów i niewielki wkład finansowy. Ja pozostały wkład finansowy i lokum. Ty zaś swój talent do tworzenia biżuterii. Autorskiej, ekstrawaganckiej, innej niż wszystkie. Inspirowanej historią, naturą, uczuciami. Widziałem twoje rysunki. Są zachwycające. Stworzymy z Frau Goldbaum sieć sklepów jubilerskich „Poważna Trzpiotka”.

– „Poważna Trzpiotka”? – zapytała Stefcia, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Długo szukaliśmy właściwej nazwy. Pewnego dnia spotkałem twojego ojca. Zapytałem go, kto zdecydował o twoim imieniu. Odparł, że imiona wybierała wasza matka. Wtedy przyszło mi do głowy, że może nadała wam imiona wiedzona jakimś impulsem. Idąc tym tropem, sprawdziłem znaczenie waszych imion, Stefciu.

– Aż boję się zapytać, co odkryłeś, sądząc po nazwie, jaką wybrałeś dla sklepu jubilerskiego.

– Mówi się, że panny Stefanie to poważne trzpiotki. Są obowiązkowe, zdeterminowane. Z natury pogodne, nie brak im szalonych pomysłów. Wiedzą, czego chcą od życia. Lubią zabłysnąć w towarzystwie. Mają doskonałą pamięć. Z każdej opresji wychodzą bez szwanku, a aktorskie umiejętności sprawiają, że doskonale blefują, ogrywając przeciwników. Pod ekstrawaganckim i szalonym obliczem skrywają prawdziwe „ja”. Marzą o wielkiej miłości.

– Sam to wymyśliłeś? – zapytała Stefania. – Mam wrażenie, że tak, bo słuchając cię, widziałam siebie. Co powiesz zatem o Eleonorze?

– Poczekaj – odparł Janek, przeszukując kieszenie płaszcza. – Nauczyłem się tylko znaczenia imienia Stefania, ale i tak na wszelki wypadek zabrałem ściągę. O, mam.

„Eleonora – zaczął czytać, co jakiś czas zerkając na wpatrującą się w niego Stefcie. – Eleonora tylko pozornie jest poukładana i spokojna. W jej wnętrzu drzemią pokłady energii. Jest niezwykle inteligentna i ma nosa do ludzi. Mówi to, co myśli, ponieważ jest szczerą i nie owija w bawełnę. Niektórzy uważają, że jest niesympatyczna, jednak Eleonora wie, że nie warto tłumić emocji. Wobec płci przeciwnej jest wymagająca. Nie odda serca byle komu. Lubi mężczyzn o dobrych manierach, inteligentnych i z pasją. Agresja i wulgarność dyskwalifikują absztyfikanta na starcie. Jeżeli Eleonora się zakocha, będzie czuła, wierna i nad wyraz troskliwa. Chociaż nie przepada za wielkimi imprezami, to od czasu do czasu nachodzi ją ochota na szaleństwo, na przykład chętnie wybrałaby się w daleką podróż. Ma zdolność szybkiego uczenia się. Dotrzymuje obietnic. Jest staranna. Niechętnie otwiera się przed drugim człowiekiem, ponieważ bywa nieśmiała”.

– To niesamowite. – Stefania zerknęła na kartkę, którą Jan trzymał w dłoni. – Niesamowite. Wszystko jest niezwykle. Byłabym niewdzięcznicą, gdybym zaczęła zgłaszać pretensje, chociaż muszę wtrącić swoje trzy grosze. Zanim zaczniesz rozmawiać z Idą, to znaczy Frau Goldbaum, powinieneś zapytać mnie o zadanie. Nie, proszę, daj mi dokończyć. Powinieneś. Nie zamierzam jednak oponować i unosić się fałszywą dumą. Nie zamierzam rezygnować z szansy, jaką ty i Ida oferujecie mi na srebrnej tacy. Jedyne, co mogę zrobić, to zapewnić was, że będę się starała osiągnąć wyżyny swoich możliwości, żebyście byli ze mnie dumni. Dziękuję. – Po tych słowach Stefania objęła Janka, wtulając się w niego z całych sił.

Po długich tygodniach, po wyczerpujących emocjonalnie wewnętrznych bojach nareszcie poczuła spokój. Jakby po długich -poszukiwaniach odnalazła drogę do domu.

\*\*\*

– Wasze milczenie jest niepokojące, ale całkiem zrozumiałe – mówiła Tekla Schramm, patrząc to na Stefanię, to na Eleonorę, to na Jana.

Dom Schrammów od dwóch dni, czyli od chwili, kiedy próg przekroczyła Tekla, był oazą spokoju, niewynikającego jednak z charakteru mieszkańców, a jedynie z konsternacji, w jaką wprawił ich niezapowiedziany, nieoczekiwany powrót matki.

– Liczyłam na bardziej entuzjastyczne powitanie, ale... – Przerwała, nie widząc żadnej reakcji z ich strony. Westchnęła.

W salonie zapadło ciężkie milczenie. Nawet w kuchni, w której zazwyczaj było głośno i panował mały rozgardiasz, nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Zmącił ją na chwilę nagły odgłos zegarowej kukułki obwieszczającej pełną godzinę. Stefania aż podskoczyła.

– Norciu, chętnie dowiedziałabym się czegoś o przygotowaniach do ślubu, bo doszły mnie słuchy, że ma się odbyć już niebawem? – Tekla skierowała wzrok na starszą córkę.

– Teklo. – Jan nie pozwolił odezwać się Eleonorze. – Nie wiem, czy cieszyć się, czy płakać? Czy udajesz zatroskaną matkę, która przejmuje się zamążpójściem córki, czy tylko takową grasz, aby uspić naszą czujność i ponownie wkraść się w łaski rodziny. Tak, Teklo, wkraść się w łaski. Czyżbyś przypuszczała, że twoje wielomiesięczne eskapady pozostaną bez echa? Że wyjedziesz w nocy, niczym uciekający ze statku szczur albo, nie przymierzając, złoczyńca, który nie chce zostać przyłapany na gorącym uczynku, a potem, nie dając nam żadnych rozsądnych wyjaśnień, ba, ignorując nasze próby wyproszenia na tobie powrotu do domu, zjawiasz się na progu i udajesz, że wyszłaś na przymiarę do krawca? Na Boga! – wykrzyknął w złości Jan, mierząc żonę surowym wzrokiem. – Chyba nie masz

nas aż za takich głupców. Może zamiast wypytywać córki o ich życie, o to, co się zdarzyło w domu od czasu, kiedy machnęłaś na nas ręką, szukając po świecie przygody, opowiesz, gdzie byłaś, co i z kim robiłaś. A później pozwól, że we trójkę, to znaczy ja, jako twój mąż i głowa rodziny, przy wsparciu córek, zdecydujemy, co począć z tym fantem. Czyż nie tak należy to rozegrać?

– Czyżbyś zapomniał o naszej rozmowie, Janie? – zapytała Tekla, skupiając całą uwagę na Schrammie. – Wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że mamy prawo do życia. Że skoro wreszcie przestaliśmy udawać, nie tylko przed obcymi ludźmi, nie tylko przed naszymi dziećmi, ale także przed sobą, dając sobie wolną rękę do działania, to jeżeli któreś zechce z tego skorzystać, nie napotka kłód rzucanych mu pod nogi, kiedy zechce wrócić do domu?

– Nie bądź hipokrytką, Teklo! – wykrzyknął Jan. – Oczywiście, że pamiętam tamtą rozmowę, ale najwyraźniej ostatnie jej zdanie zrozumiałeś zbyt frywolnie. Owszem, uzgodniliśmy, że możemy czerpać z życia, ale nie uzgadniałiliśmy wielomiesięcznego wypadu z domu, unikania rozmów z rodziną, eskapad po świecie, zaszywania się w jakichś szemranych domach. Czy uważasz, że gdybym ja był na twoim miejscu, wróciłbym do domu bez cienia skruchy? Udając, że nie było mnie pięć minut? Jesteś albo taka naiwna, albo szalona?

– Tato – odezwała się Stefania. – Jesteśmy tak samo poruszone jak ty i wściekłe, tak, mam, wściekłe, że przez tyle miesięcy udawałaś, że nie istniejemy. Nie pisałaś listów, oprócz tego jednego, nie oczekiwałaś spotkań z nami, kiedy byłaś jeszcze na tyle blisko domu, że mogłyśmy cię odwiedzać w Wieliczce. Nie mogłyśmy się cię poradzić, zwierzyć, wypłakać się na twoim ramieniu, kiedy zawalił się nasz, mój, świat. Nie dziw się więc, że nasza złość będzie trwać może już zawsze, a może tylko jakiś czas, ale niezależnie od tego, co zdecyduje ojciec, chciałybyśmy, żebyś w końcu przestała grać komediantkę i opowiedziała, gdzie byłaś i co robiłaś, a jeżeli nie zamierzasz być z nami szczerą, to równie dobrze możesz wracać tam, skąd przyszłaś.

Słowa Stefanii zaskoczyły nie tylko pobladałą Teklę, ale także Jana i Eleonorę, którzy spojrzeli na nią zszokowani. Nikt nie spodziewał się tak ostrych słów. Nikt nie wyobrażał sobie, że Stefcia odważy się w ten sposób odezwać do matki. Eleonora pomyślała, że w tej krótkiej przemowie Stefania dała upust wszystkim złym, negatywnym emocjom, jakie targały nią przez długie miesiące, kiedy nie miała w pobliżu matki, która mogłaby dać jej wsparcie duchowe i emocjonalne.

Tekla westchnęła. Poruszyła się w fotelu, gdzie usiadła, kiedy Jan poprosił wszystkich do salonu, aby wreszcie porozmawiać. Nie zrobili tego ani zaraz po przyjeździe Tekli, ani nawet na drugi dzień, ponieważ wciąż nie potrafili się otrząsnąć z zaskoczenia. Jednak nie mogli rozmowy odkładać w nieskończoność i udawać, że nic się nie stało.

Na policzki Tekli powoli zaczynały wracać rumieńce. Widać było, że zdążyła się uspokoić, kiedy jednak zaczęła opowiadać, jej głos wciąż drgał z niepewności, a może ze zdenerwowania, że córka pozwoliła sobie na taki afront w stosunku do niej.

– Po wyjeździe z Wieliczki udałam się do Londynu na zaproszenie Hermetycznego Zakonu Złotego Brzasku, a w zasadzie tego, co zostało po tym wielkim, tajemniczym zakonie, który powstał na początku ubiegłego wieku. Niemniej jednak byłam zachwycona. Przestałam się nawet obawiać bariery językowej, zwłaszcza że nie byłam tam jedyną Polką. Otoczono mnie opieką, przydzielono duchowego przewodnika, który miał mnie wprowadzić w arkana życia w zakonie oraz nauczyć języka. Mieszkańcy niewielkiej willi pod Londynem koncentrowali się na zgłębianiu magii, alchemii i astrologii. Mnie jednak najbardziej interesowało rozwijanie umiejętności posługiwania się tarotem. Zakon zresztą opracował własną wersję kart. – Tekla zrobiła krótką przerwę. Z uwagą wpatrywała się w męża i córki. Najpewniej oczekiwała komentarza albo pytań, ale oni uparcie milczeli. Zrozumiała, że nie zamierzali ją o nic dopytywać. – Założyciele zakonu twierdzili, że karty to w rzeczywistości starożytna Księga Thota, którą jakimś cudem udało się uratować z pożogi historii. Jedną z teorii mówi, że to tajemna wiedza, którą bóg Thot, patron mądrości, miał przekazać człowiekowi. Jednym słowem tarot miał wskazywać drogę do doskonałości i mądrości. Studiowałam przez pewien czas wersję marsylską, próbując doszukać się w niej egipskich hieroglifów, które rzekomo ma ona zawierać, ale najwyraźniej nie doznałam oświecenia i nie było mi dane zaznajomić się z wędrowną Thota po zaświatach. Skupiałam się na karcie „Głupiec”, która miała mnie w tej drodze prowadzić, lecz moje próby skończyły się

niepowodzeniem. Moja przewodniczka w zakonie doszła do konkluzji, że winę ponosi mój brak wiedzy o numerologii, mistyce liczb oraz astrologii. Przez pewien czas poświęciłam się tym zagadnieniem. – Tekla znowu zrobiła przerwę.

Odwróciła się w stronę drzwi salonu.

– Justynko! – zawołała, czekając, aż w progu pojawi się pomocnica kucharki. – Nie wiem, jak pozostali, ale ja mam niesamowitą chęć na kawę. Taką jak zawsze. Mocną, z dużą ilością cukru i cynamonem. Chyba nie zapomniałaś, prawda? – zapytała, patrząc, jak Justyna, zamiast wykonać polecenie, zwraca wzrok w stronę Jana, czekając na pozwolenie.

Tekla sapnęła zdenerwowana, jednak nie odezwała się ani słowem. W salonie panowało milczenie, dopóki Justyna nie pojawiła się z -parującą kawą i wówczas Tekla podjęła swą opowieść.

– Zapewne spędziłabym tam znacznie więcej czasu, gdyby przypadek nie zetknął mnie z pewną Rosjanką, mieszkającą w domu, który kiedyś osobiście prowadził Alaister Crowley, o którym dowiedziałam się już w Wieliczce. – Tekla zamknęła oczy. Napawała się wspomnieniami. – Crowley był perfekcjonistą, jeżeli chodzi o magiczne zabiegi. Posiadał cały zestaw tajemniczych atrybutów, jak... – Zamilkła na chwilę, szukając czegoś w kieszeni sukni, która jeszcze dekadę temu uważana byłaby za modną, dziś wydawała się teatralnym rekwizytem. – O, jest! – wykrzyknęła, pokazując córkom piękny wisior. – Jak ten pentakl, który wykonałam sama, wzorując się na przekazach z Większego Klucza Salomona. – Nie widząc zainteresowania, wzruszyła ramionami i schowała wisior z powrotem do kieszeni. – Posiadał też kielichy, różdżki i magiczne kule, a nawet sztylety i mizerykordie. Ufam, że Crowley ma rację, uważając, że w chwili śmierci każda istota, czy to ludzka, czy zwierzęca, uwalnia energię, która dopełni magicznego aktu. – Stefania ziewnęła, okazując brak zainteresowania. Tekla zaczęła niecierpliwie wiercić się w fotelu. Miała nadzieję, że jej londyńskie przygody zwrócą uwagę rodziny. – Przypuszczam, że tak jak ja z wypiekami na twarzy słuchalibyście opowieści Crowleya o wyprawie do Chin, gdzie przez długi czas studiował starochińską Księgę Przemian. Podczas kiedy Europa pogrążyła się w wojennej zawierusze, Crowley udał się do Ameryki. W ubiegłym roku, krótko po moim przyjeździe do Londynu, wraz ze Szkarłatnymi Kobietami, trójką swoich dzieci oraz częścią uczniów, których uznał za najbardziej zaawansowanych, wybrał się do Cefalu na Sycylię. Założył tam Opactwo Thelmy, do którego bardzo chciałam dołączyć, ale wtedy jeszcze nie było mi dane. Chcąc jak najszybciej udać się na Sycylię, zaczęłam studiować magiczne reguły w dzień i w nocy. Czasami docierały do nas informacje o życiu w opactwie. Jego mieszkańcy spędzali czas na naukowych dysputach, uprawianiu magicznych praktyk i rytuałów. Medytacjach. Jeszcze bardziej przyłożyłam się do nauki. W końcu ja i kilkoro innych uczniów dostaliśmy pozwolenie na -przyjazd do Cefalu.

Tekla sięgnęła po kawę. Napój zdążył wystygnąć. Schrammowa skrzywiła się z odrazą.

– Zachwyciłam się tym miejscem. Miasto leży u stóp potężnej skały Rocca. Cóż za malownicze widoki. Ten klimat. Spokój. Mieszkańcy tacy uczynni, mili. Trudnią się rolnictwem, rybołówstwem i turystyką. Wciąż można natknąć się tam na pozostałości greckich fortyfikacji. Kiedy tylko miałam chwilę wolnego czasu, spędzałam go w starej katedrze z początku XII wieku. Czułam w niej ślady mistycznej atmosfery, której nie potrafiłam odnaleźć nigdzie indziej. Nawet w starożytnej świątyni Diany. Niestety, czasu na swobodne spacerunki po Cefalu miałam niewiele. Żałuję, że nie udało mi się zobaczyć łaźni rzymskich... Cóż. Wracając do Opactwa Thelmy. Byłam zaskoczona tym, co tam zobaczyłam. Wydawało mi się, że stanę na progu wielkiego domu, który odpowiadałby nazwie, a tymczasem znaleźliśmy się w terenie, na którym znajdowało się kilka małych domków, gdzie z trudem się mieściliśmy. Na ścianach zamiast pięknych fresków zobaczyłam dziwne malunki. Miały być mistyczne, ale ja widziałam w nich tylko, wybaczenie za słowa, seksualne inklinacje. Crowley stworzył filozofię, którą nazywał religią Thelmy, a którą moim zdaniem można streścić w kilku słowach: możecie robić, co chcecie. Crowley oczywiście tak tego nie tłumaczył. Mówił, że każdy człowiek ma w swoim życiu cel, który powinien zostać przez niego odkryty, a kiedy już uda nam się ta sztuka, należy zrobić wszystko, aby żyć z nim w zgodzie. Starał się nas przekonać, że tylko wówczas nie napotkamy na naszej drodze żadnych przeszkód. Nie powinniśmy przejmować się celami innych ludzi, których spotykamy na drodze, ponieważ jeżeli oni się na niej znajdują, sami są sobie winni. Słuchałam jego lekcji i coraz

bardziej zaczynałam powątpiewać w słuszność decyzji, jaką podjęłam.

Stefania zaczęła się wiercić, jakby ostatnie słowa matki nie przypadły jej do gustu. Także na ustach Jana pojawił się charakterystyczny grymas, który Tekla odebrała jako kpiący uśmiech. Tylko Eleonora nie zdradzała mową ciała, co sądzi o opowieści matki.

– Nie wiem, czy nagle zaczęłam sama z siebie przeglądać na oczy, czy może jednak mowy Crowleya zaczynały do mnie przemawiać, ale pewnie nie w taki sposób, jak on tego oczekiwał. Coraz częściej łąpałam się na tym, że muszę wrócić do domu. Że chcę wrócić do domu. I skoro mam być szczerą, to nie myślałam wtedy o ślubie Eleonory. O tym, żeby jej pomóc w przygotowaniach. Nie myślałam o tym, że Stefania może mieć problemy, którymi chciałaby podzielić się z matką, ani nawet o tobie, Janie. Po prostu myślałam o domu jako o czterech ścianach zapewniających mi bezpieczeństwo. Miejscu, które jest mi znane. A jednak wciąż tkwiłam w opactwie. Myślę, że trwałoby to dłużej, gdyby czara goryczy, rozczarowania nie przelała się pewnego dnia. Crowley zaprosił nowo przybyłych do komnaty koszarów. Tak nazywał niewielką izdebkę, której ściany były wymalowane tajemnymi znakami. Nie znałam ich ani nigdy nie widziałam. Moja przewodniczka z Londynu, która pojechała ze mną do Cefalu, szepnęła mi do ucha, że to magia, która przemawia przez Crowleya i jego najbardziej zaawansowanych uczniów pod wpływem narkotyków. Okazało się, że w tej małej izdebce Crowley i pozostali raczyli się środkami odurzającymi, o których istnieniu nie miałam pojęcia, a których zadaniem było uwalnianie umysłu od strachu, jak tłumaczył Aleister. Nikt nikogo do niczego nie zmuszał. W końcu każdy ma wolną wolę. Siedziałam tam i przyglądałam się wszystkiemu z przerażeniem. Wtedy zaczęłam sobie zadawać pytanie, dokąd doprowadziła mnie, Boże, zrozumiałam, że nie ciekawość, a głupota. Najgorsze jednak było przede mną. Kiedy odurzenie zaczęło nimi rządzić, kiedy zaczęły tracić kontrolę, Crowley zaprosił ich do medytacji i magii seksualnej. – Głos Tekli zaczął drżeć. Schowała twarz w dłoniach.

Jan przyglądał się żonie. Nie, nie grała. Nigdy nie potrafiłaby tak naturalnie przedstawić przerażenia. Nie miał jednak ochoty okazywać jej współczucia. Zerknął kątem oka na córki. One także przyglądały się matce, zauważył ich chłodne spojrzenia. Pomyślał, że przed Teklą długa droga do odbudowania zaufania i stosunków z domownikami, nie mówiąc już o powrocie do normalności, jaką znali sprzed jej wyjazdu.

– Uciekłam – powiedziała Tekla, nie odrywając dłoni od twarzy. – Pobiegłam do pokoju, w którym miałam swoje rzeczy, ale nie zawracałam sobie głowy bagażem. Wzięłam tylko stosowne dokumenty i nie odwracając się za siebie, zaczęłam biec. Bałam się, że będą mnie ścigać. Że nie pozwolą odejść. Że za dużo widziałam. Za dużo wiem. Że stanę się więźniem tego straszego, zniszczonego grzechem miejsca. Ukryłam się w kościele, do którego tak lubiłam chodzić. Nie wiedzieli o tym, ponieważ nigdy się nikomu nie zwierzałam, jakbym przeczuwała nadchodzące nieszczęście. Siedziałam tam godzinami. W końcu podszedł do mnie tamtejszy ksiądz. Nie mówił ani po polsku, ani po angielsku. Ale się tym nie przejmowałam. Mówiłam i mówiłam, a on słuchał, chociaż pewnie słów nie rozumiał, to jednak mowa mojego ciała powiedziała mu wszystko. Przekazał mnie rodzinie, która prowadziła mały, przytulny pensjonat. Spędziłam tam kilka dni, zanim udało mi się załatwić wszystkie formalności, żeby móc wyjechać. Nie pisałam ze strachu. Bałam się, że nie będziecie chcieli mnie widzieć.

– Aż tak bardzo się mama nie pomyliła – skwitowała Stefania, podnosząc się z kanapy. – Nie wiem, jak ojciec i Eleonora, ale mnie słowa mamy nie przekonują, dlatego nie mam zamiaru dalej wysłuchiwać tych tłumaczeń.

– Stefciu... – Tekla chciała coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale Stefania już nie słuchała.

Udała się do pokoju, który kiedyś należał do Tekli. Wciąż w nim spała. Nie zamierzała go opuszczać. Jeszcze nie teraz. Jan też nie nalegał, a matka nie miała odwagi, żeby się o niego upomnieć, dlatego od dnia powrotu spała w salonie.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Franciszek, wchodząc do salonu, w którym po słowach Stefanii zapanowała martwa cisza. – Ale pan Julian do panny Eleonory. Nie wiedziałem...

– Ależ, Franciszku, jak mogłeś pozwolić panu hrabiemu stać w przedpokoju – odezwała się Tekla, nie bacząc na Jana, który aż się skrzywił na ten jawny przejaw chęci jak najszybszego powrotu



do normalności.

– Poproś pana hrabiego do salonu. – Schramm zawtórował Tekli. – Bardzo bym cię prosił, abyś nie czuła się aż tak swobodnie – zwrócił się do żony. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że jesteś tu na zasadach gościa – wyszeptał przez zaciśnięte zęby, patrząc na Teklę. – Julianie – odezwał się wesoło, wstając, żeby przywitać przybysza.

– Dzień dobry państwu – przywitał się Julian, spoglądając na Teklę. – Miło panią widzieć, pani Schramm. – Nie podszedł jednak do niej, żeby, jak to miał do tej pory w zwyczaju, złożyć pocałunek na jej dłoni.

Eleonora podniosła się z miejsca. Jakiś czas temu udało jej się porozmawiać z ojcem i załagodzić sytuację. Zresztą o rozmowę z bankierem poprosił także Julian i chociaż Nora oczekiwała relacji z tego spotkania, to ani Jan, ani młody Michałowski nie zdradzili, o czym konwersowali dość długo za zamkniętymi drzwiami gabinetu Schramma. Najwyraźniej jednak było to spotkanie owocne, ponieważ ojciec Eleonory był od tamtej pory bardziej tolerancyjny wobec ich -wspólnego zamieszkiwania.

– Państwo wybaczą, że porywam Eleonorę, ale mamy jeszcze kilka ważnych rzeczy do załatwienia.

– Nic się nie stało – odezwał się Jan. – Nasze spotkanie i tak już dobiegło końca.

– Dokąd zabiera pan Norcię? – zapytała Tekla.

– Do domu.

– Do domu? – Schrammowa uniosła brwi. – Ależ Eleonora jest w domu.

– Mamo. – Nora włączyła się do rozmowy. – Gdybyś nie zażywała zamorskich podróży, wiedziałabyś, że od jakiegoś czasu mieszkamy z Julianem razem, na ulicy Szlak 21.

– Słucham!?! – wykrzyknęła Tekla, unosząc się z fotela. – Ależ to jest niestosowne. Nie może...

– Mamo, przepraszam, że powiem to w obecności Juliana, ale jest mama ostatnią osobą, która ma prawo do oceny tego, co jest stosowne, a co nie. I obawiam się, że ostatnią osobą, która ma prawo decydować o moim, naszym, życiu. Mówiąc naszym, mam na myśli nie tylko życie moje z Julianem, ale także Stefci i ojca.

– Czy pan, panie Julianie, też ocenia mnie tak ostro? – zapytała Tekla, szukając u Michałowskiego wsparcia.

– Nie mnie oceniać pani postępowanie, pani Schramm. Niemniej jednak skoro pani nalega na odpowiedź – powiedział, widząc błagalny wzrok Tekli – to przyznam Eleonorze rację. Tak jak ona i jak zapewne reszta członków państwa rodziny nie pochwalam tego, co pani zrobiła. I nie potępiam zachowania pani córek. Sam nie wiem, jak bym się zachował, ale to nie ja stoję przed trudnym dylematem, czy przyjąć własną matkę z powrotem na łono rodziny.

Po słowach Juliana w pokoju zapanowała cisza, którą tak jak przed ponad dwiema godzinami niespodziewanie przerwała -zegarowa kukułka.

## Rozdział 12

– Nie mogę w to uwierzyć – ekscytował się Julian, chodząc po kancelarii.

Rosenblatt trzymał w dłoni dokumenty najnowszej sprawy, którą zgodnie z życzeniem Juliana prowadził głównie Rudolf przy pomocy hrabiego.

– Rozumiem niepewność naszej waluty. Rozumiem obawy mieszkańców nie tylko Krakowa, ale Polski związane z postępującą drożyzną i rosnącymi kosztami utrzymania. Rozumiem obawy tych, którzy pracują na państwowych posiadach. Zdaję sobie sprawę, że to nie są dobre czasy. Zwłaszcza dla uczciwego człowieka, ale wciąż obrzydzeniem napawa mnie przymykanie oka przez większość ludzi na malwersantów, szabrowników, paskarzy i handlarzy, którzy z uśmiechem na ustach korzystają z lichwy.

– Proszę, niech hrabia nie zapomina o połączeniach telefonicznych z czarną giełdą w Wiedniu – dodał Rosenblatt.

– A policja, Boże miej nas w opiece, jeżeli mamy zawierzyć jej działaniom. Są nieudolni. Nie mówię, że opieszali. Nie, gdybym tak powiedział, skrzywdziłbym ich bardzo, bo przecież widzę ten zapał, ale nie mają przygotowania. Czyż dopuszczalne jest, żeby policjanci działali, polegając nie na naukowych metodach i przepisach, ale na kreatywności? Zdaje mi się, że przyglądam się czasami nie pracy funkcjonariuszy państwowych, ale grze aktorów bawiących widzów groteską.

Trudno się było dziwić wybuchowi Juliana. Jesień 1921 roku przywitała krakowian nie tylko brzydką, przygnębiającą pogodą, lecz także dramatyczną sytuacją ekonomiczną i wynikającymi z niej zawirowaniami.

– Wciąż natykam się na jakąś farsę. – Rosenblatt podjął wątek. – Nie dalej jak wczoraj, będąc na uczelni, wstąpiłem do jadalni, którą utworzono jakiś czas temu. Zapachy stamtąd dochodzące sprawiły, że zaczęło mi burczeć nieprzyzwoicie głośno w brzuchu, nie mogłem przecież tak stawić się do palestry, więc postanowiłem coś przekąsić. Proszę sobie wyobrazić, panie hrabio, jakież było moje zdziwienie, kiedy pomimo drożyzny artykułów spożywczych za obiad tam zapłaciłem tyle, co za wydanie gazety codziennej. Obiad był przepyszny.

– Och, wstrzymałbym się przed stawianiem takiej tezy. Czy ty, Rudolfie, jesteś pewny, co jadłeś? – zapytał Julian, patrząc na Rosenblatta uważnie.

– Ależ oczywiście. Poprosiłem o ziemniaczki, sałatkę zieloną w śmietanie i schabowy w podwójnej panierce. Wyborne.

– Jestem skłonny sądzić, że wszelkie mięsa, jakie są tam serwowane, to rozdawana za darmo konina, pochodząca z ubijanych codziennie koni, które służyły na froncie.

Rosenblatt zrobił się bładny jak kartka papieru, którą trzymał. Przyłożył dłoń do ust.

– Grunt, że smakowało – skwitował Julian, uśmiechając się pod nosem na widok reakcji młodego prawnika. – Dobrze, że nie palisz. Wówczas musiałbyś się oblać zimnym potem. Nie wiem, czy doszły cię słuchy, ale trafikarze już zacierają ręce, ponieważ nie wiedzieć jak i od kogo dowiadują się z odpowiednim wyprzedzeniem o podwyżkach cen tytoniu. Zamiast sprzedawać, gromadzą zapasy, a nałogowi palacze odchodzą od lady z kwitkiem.

– Nie można zarzucać im braku ekonomicznego myślenia – odparł Rudolf, powoli dochodząc do siebie. – W końcu ja też, mając taką informację, wolałbym poczekać i sprzedać z dużo większym zyskiem.

– Masz rację. Każdy kij ma dwa końce. Trafikarze oczekują zysku, i trudno ich za to winić, ale w ten sposób postępują nieuczciwie wobec klientów, którzy z kolei pragną przyjść do sklepu i otrzymać towar, a kiedy go nie dostają, mają prawo do wściekłości, wiedząc, że zamiast na sklepowych półkach tytoń zalega w magazynach, czekając na lepszy moment. To jeszcze nic – mówił dalej Julian. – Moja przyszła szwagierka podzieliła się z nami informacją, że aptekarze zamierzają zastrajkować. Dowiedziała się o tym od Jana Matuli.

– Tego Matuli? To znaczy ma pan na myśli Dionizego?

– Tak, Jan to jego bratanek. Chodzi o to, że taksa aptekarska została tak zaniżona, że właściciele

zatrudniający aptekarzy zmuszeni zostali do drastycznego obniżenia ich uposażenia. To zaś spowodowało, że niektórzy mdleli pod okienkiem. Domagają się podwyżek, zaś właściciele zmiany taksy, tak aby owe podwyżki mogli zasądzić.

– A nasi rządzący, zamiast zajmować się sprawami ważnymi, zabawiają się tworzeniem ustaw dotyczących magii – prychnął Rosenblatt.

– Wbrew pozorom sprawa nie jest taka błaha, jak się wydaje. Jak sam pewnie zauważyłeś, pewne elementy zaczęły się niebezpiecznie namnażać. Nie przejdzie człowiek spokojnie po ulicy, żeby nie zostać zaczepionym przez Cygankę. Narzucają się wszędzie, pragnąc powrócić z dłoni. Doszło do tego, że policja, zamiast łapać prawdziwych przestępców, zmuszona została do robienia porządku z wszelkiej maści wróżbitami, kabalistami i jasnovidzącymi.

– Ale jak sam hrabia zauważył, prowadzi to do sytuacji, kiedy prawdziwi zbrodniarze uchodzą wolno. Czy trzeba szukać daleko? Wystarczy spojrzeć na sprawę, którą mamy prowadzić.

Julian pokiwał głową. Jakiś czas temu zgłosiło się do niego dwóch współwłaścicieli kantoru. Przypomniał sobie tamtą rozmowę.

– To rzecz niesłychana – mówił jeden z nich. Drugi, niezwykle milczący, co jakiś czas przytakiwał słowom współnika. – Ten człowiek wszedł do naszego kantoru z walizką. Taką, wie pan, podobną nieco do torby lekarskiej.

– Chce pan powiedzieć, z kuferkim? – zapytał Julian.

– Tak, oczywiście, kuferkim. Postawił go na ziemi. Zazwyczaj kontrahenci stawiają torby na ladzie, ale ten postawił ją na podłodze. Powiedział, że zamierza kupić waluty. Podał zawrotną kwotę. Kiedy zapytałem, czy dysponuje stosowną gotówką, odparł, że ma ją przy sobie, w kufierku. Poprosiłem go na zaplecze, aby tam bez obecności ewentualnych świadków przedyskutować z nim szczegóły zawarcia umowy, ponieważ nie dysponowaliśmy – mówiąc to, spojrzął na milczącego współnika – takimi środkami na miejscu. Andrzej, to znaczy pan Dziemba – milczący mężczyzna skłonił głowę, jakby się przedstawiał – zamknął kantor. Z doświadczenia wiemy, że przy większych sumach warto poświęcić czas tylko -jednemu klientowi.

– A co z kuferkim? – zapytał Julian.

– Klient zostawił go przy ladzie. Na podłodze, tam gdzie go postawił. Wówczas nie wzbudziło to naszego podejrzenia, bo przecież kantor został zamknięty, a w głównej sali został mój współnik, więc miał oko na walizę. Wyliczyliśmy wszystko, spisaliśmy wstępne dokumenty i wtedy poprosiłem o wpłacenie zaliczki. Wymagamy zabezpieczenia. Wróciliśmy do głównej sali, klient otworzył kufer i zaczął wołać o pomoc. Przez chwilę mocował się z zamkiem, który w końcu udało mu się otworzyć, i wybiegł na ulicę, krzycząc, że został okradziony w kantorze. Staliśmy z panem Dziembą jak zaczarowani. Nie mogliśmy się ruszyć. A on, to znaczy klient, rzekomy przedsiębiorca, wciąż wzniewał alarm. „Moje miliony! Moje miliony” – krzyczał, -pokazując zbierającemu się tłumowi pusty kufer.

– I co się stało dalej? – Julian robił notatki.

– Po chwili zjawili się funkcjonariusze policji. Zatrzymali nas, niczym zwykłych złodziei, a przecież my nawet nie wiemy, czy w tym kufierku były jakiegokolwiek pieniądze. Zaprowadzili nas na komisariat. Przepytali i wsadzili do aresztu. Trzymali nas tam dziesięć dni. Proszę sobie wyobrazić. Dziesięć dni.

– Potem odstawiono nas do sądu. – Wtrącił się do rozmowy milczący do tej pory Dziemba. – Nie było jednak mowy o jakiegokolwiek sprawiedliwości. Nikt nie zamierzał nas wysłuchać. Od razu oskarżono nas o kradzież, to, że tu jesteśmy, jest tylko efektem kaucji, jaką kazano nam wpłacić. Zastanawialiśmy się nawet z Mirosławem, to znaczy panem Świeżym, czy ją wpłacać.

– Rozumiem, że obawialiście się panowie, że pieniądze te mogły zostać uznane za pochodzące z kradzieży.

– Dokładnie tak, panie hrabio, znaczy, panie mecenasie – podchwycił Dziemba. – W końcu jednak ulegliśmy namowom naszych rodzin. Żony przekonały nas, że nie możemy czekać na proces w więzieniu i zdać się na naszą prawdomówność, bo jak widać, prawdę ma się za nic, a prawdziwych złodziei nawet się nie szuka.

– Wnioskuje, że w kufierku nie było pieniędzy, a panowie padli ofiarą naciągacza i oszusta.

Człowiek ten słusznie założył, że wchodząc do kantoru z kuferkiem, pewny siebie i oczywiście w stosownym, wskazującym na zamożność odzieniu, nie wzbudzi w panach nieufności. Żaden szanujący się właściciel kantoru nie kazałby otwierać neseserka swojemu klientowi, bo to dla człowieka uczciwego byłoby potwarzą. To jak dać komuś w twarz – zakończył Julian.

– Ma mecenas całkowitą rację. – Dziemba znowu przejął pałeczkę, prowadząc rozmowę za siebie i Świeżego. – Jak długo zajmujemy się kantorem, a będzie już ze trzy dekady z niewielkim okładem, nikt, powtarzam nikt, nie zarzucił nam nieuczciwości, nie mówiąc o kradzieży. Sami w ciągu tych lat padaliśmy ofiarą drobnych przestępstw. To jest nieuniknione, ale żeby zostać posądzonym o kradzież milionów... O Boże – jęknął nagle Dziemba. – To nie do pomyślenia. Nasza reputacja. Co my teraz zrobimy? – I nie bacząc na obecność Juliana oraz asystującego milczącego Rosenblatta, zaczął płakać.

Szelest otwieranej teczki przywołał Juliana do rzeczywistości.

– Czy mamy coś nowego w sprawie Dziemby i Świeżego? – zapytał Rudolfa.

– Tak i właśnie o tym chciałem porozmawiać. Nie dalej jak kilka dni temu spotkałem się z jednym z funkcjonariuszy, którzy zostali do tej sprawy przydzieleni. Kiedy zaczął opowiadać, nie wiedziałem, czy kpi ze mnie, czy faktycznie mówi prawdę. Okazuje się, że jakieś trzy tygodnie temu w kantorze zjawiała się „komisja śledcza”, nedorzecznosc, w osobach dwóch agentów, dziennikarza, trzech kobiet i tajemniczego wysokiego jegomościa, który nie został przedstawiony. Okazało się, że panie, które towarzyszyły policjantom, to medium i jasnowidzące. Zgodnie z informacjami miały odebrać wibracje miejsca i wskazać złodzieja. Słuchałem tego z taką samą miną, jaką widzę na twarzy hrabiego. Nie mogłem w to uwierzyć. Zapytałem nawet, czy te dwie wróżbitki to może panie ściągnięte z ulicy za nagabywanie przechodniów. Najwyraźniej funkcjonariusz nie zrozumiał sarkazmu, ponieważ potwierdził skwapliwie, że tak właśnie jest.

– Czy ta nawiedzona wizyta dała jakieś efekty? – zapytał Julian, uśmiechając się ironicznie.

– Nie miałem zamiaru dalej wypytywać policjanta i skierowałem się do panów Dziemby i Świeżego, żeby usłyszeć z ich ust tę relację. Otóż panie jasnowidzące zaczęły krążyć po kantorze, sali głównej, zapleczu, gabinecie, w którym prowadzone były rozmowy. Po chwili jedna z nich powiedziała, że widzi, jak złodziej siedzi na kanapie i liczy pieniądze.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie wziął tego chyba na poważnie? – zapytał Julian.

– Wręcz przeciwnie. Policja podeszła do tego aż nadto poważnie. Panowie współnicy powiedzieli mi, że już następnego dnia w ich domach zjawiała się silna grupa agentów mająca przeszukać ich domy. Przetrzęsnięto pokoje, kuchnie, zajrzano do przysłowiowej mysiej dziury, a potem zabrano się do mieszkań matek i siostr. Nie oszczędzono nawet lokalu należącego do szwagra pana Świeżego.

– Kto brał udział w rewizji?

– Oprócz policjantów, którzy dokonywali przeszukania, cała grupa, która przyszła do kantoru na... – Rosenblatt się zawahał. – Na seans. Kiedy wszyscy już myśleli, że sprawa przeszukiwania zakończona, jedna z kobiet poleciła wrócić do mieszkania pana Dziemby. Zgodnie z jego słowami chodziła po domu, jakby była u siebie. Nagle na stół stojący w jadalni narzuciła czarne sukno, na którym postawiła, niech hrabia słucha uważnie – mówiąc to, Rudolf zaśmiał się pod nosem – szklaną kulę. Wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę i w końcu powiedziała, że na tym stole były liczone pieniądze.

– Nikt nie przerwał tej farsy? – Julian był zniesmaczony postępowaniem policjantów.

– Nie, wręcz przeciwnie. Wróżbitka zażyczyła sobie, aby żona pana Dziemby usiadła naprzeciwko niej. Kiedy dama, bo pani Dziembowa nią jest, wreszcie usiadła na krześle, tamta kobieta zaczęła wpatrywać się w jej oczy. Nagle jasnowidząca zerwała się z krzesła i ruszyła wprost do szafy, mówiąc, że tam, tam są pieniądze. – Rudolf tak wczuł się w relację, że zaczął nawet naśladować kobiecy głos, doprowadzając tym Juliana do śmiechu.

– Przepraszam, nie powinienem się śmiać – zmitygował się Michałowski. – Ale tu można albo się śmiać, albo płakać. I znalazła skradzione pieniądze?

– Oczywiście, że nie. Nadal nikt jej nie powstrzymał. Nikt nie przerwał przeszukiwania. Kobieta wciąż się upierała, że pieniądze są to tu, to tam. Odsuwano biblioteczkę, kredens. Opukiwano ściany. Ktoś podsunął nawet pomysł, żeby zajrzeć do komina. W końcu pani Dziembowa nie wytrzymała

i zażądała, aby oszustkę zaarrestować.

– Czy przychylnono się do jej prośby?

– Nic z tych rzeczy. Sprawa zaczęła się coraz bardziej komplikować dla obu właścicieli kantoru, bo jeszcze tego samego wieczoru doszły do nich niepokojące informacje, że na policję zaprowadzono ich siostry.

– Niemożliwe, na jakiej podstawie?

– Jasnowidząca upierała się, że zrabowane pieniądze są w mieszkaniu. Zaczęto więc przeszukiwanie od początku. Kiedy i to nic nie dało, postanowiono zastraszyć te Bogu ducha winne kobiety. Gdy jednak obie panie dzielnie się spisywały na komisariacie, nie dając się sprowokować wróżce, ta ostatnia wpadła we wściekłość, co wzbudziło niezadowolenie komisji, bo tak zacząłem nazywać tę przedziwną grupę ludzi, którą wszak trudno nazwać zespołem śledczym.

– Sprawa od razu powinna zostać zamknięta, a osoby z kręgów policyjnych pociągnięte do odpowiedzialności. Wszak wiadoma ustawa zabrania stosowania praktyk wróżbiarskich i innych tego typu, nie mówiąc już o tym, że nikt myślący zdroworozsądkowo nie skorzystałby z usług wróżki czy jasnowidzki w sprawie o kradzież.

– Policja mówi, że to ekspertki.

– Ekspertki? – prychnął Julian. – Czy oni wszyscy postradali rozum?

– Zareagowałem dokładnie tak samo!

– Rudolfie, złożymy w sądzie stosowne pismo. Mam nadzieję, że wystarczy ono do oddalenia sprawy. – Julian wstał i podszedł do okna. Był to oczywisty znak dla Rosenblatta, że hrabia będzie dyktował. – Pisz więc: „Ustawa mówi, że oskarżony jest stroną w sprawie, a co za tym idzie, powinien być jej podmiotem, a nie przedmiotem, jak rzecz ma się w sprawie panów Andrzeja Dziemby i Mirosława Świeżego oraz ich wplątanych w nią krewnych, już nawet nie tylko współmałżonków, ale i sióstr czy szwagrów. W myśl paragrafu 202 kodeksu karnego nie ma pozwolenia na używanie jakichkolwiek gróźb czy środków przymusu, aby nakłonić podejrzanego do przyznania się do winy. Oskarżony pozostaje w prawie, jeżeli odmówi składania zeznań, a także udziału w eksperymentach. W naszej praktyce nie są nam znane środki poszukiwania dowodów przez wykorzystanie wróżek. Wręcz przeciwnie, policja, mając zgodnie z obowiązującą ustawą obowiązek ścigania wszelkiej maści wróżbitów, sama powinna zostać postawiona w stan oskarżenia i skazana prawomocnym wyrokiem za wykorzystanie osób, które zgodnie z przepisami powinny odsiadywać stosowny wyrok. Nie wyrażamy zgody na sposób, w jaki traktowani są klienci kancelarii Juliana Michałowskiego i Rudolfa Rosenblatta, a w szczególności nie wyrażamy zgody na przeprowadzenie jakichkolwiek dalszych rewizji, które są zgodne z prawem tylko wtedy, gdy zachodzi przypadek przewidziany w ustawie o postępowaniu karnym, a takiej podstawy nie ma w tym przypadku. Władza bezpieczeństwa powinna bezzwłocznie zawiadomić o swoim wykroczeniu właściwego prokuratora, a o ile nam wiadomo, do dziś nie wpłynął żaden dokument w tej sprawie, co tylko dowodzi słuszności naszych wniosków, że rewizje zostały przeprowadzone niezgodnie z prawem i bez wiedzy stosownych władz. Biorąc pod uwagę wszelkie niezgodności z procedurami, jakie miały miejsce w śledztwie, licząc od chwili zatrzymania panów Dziemby i Świeżego, zgłaszamy wniosek o uwolnienie ich od postawionego oskarżenia i umożliwienia im wzięcia udziału w sprawie z wolnej stopy. Jednocześnie zwracamy się z prośbą, aby organy ścigania w krąg osób podejrzanych włączyły tajemniczego przedsiębiorcę i po sporządzeniu portretu pamięciowego rozpoczęły jego poszukiwania, jako podejrzanego o próbę wyłudzenia znacznej kwoty pieniężnej poprzez oskarżenie o kradzież dwóch niewinnych ludzi”.

Julian zamilkł. Rosenblatt pisał jeszcze przez chwilę, aż wreszcie strzepnął rękę, chcąc pozbyć się tego dziwnego zeszytnienia, które dopadało go zawsze, kiedy dłużej pisał.

– Aż trudno w to uwierzyć, żeby policjanci dali się wciągnąć w taką farsę – powiedział Rudolf, zamykając notatnik. – Hipnoza, medium, jasnowidz. Kto to widział?

– Obawiam się, że jeszcze nie raz zostaniemy w ten sposób zaskoczeni, ale dość już o tym. Mam nadzieję, że nasze pismo spełni swoją rolę. Myślę, że sędzia nie będzie chciał zainteresować tym gazet. Rozmawiając z nim przy okazji składania pisma, możesz napomknąć, że cudem udało nam się powstrzymać wzburzone małżonki oskarżonych przed podzieleniem się z dziennikarzami tym,

co wyprawia się w gmachu policji i sądownictwie. Nie wiem jednak, jak długo panie zechcą nas słuchać, a najbardziej uporczywy jest ten pismak z „Czasu” czy tam „Nowości Ilustrowanych”.

– Doskonale, doskonale – mamrotał Rudolf, wychwalając spryt hrabiego.

– Interesuje mnie znacznie bardziej, co udało ci się wskórać w sprawie Helenki Morawskiej. Przy okazji jestem ci niezwykle wdzięczny za pomoc. Rodzinne zawirowania, tak u mnie, jak i u Eleonory, -absorbują mnie znacznie bardziej, niżbym się tego spo--dziewał.

– Helenka bardzo niedobrze znosi pobyt w schronisku. To z pewnością przemawia na korzyść hrabiego, że chce ją przysposobić. Nie przekonuje jednak urzędników fakt, że jest pan nieżonaty.

– Ależ będę! – wykrzyknął Julian.

– Przekonywałem, ale najwyraźniej nie dali wiary. Sądzę, że dobrze by było, gdyby hrabia pofatygował się do urzędu osobiście. Mam dziwne wrażenie, że pojawienie się hrabiego przypieczętuje decyzję o możliwości oddania Helenki pod pana opiekę.

Julian podziękował Rudolfowi. Odwrócił się w stronę okna. Eleonora jeszcze nie wróciła z dyżuru, a tymczasem na dworze zrobiło się ciemno. Zerknął na zegarek. Najchętniej pojechałby po nią, ale Nora była uparta i stanowczo zabroniła.

– Nie ma sensu, żebyś podjeżdżał, kiedy nigdy nie wiadomo, o -której skończę. Obiecuję, że złapię taryfę.

Wciąż się wahał, czy jednak nie zrobić jej niespodzianki, kiedy pod dom zajechała taksówka. Odetchnął, widząc wysiadającą Eleonorę. Jak najszybciej chciał jej przekazać nowiny związane z Helenką. Obiecał sobie, że jutro, tak, jutro do południa pójdzie do urzędu załatwić niezbędne formalności.

\*\*\*

– Przepraszam, że wyciągnąłem cię z domu, z ramion Rozalii. – Błaznował Augustyn, patrząc na siedzącego przy jego łóżku Eryka. – Masz kilka dni wolnego i zamiast cały ten czas poświęcać żonie, musisz siedzieć przy łóżku kaleki.

– Nie będę tego komentował – odparł Zdanowski. – Jak się czujesz? – zapytał już łagodniej.

– Trochę lepiej. Fizycznie, podkreślam fizycznie. Dużo wody upłynie w Wiśle, zanim zdołam się z tym pogodzić – mówiąc to, Augustyn wymownym ruchem głowy wskazał na kołdrę okrywającą jego nogi.

Eryk podążył za jego wzrokiem. Pod przykryciem wyraźnie -odcinała się pustka, którą normalnie zajmowały łydki i stopy.

– Wiesz, że miałem lekarzom za złe, że mnie uratowali. Myślałem, żeby ze sobą skończyć. Nie zależało mi na tym, co poczują rodzice, chciałem mieć to z głowy. Po co żyć bez nóg, powtarzałem sobie. Popłaczą, potęsknią, ale w końcu mają jeszcze ciebie. I ojciec, i matka traktują cię jak syna, więc wypełniłbyś im pustkę po mnie. Nie, nie przerywaj. Od chwili, kiedy wydobrzałem na tyle, żeby o czymkolwiek myśleć, szukałem okazji, ale nie jest tak łatwo ze sobą skończyć, żeby to zrobić, trzeba mieć dużo odwagi. A mnie tej odwagi zabrakło. I dobrze. Dziś dziękuję Bogu, że okazałem się tchórzem. Nie, oprzytomnienie nie przyszło za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale najwyraźniej ktoś tam nade mną czuwa. – Augustyn spojrział w sufit, dając Erykowi do zrozumienia, że mówi o niebie. – Do mojego pokoju przywieźli młodego chłopaka. Trochę starszy, może nieco młodszy. Nieważne. Nie wiem, jak się to stało, ale stracił nie tylko prawie całe obie nogi, ale i rękę. Patrzyłem na niego z politowaniem takim samym, jakim codziennie obrzucałem siebie, spoglądając w lustro podczas porannej toalety. Modliłem się, żeby dobry Pan zlitował się nad nami i zabrał nas do siebie. Jego i mnie. Pewnego dnia ten chłopak, do tej pory milczący, spojrział na mnie. I mówi, że widzi, jak go obserwuję. Że widzi pogardę i politowanie w moich oczach i wie, jak bardzo siebie nienawidzę. Było mi wstyd. Chciałem odwrócić wzrok, nie chciałem na niego patrzeć ani go słuchać, ale on miał to gdzieś. Cały czas mówił. Że jest wdzięczny za to, że żyje. Że myśli o chwili, kiedy lekarze wypiszą go do domu, bo tam czeka na niego kochająca rodzina. Cały czas mówił. A ja z każdym kolejnym jego słowem zaczynałem rozumieć, jakim byłem idiotą. W końcu nie wytrzymałem i powiedziałem mu, żeby się zamknął, bo nie ma się z czego cieszyć. A on mi na to, że z życia zawsze trzeba się cieszyć, bo to dar. Myślałem sobie, że plecie

farmazony, ale potem, kiedy przenieśli go na inną salę, zacząłem wspominać jego słowa. I doszedłem do wniosku, że ten przemądrzały gnojek miał rację. Życie jest darem. Może już nigdy nie będę chodził, ale mogę jeździć na wózku. Gdybym umarł, teraz pewnie obrabiałoby mnie robale. Już nigdy nie usiądę za sterami samolotu, ale kto powiedział, że nie mogę nim latać. Nigdy nie poprowadzę samochodu, ale pewnie poznam jakąś miłą damę, taką jak twoja Rozalia, i ona zabierze mnie w siną dal. Gdybym się zabił, ominęłoby mnie całe to piękno.

– Kiedy powiedzieli mi o twoim wypadku, nie wiedziałem, co robić – zaczął Eryk. – Byłem u ciebie w szpitalu, ale mnie nie wpuścili. Przyjechałem do Krakowa. Trochę narozrabiałem, ale koniec końców wszystko się ułożyło. Niemniej jednak wciąż się bałem, że ktoś przyjedzie do szkoły i powie, że ty... – Eryk nie potrafił tego wypowiedzieć. – Ale przez myśl mi nie przeszło, że ktoś mógłby się zjawić i przekazać to, czego tak się bałem, bo sam pozbawiłbyś się życia. Chłopie – powiedział głośniej – co ty miałeś w głowie?

– Sieczkę – zażartował Augustyn.

Roześmiali się już swobodniej. Atmosfera zrobiła się luźniejsza.

– No więc, tak sobie leżę i rozmyślam. Dochodzę do wniosku, że przychodzą mi do głowy całkiem pyszne rozwiązania. Właśnie o jednym z nich chciałem z tobą pomówić. Rozmawiałem już o tym z rodzicami. Nie widzą przeszkód. Ojciec nawet przychylił się do mojej propozycji.

– Poczekaj – poprosił Zdanowski. – Muszę o to zapytać. Jeżeli oczywiście nie będziesz mógł, chciał albo po prostu nie będziesz czuł się na siłach, żeby o tym rozmawiać, powiedz. – Eryk zamilkł na chwilę.

Augustyn skinął głową. Już wiedział, o co chce zapytać jego przyjaciel.

– Jak? Jak...

– Tamtego dnia pogoda była wręcz wymarzona. Nie mogłem usiedzieć na miejscu, tak rwałem się do tego lotu. Mieliśmy latać na awiatiku. Wiesz, sprowadzono je do szkoły po wojnie. Takie zdobyczne. Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, pułap cztery tysiące pięćset metrów. Czekałem jeszcze na kapitana pilota Wiktora Langa, świeć, Panie, nad jego duszą. Na początku wszystko szło jak z płatka. Cieszyłem się z tego lotu jak dziecko. Nie wiem, czy to z podekscytowania, czy z niewiedzy, nawet nie zauważyłem, jak zaczynamy wchodzić w korkociąg. Kapitan robił wszystko, żeby nas z niego wyprowadzić, i już prawie mu się udało. Odetchnąłem z ulgą, on też, ale chyba za szybko odtrąbiliśmy sukces, bo samolot nagle zaczął tracić wysokość. Ciągnęliśmy w górę, lecz ta kupa żelastwa runęła na ziemię z prawie dziesięciu metrów, grzebiąc kapitana pilota pod sobą. Był w naszym wieku, ale miał znacznie więcej doświadczenia, które zdobył na wojnie. Podczas tego lotu opowiedział mi nawet, że dostał się do niewoli, jednak jakimś cudem, a może sprytem, udało mu się uciec i przez Bawarię i Wiedeń wrócił do Polski, do Poznania. Spisał tę swoją historię w książce *Ucieczka oficera lotnika z niemieckiej niewoli*. Gdyby nie leciał ze mną... – Augustyn zamilkł na chwilę. – Walka na froncie go nie zabiła, za to lot ze mną tak.

– Dobrze wiesz, że to nie twoja wina. Na twoim miejscu mógł być inny uczeń.

– Tak, ciągle sobie to powtarzam, choć wtedy zaczynam się zastanawiać, że może ten inny uczeń byłby mądrzejszy, sprawniejszy i wyszliby z tego cało. W każdym razie jemu się nie udało. Ja straciłem nogi i do końca życia będę się zastanawiał, co by było, gdyby... Ale dajmy już temu spokój, bo nie po to zaprosiłem cię do siebie. Pewnie jesteś ciekaw, o czym dyskutowałem z rodzicami? – Eryk nie odpowiedział.

Zresztą Augustyn wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy ojciec powiedział mi, jak słałeś do niego list za listem z tymi wszystkimi prośbami. Wzięło cię jak nic. – Zaśmiał się Grimm. – A trzeba było nie wciągać jej do taksówki, to wciąż mógłbyś sobie poużywać.

– Żartowniś – burknął Zdanowski.

– O, widzę, że nie tylko wolności pozbawiła cię żeniaczka, ale i humoru. Dobra, już dobra. – Augustyn uspokajająco uniósł dłonie. – Żałuję, że nie mogłem być na waszym ślubie. Miałem nadzieję, że będę twoim świadkiem. Cóż, widać życie chciało inaczej, ale nie myśl, że kiedy mnie ustrzeli strzała Amora, wywiniesz się od tego obowiązku.

– Nie pozbędziesz się mnie. Będę ci świadcował, nawet jak mnie nie zechcesz – zaśmiał się Eryk. Cieszył się, że Augustyn jest w dobrym humorze.

– Nie mam zamiaru wracać już na Krótką. Nie dam rady mieszkać sam, przynajmniej na początku, a zresztą tamtejsze strome schody są dla mnie w tej chwili barierą nie do pokonania. Gdybyś się nie ożenił, mieszkanie zostawiłbym tobie, ale przecież nie zamierzasz tam mieszkać, prawda?

– Chyba tylko jeśli Rozalia chciałaby się mnie pozbyć.

– To wtedy będziesz musiał wpaść tu, bo postanowiłem mieszkanie sprzedać – powiedział Augustyn. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – Eryk pokręcił głową.

Jakże mógł mieć pretensje do Grimmów. W końcu to było ich lokum i mogli zrobić z nim, co tylko chcieli. W zasadzie takiego obrotu sprawy się spodziewał. Mogli jeszcze wynająć kawalerkę, ale znając wuja Eugeniusza, wolał pozbyć się kłopotu, niż zamartwiać nieznośnymi lokatorami. A czasy były dziś niepewne. Wszędzie trafiali się oszuści, naciągacze i malwersanci. Trafić na uczciwego człowieka to jak wyciągnąć szczęśliwy los na loterii.

– Dobrze, że podjęłaś taką decyzję. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie – dodał Eryk po chwili.

– Ja też tak uważam, zwłaszcza że pieniądze, nawet całkiem dobre, ba, powiedziałbym bardzo dobre, ulokowałem na koncie na twoje nazwisko. – Augustyn zamilkł, czekając na reakcję przyjaciela.

Sens słów dopiero po chwili dotarł do Eryka.

– Oszalałaś? – zapytał zdumiony.

– Nie. Moi rodzice także nie. Od razu poparli mój pomysł. Nie traktuj tych pieniędzy jak jałmużny, bo widzę po twojej minie, że tak właśnie myślisz. Chociaż pieniądze są na koncie otwartym na twoje nazwisko, upoważniłem także Rozalię do niego, jako twoją małżonkę, a wpłacone tam środki są moim i moich rodziców prezentem ślubnym. Nie, nie dyskutuj. Masz przyjąć ten podarunek i cieszyć się z niego.

– Nie wiem, co powiedzieć? – odparł wzruszony Eryk.

– Wystarczy proste „dziękuję” – odpowiedział Augustyn.

– Dziękuję – zawtórował mu Zdanowski. – Dziękuję – powtórzył, przełykając wzbierające w gardle wzruszenie.

– No to sprawę ślubu możemy uznać za zamkniętą.



## Rozdział 13

– Spójrz, ciociu – zawołała Magdalenka, w te pędy wysiadając z samochodu, który prowadził Eryk.

Sobota 6 listopada była wyjątkowo słoneczna, dlatego kiedy rodzina Zdanowskich pakowała się wczesnym rankiem do samochodu, zdecydowali, że najpierw zajadą na zamek w Wiśniczu, a dopiero potem udadzą się na folwark Rozalii, w którym od kilku miesięcy mieszkali rodzice Eryka.

– Tak się cieszę, że zobaczę Jacka, wiesz? – paplała Madzia. – Jakoś tak dziwnie było bez niego. Och, Eryku – zwróciła się do brata, nie interesując się na razie majestatyczną budowlą. – Nie mówiłam o tym, bo przecież nie było kiedy, ale tak się bałam o Jacka. Kiedy ciocia Eleonora powiedziała, że znalazła go rannego... – Bródka Magdaleny zadrżała, a w oczach pojawiły się łzy.

– No, już dobrze. – Rozalia przytuliła dziewczynkę do siebie. – To było dawno i Jacek ma się dobrze, zwłaszcza teraz, kiedy jest pod czujnym okiem mamy i taty.

– Pisał ostatnio, że najbardziej podobają mu się konie – zagadnęła Madzia, uśmiechając się szeroko. – Ja tam wolę pieski. Ciociu, a czy tam są pieski?

– I pieski – zaczęła Rozalia – i króliki, i kury. Nie będziesz się nudzić.

Eryk pokiwał głową, uśmiechając się szeroko do Rozalii.

– Zapytała o pieski, ale o rodzeństwie już nie pomyślała – szepnęła żonie do ucha.

Wciąż oswajał się z tą myślą. Kilka dni temu przyjechał do domu. Nigdy nie czuł się tak dobrze. Nareszcie miał wrażenie, że jego życie stało się pełne. Wszystko było na swoim miejscu. Uwielbiał budzić się i zasypiać przy boku Rozalii. Uwielbiał pomagać przy domostwie. Dom, w którym mieszkała, tylko powierzchownie wyglądał dobrze. Od lat nikt nic przy nim nie robił. Wiele rzeczy wymagało naprawy, remontu, reparacji. A on dzięki temu czuł się potrzebny. Nie miał wrażenia, że jest darmozjadem na utrzymaniu żony. Spojrzał na Rozalię, która trzymając Madzię za rączkę, szła o kilka kroków z przodu, podziwiając potężne zamczysko. Musiał z nią porozmawiać. Chciał o wszystkim napomknąć już Augustynowi, kiedy ten zaprosił go do siebie, żeby przekazać tak niezwykłą nowinę o hojnym ślubnym podarunku, ale w końcu zrezygnował. Wolał go nie denerwować, a wiedział, że ta nowina z pewnością wyprowadziłaby go z równowagi. Zastanawiał się, jak zareaguje Rozalia. Zdecydował, że powie jej o wszystkim, kiedy dotrą do folwarku i kiedy wieczorem w końcu zostaną sami.

– Czyż nie jest zjawiskowy? – zapytała Zdanowska, odwracając się do Eryka.

– Niezaprzeczalnie.

Przystanął, żeby w spokoju spojrzeć na wznoszące się przed nim architektoniczne cudo. Jak to możliwe, że ludzie potrafili wznosić kiedyś takie budowle, pomyślał.

Weszli na dziedziniec. Eryk podszedł do niewielkiej tabliczki, na której widniały najważniejsze informacje o zamczysku.

– Zbudowano go w XV wieku – zaczął czytać. Rozalia słuchała go uważnie, ale Magdalenka kręciła się dookoła niczym fryga, zadzierając głowę. – Początkowo miał tylko jedną wieżę, później dobudowano kolejne. Tam – wskazał Eryk – od strony południowo-zachodniej znajduje się dom mieszkalny. Twierdza zajmowała ponad tysiąc pięćset metrów kwadratowych powierzchni.

– Nie jestem sobie w stanie tego wyobrazić – wtrąciła Rozalia.

– Ach, to jeszcze nic, ponieważ to, co oglądamy dziś, to znacznie więcej, gdyż zamek uległ rozbudowie w kolejnych wiekach. Powiększono pomieszczenia mieszkalne oraz obwarowania. To dzięki jednej z takich przebudów dziś podziwiamy ten piękny dziedziniec. Możemy udać się do wieży czworobocznej, przy której jest kaplica zamkowa z kopułą. Miałbym ochotę wejść do środka i się pomodlić. Mam w końcu za co dziękować.

Rozalia skinęła głową. Madzia trochę kręciła nosem, ale w końcu pomaszerowała razem z nimi. W kaplicy nie było nikogo.

– W takich miejscach od razu czuje się minione wieki, prawda? – szepnęła Zdanowska.

Miała wrażenie, że jej głos rozszedł się echem po całym pomieszczeniu. Eryk skinął głową

na potwierdzenie. Usiedli na jednej z ławek. Modlitwa była krótka, ale w przypadku Zdanowskiego intensywna.

Z kaplicy ruszyli w stronę ogrodów. Spacerowali powoli, podążając za wskazówkami. Był więc ogród warzywny i kwiatowy, który niestety o tej porze roku nie zachwycał feerią barw i zapachów. Dalej była dolina Leksandrówki, gdzie rosły rozłożyste drzewa, zapewniając cień i chłód w upalne dni. Ogród w południowej części przypominał winnicę. W sezonie pyszniły się tu rośliny ozdobne, które wieki temu sprowadzono z Holandii za pośrednictwem gdańskich kupców.

– Kiedyś, jak się dowiedziałem z opisu, w części zachodniej zamku umieszczono niewielki zwierzyniec – opowiadał Eryk, kiedy powoli wracali do samochodu. – Trzymano w nim jelenie, łosie, a nawet niedźwiedzie. Dalej była ogromna woliera.

– Co to jest woliera? – zapytała Madzia, słuchając w skupieniu.

Rozalia przyglądała się dziewczynce. Nie sposób było nie zauważyć, że starszy brat był dla niej wzorem. Już dawno zapomniała o wybuchu Eryka, kiedy wystraszona zaczęła płakać. Była w niego wpatrzona jak w obrazek.

– To miejsce, gdzie trzyma się ptaki. Taka – Eryk zrobił charakterystyczny ruch rękoma, mający pokazać rozmiar ptaszarni – ogromna klatka. Oddzielnie prowadzono bażantarnię. Dziś nie pozostał ślad po zwierzyni. Jedynie mały domek, zapewne łowczego.

Kiedy odjeżdżali, Magdalena wciąż wpatrywała się w bryłę zamczyska.

– Chciałabym być królową – odezwała się nagle rozmarzonym głosem.

– A wiecie, że z zamkiem związana jest legenda. Podobno przy jego budowie zatrudniano jeńców tureckich i tatarskich. Zostali oni wzięci do niewoli po bitwie pod Chocimiem. Długo czas zastanawiali się, jak zbiec swojemu nowemu panu. W końcu skonstruowali skrzydła, które przypięli sobie do pleców i ramion. Startowali z góry zamkowej. Niestety, niczym Ikar, nie zalecieli daleko. Miejsca, w których upadli, upamiętniono specjalnymi kolumnami. Jedną z nich będziemy mijać po drodze. Stoi w Kopalinach.

– Kiedy byłam tutaj na wiosnę, róże były już w rozkwicie – mówiła Rozalia, wskazując na rozłożyste krzaki królowej kwiatów obrastające przybudówki i stojący z boku głównego domu pawilon.

– Nie spodziewałem się, że jest taki piękny. – Eryk zatrzymał się przy samochodzie.

Z podziwem spoglądał na folwark, który kiedyś należał do Tojewa. Jego zadumę zmąciło radosne pokrzykiwanie. W ich stronę biegł Jacek, zaraz za nim pozostałe rodzeństwo, a dalej powoli szli rodzice. Przywitanie było radosne i długie. Na koniec jednak Rozalia i Eryk musieli pokornie wysłuchać pretensji, jakie zgłosili państwo Zdanowscy z powodu nagłego i niezapowiedzianego ślubu, o którym dowiedzieli się dopiero długo po fakcie. Państwo młodzi przeprosili pokornie, zapewniając, że sytuacja już się nie powtórzy, co wprawiło wszystkich w doskonały nastrój. Po przywitaniu z panem Matuszkiem oraz jego żoną Rozalia porwała Eryka, chcąc pokazać mu domostwo.

– Pan Matuszek podczas poprzedniej wizyty wziął na siebie rolę przewodnika. Teraz ja nim będę, chyba że wolisz naszego zarządcę? – zapytała Rozalia z błyskiem w oku.

– Jeśli już, to panią Matuszkową – roześmiał się Eryk, a Rozalia dała mu kuksańca w bok.

– Od pana Matuszka dowiedziałam się, że wszystkie budynki – mówiąc to, zrobiła ruch ręką, zataczając koło – posadowione są na planie kwadratu. A tu, pośrodku, jest studnia. Kiedyś był jeszcze wodopój, ale wiele lat temu został przeniesiony w bardziej dogodnym miejscu. Niedługo przed śmiercią Tojew polecił wymienić bruk, dlatego ten, którym wjechaliśmy na teren folwarku, wygląda tak okazale. – Rozalia prowadziła Eryka pod ramię.

Cieszyła się, że pogoda sprzyja spacerowi. Słońce wciąż było na tyle wysoko, że grzało ich swoimi promieniami, a wiatr, który dokuczał mieszkańcom Krakowa jeszcze przedwczoraj, wreszcie ucichł. Od strony ogrodu dolatywał zapach palonych liści, których pod koronami drzew z dnia na dzień zbierało się coraz więcej.

– Ten zapach zawsze przypomina mi dzieciństwo. – Eryk nabrał głęboko powietrza. Odetchnął. – Kiedy byłem mały, wtedy było jeszcze szczęśliwe – mówił ze smutkiem w oczach. – Dopiero potem wszystko zaczęło się psuć. Ojciec zaczął pić i bić. Ale widzę, że tu chyba się odnalazł. Rodzice, podobnie

jak reszta, wyglądają na szczęśliwych. Jacek też dobrze się tu czuje. Chyba?

– Tak. Ostatnio rozmawiałam z Julianem, który niedawno był tu z Eleonorą. Wpadli na kilka godzin. Od kiedy Julian odebrał zamówionego fiata, chciałby wciąż siedzieć za kółkiem. Przyjechali wypytać o powrót Jacka do Zakrzówka. Julian wziął go także na stronę. Na poważną rozmowę. Chciał się dowiedzieć, czy jest sens naciskać na to, żeby Jacek bardziej zainteresował się prawem, ale twój brat raczej widzi się na roli.

– Tak, od dziecka uwielbiał zwierzęta. Zawsze żałował, że nigdy nie mieliśmy ani psa, ani nawet kota, ale wiesz, przy ojcu... – Eryk nie dokończył.

Nie musiał. Rozalia doskonale wiedziała, co chce powiedzieć.

– W każdym razie mój brat – mówiła dalej – nie będzie naciskać. Wręcz przeciwnie, zapewnił Jacka, że jeżeli zajdzie taka potrzeba, to pomoże mu dostać się na studia na agronomię. Czyż to nie przewrotność losu? – zapytała filozoficznie Rozalia. – Pamiętam naszego ojca, jak rzucał się z bezsilności, chcąc namówić Juliana na studia rolnicze. Prosił, błagał, w końcu posunął się do szantażu, a kiedy Julian i tak nie ustąpił, pozbawił go gotówki. Myślał, że to sprawi, że syn zmieni zdanie, ale Julian zawsze był uparty. Mimo wszystko wyjechał do Paryża. Przez jakiś czas utrzymywał się ze spadku po dziadku, a potem zaczął pracować. Teraz widzę, jak on pragnie zaszcześcić w Jacku miłość do prawa, chociaż ten nie jest jego synem, ale mam wrażenie, że trochę tak go traktuje, a ten uparcie trzyma się ziemi, roli i zwierząt.

– Jestem Julianowi niezmiernie wdzięczny za opiekę, jaką roztacza nad Jackiem. To zdolny chłopak. Urwis i trzpiot, ale zdolny. Czasami udaje, zgrywa się na głupca, lecz wbrew pozorom dużo wie. Uwielbia czytać. Od zawsze. Sięgał po książki, kiedy tylko mógł. Szkoda by było, gdyby nie wykorzystał swojego potencjału. Wuj Eugeniusz lubił mi powtarzać, że jeżeli ma się głowę na karku i dryg do nauki, to nie należy z tego rezygnować, bo wiedza zawsze, prędzej czy później, przyniesie korzyści.

– Jakbym słyszała Eleonorę. Jej wuj, który jest profesorem na -uniwersytecie, a czasami i ojciec też lubili jej to powtarzać.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu, ciesząc się własnym towarzystwem. Rozalia mocniej wtuliła się w męża. Czuła się przy nim bezpiecznie. Chciała na zapas nacieszyć się jego obecnością. W końcu za chwilę znowu miał wyjechać.

– Tam kiedyś było mieszkanie pisarza – powiedziała po chwili, wskazując na małą przybudówkę. – A dalej widzisz magazyn zbożowy, kolejny magazyn, stajnia, wozownia, w której wciąż stoi bryczka, chociaż od dawna nie jest używana. Obora, a od zachodu szopy na narzędzia, stodoła, chlewnia i kuźnia, dziś już nieczynna, bo i kowala brak. Tojew opowiadał mi, że jeszcze kiedy był nastolatkiem, dwór roił się od pracowników. Był wspomniany pisarz, zarządca, furman, oborowy, kilkunastu fernali, stelmach, kowal, chlewnistrz, stróż i gajowy. Dziś jest zarządca, paru pomocników, w tym twój ojciec, oraz kilka osób służby w domu. Czasy się zmieniają.

– Kiedy byłem dzieckiem, przechodziłem niekiedy obok dworów albo większych domów, jak choćby dworek Pod Pawiem na Zwierzynieckiej. Lubilem tamtędy chodzić. Czasami nadkładałem drogi, zmierzając po sprawunki, po które wysyłała mnie matka. Stawałem przed tym szerokim płotem, który odgradzał dwór od ulicy, i zerkalem w stronę furtki, zastanawiając się, jak by to było wejść do tego malutkiego ogrodu, pełnego kwiatów w lecie. Od ich barw bolały oczy, a od zapachu kręciło się w głowie. Ileż tam było pszczoł – wspominał Eryk z uśmiechem na ustach. – Zawsze zastanawiałem się, jak to jest mieszkać w takim domu. Jak toczy się tam życie. Jak? – spojrzał -pytająco na Rozalię.

– Chciałoby się powiedzieć spokojnie... – odparła, wpatrując się w prześwit między domami, zza których wyłaniały się rosłe drzewa. – Ojciec był gospodarzem i głową rodziny. Pamiętam, że w salonie stał jego ulubiony fotel, który potem przeniesiono do gabinetu. Matka zawsze nas strofowała, kiedy pozwalaliśmy sobie na nim siadać, ale tylko pod nieobecność ojca. Matka zajmowała się doglądaniem spraw domowych. Był taki czas, kiedy przy pasku nosiła pęk kluczy, które symbolizowały władzę nad domem, ale kiedyś ojciec powiedział, żeby zarzuciła ten zwyczaj. Ciężko było jej przyjąć do wiadomości, że pewne rzeczy się zmieniają, jednak w końcu klucze znalazły miejsce w szafce w sieni. Pamiętam też, że przez jakiś czas mieszkał z nami dziadek, ojciec papy. Zostawił

gospodarstwo w rękach hrabiego Michałowskiego, ponieważ nieco już słabował. Choroba pogłębiała się coraz bardziej. Zmarł, kiedy byłam dorastającą panną. Bardzo dobrze go wspominam i czasami tęsknię za jego żartami i czułością, jaką nam z Julianem okazywał. Pamiętam, że kiedyś szepnął mi w tajemnicy, że wszyscy dziadkowie dlatego tak rozpieszczają swoje wnuki, ponieważ w ten sposób pragną odpokutować twardą rękę, kiedy byli rodzicami.

– Coś w tym jest – zgodził się Eryk.

– U nas nigdy nie było dużo dzieci, tak jak chociażby u znajomych rodziców, którzy w okresie świątecznym od czasu do czasu nas odwiedzali. Matka przeżywała wówczas prawdziwe katusze. Nie przepadała za wydawaniem przyjęć i przyjmowaniem gości, ale ojciec, kiedy był młodszy, podtrzymywał tradycję dziadka, żeby co kilka lat sprosić znajomych na przedświąteczne albo noworoczne polowanie. W domu panował wówczas straszny rozgardiasz, na który matka patrzyła z przerażeniem. Staraliśmy się wtedy z Julianem nie wchodzić jej w drogę. Zresztą ojciec też unikał jej jak ognia. Kiedy goście wyjeżdżali, matka zawsze powtarzała: „to już po raz ostatni, Aleksandrze”. A ojciec tylko kiwał głową i na drugi albo trzeci rok znowu spraszał towarzystwo. Kiedy zaczął się okres nauki, przez pierwsze lata pobieraliśmy lekcje w domu. Potem Julian poszedł do prywatnej szkoły i dalej do prywatnego liceum, które dało mu doskonale podstawy do pójścia na studia. Ja, zgodnie z życzeniem niepostępowej matki tradycjonalistki, przygotowywana byłam do roli uległej żony i matki. Rozumiem, jak bardzo hrabina Michałowska musi być mną rozczarowana... – Rozalia przełknęła tworzącą się w gardle gulę.

Pomimo upływu lat wciąż nie potrafiła zrozumieć nastawienia matki wobec niej. Jak mogła zmusić ją do poślubienia Tojewa. Najwyraźniej Eryk czytał w myślach Rozalii jak w otwartej księdze, ponieważ -odwróciwszy ją do siebie, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

– Cieszę się, że matka wydała cię za Tojewa. Przepraszam za lata, które z nim spędziłaś, ale gdyby pozwoliła ci wybrać męża samodzielnie, pewnie wyszłabyś za mąż z miłości i tym ukochanym nie byłbym ja.

Usta Rozalii uniosły się do góry. Eryk pochylił się i pocałował ją delikatnie.

– Czy mamy tu osobną sypialnię? – szepnął jej do ucha, całując jego płatek.

– Nie, będziemy spali we wspólnej izbie – zażartowała Rozalia, a widząc jego zaskoczoną, a może nawet przerażoną minę, parsknęła śmiechem. – Wracając do życia na dworze – zaczęła mówić, żeby odciągnąć Eryka od psotnych zamiarów. – Nasz dom jest dość duży, dlatego kuchnia znajduje się w osobnym budynku, podobnie jak tu – mówiąc to, wskazała na małą przybudówkę, z której komina unosiła się smuga szarego dymu. Główny budynek miał podział na pomieszczenia do przyjęć i pokoje prywatne. Ponieważ dziadek za młodu dużo podróżował, jeszcze za życia pradziadków kazał zburzyć stary dwór, w którym pokoje były w układzie amfiladowym, i wznieść nowy, na modłę zachodnią, gdzie pokoje znajdowały się po obu stronach korytarza, zapewniając w ten sposób więcej prywatności.

– Mielicie służbę, prawda? – zapytał Eryk.

– Tak, do dziś kilka osób, które pracują we dworze, tak na gospodarstwie, jak i w domu, mieszka w oficynach znajdujących się tuż obok budynku głównego. Najbardziej ze wszystkich pomieszczeń lubiłam piwnice. Nie śmieję się. Naprawdę, uwielbiałam do nich schodzić, ale nie po to, żeby się tam chować, tylko patrzeć na te wszystkie zapasy i napawać się ich zapachem. Wina ojciec przechowywał w wielkich dębowych beczkach. Były też nalewki, które miały swoje lata, bo ponoć robiła je jeszcze prababka. Było też kilka przygotowanych osobiście przez babkę, matkę papy, ale później zwyczaj ten zarzucono, ponieważ moja matka nigdy nie zniżyłaby się do tego, aby ubrudzić sobie ręce i wejść do kuchni.

– Czyżbym słyszał sarkazm i nutę przygany? Nieładnie, pani Zdanowska, nieładnie. – Uwielbiał nazywać ją w ten sposób, wciąż bowiem napawał się dźwiękiem swojego nazwiska przy imieniu Rozalii.

– Nie miałaś okazji pomieszkać z panią hrabiną, ba, do tej pory nie miałaś okazji, żeby poznać ją osobiście, choć ojciec już kilka razy pytał, kiedy zamierzamy pojawić się na rodzinnym obiedzie, więc wierz mi, gdybyś miał taką sposobność, z pewnością nie naigrawałbyś się teraz ze mnie.

– Kiedy więc wybieramy się na proszony obiad? – Eryka nie opuszczał dobry humor.

– Jesteś na to gotowy?

– Od dawna. Od dnia, kiedy zostałam moją żoną. Masz tak bojowy charakter, że żaden wróg nie jest mi straszny przy twoim boku.

– Czy ty potrafisz być choć przez chwilę poważny? – zapytała lekko zdenerwowana Rozalia.

– Chciałabys męża smutasa?

– W takim razie zapowiem się na obiad bożonarodzeniowy. Przekonasz się, jak rodzinie i przytulnie potrafi być u państwa Michałowskich. – Rozalia była wzburzona.

Przypomniała jej się ostatnia kolacja wigilijna, jak matka ją wtedy potraktowała, a potem jeszcze obrzuciła Eryka obelgami. Zdanowski przytulił ją mocno do siebie, kołyszając w ramionach niczym pogrążone w żalu dziecko.

– Oprócz wina były tam też inne zapasy. Góry zapasów. – Rozalia, uspokoiwszy się nieco, wysunęła się z objęć męża. – Podobnie było na strychu, ale chociaż przechowywano tam bochny pachnącego chleba, mąkę czy jabłka, nie lubiłam w to miejsce zaglądać, ponieważ Julian nastraszył mnie kiedyś, mówiąc, że błąka się tam duch pewnego robotnika, który zginął przy naprawie dachu. Nie będę cię zanudzać umeblowaniem. Wystarczy, że powiem, iż Józefa Michałowska ma bardzo wysokie standardy. Niektóre meble ojciec sprowadził aż z Londynu, a wszystko po to, żeby hrabina była zadowolona. W salonie, zwłaszcza zimą, a już szczególnie w okresie Bożego Narodzenia, kiedy choinka była już ustrojona i jej świeży leśny zapach rozchodził się po całym domu, lubiłam siedzieć przy kominku. Drwa trzaskały tak wesoło, a ogień wyglądał, jakby tańczył w rytm tylko sobie znanej muzyki. Mieliśmy w domku kilka kominków i kożę. Nad niektórymi ojciec polecił zamontować specjalne łańcuchy, na których wieszaliśmy czajniki, żeby zagotować wodę. Kiedy przychodziło lato i kominek stał bezużyteczny, matka albo zastawiała go fikuśnym parawanem, wykonanym specjalnie na jej polecenie w pracowni kowalstwa artystycznego, ponieważ imitował pawia z rozpostartym ogonem, albo wydawała pokaźne kwoty na grube świece, które czasami zapalała wieczorami. Gdy byłam mała, ojciec zarządził przebudowę jednego z pokoi na łazienkę z toaletą. Do tamtej pory wannę wstawiano do pokoju, kiedy chcieliśmy się wykapać, a żeby nie wychodzić na zewnątrz do wychodka, używaliśmy nocników. Bardzo się tego wstydziłam. Było mi przykro, że ktoś musi wynosić moje... No wiesz. – Rozalia oblała się rumieńcem. Eryk tym razem nie pokusił się o zabawny komentarz. – Miałam to szczęście, że mieliśmy swoje sypialnie, a oprócz tego ojciec miał swój gabinet, matka buduar. Była także palarnia, do której papa zapraszał panów na cygaro podczas przyjęcia. Wiem, że Jacek uwielbiał przebywać w gabinecie mojego ojca, bo tam papa trzyma książki. Połączył w tym jednym pokoju dwie funkcje. Pracuje tam i odpoczywa, sięgając do przepastnej domowej biblioteczki.

– Jacek napomknął raz o niej. Cieszę się, że w końcu może czytać do woli. Mógł – poprawił się Eryk.

– Może nadal. W tym domu też znajduje się wspaniała biblioteka i spory zbiór książek. Tojew był bibliofilem. – Przerwała. Po chwili znowu zaczęła opowiadać. – Moja matka nie przepada za ludźmi. Większość traktuje z góry, uważając, że stoi ponad nimi. Wiem od Juliana, który z kolei dowiedział się tego od ojca, że matka ubzdurzyła sobie, że jej ród, Arenstein, wywodzi się od cesarza niemieckiego Fryderyka Barbarossy. Powtarzała to tak często i z takim przekonaniem, że ojciec, chcąc się przekonać, czy jest w tym ziarno prawdy, zatrudnił detektywa. Hrabina strasznie się obruszyła, kiedy papa powiedział jej prawdę. Nigdy nie mieli nic wspólnego z cesarzem. Niemniej jednak mania wielkości pozostała – skwitowała Rozalia. – Tak więc, stroniąc od innych, na całe godziny zamykała się w swoim pokoju. Buduarze. Ciekawość mnie zżerała, cóż tam jest takiego. Odwiedzałam go pod jej nieobecność. I za każdym razem wychodziłam zawiedziona, ponieważ miejsce to nie różniło się niczym od innych izb w domu. Ale wiesz, że dziecko potrafi mieć bujną wyobraźnię.

– Ta wyobraźnia nie ulotniła się z wiekiem – zauważył Eryk. – Dzięki niej piszesz cudowne teksty. Nawet nie wiesz, jaki jestem z Ciebie dumny. Chwalę się moją żoną pisarką na prawo i lewo.

– Wariat – zaśmiała się Zdanowska. – Chodźmy do domu, bo robi się coraz ciemniej i zimniej.

– Zaczekaj, Rozalio. Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności, w spokoju. Chciałbym ci...

– Zapraszamy na ciepłą kolację – wołanie pani Matuszkowej nie pozwoliło dokończyć Erykowi.

– Potem, w naszej samodzielnej sypialni – szepnęła Rozalia, puszczając do niego oczko i uśmiechając się zawadiacko.

Do stołu oprócz Eryka i Rozalii zasiedli państwo Matuszkowie oraz rodzina Zdanowskich. Na samym szczycie Rozalia usadziła Eryka, dając do zrozumienia, że od tej chwili to on jest najważniejszą osobą w domu. Sama usiadła po jego prawicy. Reszta domowników zajęła miejsca wedle własnej woli, nie widząc sprzeciwu ze strony młodych małżonków.

Nad potężnym stołem, przy którym ustawiono różnorodny garnitur krzeseł, zawisł ogromny kandelabr, który nie tylko oświetlał, ale i ogrzewał pomieszczenie dzięki mnogości świec, jakie w nim zainstalowano. Na jednej ze ścian ustawiono masywny kredens, w którym trzymano zastawę stołową. Rozalia zajrzała do kuchni podczas ostatniej wizyty w Wiśniczu, dlatego wciąż miała przed oczami mnogość wyposażenia świadcząca o zasobności portfela Tojewa. Były tam niezliczone rondle, garnki małe, średnie i duże, patelnie, kociołki, brytfanny do pieczenia, wanienki do ryb. Maszynka do mięsa stała w towarzystwie maszynki do kręcenia lodów, tuż obok leżały blachy metalowe i gliniane formy do pieczenia ciast. Formy do kremów, rondle do wyrabiania karmelków. A dalej wisiały durszlaki, sitka różnej wielkości i z różnym rozstawem oczek. Zaś na szafkach piętrzyły się puszki z przyprawami, korzeniami, herbatami nasyconymi aromatami, kawą, do której mielenia służyły stojące na półkach młynki. Były i młynki do pieprzu, a także moździerz. Na wspomnienie tego wszystkiego Rozalia uśmiechnęła się pod nosem, zdając sobie sprawę, że takiego wyposażenia nie miała nawet kuchnia w Zakrzówku.

– Proszę się częstować – powiedziała do zebranych, dając znak do rozpoczęcia kolacji.

– Smacznego – odezwał się Eryk, życząc wszystkim wyśmienitej uczy.

Obok pieczeni wieprzowej ze śliwką na stół wjechał kawałek upolowanej przez pana Matuszka dziczyzny. Był też półmisek z rybami, które odłowiono ze stawu znajdującego się kilka kroków za domem. Ziemiaczki, obficie polane tłuszczem i okraszone skwarkami z pieconą cebulką, aż śmiały się do biesiadujących. Jedli w milczeniu, ciesząc się doskonałym smakiem i towarzystwem. Na deser podano czekoladowy pudding ze świeżo ubitą śmietanką oraz dla starszych mocną, aromatyczną kawę, a dla dzieci herbatę z mlekiem z -wieczornego dojenia.

– Muszę przyznać, że Tojew zainwestował w dwór niemałe finanse – powiedział Eryk jakiś czas potem, kiedy zmęczeni igraszkami leżeli w wygodnym łóżu, obserwując cienie, jakie na ścianę rzucał płomień zamknięty w lampie naftowej. – Ten ogromny zbiornik na dachu, z którego rozprowadzono po domu rury, żeby doprowadzały wodę do kuchni oraz pokoju wydzielonego na łazienkę i toaletę, to majstersztyk. Czy wasz dom też posiada takie dogodności? – zapytał, przyciągając Rozalię bliżej siebie, żeby poczuć jej zgrabne nagie ciało.

– Tak, ale o ile mnie pamięć nie myli, chciałeś mi o czymś powiedzieć. Przerwała nam Matuszkowa.

– Nie myślałaś, żeby tu zamieszkać? – zapytał nieoczekiwanie.

– Tu, masz na myśli folwark? – Rozalia uniosła się nieco, podpierając na łokciu, żeby spojrzeć na Eryka, który skinął głową. – Nie, aż do tej pory nie przyszło mi to do głowy. Czy jest jakiś powód, dla którego poruszasz ten temat?

– Długo o tym myślałem. Analizowałem wszystkie za i przeciw. Nie wracam do szkoły. Proszę, nie przerywaj, daj mi dokończyć.

Lecz Rozalia nie słuchała. Wskoczyła z łóżka wzburzona. Spacerowała po pokoju, gestykulując dłońmi, jakby prowadziła zażartą dysputę, ale z jej ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Przystanęła przed Erykiem, który usiadł na skraju łóża. Podziwiał jej sylwetkę. Jego ciało zareagowało na ten widok, Rozalia jednak nie zauważyła podniecenia męża. Była tak wzburzona, że zapomniała, iż stoi przed nim całkiem naga.

Eryk nie zamierzał marnować okazji, przyciągnął ją do siebie jednym szybkim ruchem. Jego dłonie przesunęły się zgrabnie po jej ciele. Przysunęła się bliżej. Westchnęła zadowolona. Eryk przyglądał się jej twarzy, na której wraz ze wzrastającą rozkoszą zaczął pojawiać się uśmiech. Rozalia przygryzła wargi. Pociągnął ją w dół. Straciła równowagę i usiadła mu na kolanach. Spojrzała na niego zawiadaczająco. Była dla niego otwartą księgą. Przejrzał jej zamiary, wychodząc Rozalii naprzeciw. Sapnęła, zaskoczona intensywnością doznania. Poczuli wspólny rytm. Najpierw wolny, delikatny. Z czasem szybszy i bardziej natarczywy.

Przytrzymał jej plecy, kiedy odchyliła się do tyłu, żeby zwiększyć intensywność doznania. W końcu Eryk jednym zgrabnym ruchem umieścił Rozalię na łóżku. Leżała na plecach, podziwiając jego wysportowane, smukłe ciało, kiedy unosił się nad nią. Przypomniała sobie, że zachwyciła się nim już wtedy, kiedy zamiast poprosić go o odprowadzenie do domu, prawie zmusiła go, żeby zabrał ją do siebie. Jej wzrok podążył w dół.

– Uwielbiam na ciebie patrzeć – szepnęła czule.

Oczy miała zamglone od nadmiaru namiętności. Eryk uśmiechnął się szeroko. Taki sam wzrok, chociaż pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy, miała wówczas w taksówce, kiedy obrzuciła jego sylwetkę spojrzeniem od stóp do głów.

Jej słowa, wypowiedane drżącym, podekscytowanym głosem, działały na niego stymulująco. Poruszał się coraz szybciej. Rozalia dotrzymywała mu towarzystwa. Czuli, że zbliża się spełnienie.

Zatrzymał się na chwilę, na co prychnęła niezadowolona. Pochylił się nad nią. Zaczął gładzić jej gładką skórę. Po chwili wznowili swój namiętny taniec, prowadząc się pewnie do końca. W końcu zmęczeni, ale zadowoleni, opadli na miękkie poduszki, tuląc się do siebie.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała chwilę później Rozalia. – Jeżeli zrezygnujesz, będziesz...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie będę obwiniał ciebie za tę decyzję. Pewnie gdybym zrezygnował, zanim się zeszliliśmy albo podczas mojej sławetnej wizyty, kiedy zaatakowałem Słapę, wówczas mogłoby się tak zdarzyć, ponieważ w pewnym sensie podjąłbym ją pod naciskiem. Tę decyzję podjąłem sam. Może jestem tchórzem, ale nie chcę skończyć jak Augustyn albo jak inni, którzy nie mieli tyle szczęścia. Z pewnością nie wiesz, że od wypadku Grimma zdarzyły się jeszcze dwa kolejne. Jeden w szkole Augustyna, drugi w mojej. Oba śmiertelne. Ten drugi, który miał miejsce w Grudziądzu, był dla mnie kroplą przelewającą czarę. Latanie jest piękne. Daje poczucie wolności. Sprawia, że człowiek, będąc na niebie, czuje się jak ptak. Zawsze myślałem, że jestem niepokonany. Może kiedyś do tego wrócę. Jako pilot cywilny, w końcu mam uprawnienia. Zdobyłem je tu, na Rakowicach. Szkoła w Grudziądzu miała je tylko doszlifować, żebym w razie czego mógł latać na myśliwcach. Nie mówię na zawsze „nie” pilotowaniu. Czas pokaże, ale nie teraz. Teraz mam ciebie. Nie wyobrażam sobie, że miałbym cię zostawić. I nie chodzi mi o to, że ty opłakiwałabyś moje odejście, ale ja nie jestem w stanie pojąć, jak czułbym się bez ciebie, gdziekolwiek bym był. Poza tym chciałbym mieć dzieci. A ty? – zapytał, patrząc na Rozalię.

– Intensywnie nad tym pracujemy, prawda? – odparła ze śmiechem.

– Więc nie ma żadnego „ale”, jeżeli chodzi o moje odejście ze szkoły i rezygnację z pilotowania samolotów. Nie mogę ryzykować i szafować własnym życiem, jeżeli jestem mężem i mam nadzieję na zostanie w najbliższej przyszłości ojcem. Nie martw się, nie będziesz miała męża darmożjada. Nie, nie oburzaj się. Moja godność i duma nie pozwoliłyby mi na siedzenie w domu na garnuszku żony. Złożyłem stosowne papiery i zostałem przyjęty. Patrzysz na agenta policyjnego. Kiedy byłem mały, miałem dwa marzenia. Być pilotem albo policjantem. Pilotem już byłem. Teraz zamierzam побыć funkcjonariuszem policji. Będę strzegł porządku, żebyście ty i nasze dzieci czuli się -bezpiecznie – mówiąc to, pocałował ją w szyję.

– Nie mamy dzieci – szepnęła.

– Zamierzam to jak najszybciej naprawić – zaśmiał się Eryk, całując kark Rozalii coraz niżej i niżej.

\*\*\*

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – mówił Julian, składając poranne wydanie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, w którym obszernie opisano zdarzenie na Dietla. – Takie rzeczy w naszym Krakowie. Kiedy człowiek to czyta, to jakby o jakimś, nie przymierzając, Nowym Jorku albo Chicago czytał, gdzie bandytka jest nader aktywna.

– Przecież mówiłam ci już o tym kilka dni temu – wspomniała Eleonora. – Będę to chyba pamiętała do końca życia. Wiem, jak wyglądają postrzeleni ludzie, w końcu naoglądałam się takich na froncie, ale widzieć rannego żołnierza a spokojnego klienta banku... To straszne.

Eleonora sięgnęła po prasę, którą przed chwilą odłożył Michałowski.

– Jeżeli szukasz opisu napadu na bank, to jest na dziewiątej stronie – odpowiedział.

Eleonora czytała z uwagą. Była akurat na dyżurze, kiedy dostali pilne wezwanie. Miała niebawem kończyć. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Jadąc na miejsce zdarzenia, martwiła się, że Julian będzie się denerwował jej spóźnieniem. Zawsze mu powtarzała, że może się zdarzyć, że wezwą zespół na koniec zmiany. Nie mogła odmówić. Ale знаła go. Martwił się o nią i każde spóźnienie przeżywał.

Zatrzymali się przed bankiem „Hermera” na Dietlowskiej 62. Od razu zdała sobie sprawę, że nie chodzi o zasłabnięcie. Na ulicy już roіło się od policjantów i gapiów. Musieli przeciskać się do budynku.

– Jeden leży tam. – Pokazywał policjant. – Drugi, postrzelony w brzuch, tam. W środku są jeszcze dwa trupy. Straszna jatka.

Rzeczywiście, podłoga banku umazana była krwią. Taką jej ilość ostatni raz widziała w Belgii. Razem z lekarzem dopadła do mężczyzny postrzelonego w brzuch. Mężczyzna coś mamrotał. Mówił tak cicho, że Eleonora musiała pochylić się prawie całkowicie do jego ucha.

– Nie mówi po polsku, tylko po niemiecku – przekazała lekarzowi, który powoli kończył zakładać opatrunek.

– Na nosze go i szybko do szpitala, bo inaczej będzie trzeci nieboszczyk.

Jak się później dowiedziała, pacjent mówiący po niemiecku był wiedeńskim kupcem. Poważna rana postrzałowa brzucha została -zoperowana, ale jego stan lekarze określili jako zagrażający życiu.

– Niestety, nie udało się wykryć rabusiów – mówiła Eleonora, odkładając prasę. – Nawet psy policyjne straciły trop.

– Tak, źle się dzieje w państwie duńskim – podsumował Michałowski. – Jakie masz plany na dziś? – zapytał po chwili, zmieniając temat.

– Rano dyżur. Mam nadzieję, że żaden rabunek nas nie zaskoczy.

– Ciężki, angielski humor – zauważył Julian.

– Wyrwało mi się. – Eleonora usiadła mu na kolanach. – Czeka mnie ostatnia przymiarka. Mam zamiar zajrzeć też do salonu fryzjerskiego „Diana” na Szpitalnej 40. Chciałabym się dowiedzieć, jakie mają terminy w okresie świątecznym. Projekt zamążpójścia w święta był cudowny, ale gorzej z ustaleniem wizyt – zażartowała Eleonora, całując Juliana szybko, lecz namiętnie.

Kiedy była już przy drzwiach, zakładając rękawiczki, ponieważ koniec listopada był wyjątkowo zimny, odwróciła się do Juliana.

– A i mam dziś niezwykle spotkanie. Miałam ci o nim powiedzieć tego dnia, kiedy spóźniłam się tak bardzo z powodu strzelaniny. Twoja matka zaprosiła mnie na spotkanie do kawiarni Noworolskiego w Sukiennicach. Zatem obowiązki najpierw, a potem przyjemności.

– Moja matka? – zadziwił się Julian. – Czy powiedziała, o co jej chodzi?

– Nie, ponieważ przesłała na adres pogotowia ekspresa z zaproszeniem. Dziś, w okolicach szesnastej. Będzie tam na mnie czekać do siedemnastej, mając na uwadze, że moja praca czasami wymaga poświęcenia i zostania dłużej. Widzisz, twoja matka okazuje się -bardziej wyrozumiała od ciebie.

– Po twoich słowach zaczynam się zastanawiać, czy to aby na pewno hrabina Michałowska wystosowała to zaproszenie.

Eleonora roześmiała się beztrąsko, posłała Julianowi całusa i już jej nie było. Czas leciał nieubłaganie. Chociaż Schrammówna nie potrafiła przestać myśleć o spotkaniu z przyszłą teściową, chcąc się jak najszybciej dowiedzieć celu tego spotkania, im bliżej było do zakończenia dniówki, tym częściej spoglądała na zegar, prosząc wskazówki, aby posuwały się nieco wolniej. W końcu odtrąbiono koniec dyżuru.

Miała jeszcze dużo czasu. Nie musiała się spieszyć, a nawet gdyby, to i tak pragnęła odłożyć to spotkanie w czasie. Józefę Michałowską spotkała kilka razy w życiu. I tylko raz, podczas balu wydawanego przez jej rodziców, na którym poznała Juliana, nie miała wrażenia, że hrabina uważa ją za niegodną jej syna.

Dlatego zamiast najkrótszej drogi wybrała tę przez Kołłątaja, potem Blichową, którą nie wiadomo dlaczego kilka lat temu przemianowali na Blich. Skręciła w Kopernika i dalej poszła przez



Mikołajską. Wciąż szła spacerkiem. Zamierzała nawet przysiąc na ławce na Plantach, jednak wtedy mogłaby się spóźnić, a tego nie chciała. Nie miała ochoty przychodzić przed czasem, ale spóźnień też nie uznawała. Szanowała czas innych, zresztą jak mawiał ojciec, spóźnienie jest oznaką lekceważenia. Była to ostatnia rzecz, jaką Eleonora chciała okazać hrabinie.

Przez Mały Rynek weszła w końcu na Główny. Przystanąła przy kościele Mariackim. Zerknęła na żelazną kunę przymocowaną do ściany. Będąc dzieckiem, jej historię poznała z ust wuja Władysława.

– Widzisz tę niewielką metalową obręcz? – zapytał, kiedy w pewien upalny letni dzień wracali do domu Schrammów ze spaceru, na jaki lubił zabierać siostrzenice. Stefania jak zwykle nie słuchała, rozglądając się dookoła. – To średniowieczna kuna, którą zakładano przestępcom na rękę lub szyję, żeby wystawić ich na widok mieszkańców Krakowa i pośmiewisko. Karę stosowano bardzo często. Niektórzy mieli ją zasądzoną jako cykliczną czy powtarzającą się co roku. Inni jako samodzielną. Kuny zazwyczaj przytwierdzano, tak jak tu, na kościelnych murach. Na różnej wysokości. Skazani najczęściej stali, ale czasami musieli klęczeć. Niekiedy dobrzy ludzie podstawiali gagatkowi krzesło.

Teraz Eleonora pomyślała, że czuje się jak skazaniec, któremu za chwilę mają zamknąć obręcz na szyi. Westchnęła i ruszyła w stronę kawiarni Noworolskiego.

Zgodnie z informacją na zaproszeniu Józefa Michałowska miała czekać na nią w sali białej, czasami zwanej Buduarem dla Pań, ponieważ nie wolno było w niej palić. Palarnia była osobnym pomieszczeniem i chociaż Eleonora nie pochwałała tego nałogu, którym ostatnimi czasy zachwycała się Stefcia, nosząc przy sobie cieniutkie papierosy i lufkę, to teraz żałowała, że nie wzięła tych akcesoriów od siostry. Powinnam jeszcze wziąć piersiówkę, pomyślała. Łyk czegoś mocniejszego na dodanie sobie otuchy byłby wskazany.

W końcu przekroczyła próg lokalu, w którym w oczy rzucał się piękny secesyjny bufet z ładą z wysokiej klasy włoskiego alabastru. Od bufetu odcinały się kręte metalowe schody połączone z piwnicą, gdzie znajdowała się kuchnia, a przygotowywane tam potrawy do sal były dostarczane windą. Specjalny aparat akustyczny do -porozumiewania się kelnerów z kuchnią stał w pobliżu bufetu.

Zanim Eleonora zlustrowała salę, rzuciła okiem na lady, w których prezentowano smaczne wyroby cukiernicze, dowożone do kawiarni z własnej pracowni Noworolskiego mieszczącej się w Pasażu Bielaka. Wzrok Eleonory przyciągnęły także wypolerowane na wysoki połysk automaty do parzenia kawy, specjalnie sprowadzone z Wiednia.

Wreszcie Schrammówna zaczęła rozglądać się po ozdobionej lustrami sali, której ściany pokrywała kremowa boazeria. Żeby przełamać tę bladość, krzesła i kanapy obite były soczystym czerwonym pluszem. Na jednej z wygodnych kanap siedziała hrabina Michałowska, uważnie wpatrująca się w Eleonorę, która nawet z tej odległości zobaczyła nieprzyjemny błysk w jej oku.

Chociaż na zewnątrz panowała już zimowa aura, Eleonora pomyślała, że najchętniej usiadłaby w ogródku, gdyby tylko lokal takowy posiadał. Niestety, tuż przy Sukiennicach przebiegała dość ruchliwa ulica, która nie pozwalała na urządzenie takowego. Czasami latem właściciele wystawiali kilka stolików i krzeseł pod arkady, ale dziś nawet te zniknęły.

– Dzień dobry – przywitała się Eleonora, podchodząc do stolika.

– Dzień dobry – odparła zimno Józefa. – Cieszę się, że udało ci się wyrwać, żeby spotkać się ze mną.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Dziwny uśmiech, który skrzywił usta Michałowskiej, podpowiedział Eleonorze, że jeszcze pożałuje tego dnia.

– Napijesz się czegoś? – zapytała hrabina. – Pozwolisz, że będę zwracała się do ciebie po imieniu. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Eleonora pokręciła głową. Nie była strachliwą osobą, ale sposób bycia matki Juliana był odstręczający. Jej przyszła teściowa nawet nie starała się ukryć niechęci, jaką do niej czuła. Każde słowo, chociaż wypowiedane uprzejmym, cichym głosem, ociekało jadem.

– Poproszę tylko herbatę.

– Kawę z cynamonem i herbatę dla tej panny – wycodziła Michałowska, kiedy przy ich stoliku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się kelner.

Józefa nie odzywała się aż do chwili, gdy podano zamówione napoje. Eleonora także milczała, zachodząc w głowę, co tu robi.

– Jak przygotowania? – zapytała nagle Józefa.

– Dziękuję, dobrze. Dziś planowałam wpaść do pracowni pana Kuci, który szyje moją sukienkę. To już ostatnia przymiarka. Potem chciałam zajrzeć do salonu fryzjerskiego. Mówiłam Julianowi, że cudownie było zaplanować ślub w święta, ale gorzej z wolnymi -terminami, chociażby u fryzjera.

– To niezwykle... – Słowa Józefy zawisły w powietrzu.

Eleonora zastanawiała się, co matka Juliana miała na myśli. Nie zamierzała jednak drażnić tematu.

– Słyszałam, że wasza matka wróciła.

– Dobrze pani hrabina słyszała.

Krótką odpowiedź najwyraźniej nie spodobała się Michałowskiej, ponieważ gniewnie ściągnęła brwi. Eleonora nie miała nic do dodania. Jeżeli Józefę skręca ciekawość, będzie musiała się wysilić, pomyślała Schrammówna.

– Niezbyt to dogodne.

– Nie rozumiem?

– Och, nie udawaj naiwnej, Eleonoro. O twojej matce mówi cały Kraków. Stała się tematem plotek, i to nie najpochlebniejszych. Kiedyś wzbudzała tylko ciekawość tym swoim dziwnym zainteresowaniem kartami tarota i seansami spirytystycznymi. Może komuś to imponowało, ale takie rzeczy imponują tylko prostakom i nuworyszom. Nigdy starej arystokracji.

Eleonora milczała. Była zszokowana.

– Miałam nadzieję, że twoja matka pójdzie po rozum do głowy i nie pokaże się przed waszym ślubem, żeby na powrót nie wzniecać plotek, ale to i tak mało ważne.

– Nie rozumiem – powiedziała znowu Eleonora.

– Och, widzę, że to rodzinne. Wciąż niczego nie rozumiesz, prawda?

– Nie wydaje mi się, aby ta rozmowa była stosowna – stwierdziła Eleonora, próbując wstać od stolika, ale Michałowska była szybsza.

Złapała ją za rękę i przytrzymała. Jej wzrok mówił, że nie cofnie się przed zrobieniem sceny, jeżeli Nora nie siądzie. Chcąc nie chcąc, narzeczona Juliana usiadła z powrotem.

– Świetnie, skoro wszelkie niedomówienia zostawiłyśmy za drzwiami, powiem otwarcie, bez owijania w bawełnę, bo widzę, że rozum wcale u ciebie nie jest taki ostry, jak sądzi mój biedny syn, otumaniony przez zwykłą... – zatrzymała się. – Otumaniony przez ciebie.

– Pani mnie obraża. Mnie i moją rodzinę.

– Chyba nie sądziłaś, że dopuszczę do tego ślubu. – Józefa nie zareagowała na słowa Eleonory. – Już zachowanie twojej matki było dyskwalifikujące jakiegokolwiek koligacje z rodziną Schrammów, ale potem doszły jeszcze twoje wybryki. Och, nie zgrywaj cnotki, którą od dawna nie jesteś, prawda, Eleonoro? Otwierasz oczy ze zdumienia. Otóż pozwól, że cię oświecę. Wiem, że to nie mój syn cię rozdziewiczył. – Michałowska była wściekła, a ta pałaca wściekłość sprawiała, że przestała się hamować. – Wiem o tobie i tym, tym... Lekarzu, pożałuj się Boże. O tym Żydku, bo Bloch był Żydem. Wiedziałaś o tym? Oczywiście, w końcu musiałaś widzieć, kiedy go tam dotykałaś. Fuj. – Skrzywiła się tak, jakby miała zamiar zwymiotować.

Eleonora siedziała jak skamieniała.

– Nie będzie żadnego ślubu. Kiedy Julian się dowie, bo przypuszczam, że mu nie powiedziałaś, zostawi cię jak pierwszą lepszą kokotę. Ale żeby nie było wątpliwości i żebyś mi tu zaraz nie wypaliła, że wszystko mu powiesz, że przynasz się do błędu, to ostrzegam. Posunę się nawet do tego, żeby oczernić mojego syna. Mężczyzna nie musi aż tak dbać o swoją reputację, a mając mnie za matkę, która wszystko załatwi, jeszcze będzie mógł chodzić po mieście z uniesioną wysoko głową. A więc ostrzegam, zawiadomię magistrat o waszym haniebnym cudzołóżnym związku. Nie tylko spotykaliście się u mojego syna regularnie, żeby uprawiać u niego w domu te wszystkie świństwa, ale teraz jeszcze mieszkacie razem, co jest niezgodne z prawem. I – sądząc po twojej przerażonej minie, doskonale o tym wiesz.

Michałowska sięgnęła po filiżankę kawy. Napój był już zupełnie zimny, jednak wypila go do

końca. Odstawiła naczynie na spodek z takim impetem, że aż brzdęknął. Dobrze, że w lokalu nie było wielu klientów. Nikt nie siedział zbyt blisko hrabiny i Eleonory. Nikt nie słyszał, jakiego upokorzenia doznała córka bankiera.

– Masz odwołać ślub – syknęła Michałowska. – Nie interesuje mnie jak. Masz przekonać mojego syna, że go nie chcesz. Rozmyślałaś się. Doszłaś do wniosku, że to błąd. Że spotkałaś Blocha i to jego kochasz. Zrób, co chcesz, ale do przyszłego tygodnia masz przestać być jego narzeczoną. Jeżeli tego nie zrobisz, wyręcę cię i możesz być pewna, że i tak przestaniesz być kandydatką na żonę hrabiego Michałowskiego.

Po tych słowach Józefa wstała. Nie kwapiła się nawet, żeby uregulować rachunek, zostawiając to na głowie załamanej Eleonory, która siedziała przy stoliku jeszcze długo po tym, jak lokal w Sukiennicach opuściła matka Juliana.

Wreszcie otrząsnęła się z szoku. Zapłacała. Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Powinna była iść prosto do domu, do Juliana. Powiedzieć mu o spotkaniu. O niegodziwości, z jaką potraktowała ją jego matka, ale wolała najpierw się uspokoić. Nie chciała grać histeryczki. Całkiem zapomniała o przymiarce i chęci wstąpienia do zakładu fryzjerskiego. Na to zawsze miała czas.

Rozejrzała się po Rynku. Na mieście wciąż było pełno ludzi. Musiała pobyć trochę w samotności. Jedno wiedziała na pewno. Nie da się zastraszyć starej wiedźmie, jak zaczęła w myślach nazywać Michałowską. Może powinnam iść do domu? Porozmawiać ze Stefanią? Nie, przeszło jej przez myśl. Zdecydowanie lepiej podzielić się wszystkim z Rozalią. Po chwili, już bez wahania, ruszyła w stronę Siennej.

\*\*\*

Julian zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Na dworze było już zupełnie ciemno. Nie lubił, kiedy Eleonora chodziła sama po mieście. Nie mógł jednak ograniczać jej wolności, wiedząc, jak uczulona jest na tym punkcie. Zastanawiał się, czy Norcia wciąż rozmawia z jego matką. Najchętniej pobiegłby do Noworolskiego, ale nie lubił nadwrażliwych i nadopiekuńczych ludzi, a w zasadzie głupców, jak ich nazywał, więc sam nie miał zamiaru stać się jednym z nich.

Niemniej jednak wolałby, gdyby Eleonora pojawiła się już w domu. Znowu myślami wrócił do swojej matki. Jej zaproszenie wystosowane do Eleonory było niespodziewane i zaskakujące. Zdawał sobie sprawę, że hrabina nie darzy jego narzeczonej zbyt dużą sympatią. Był nawet taki czas, kiedy robiła wszystko, żeby skłócić go z Norą i zeswatać z córką Ochockich. Wytłumaczył jej jednak wówczas, najdelikatniej, jak potrafił, żeby nie wściubiła nosa w jego życie. Oczywiście, tamta poczuła się urażona, ale chyba zrozumiała klarowny przekaz. Może nie stała się nagle przyjaciółką Eleonory, lecz przynajmniej nie knuła spisków i nie podkopywała ich związku.

Dlaczego więc nagle matka zdecydowała się na spotkanie? Przez te wszystkie lata nie pomyślała, żeby poznać Eleonorę lepiej. Nigdy nie zaprosiła jej na obiad, na kawę w swoim towarzystwie.

Julian podszedł do okna. Wpatrywał się w ciemność. Na dworze zrobiło się zimno. Z nieba zaczął padać śnieg. Nie zauważył tego wcześniej, ale musiał już prószyć od jakiegoś czasu, ponieważ na chodniku i ulicy zalegała cienka warstwa białego puszkę. Bezlistne konary drzew, które zachwyciły go od pierwszego razu, kiedy przestąpił próg kancelarii na ulicy Szlak 21, poruszały się rytmicznie pod wpływem wiatru, który nagle się zerwał.

O czym tam rozmawiacie, zadawał sobie pytanie. Może matka, myślał, wreszcie zrozumiała, że nic nie da się już zrobić. Ślub zbliżał się wielkimi krokami i na samo wspomnienie czekającej go w święta ceremonii Julian uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że to tylko formalność, w końcu od jakiegoś czasu on i Eleonora mieszkali razem, prowadząc wspólne domostwo, ale cieszyła go ta mająca wkrótce nadejść zmiana. Chciał zobaczyć na palcu obrączkę. Świadek, że należy do Eleonory, a ona do niego. Chciał, aby ich długoletni związek nareszcie został formalnie scementowany. Przed ludźmi i przed Bogiem, jak zwykle się mówi. Nie, nigdy nie należał do nadgorliwych katolików. Szczerze mówiąc, zapomniał, kiedy ostatni raz był w kościele. Nawet na ślub nie pójdę do kościoła, szepnął do siebie, bo w końcu ceremonia miała się odbyć w magistracie, ale nie czuł się jakoś specjalnie niekomfortowo z tego powodu.

– Czy aby na pewno nie chcesz złożyć przysięgi w kościele? – zapytał jakiś czas temu Eleonory. Uśmiechnęła się do niego i pokręciła przecząco głową. W sumie to i lepiej, przemknęło mu przez głowę. Sytuacja rodzinna Schrammów nie bardzo nadawała się na kościelną ceremonię, a i jego matka miała do Kościoła mało przyjazny stosunek.

Zegar z wahadłem, który kilka miesięcy temu Eleonora powiesiła w jego gabinecie, obwieścił osiemnastą.

– To po to, żebyś nigdy się tu nie zasiedziało – powiedziała wesoło, wręczając mu prezent.

Zapewne już skończyły rozmawiać, zastanawiał się, lustrując ulicę. Przyglądał się przemykającym mieszkańcom Krakowa. Starał się wypatrzyć znajomą sylwetkę, ale w ani jednej kobiecie nie rozpoznał Eleonory.

– Panie hrabio. – Głos Rosenblatta wyrwał Juliana z zadumy. – Chciałem się pożegnać. Kończę na dziś.

– A tak, oczywiście. – Julian odwrócił się od okna. – I jeszcze raz dziękuję za pomoc z Helenką.

Podszedł do biurka i chwycił dokumenty, które podpisał dziś rano. To zapewne z tego powodu tak się niecierpliwił, czekając na Eleonorę. Chciał jej opowiedzieć o wszystkim. Obwieścić dobrą nowinę. Miał nadzieję, że uda im się jutro, najpóźniej pojutrze pojechać do ochronki i zabrać z niej Helenę Morawską.

Skrzypnęły drzwi wejściowe kamienicy i na schodach dało się słyszeć kroki. Julian nastawił uszu. Czekał. Niestety ktoś, kto wszedł do środka, zmierzał wyżej. Westchnął rozczarowany.

– Proszę się nie denerwować – zagadnął Rosenblatt. – Z tego, co sobie przypominam, i nie żebym podsłuchiwał, ale panna Eleonora mówiła o tym już kilka razy, planowała dziś przymiarke i wizytę u fryzjera, żeby obstałować sobie termin ułożenia fryzury w tym -najważniejszym dniu.

– Całkiem zapomniałem – odparł Julian.

Faktycznie, sprawa podpisania stosownych dokumentów oddających Helenkę pod jego opiekę oraz niespodziewane zaproszenie Eleonory przez matkę wytrąciły go z równowagi. Zapomniał o tej nieszczęsnej przymiarce.

– Idź już, Rudolfie – powiedział. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – pożegnał się młody prawnik i już go nie było.

Julian ponownie podszedł do okna. Odprowadzał wzrokiem znajomą sylwetkę Rosenblatta oddalającego się szybkim krokiem i wtulającego głowę w kołnierz płaszcza, żeby ochronić się przed zacinającym śniegiem, który nie wiedzieć czemu nagle zaczął zmieniać się w deszcz. Na ulicach musiało zrobić się ślisko. Jakby na potwierdzenie jego słów idący chodnikiem mężczyzna stracił równowagę i gdyby szybko nie złapał się drzewa, z pewnością upadłby jak niepyszny. Chwiejnym, asekuracyjnym krokiem odszedł po chwili w swoim kierunku.

Och, wy kobiety. Jak wam przyjdzie chodzić w taką pogodę w tych waszych fikuśnych bucikach, zażartował w duchu Julian.

Znowu zerknął na zegarek. Od pełnej godziny minął dopiero kwadrans. Usiadł za biurkiem. Nie mogą wystawać w tym oknie jak jakaś rozhisteryzowana panna, pomyślał.

Zerknął na stosy dokumentów. Przerzucał teczki. Otwierał, zamykał. Na niczym nie mógł się skoncentrować. Postukał palcami w blat biurka. Otworzył szufladę i wyjął z niej dokumentację związaną z gorzelnią, nad którą dynamicznie pracowali już Jan Schramm i jego ojciec. Nawet nie zauważył, kiedy czytanie pochłonęło jego rozdygotane myśli.

Dopiero zegar wybijający dziesiętnastą sprawił, że znowu podniósł się z fotela. Stał przy oknie. Ulice już prawie zupełnie opustoszały. Brzydka pogoda wygoniła ludzi do domów. Lustrował drogę z bijącym sercem. Widząc najeżdżający samochód, zaklinał go w myślach, żeby zatrzymał się przed kamienicą, wysadzając Eleonorę. Ale automobile nawet nie zwalniały.

Zaczął się już poważnie denerwować. Podszedł do biurka i sięgnął po telefon. Zamierzał zatelefonować do Zakrzówka. Już miał wybrać numer, ale odłożył słuchawkę. Pomyślał, że matka miałaby używanie i dużo do powiedzenia na temat Eleonory, gdyby się okazało, że ona sama byłaby już w domu, a on jak ten głupiec, niewiedzący, gdzie jest jego narzeczona, szuka jej po całym mieście.

Nie, niedoczekanie, aby dostarczył matce takiego tematu.



## Rozdział 14

– Eleonora Elżbieta Schramm-Michałowska odeszła nagle, niespodziewanie, zgasła niczym płomień świecy na wietrze. Opatrzona świętymi sakramentami zasnęła w Panu w poniedziałek 28 listopada 1921 – czytała Józefa drżącym ze zdenerwowania głosem, trzymając w dłoniach najnowsze, środowe wydanie „Ikaca”. – Wyprowadzenie zwłok z domu żałoby przy Karmelickiej lokal 14 na miejsce ostatniego spoczynku na cmentarzu nastąpi w sobotę 3 grudnia tegoż roku. Orszak żałobny posuwać się będzie ulicą Basztową, Lubicz i Rakowicką. Ceremonia pogrzebowa odbędzie się w kaplicy pod wezwaniem Zmartwychwstania Chrystusa Króla o godzinie trzeciej po południu. Zawiadamiają o tym pogrążeni w żalu Rodzice, siostra Stefania oraz Julian hrabia Michałowski. – Na chwilę odłożyła gazetę i sięgnęła po wystygłą już herbatę, której nie wypić przy śniadaniu.

Aleksander siedział nieopodal, w fotelu, zapatrzony w dal. Nie słuchał żony, rozmyślał o Julianie, który od dnia wypadku nie wychodził z domu. Doglądała go Rozalia, zmuszając do wstania z łóżka i jedzenia. Przypomniła o Helence i obowiązku odebrania jej z ochronki, ale Julian pozostawił jej sugestie bez odpowiedzi. Michałowski chciał wstać, kiedy dobiegł go ostry głos żony.

– Czy ty w ogóle widziałeś ten paszkwil? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że ci ludzie nie mają za grosz przyzwoitości?

– O jakich ludziach mówisz? – zapytał, zobojętniały na pretensje żony.

– Jak to o jakich? O Schrammach. Wiem, co zaraz powiesz. Rozumiem, że są pogrążeni w żalu, ale to nie daje im prawa wykorzystywać nazwiska naszego Juliana.

– Nadal nie wiem, o czym mówisz? – Ruszył do drzwi.

– O tym. – Michałowska wstała z fotela i podążyła za mężem, który zaczął ją jawnie ignorować. – O tym – powtórzyła, potrząsając porannym wydaniem „Ikaca” przed oczami Michałowskiego. – Zapewne czytałeś nekrolog. Imaginuj sobie, że nazywają Eleonorę nazwiskiem naszego Juliana. To niepojęte! – wykrzyknęła.

– Nie musiałem czytać nekrologu, ponieważ razem z Janem dyktowaliśmy jego treść, a zapisanie nazwiska Michałowska przy imieniu Eleonory dokonało się na wyraźne, stanowcze życzenie naszego syna. Chciałbym zauważyć, że on nie przyjmuje do wiadomości faktu, że Eleonora nie była jego żoną. Traktował ją tak od dawna, a po tym, jak wspólnie zamieszkali, ślub miał być tylko urzędową formalnością. Więc nie widzę w tym nic złego.

– Paradne! – krzyczała wyprowadzona z równowagi Michałowska.

Aleksander przyglądał się żonie z zażenowaniem. Kiedyś nigdy nie unosiła głosu. Uważała, że to niegodne hrabiny, i nagle coś się zmieniło.

– Paradne jest twoje zachowanie, Józefo. Nie masz za grosz przyzwoitości. W chwili, kiedy twój syn odchodzi od zmysłów z powodu bólu, jaki przysporzyła mu śmierć ukochanej osoby, ty wygadujesz niestworzone farmazony. Uprzedzam, nie ręczę za siebie i swoje zachowanie, jeżeli pozwolisz sobie w czasie pogrzebu na jakieś niestosowności. Zapamiętaj sobie, Józefo – mówiąc to, Michałowski zbliżył się do małżonki tak bardzo, że prawie stykali się nosami – pożałujesz, jeżeli uznasz, że twoje zachowanie godzi w moje, powtarzam moje, dobre imię.

Józefa stała osłupiała. Jej łagodny, ugodowy Aleksander, który starał się zawsze brać jej stronę, zagroził jej nieprzyjemnymi konsekwencjami.

– Na litość boską! – krzyknęła Michałowska na cały głos.

Ta dziewczucha bruździ mi nawet po śmierci, dodała już w myślach.

\*\*\*

Groby na cmentarzu Rakowickim przykryły się świeżym śniegiem. Na tle niezabrudzonej jeszcze bieli czarne skrzydła wron i kruków obsiadłych bezlistne gałęzie drzew wyglądały niesamowicie.

Stefania przyszła tu wczoraj, na dzień przed pogrzebem. Chciała sprawdzić, czy wszystko przygotowane. Szła powoli, czasami chybcząc się na boki. Nie była jednak zamroczona alkoholem, jak mógłby pomyśleć postronny obserwator, ale głębokim smutkiem, który wciąż ją dusił. Takiego bólu

i tęsknoty nie czuła jeszcze nigdy, nawet wtedy, kiedy dowiedziała się o rzekomej śmierci Mikołaja. Janek chciał przyjść tu dziś z nią, ale odmówiła. Chciała być sama. Musiała być sama.

Zastanawiała się, patrząc na nagrobki, na których widniały daty już z początku ubiegłego wieku, ileż takich umęczonych cierpieniem Stefani przechadzało się tymi alejkami w ciągu tego stulecia, od kiedy nekropolia została wytyczona i oddana do użytku.

Cmentarz powstał, ponieważ owego czasu wydano zakaz pochówku w obrębie miasta. Wybrano tereny folwarku Bosackie we wsi Prądnik Czerwony. Potem kilka razy go powiększano, dokupując od karmelitów bosych kolejne morgi. Stefania zerknęła w stronę murku, który otaczał cały teren. Słyszała, że wzniesiono go z materiałów, jakie pozostały po rozbiórce kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych.

W drugiej połowie poprzedniego stulecia cmentarz ponoć poszerzano dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy przez miasto przeszła epidemia cholery, i drugi raz dwadzieścia lat później. To tam, pośrodku nowej alei, pochowano Jana Matejkę, o którego pogrzebie usłyszała kiedyś od ojca. A teraz, idąc główną ścieżką, zbliżała się do grobowca -wielkiego mistrza. Przystanąła, przeżegnała się.

Nigdy nie lubiłam cmentarzy, pomyślała. Co innego Eleonora. Lubiła tę atmosferę. Skupienia, wyciszenia, zadumy. Czasami, bez powodu, zachodziła to na tę, to na tamtą nekropolię. Chodziła pomiędzy nagrobkami. Lubiła wyobrażać sobie, kim byli nieznani jej ludzie.

Czy ktoś kiedyś też przejdzie obok twojego grobu, siostrzyczko, i stworzy sobie obraz twojego życia, zapytała w myślach, przelykając łzy. Na nic zdało się trzepotanie rzęsami, oczy i policzki zrobiły się mokre. Ruszyła dalej, do kaplicy, którą ufundowali Helclowie. Pierwotnie nie miała zamiaru wchodzić, ale w końcu, po chwili wahania, postanowiła się pomodlić i nieco uspokoić.

Usiadła w ostatniej ławce. Zatopiła twarz w dłoniach. Nie chciała patrzeć na świat i nie miała ochoty, żeby świat patrzył na nią.

Każdego innego dnia zachwycałyby się obrazami, które zawieszono w środku. Piękną sceną Ukrzyżowania, która wyszła spod pędzla Józefa Planka. Jaśniejącym obliczem Matki Boskiej z Dzieciątkiem czy płótnem, na którym ukazano śmierć św. Józefa. Ale nie dziś. I pewnie nie jutro ani pojutrze. Ani nawet za tydzień...

\*\*\*

– Szkoda, że nie mogliśmy jej zobaczyć po raz ostatni – łkała Tekla. – Mam nadzieję, że ubrali Norcię w sukienkę, którą miała zamówioną na ślub. To miłe, że Julian tego sobie zażyczył. I tak przystojnie wyglądał w garniturze. Jakąż byliby piękną parą. – Schrammowa sięgnęła po chusteczkę.

– Julian zaskoczył mnie, kiedy zapytał, czy może się do nas zwracać mamó i tato. Ujął mnie tym niesamowicie. – Schramm pociągnął nosem. Od wczoraj, od kiedy skończyły się uroczystości pogrzebowe, już nie płakał, ale wspomnienie tej wzruszającej chwili sprawiło, że oczy znowu mu zwilgotniały.

Ponownie stał nad grobem córki. Jak we śnie słyszał słowa wypowiedane przez księdza:

– Panie Jezu, nasz Zbawicielu, Ty wydałeś się na śmierć, aby wszyscy ludzie mogli dostąpić zbawienia i przejść ze śmierci do życia, pokornie Cię błagamy, abyś pocieszył wszystkich płaczących, którzy się modlą za drogiego im zmarłego. Panie święty i nieśmiertelny, który przez śmierć swoją otworzyłeś Twoim wiernym bramy życia, odpuść naszej siostrze Eleonorze wszystkie grzechy. Królu przedwieczny, nie oddalaj jej od siebie, lecz swoją zwycięską mocą wprowadź Eleonorę do miejsca światłości, szczęścia i pokoju. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków.

– Amen. – Po cmentarnych alejkach rozszedł się chór głosów.

Potem na długie minuty te głosy ucichły. Widział te nieprzebrane tłumy, patrzył na odprawiającego uroczystość kapłana, ale miał wrażenie, że ogląda niemy film. Do rzeczywistości przywołał go dopiero głośny szloch Tekli, podtrzymywanej przez Stefanię z jednej i Janka z drugiej strony. Zerknął na Juliana. Młody Michałowski stał tuż przy trumnie. Miał kamienną twarz. Patrzył gdzieś przed siebie. Ponad głowami zebranych.

– Złożymy ciało naszej siostry Eleonory w grobie. Ponieważ Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy z umarłych i odnowi nasze śmiertelne ciała na podobieństwo swojego ciała uwielbionego,

ufamy, że wskrzesi ciało Eleonory, gdy przyjdzie w chwale – mówił ksiądz.

Kiedy kapłan skończył wypowiadać ostatnie słowa, coś drgnęło w Julianie. Jakby nagle zdał sobie sprawę, że już za chwilę wszystko się skończy. Że trumna zniknie pod grubą warstwą ziemi. Julian upadł na kolana, nie bacząc na zimno i śnieg zalegający wokół świeżo rozkopanego grobu. Przyłożył twarz do trumny, jak przykłada się policzek do policzka śpiącego. Klęczał tam tak długo, aż w końcu ojciec siłą oderwał go od trumny, którą -zaczęto -spuszczają do grobu.

Ciszę, jaka wówczas zapanowała, przerywał tylko płacz zebranych. Ucichły nawet ptaki i szum drzew. Stali tam jeszcze przez długi czas. Przyjmowali kondolencje, nie zdając sobie sprawy, kto do nich -podchodzi i co mówi.

W końcu ludzie zaczęli się rozchodzić. Mijały minuty i kwadranse. Może godziny, a Schramm i jego rodzina wciąż stali nad grobem Eleonory. Wtedy podszedł do nich Julian.

– Mamo, tato – odezwał się przytłumionym głosem.

Najpierw nie zwrócili na niego uwagi, nie zdając sobie sprawy, że to do nich mówi.

– Mamo, tato – powtórzył głośniej. – Czy mogę tak się do mamy i ojca zwracać?

Tekla wybuchnęła głośnym płaczem, tuląc go do siebie. On też nie był w stanie zapanować nad spływającymi po policzkach łzami. Podobnie jak żona, nie odpowiedział słowami. Nie musiał. Całą wdzięczność za tę propozycję wyraził mocnym uściskiem.

I teraz na wspomnienie tamtej chwili znowu poczuł dławiące go łzy.

Od dnia, w którym nadeszła ta straszna wiadomość, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ich życie będzie normalne. Czy jeszcze kiedyś będzie w stanie uśmiechać się, myśląc o Eleonorze. Jak na razie myśli te powodowały tylko ból i łzy.

\*\*\*

Rozalia zmierzała do Juliana, na ulicę Szlak. Magdalenka została w domu, pod opieką Eryka.

– Chciałabym pójść z tobą, ciociu – mówiła błagalnie, kręcąc się wokół przygotowującej się do wyjścia Zdanowskiej. – Na mieście dzieją się teraz różne rzeczy. Wiem, bo tak jest zawsze, kiedy zbliżają się święta. A poza tym, czy wybrałaś już z Erykiem odpowiedni prezent?

– Daj spokój – upomniał ją Eryk. – Wiem, że pewne rzeczy jeszcze do ciebie nie docierają, ale jesteś już na tyle dużą panienką, żeby wiedzieć, że prezenty to na chwilę obecną ostatnia rzecz, o jakiej wszyscy myślimy. I proszę, nie łam ust w podkówkę, ponieważ tym razem mnie na to nie nabierzesz.

Po tych nieco ostrych słowach Madzia zrobiła naburmuszoną minę i niczym żołnierz podczas musztry odmaszerowała do swojej sypialni.

Idąc teraz przez Rynek, Rozalia żałowała, że nie zabrała małej. Pogoda była wprost wymarzona na spacer. Mróz przyjemnie szczypał w nos, a wciąż proszący śnieg nadał miastu bajkowy charakter, który wzmacniały jeszcze niektóre sklepowe witryny, przystrojone z okazji zbliżającego się Bożego Narodzenia.

– Pani Zdanowska! Pani Rozalio! – usłyszała wołanie.

Siostra Juliana zatrzymała się na wysokości kościoła Mariackiego, szukając wzrokiem osoby, która próbowała ją zatrzymać. Wreszcie wśród spieszących się przechodniów zauważyła dziewczynę taszczącą wiklinowy kosz, która machała do niej intensywnie.

Rozalia wyciężyła pamięć. Gdzieś już widziała tę twarz. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że to Justyna pracująca w domu Schrammów.

– Dziękuję, że pani zaczekała. Muszę coś pani powiedzieć. Dowiedziałam się niedawno. Nie wiem, czy powinnam o tym mówić państwu Schrammom albo panu hrabiemu, ale komuś muszę. A że to w końcu chodzi o pani Zdanowskiej matkę, to modliłam się od kilku dni, żeby gdzieś panią zauważyć. I dobry Bóg mnie wysłuchał, bo inaczej musiałabym fatygować się aż na Pogórze.

– Co się stało? – zapytała Rozalia.

– Bo widzi pani, moja znajoma pracuje tam – mówiąc to, wskazała na Sukiennice. – U Noworolskiego. Jak tylko się dowiedziała, że ta dziewczyna, co to zginęła w wypadku, to panna Eleonora była, przybiegła do mnie w te pędy. Wie pani, ciekawska, jak się rodzina czuje i takie tam. No więc my tu gadu-gadu i tak od słowa do słowa Celina mówi mi, że panna Schrammówna w tym dniu,



to znaczy zaledwie niecałą godzinę wcześniej, w kawiarni z matką hrabiego się spotkała.

– Tak, wiem. Julian mówił – odparła Rozalia.

– Ale, pani Zdanowska wybaczy, hrabia wiedział tylko, że miały się spotkać. Nie wiedział, że chyba o coś im poszło. A w zasadzie nie im, bo panna Eleonora to siedziała przy tym stoliku jak, nie przymierzając, z głową na szafocie. Słuchała tylko, a kiedy w pewnym momencie chciała odejść, bo już musiała być mocno zdenerwowana, to ją pani hrabina za rękę przytrzymała i zmusiła do ponownego zajęcia miejsca. Potem jeszcze coś hrabina bez przerwy mówiła, a im więcej pani Michałowska się odzywała, tym Eleonora, panna Schrammówna, była bledsza i bardziej przygnębiona. Potem została sama. Siedziała jeszcze przez chwilę. Wstała, zapłaciła i wyszła przed lokal. Chwilę postąa, jakby nie wiedziała, co robić, a Celina cały czas ją obserwowała. W końcu ruszyła w stronę Wiślniej. I wtedy Cela widziała ją po raz ostatni.

Rozalia czuła, jak z każdym słowem Justyny robi jej się cieplej. Jak serce zaczyna bić w niekontrolowany sposób. Jak zaczyna ją boleć głowa, a na policzki występują rumieńce. Poluzowała szalik, który wychodząc z domu, ciasno owinęła wokół szyi. Miała ochotę ściągnąć czapkę, ale wolała się nie przeziębic. Zamiast tego na chwilę ściągnęła rękawiczki. Dziwna słabość, która zaczynała ją dopadać, powoli odchodziła pod wpływem zimna, z jakim zetknęła się jej rozgrzana skóra.

– Dziękuję, Justysiu. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Ja musiałam o tym powiedzieć. Mam nadzieję, że... – Justyna przerwała w pół słowa. Milczała. Wreszcie machnęła ręką.

– Wszystkiego dobrego na święta – powiedziała na odchodnym i powoli ruszyła w stronę kamienicy Pod Irysami.

Rozalia wciąż stała w tym samym miejscu, w którym zatrzymała się, żeby się rozejrzeć, kto ją nawołuje. Powinnam iść do Juliana, przemknęło jej przez głowę, ale miała w niej okropny mętlik. Nogi same zniosły ją do kościoła. Przed świętami w świątyni zawsze tłoczyło się pełno ludzi. Wycofała się do kruchty. Tu było nieco mniej wiernych. Zamknęła oczy. Pograżyła się w modlitwie. Miała nadzieję, że uzyska odpowiedź, jak powinna się zachować. Przed opuszczeniem świątyni weszła głębiej, do nawy głównej, aż pod sam ołtarz główny, przed którym chciała się pokłonić. Uklękła, schylając pokornie głowę. Kiedy się podnosiła, jej wzrok padł na figurę pawia, który symbolizował jeden z grzechów głównych. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Pycha. Pycha była chyba najgorsza z nich wszystkich.

Kwadrans później, przekonana o słuszności decyzji, jaką podjęła, ruszyła w stronę ulicy Szlak.

\*\*\*

– Rozalia miała pójść dziś do Juliana – odezwała się Michałowska, pragnąc przełamać panujące w salonie milczenie.

– To dobrze, bardzo dobrze – odparł Aleksander.

Nie dodał jednak nic więcej, ponieważ myślami wciąż błędził gdzie indziej. Józefa przewróciła oczami. Drażniło ją zachowanie męża.

– Czy dowiem się, o czym tak rozmyślasz?

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Eleonora zmarła. – Józefa prychnęła, ale hrabia nie zwrócił na nią uwagi. – Tylu ludzi przyszło ją pożegnać. Tłumy, prawdziwe tłumy.

– Cóż to za tłumy? Jakaś niedorzeczność. Ciekawscy gapie. Chyba nie myślisz, że ci wszyscy ludzie przyszli tam z jej powodu?

– A z jakiego, proszę mamy? – Ostry ton Juliana, który wszedł do pokoju, sprawił, że policzki Józefy lekko się zaczerwieniły.

– Julian! – wykrzyknął Aleksander na widok syna. – Dobrze cię widzieć. Oj, jak dobrze cię widzieć – mówiąc to, podszedł do niego i mocno go uściśnął. – I ciebie też, Rozalko – dodał szybko, także tuląc córkę.

Michałowska nie wstała, żeby się przywitać.

– Jak się czujesz? – zapytał z troską ojciec.

– A jak ma się czuć? – wtrąciła Józefa. – Jak widzisz, całkiem dobrze. To się chwali. W końcu

życie toczy się dalej. – Hrabina nie zwracała uwagi na coraz szybciej oddychającego Juliana. – Doskonale, że jesteście. W zasadzie miałam wysłać wam informację, prosząc o stawienie się w domu. W końcu trzeba zaplanować święta i zorganizować zabawę sylwestrową – paplała bez ustanku.

– DOŚĆ!!! – ryknął Julian tak głośno i ostro, że Rozalia aż podskoczyła.

W salonie zapadła martwa cisza.

– Nie wiem, po co się tak denerwować? – zaczęła Michałowska.

– Jestem tutaj, ponieważ chciałem o coś matkę zapytać. I proszę, żeby się hrabina zastanowiła, zanim odpowie.

Aleksander usiadł w fotelu. Przyglądał się wszystkiemu z ciekawością i dziwną satysfakcją. Ostatnio doszedł do wniosku, że nie lubi własnej żony. Wciąż zadawał sobie pytanie, jak to się stało, że przez te wszystkie lata nie zauważył jej szpetnego charakteru. Czyżby był taki sam, myślał z przerażeniem. A może byłem ślepy i głuchy, albo nie, chciałem być ślepy i głuchy, dodawał w duchu. Żadna z tych rzeczy nie świadczyła o nim dobrze.

– Wiem, że miała się matka spotkać z Eleonorą, ponieważ Norcia mi o tym powiedziała. – Głos Juliana drżał, kiedy wypowiadał imię zmarłej. – O czym rozmawialiście?

Odchrząknął. Nie miał zamiaru okazywać słabości. Nie w obecności hrabiny.

– Cóż, o kobiecych sprawach. W końcu mieliście się pobrać za kilka tygodni, więc chciałam wywiedzieć się, na jakim etapie są przygotowania.

– Tak sobie plotkowałyście. Jak przyjaciółki?

– Tak. Czyżbyś miał jakieś zastrzeżenia?

– A tak dokładnie, o czym sobie plotkowałyście? – drażył Julian.

– O błahostkach – odparła coraz bardziej zdenerwowana Michałowska.

– O takich to błahostkach, które sprawiły, że Eleonora chciała opuścić lokal przed końcem rozmowy, ale matka zatrzymała ją siłą, każąc zapewne wysłuchać steku kalumnii pod jej adresem, ponieważ Norcia bladła coraz bardziej po każdym kolejnym słowie hrabiny. Tak? A może jednak mijam się z prawdą?

– Na Boga! – krzyknęła Józefa, podrywając się z fotela. – Myślisz, że mogłam patrzeć, jak wikłasz się w to bagno? Jak ta, ta pannica, której matka łajdaczyła się po Europie, mami cię pięknymi słówkami i łatwym ciałem, które zaserwowała ci, godząc się na wzajemne z tobą mieszkanie przed ślubem. Powiedziałam jej, że wiem o niej wszystko. I że dam jej czas, żeby wyznała prawdę także tobie. Nie była taka święta, jak ci się wydaje. Jak wam się wydaje! – wrzasnęła wściekła jak osa.

– Myśli hrabina, że nie wiedziałem o Blochu? – Julian podszedł do matki bardzo blisko. – Nie, Eleonora mi nie powiedziała, ale nie miałem do niej o to pretensji. Zostawiłem ją, wyгнаłem, pożegnałem. To była moja wina. A zresztą, nie jestem hipokrytą. Jakże mógłbym jej mieć to za złe, kiedy sam obracałem kurwy w burdelu?! – Wulgarnie słowa miały zszokować Józefę.

Julian osiągnął cel. Hrabina zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa. Trzęsa jej się broda, jakby zbierało się jej na płacz, ale Michałowska była ostatnią osobą, która rozplakałaby się podczas słownej utarczki.

– A więc wiedziałeś, że nie byłeś jej pierwszym mężczyzną? Jakim trzeba być naiwnym, aby wierzyć cudzołóżnicy? Teraz jesteś na mnie wściekły. Bardzo dobrze. Wściekłość oczyszcza. Poprawia tok myślenia. Kiedyś jeszcze mi podziękujesz.

– Proszę mnie posłuchać, hrabino. – Ostatnie słowa Julian cyzelował powoli. – Ta dzisiejsza rozmowa jest ostatnią, jaką z hrabiną przeprowadzam. Jak zapewne pani zauważyła, zaprzestałem używać słowa „matka”, ponieważ nie jest pani godna, aby tak się do niej zwracać. Hańbi pani to słowo pod każdym możliwym względem. Proszę sobie zapamiętać, że nie ma pani już syna. Nie wiem, czy nadal ma pani córkę, ale syna na pewno nie. I jeszcze jedno. Chciała pani osiągnąć pewien cel. Chciała pani, żebym zerwał z Eleonorą albo żeby ona zostawiła mnie. Żebyśmy się nie pobrali. Ten ostatni cel pani osiągnęła. Ślubu w urzędzie nie było. Nie złożyliśmy podpisów. Ale ja ślubowałem sam, przed Bogiem. Eleonora była, jest i będzie moją małżonką. Obarczam panią winą za jej śmierć. Niech spadnie ona na pani sumienie, chociaż śmiem twierdzić, że go pani nie ma. Pozbawiła mnie pani celu, radości, miłości i życia. Bo tym wszystkim była dla mnie Eleonora. Gdyby nie fakt, że na kilka godzin przed jej

wypadkiem podpisałem dokumenty przysposabiające Helenkę Morawską, podążyłbym jej śladem. Ale jestem winien życie temu dziecku i Eleonorze. Długie życie, mam nadzieję. Tak aby ją wychować, jak własną córkę, bo pewnie własnych dzieci mieć nie będę. Moja żona bowiem, dzięki pani staraniom, nie żyje. I nie zamierzam żenić się nigdy w przyszłości. Naszą rozmowę uważam za zakończoną.

Julian odsunął się od zszokowanej Michałowskiej.

– Aleksandrze, czy ty słyszałeś, co Julian wygaduje? Zrób coś? Rozalio? Czy ty także zamierzasz rzucać mi takie oskarżenia w twarz? A tak w ogóle, jak możesz przedkładać córkę zwykłego bankiera ponad matkę? Ona nie była godna naszego nazwiska i mojego także.

Julian roześmiał się głośno.

– A to paradne. Czy hrabina naprawdę nic nie wie o swoim pochodzeniu, czy tylko udaje?

Michałowska spuściła wzrok.

– Wie tylko tyle, ile jej powiedziałem – odezwał się milczący do tej pory Aleksander. – I zresztą wie tyle, ile ja wiem. Sam jestem ciekaw, co masz nam, Julianie, do powiedzenia.

– Byłem swego czasu przezorny. Wiedziałem, że hrabina Michałowska nie darzy Eleonory sympatią i może kiedyś znowu zechce grać nazwiskiem Arenstein. Abstrahując od tego, co zrobiła. Zatrudniłem pewnego człowieka, który bardzo dobrze wywiązał się ze swojego zadania. Otóż, hrabino, mój prapradziadek był zwykłym chłopem, i to na dodatek złodziejem. Zwietryzył, gdzie właściciel folwarku, na którym pracował, trzyma schowane złote carskie imperiały. Wykorzystał okazję. Ukradł je, ale żeby nie zostać od razu złapanym, ukradł też stosowne odzienie. Nie był w ciemię bity. Wyjechał do Niemiec. Podobno do Bawarii. Tam wynajął dom. Rozpowiedział kilka plotek na swój temat. Widać dobrze mu szło, bo po jakimś czasie oświadczył się pewnej pannie. Nic to, że panna, nie obrażając jej, nie grzeszyła urodą, ale była majątna. Na jej korzyść świadczył też brak innego rodzeństwa i stary, słabujący ojciec. Prapradziadek nie musiał długo czekać. Teść szybko wyzionął ducha, wszystko przepisując dziwnym trafem nie na córkę, a na zięcia. Któż podważałby wówczas taki testament. Prawo mężczyzny, prawda? – Julian uśmiechnął się szeroko. Sarkastycznie. – Od razu spakował manele i wyjechał. Miał przynajmniej na tyle sumienia, że zabrał ze sobą małżonkę. Nie wrócił jednak do zaboru rosyjskiego. Tam wciąż mógł być poszukiwany. Osiadł w Małopolsce. Tak, dobrze hrabina myśli. Pod Krakowem. Kupił folwark. Spłodził syna. Zaczął robić interesy, a że miał smykałkę, powiększał majątek. Chociaż niektórzy szeptali, że nie wszystko było uczciwe. Pradziadek miał już wszystko ułatwione. Udało się spreparować dokumenty. Nazwisko panny z Bawarii nagle stało się nazwiskiem pradziadka. Tak więc, pani hrabino, pani zacny ród nie od Fryderyka Barbarossy się wywodzi, ale od chłopca, który świnie pasał.

– Nie będę słuchać tych obelg. Aleksandrze, jesteś jego ojcem. Zrób coś.

– Żadna prośba, żebyś mi wybaczył, ponieważ mogłem pewne sprawy przewidzieć, nie odwróci tego, co się stało, ale mimo wszystko mam nadzieję, że kiedyś... – Michałowskiemu załamał się głos.

Julian podszedł do niego i zamknął go w uścisku. Nie potrzebowali słów.

– Pójdę już – powiedział po chwili. – Dobranoc, ojcze.

– Dobranoc, tato – pożegnała się także Rozalia.

Na Michałowską nawet nie spojrzała. Józefa wciąż stała koło fotela, z którego zerwała się w chwili uniesienia. Patrzyła z wyrzutem na Aleksandra, który także odwrócił wzrok w jej stronę. Spojrzenie było zimne. Stalowe. Przeszywające. Nie było w nim krzty -zrozumienia, litości czy uczucia.

– Milczałem podczas tej rozmowy, ponieważ docierała do mnie smutna prawda. Nie poznaję cię od dawna, Józefo. Twoja zmiana zaczęła następować na długo przed ubiegłoroczną kolacją wigilijną, ale wciąż miałem nadzieję, że to kwestia wieku. Że jakoś dojdiesz do siebie. Zawsze byłaś snobką, lecz nie okrutnikiem. To, czego się dopuściłaś, napawa mnie nieopisanym obrzydzeniem. Nie potrafię znaleźć słów, żeby to skomentować. Dlatego kiedy mój syn odbywał z tobą rozmowę, podjąłem decyzję i jest ona nieodwołalna. – Michałowska patrzyła na męża z przerażeniem. – Mam już swoje lata. Poza tym jestem wygodny i leniwy. Ostatnio całą energię, jaką udaje mi się zebrać, kieruję na wspólne przedsięwzięcie. Moje, Juliana i Jana Schramma. Tylko z tych powodów nie poproszę o rozwód i nie pozbawię cię wygodnego życia, jakie prowadziłaś, będąc hrabiną Michałowską. Imaginuj sobie, że mógłbym być podobnym tobie okrutnikiem i wydać cię, jako potomka złodzieja, oszusta

i malwersanta. Nie zrobię tego jednak, ponieważ nie leży to w mojej naturze i nie mam zamiaru zniżać się do twojego poziomu. Nie, nie ciesz się za szybko. Wyjedziesz z Krakowa. Na zawsze. Nie chcę cię już nigdy widzieć. A sądząc po tym, co tu się przed chwilą stało, nie chcą cię widzieć także nasze, moje dzieci. Najpierw wyjedziesz do Ochockich. Uprzedzę ich, że zagościsz u nich na kilka dni. Potem dam ci znać, dokąd się udasz.

– Chyba żartujesz? – zadrwiła Michałowska. Jednak Aleksander widział, że to są już ostatnie podrygi harpii. – Czyżbyś chciał zesłać mnie na wygnanie? Na Sybir?

– Życzysz sobie pojechać na Sybir? – zapytał poważnie. – Tak myślałem. W twojej sytuacji nie powinnaś żartować. Powinnaś uważać, czego sobie życzysz. Nic, co powiesz ani co zrobisz, nie zmieni mojej decyzji. Ona została podjęta. Lepiej już nie będzie.

Po tych słowach wyszedł z salonu, dając Józefie Michałowskiej do zrozumienia, że temat został zakończony.

\*\*\*

Adwent miał się ku końcowi. Do Wigilii pozostało zaledwie kilka dni. Rodzina Schrammów oraz Julian, trzymający Helenkę za rękę, wracali właśnie spod Bramy Herbowej na Wawelu, gdzie zakończyła się uroczystość ustawiania pomnika Tadeusza Kościuszki. Szli w milczeniu, poważni, skupieni, a jednak nie dało się pozostać obojętnym na tę jedyną, charakterystyczną dla świąt Bożego Narodzenia atmosferę, dlatego w sobotę, na wyraźną prośbę pani Schramm, Julian i Helenka pojawili się w kamienicy Pod Irysami.

– Julianie, proszę, usiądź – powiedziała Tekla, wskazując fotel stojący w gabinecie Schramma. – Helenką zajmie się Justysia, a my, Jan, ja i Stefania, chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

Usiadł. Czekał w milczeniu na to, co mieli do powiedzenia.

– To będą najgorsze święta w naszym życiu, ale wiem, że Eleonora uwielbiała Boże Narodzenie. Chcielibyśmy...

– Tak – wtrącił Julian, nie czekając na dalsze słowa Tekli. – Tak, powinniśmy je spędzić jak zawsze. Kupić choinkę, odwiedzić jarmark bożonarodzeniowy, pójść na pasterkę. Mam wrażenie, że tego chciałaby Eleonora. A poza tym jestem teraz ojcem. Tak się czuję, chociaż Helenka mówi do mnie wujku, ja uważam się za nią odpowiedzialny tak bardzo, jak tylko rodzic potrafi. Ona niedawno straciła ojca, ja Eleonorę, ale ona jest dzieckiem, które potrzebuje poczuć, co to jest radość, którą daje Boże Narodzenie.

Szli więc teraz w stronę Rynku, gdzie rozstawiły się świąteczne stragany.

– Kupimy choinkę? – Helenka spojrzała na Juliana, delikatnie ciągnąc go w stronę Sukiennic, gdzie stali sprzedawcy pachnących, rozłożystych drzewek.

Julian uśmiechnął się delikatnie. Ruszyli w stronę choinkowego lasu. Krążyli pośród drzewek. Szukali tej jednej jedynej. Nie za wysokiej, nie za szerokiej. Pachnącej lasem. Z gęstym igliwem. Dotykali, wachali. Stawali przy drzewkach. Helenka padła nawet przed jednym na kolanka, chcąc sprawdzić, czy będzie jej wygodnie wyciągać spod niego prezenty.

– Oczywiście kolację zjecie u nas – szepnęła Tekla, stając obok Juliana, który obserwował biegnącą między choinkami szczęśliwą Helenkę.

Nareszcie zaczęła się uśmiechać. Była taka milcząca i poważna, kiedy ponad dwa tygodnie temu odebrał ją z ochronki. Przedstawił się i wytłumaczył, że teraz on będzie się nią opiekował. Że będzie miała prawdziwy dom, na który zasługuje. Skinęła głową, bez słów. W oczach pojawiły się łzy. Nie wiedział, czy były to łzy szczęścia, że zostawia za sobą niemiłe wspomnienia z ochronki, czy strachu, że znowu znajdzie się w miejscu, które nie zapewnia jej bezpieczeństwa. Przez pierwsze dni badała teren. Była cicha, wycofana. Pomocną dłoń wyciągnęła Rozalia, która prawie codziennie pojawiała się u niego z Magdalenką. Dziewczynki szybko się zaprzyjaźniły. W końcu Helenka, z dziecięcą ufnością, że wreszcie uśmiechnęło się do niej szczęście, zaczęła odzywać się coraz częściej. Wieczorami, przed snem, Julian snuł opowieści. Czasami wymyślał bajki, innym razem opowiadał o wydarzeniach z własnego dzieciństwa. Raz jeden -wspomniął o Eleonorze.

– Ja też tęsknię za tatusiem – odezwała się Helenka, łapiąc Juliana za rękę. Siedział na skraju jej

łóżka jak skamieniały, z oczami wypełnionymi łzami. – Myślę o nim cały czas, ale wtedy było gorzej. – Julian zrozumiał, że mówiła o ochronce. – Teraz mam ciebie. – Zamilkła na chwilę. – A ty mnie.

Patrzył na nią teraz, jak wybierała odpowiednią choinkę, i cieszył się, że na jej twarzy zagościła szczerą, dziecięcą radość. Może kiedyś i na moich ustach pojawi się uśmiech, pomyślał.

Czekał cierpliwie.

– Ta! – wykrzyknęła w końcu Helenka.

Zapłacił, złapał drzewko i zarzucił je sobie na ramię. Helenka zapiszczała z radości. Zaparkował nieopodal, zresztą jak wielu innych mieszkańców Krakowa. Miał to szczęście, że posiadał automobil. Mniej zamożni taszczyli drzewka na własnych barkach aż do domu, inni czekali na tramwaj, który zatrzymywał się na Rynku. W tych dniach, kiedy święta zbliżały się wielkimi krokami, tramwaje wypełnione były zapachami lasu, nastrajając ludzi spokojem i błogością.

– Spójrz, wujku. – Helenka ciągnęła go za rękaw płaszcza.

Odwrócił wzrok w kierunku, który wskazywała. Do Rynku zbliżało się kilka konnych wozów wypełnionych świeżo ściętymi choinkami. Dziewczynka spojrzała na niego wielkimi oczami. Uśmiechnął się, ale pokiwał przecząco głową.

– Mamy już swoją choinkę. Sama ją wybrałaś. Jest piękna. Na pewno nie znaleźlibyśmy lepszej. – Po jego słowach uśmiech nieco przygasł na jej ustach, ale po chwili znowu się rozpogodziła.

Jeszcze przez jakiś czas spacerowali po Rynku, obchodząc bożonarodzeniowe stragany, na których piętrzyły się ozdoby świąteczne, lichtarzyki, świeczki, złote i srebrne anielskie włosy, którymi -dekorowano drzewka.

– Robi się coraz chłodniej – odezwała się Schrammowa, kiedy przystanęli nieopodal stoiska, na którym wystawiono fikuśne -obrusiki. – Może chcielibyście zajrzeć do nas na coś ciepłego.

Julian podziękował za zaproszenie. Widział błagalne spojrzenie Helenki, która rwała się już do strojenia drzewka.

– W takim razie do Wigilii – powiedział Schramm, podając Julianowi dłoń na pożegnanie. – Trzymaj się, synu – szepnął na odchodnym.

– Mam nadzieję, że hrabia Michałowski, tak jak obiecał, też do nas dołączy – odezwała się Tekla.

– Przyjdzie, proszę, niech się mama nie martwi – zapewnił ją Julian.

Zauważył, że kiedy zwracał się do Schrammowej „mamo”, jej oczy robiły się szkliste. Jego zresztą też. Za każdym razem żałował, że Eleonora nie może tego usłyszeć.

\*\*\*

– Od tych wszystkich smakowitych aromatów aż kręci się w głowie – mówił Jan, zaglądając do kuchni, w której niepodzielnie stery od wczorajszego wieczora dzierżyła Tekla.

Dzisiaj przypadała Wigilia. Na samą myśl, że nie zasiądą do stołu całą rodziną, ścisnęło mu się serce.

Jego wzrok spoczął na sylwetce żony.

Od dnia, w którym dowiedzieli się o wypadku Eleonory, ich wzajemny stosunek bardzo się zmienił. Jakby w naturalny sposób z pamięci uleciały pretensje, problemy, podziały, złość, uraza. Znowu tworzyli zgrane małżeństwo, jakim kiedyś przecież byli. Nie zważając na obecność kucharki i Justysi, podszedł do Tekli.

Zaskoczona jego obecnością w tym miejscu, chciała zapytać, czy coś się stało, ale Schramm przytulił ją do siebie i delikatnie pocałował. Stała osłupiała, nie wiedząc, co powiedzieć i jak się zachować.

Zerknęła na pracujące bez wytchnienia kobiety, które udawały, że niczego nie widziały. Tymczasem Jan bez słowa odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę gabinetu. Tekla stała tak jeszcze przez chwilę pośrodku kuchni, skonsternowana, zaskoczona, dziwnie bezradna. W końcu otrzepała ręce i podążyła za mężem. Stała w drzwiach jego pokoju.

– Nie ma sensu chować urazy, prawda? – zapytał, patrząc na żonę. – Życie jest kruche i krótkie. Nie mamy na nic wpływu. Ostatnio dużo rozmyślałem i może jestem naiwny, może głupi, ale mam dziwne wrażenie, ba, nawet pewność, że wcale nie jesteśmy kowalami własnego losu. Tylko tak się nam wydaje.

– Janie, o czym ty mówisz? – zapytała Tekla.

– Ty powinnaś rozumieć mnie najlepiej. Czyż nie uważasz, że wszystko, co robimy, robimy dlatego, że tak już postanowiono? Tylko nam się wydaje, że podejmujemy te czy inne decyzje. Tylko nam się wydaje, że sami dobieramy sobie partnerów, przyjaciół, pracowników. Te wszystkie wydarzenia i ci wszyscy ludzie są nam przypisani na długo przed naszym narodzeniem.

– Chcesz powiedzieć, że Eleonora miała tę śmierć zapisaną?

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy cieszyć się życiem. Nie chować urazy. Kochać swoich bliskich. Robić wszystko, żeby zawsze i jak najdłużej być razem, bo jak widać, nie wiemy, kiedy i gdzie możemy stracić kogoś, kogo darzymy uczuciem, prawda?

Tekla długo stała w drzwiach gabinetu, zastanawiając się nad słowami męża. W końcu podeszła do niego i mocno go przytuliła. Może Jan miał rację? Może wszyscy mamy swoje przeznaczenie zapisane gdzieś tam wysoko, pomyślała, całując go w czubek głowy.

– Pięknie to powiedziałeś, ale kolacja wigilijna sama się nie robi – odezwała się weselszym tonem, żeby przegonić ten filozoficzny, smutny nastrój.

Kilka godzin później dom Schrammów rozbrzmiewał mnogością głosów.

– Mam nadzieję, że się hrabia nie pogniewa, jeżeli zasiądą razem z nami do stołu nasi pracownicy. Nasza kucharka Grażynka, nasza pomoc Justysia oraz Franciszek i Szymon. Mieszkają z nami już od tylu lat. Są naszą rodziną – mówiła nieco wcześniej, kiedy w kamienicy Pod Irysami zjawił się Aleksander Michałowski, a zaraz za nim Julian z Helenką, nie mogącą się doczekać, kiedy zobaczy przystrojone drzewko i mnogość prezentów, jakie pod nim ułożono.

Tego roku Tekla postanowiła, że siądą przy jednym wspólnym stole. Bez podziału na pracowników i państwo. Może wprawiła tym postanowieniem niektórych w osłupienie, ale nie miała zamiaru się z niego wycofywać. Przemowa Jana, którą wygłosił rano, i ostatnie tragiczne wydarzenia coś w niej zmieniły.

– Justysiu, zanim usiadziemy, sprawdź, proszę, czy pod każdym talerzem jest sianko – komenderowała teraz tuż przed wieczerzą, żeby zapiąć wszystko na ostatni guzik.

W końcu przyjęcia u Tekli Schramm były swego czasu szeroko w Krakowie komentowane, a i zaproszenie na nie było swoistym wyróżnieniem. Od tamtego momentu minęło sporo czasu, wiele się zmieniło, wiele się wydarzyło, ale jedno pozostawało niezmiennie. Jeżeli Schrammowa prosiła do siebie, to nie było miejsca na błędy i niedociągnięcia.

W salonie, oprócz Tekli i rozgorączkowanej Justysi, kręciła się ciekawska Helenka Morawska.

Tymczasem Jan, Julian i Aleksander zaszyli się w gabinecie, czekając, aż zostaną poproszeni do stołu. Stefania, widząc nieporadną minę Heleny, wzięła ją pod swoje skrzydła. Przez chwilę przyglądała się, jak dziewczynka rysuje. Korygowała jej błędy, wskazując, gdzie powinna coś poprawić. Widać było, że mała Morawska ma naturalny talent.

– Mamo – odezwała się do Tekli, którą obserwowała od dłuższego czasu.

Od dawna nosiła się z pewnym zamiarem, ale wciąż nie było okazji, żeby wcielić go w życie. Postanowiła więc, że zaczeka do Wigilii. Wstała z miejsca, które zajmowała, towarzysząc podopiecznej Juliana, i zostawiając Helenę sam na sam z kartką papieru oraz farbami, ruszyła w stronę matki. Tekla odwróciła się do córki.

– Chciałam cię przeprosić – powiedziała Stefcia. – Chciałam...

– Och, Stefciu – przerwała jej Schrammowa, tuląc w milczeniu córkę do piersi.

Trwały tak bardzo długo, ciesząc się wzajemną bliskością i faktem, że mają siebie nawzajem.

W końcu wybiła odpowiednia godzina, by na stole oprócz zastawy zaczęły pojawiać się wigilijne potrawy. Zgodnie z tradycją, której Schrammowa przestrzegała od lat, musiało ich być dwanaście. Były więc: barszcz z uszkami; zupa grzybowa; pierogi z kapustą i grzybami; kluski z makiem; karp smażony i w galarecie; smażony dorsz; kapusta z grochem; śledź po żydowsku; makowiec; paszteciki z kapustą i grochem oraz kompot z aromatycznych -suszonych śliwek.

Do wieczerzy zasiedli wówczas, kiedy Helenka, stojąca przed dłuższy czas przy oknie, wykrzyknęła, że widzi pierwszą gwiazdkę.

– Było ciężko – odezwał się hrabia Michałowski, zwracając się do Juliana.

Jakiś czas temu skończyli biesiadować. Aleksander spojrzął na syna, który siedział w fotelu w salonie Schrammów. Nie musiał mu tłumaczyć, co ma na myśli. Tak, pomyślał Julian, było bardzo ciężko.

– Jeszcze przez długi czas będzie ciężko – dodała Stefcia, zwracając wzrok w stronę Jana, który zbliżał się do panów Michałowskich z kieliszkami aromatycznego koniaku.

Tekla znowu zniknęła w kuchni, wydając polecenia, które z łaski powinny zostać podane. Helenka kręciła się nerwowo koło choinki, co rusz zaglądając pod drzewko.

– Mamo, prezenty czekają! – zawołała Stefania, schylając się pod rozłożyste gałęzie w poszukiwaniu małego, ozdobnie zapakowanego pudełka.

– Zrobiłam je dla was, dla ciebie i Eleonory – mówiła Stefcia, siadając na oparciu fotela, w którym utonęła postać Juliana. – Nie, nie wstawaj. Tak mi dobrze. – Położyła mu dłoń na ramieniu, aby zatrzymać go na miejscu.

Nie oponował. Opadł na siedzisko ponownie. Wpatrywał się w niewielkie puzderko, które Stefania trzymała na dłoni wyciągniętej w jego stronę. Wziął je z wahaniem.

– Otwórz – poprosiła.

Bał się do niego zajrzeć. Intuicja podpowiadała mu, co tam znajdzie. Zerknął z lękiem w oczach na twarz Stefci, która z delikatnym uśmiechem na ustach skinęła zachęcająco głową. Julian zamknął oczy. Życie toczące się wokół niego zamarło. Miał wrażenie, że jest sam. Otaczała go ciemność. Cisza. Spokój. Nie czuł jednak strachu, tylko otuchę.

– Otwórz – usłyszał znowu.

Uniósł powieki, rozglądając się po salonie Schrammów. Mógł przysiąc, że słyszał głos Eleonory. Zwrócił głowę w stronę wpatrującej się w niego z niecierpliwością Stefanii. Raz jeszcze nieznacznie skinęła zachęcająco.

Powoli otwierał wieko pudełeczka.

Tak, tego się spodziewał.

Na miękkiej, białej niczym świeży śnieg poduszeczce leżały dwie niezwykle obrączki.

– Chciałam wręczyć je wam w dniu św. Mikołaja, ale... – Stefania nie dokończyła zdania.

Przełknęła gulę rosnącą w gardle. Zatrzepotała rzęsami, odganiając łzy.

– Potem o nich zapomniałam. Znalazłam to puzderko schowane w jednej z szuflad sekretarzyka, który stoi w moim... – zawahała się – w pokoju mamy. Schowałam je tam przed Eleonorą. To miała być niespodzianka i bałam się, że chociaż już z nami nie mieszka, to znajdzie je przez przypadek.

– Są... – Julian szukał odpowiednich słów. – Powiedzieć piękne, to jak nie powiedzieć nic. To jak powiedzieć zwykły banał. Są niezwykle.

– Długo szukałam właściwego wzoru, motywu. Na ten wpadłam podczas mojego krótkiego pobytu w Berlinie. Mój przyjaciel Tristan, oprowadzając nas po muzeum starożytności, snuł przede mną i Frau Goldbaum cudowne opowieści. Jedna z nich dotyczyła lotosu. Był dla Egipcjan szczególnie ważny. Ma zdolność rozkwitania za dnia i zamykania się na noc, chowając się pod powierzchnię wody, jakby ułożywszy się do snu, okrywał się wodną kołderką. Lotos jest symbolem odrodzenia, ale także czystości. Ponoć posiada moc uzdrawiania. Symbolizuje słońce. Już wtedy wiedziałam, że jego kwiat musi znaleźć się na waszych obrączkach, ale wciąż jeszcze czegoś mi brakowało. Szukałam, słuchałam i w końcu znalazłam idealne rozwiązanie. Mniejsza, przeznaczona dla Eleonory, ma kolor różowego złota, nie dlatego że wiąże się go z kobiecą delikatną naturą. Różowy lotos to czułość, którą cię otaczała. To romans, jaki dla siebie stworzyliście. To harmonia, której szukaliście i którą wreszcie udało wam się zyskać. To przywiązanie, które trwało przez tyle lat, chociaż życie rzucało wam kłody pod nogi. Twoja obrączka jest zrobiona ze złota białego, ponieważ biały lotos to symbol przebudzonego umysłu. To symbol czystości, duchowej doskonałości, dobroci, oświecenia i wiary. Poza tym reprezentuje spokój duszy, który w końcu osiągniesz. Może nie jutro, nie za tydzień, ale kiedyś ta chwila nastąpi.

Cichutkie pochlipywanie Tekli przywróciło Juliana do rzeczywistości.

– Nie wiem, co powiedzieć. Eleonora byłaby zachwycona.

Wyciągnął jedną z nich. Większą, która miała należeć do niego. Założył ją na serdeczny palec prawej dłoni. Nie miał zamiaru nosić jej na palcu po lewej stronie. Nie uważał się za wdowca. Tak jawna

deklaracja sprawiła, że Tekla zaczęła płakać jeszcze głośniej.

Tymczasem Julian sięgnął po mniejszą obrączkę. Rozpiął górny guzik koszuli, wyciągając złoty łańcuszek, na którym wisiał jego nieśmiertelnik.

– Wciąż noszę go przy sobie, chociaż do tej pory przypominał mi o najgorszych chwilach, jakie w życiu przeżyłem – odezwał się, widząc pytające spojrzenie Stefci. – Nie zdejmowałem go nigdy, ponieważ w jakiś sposób uświadamiał mi, że nic nie jest pewne i dane nam na zawsze – mówiąc to, odpiął łańcuszek, na który nasunął różową obrączkę. – Teraz i ona będzie przypominać mi, że życie i szczęście nie jest nam dane na zawsze.

– Czy ktoś może wreszcie wyciągnąć mój prezent?

Wysoki, piskliwy głosik Helenki, przepełniony dziecięcym zniecierpliwieniem, przerwał ciężką ciszę, jaka zapadła w salonie po ostatnich słowach Juliana.

Jej słowa były tak nieoczekiwane, że dorośli, jeszcze przed chwilą pogrążeni w smutku, nie mogli się nie roześmiać. Świąteczna atmosfera powróciła do domu Schrammów wraz z szelestem rozrywanych papierów, w jakie zapakowano bożonarodzeniowe podarunki.

\*\*\*

Było już po dwudziestej drugiej, kiedy Jan i Dionizy Matulowie wstali od wigilijnego stołu. Zawsze siedzieli przy nim długie godziny, powoli delektując się smakowitymi daniami, a potem rozmawiając o wszystkim i o niczym. Dzisiejszego wieczoru najczęściej wspominali Eleonorę, zastanawiając się, jak radzi sobie rodzina Schrammów podczas tych rodzinnych świąt. Nie obyło się także bez rozmowy o studiach Jana.

– W przyszłym roku o tej porze będziesz już magistrem – odezwał się z dumą starszy Matula.

– Widzę, że u wuja są do mnie niezmiernie pokłady wiary, ale ja sam mam czasami straszne wątpliwości – roześmiał się Jan. – Nie ma oczywiście mowy o rezygnacji, choć nie jest to najłatwiejszy -kawałek chleba, jaki mógłbym wybrać.

– Zawsze mogłeś zostać zarządcą majątku – zażartował Dionizy.

– Z dwójga złego zdecydowanie wolę zostać aptekarzem. A! – zawołał Janek, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

Zerwał się od stołu, kierując się w stronę choinki jasno rozświetlonej setkami świeczek. Sięgnął po jeden z leżących tam prezentów.

– Chciałem go dać wujowi teraz, zanim zaczniesz się wujek szykować na pasterkę.

Matula wziął płaską paczuszkę. Powoli, metodycznie odpakowywał podarek, tak żeby nie uszkodzić ozdobnego papieru. W końcu jego oczom ukazał się oprawiony w skórę notatnik. Na pierwszej stronie, w dolnym prawym rogu, umieszczono złote inicjały „DM”. Na środku znajdował się wytłoczony symbol Eskulapa. Brzegi notatnika dodatkowo zabezpieczono metalowymi okuciami. Kartki o kremowej barwie postarżono na brzegach, nadając im elegancki wygląd. Gruby papier dawał gwarancję, że zapisane -stronice --przetrwają długie lata.

– To twój stary notatnik w nowszej, bardziej wyszukanej wersji – powiedział Jan, patrząc na zaskoczoną minę wuja.

Dźwięk dzwonka do drzwi zagłuszył słowa podziękowania. Matulowie spojrzeli po sobie. Z przedpokoju dobiegła ich szybka wymiana zdań, chyba powitanie i krótkie, ale serdeczne życzenia, a potem usłyszeli zbliżające się kroki. Czekali z niecierpliwością na nadchodzącego tajemniczego gościa.

– Wszystkiego dobrego – odezwała się Stefania, wkraczając do jadalni Matulów.

– Stefcia?! – Jan zerwał się, spoglądając na zegar, którego wskazówki pokazały kwadrans po dziesiątej. – Jak? To znaczy... – jękał się Janek, całkowicie zaskoczony pojawieniem się Stefanii. – Czyżbym coś przegapił? Pomylił się?

– Nie, oczywiście, że nie. To ja postanowiłam wpaść dziś. Jeżeli przeszkodziłam...

– Ależ skąd – zapewnił Dionizy, dźwigając się z krzesła. – Państwo wybaczą – powiedział, zmierzając w stronę drzwi. – Mam zamiar udać się dziś, jak zawsze zresztą, na pasterkę, ale że kości już nie są zbyt młode, to skorzystam z okazji, że Janek ma uroczego gościa, i położę się chociaż na chwilę,



zanim zacznę się przygotowywać. Raz jeszcze wszystkiego dobrego – powiedział, patrząc na Stefanię. – Proszę także złożyć uszanowanie rodzicom.

Po tych słowach wyszedł z jadalni, zamykając dyskretnie drzwi, aby zapewnić Janowi i Stefanii nieco prywatności.

– Wiem, zaskoczyłam cię, ale nie martw się. To nic poważnego i nic strasznego, mam nadzieję, mnie tu sprowadza. – Bez ładu i składu paplała rozgorączkowana Stefcia.

– Usiądź – powiedział Jan, prowadząc ją w stronę stołu. – Mimo twoich zapewnień mam wrażenie, że jednak coś się stało, prawda? Inaczej nie gnałabyś tu sama w środku nocy.

– Och, Janku. Dziś dzień liczy się inaczej. Wigilia zaczyna się wieczorem. Na ulicach pełno ludzi. Spacerują, świętują. Julian zabrał Helenkę, żeby zobaczyła żywą szopkę, tę przy klasztorze Franciszkanów. Ja też na chwilę przystanąłam. Aż serce rośnie, kiedy patrzy się na tę nieskrępowaną dziecięcą radość. Moi rodzice również wybierają się na pasterkę. Ojciec uwielbia słuchać bicia Zygmunta. Mówi, że to jakby słuchać bicia własnego serca... – Stefcia zamilkła.

– Wszystko wywróciło się tak nagle do góry nogami – zaczęła mówić po chwili ze łzami w oczach. – Mieliśmy się szykować do ślubu... – Przyłożyła dłoń do ust, żeby powstrzymać łkanie.

Janek chciał ją objąć, ale zrobiła delikatny unik.

– Nie, nie przyszedłam tu, żeby płakać ani żeby żałować tego, co już się nie ziści. Przyszedłam tu, bo to wszystko, co się wydarzyło, sprawiło, że coś zrozumiałam. Nie można tracić czasu. Dość go już zmitrężyliśmy. Nie chcę później żałować. Gdybać.

Janek słuchał uważnie i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Stefcia znowu zamilkła. Wstała i zaczęła szukać czegoś w kieszeni płaszcza. W końcu wyjęła z niej zaciśniętą dłoń.

– Długo myślałam nad podarunkiem dla ciebie. Natchnęły mnie opowieści Tristana, kiedy byłam w Berlinie. Wiesz, że fascynuje mnie świat starożytnego Egiptu. Oko Horusa...

Mówiła szybko, jakby się bała, że ktoś jej przerwie. Albo że nagle straci odwagę, żeby powiedzieć, po co tu przyszła.

– Oko Horusa jest symbolem ochronnym. Chroni przed złym spojrzeniem i negatywnymi emocjami innych ludzi. Osobie, która go posiada, zapewnia opiekę i dodaje siły.

Stefania wreszcie otworzyła dłoń, na której leżał srebrny sygnet ze wspomnianym symbolem wykonanym z niebieskiego lapis-lazuli i zielonego prążkowanego malachitu. Janek wstał, chcąc objąć Stefcię w geście podziękowania, ale ona nagle przyklęknęła, wprowadzając go w osłupienie.

– Nie będę czekać – powiedziała drżącym z emocji głosem. – Czy zostaniesz moim mężem? – zapytała z prędkością karabinu maszynowego, wyciągając w jego stronę palce trzymające pierścień.

– Dziewczyno! – wykrzyknął Janek, unosząc Stefcię z kolan.

Poderwał ją na tyle wysoko, że mógł się z nią swobodnie okręcić.

– Ty nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, prawda? Oczywiście, że tak.

Postawił ją na ziemi i pocałował. Potem odsunął ją na odległość ramion i wyciągnął w jej stronę prawą dłoń. Uniósł zabawnie jedną brew.

– Niech panna czyni powinność. – Zafalował palcami, dając Stefci do zrozumienia, że czeka, aż nasunie mu sygnet na serdeczny palec.

Jego pierścionek zaręczynowy.

\*\*\*

– Magdalenka wreszcie zasnęła – powiedziała Rozalia, kładąc się obok Eryka. – Nie miałabym sumienia, żeby ciągnąć ją jeszcze teraz do kościoła, a zresztą sama padam z nóg.

– Ciało Madzi chciało spać już dawno, ale głowa pełna emocji nie mogła zasnąć, prawda? Kiedy byłem mały, miałem dokładnie tak samo, a przecież dostawałem o wiele mniej prezentów niż ona.

*À propos* prezentów, dziękuję za swój – powiedział Eryk, spoglądając na małą rzeźbę przedstawiającą samolot. – Jest piękny.

– Ja też dziękuję – odparła Rozalia, dotykając cienkiego łańcuszka, na którym zwisał misterny wisior w kształcie serca. – Ale skoro mowa o prezentach, mam dla ciebie jeszcze jeden. – Uśmiechnęła się zawadiacko.

Odwróciła się, żeby wyciągnąć coś spod poduszki. Eryk usiadł na łóżku, wpatrując się w niewielki płaski prostokąt.

– Otwórz – nalegała Rozalia.

Nie musiała go długo namawiać. Tak, miał przecucie, że pod ozdobnym papierem kryje się powieść jego utalentowanej żony.

– Wiedziałem – szepnął, tuląc ją do siebie. – „Mistrz Celtis”, przeczytał tytuł. Pióra Rozalii Zdanowskiej.

Był dumy. Pogładził z czułością litery układające się w imię i nazwisko Rozalii, która pod koniec listopada wspomniała o zapewnieniu Słapy, że książka na pewno ukaże się w księgarniach przed świętami.

– To najlepszy okres na sprzedaż. Rodzice szukają prezentów, a jak wiadomo, książka jest najlepszym podarunkiem – mówił naczelny Gebethnera, kiedy Zdanowska odwiedziła go w biurze.

– Otwórz – ponaglała teraz Eryka.

Ten zerknął na nią pytająco, jednak bez większego ociągania spełnił jej prośbę.

– „Moja miłość równie jest głęboka jak morze, równie jak ono bez końca. Im więcej Ci jej udzielam, tym więcej czuję jej w sercu” W. Szekspir – przeczytał.

Czuł, że w jego gardle tworzy się wielka gula wzruszenia. Chciał pocałować Rozalię, a potem pokazać jej, że kocha ją równie mocno, namiętnie i głęboko, ale żona ruchem głowy zwróciła jego uwagę na zakładkę zatknietą w książkę.

Otworzył na wskazanej stronie. Jego uwagę zwrócił zaznaczony fragment.

– Przeczytaj – poprosiła Rozalia. – Proszę, przeczytaj bajeczkę... – mówiąc to, położyła się spokojnie.

– „Jeszcze tego samego wieczoru odprawili rytuał zgodnie z zaleceniami staruchy. – Głos Eryka rozniósł się po sypialni. – Byli ostrożni i uważni. Zrobili wszystko, jak należy. Taką mieli nadzieję. A potem czekali, ale mijały dni, tygodnie i nic nie wskazywało, że magia zadziałała. Aż wreszcie, pewnego wieczora, kiedy Jan Celtis pochrapywał w małżeńskim łóżu, leżąc tuż obok ramienia żony, Barbara poczuła to niesamowite uczucie. Uśmiechnęła się. Wsluchiwała w siebie. Tak, nie myliła się. Położyła dłoń na brzuchu. Tam, gdzie rozwijało się nowe życie”. – Eryk zamilkł.

Spojrzał na wpatrującą się w niego Rozalię. Ukrył na chwilę twarz w dłoniach, a potem mocno się do niej przytulił.

– Intensywna praca zawsze popłaca – szepnęła mu do ucha.

Głośny, radosny śmiech rozniósł się po domu Zdanowskich. Nowo narodzone Dzieciątko przyniosło im najbardziej radosną wieść na świecie.

\*\*\*

Minęły święta, sylwester i święto Trzech Króli. Życie w Krakowie znowu wracało do normalności, którą na krótki czas zastąpiła świąteczna radość, kiedy to ludzie nagle stają się dla siebie miłsi, bardziej uprzejmi, cierpliwi. Skorzy do pomocy.

A potem wszystko wraca na stare tory. Robi się nerwowo, mniej kulturalnie, mniej przyjaźnie. Wszystko wszystkich denerwuje. A to przekupki na Rynku zbyt głośno zachwalają swoje towary. A to ceny znowu poszły do góry. A to pies sąsiada za głośno szczeka. Tramwaj nie przyjechał na czas. Motorniczy odburknął coś niewyraźnie...

Życie znowu staje się monotonne i przewidywalne. Jednak nie w przypadku młodego Michałowskiego, który tuż przed końcem roku podjął niecodzienną decyzję, zaskakującą nie tylko rodzinę, ale i jego samego.

Teraz wkroczył Julian na krakowski peron, trzymając mocno malutką rączkę Helenki. Jak zwykle w tym miejscu kłębił się tłum podróżnych i ich rodziny, czekające na powrót bliskich albo właśnie ich żegnające.

Zerknął na zegarek, aby mieć pewność, że nie przyszli zbyt wcześnie. Ten normalny, powtarzany setki razy ruch przywołał niezwykle wspomnienie sprzed lat.

Julian uniósł głowę. Przypomniał sobie, że do odjazdu pociągu został jeszcze ponad kwadrans.

Wyteżył wzrok, co nie było łatwe, zważywszy na fakt, że miał tylko jedno zdrowe oko. Czarna opaska, którą nosił, może już nie przeszkadzała, ale nie była zbyt komfortowa.

Szukał spokojnie, lustrując otoczenie. Przyglądał się spacerującym po peronach kobietom.

Nie, nie, mówił w myślach, przeskakując z jednej sylwetki na drugą.

W końcu ją zauważył.

Stała spokojnie. Nie chodziła po peronie zniecierpliwiona oczekiwaniem. Głowę miała nisko opuszczoną, a zaokrąglone ramiona od razu powiedziały mu, że przygniała ją jakiś ciężar, smutek. Chociaż wpatrywał się w nią intensywnie, nie doszukał się na jej twarzy tej buńczucznej miny, a oczy, które często ciskały błyskawice, wyglądały na pozbawione blasku.

Zaczął przeciskać się przez tłum. Nie zwracał uwagi na zaciekawione spojrzenia. Zdążył się do nich przyzwyczaić.

Pamiętał swój pierwszy raz poza domem.

Siedział wtedy w kościele, modląc się żarliwie o powrót Eleonory do zdrowia. Zauważył, że kobiety zerkają na niego z ukosa. Spod przymrużonych powiek. Niby od niechcenia. Niby przypadkowo. W ich spojrzeniach znalazł ciekawość i podziw.

Spoglądali na niego także mężczyźni. Spodziewał się w ich wzroku litości dla jego ułomności, ale zobaczył szacunek.

Przed oczami stanęła mu sylwetka roześmianej Rozalii, z którą podzielił się swoimi spostrzeżeniami. Siostra była przekonana, że blizna, ta fizyczna, którą już na zawsze miało nosić jego ciało, i ta głębsza, psychiczna, która naznaczała wracających z frontu, była dla kobiet niezwykle atrakcyjna, pociągająca, dodająca jego twarzy tajemniczości.

Nagle się zatrzymał.

Coś wytrąciło go z równowagi.

Miał wrażenie, że w jego umyśle zaciera się rzeczywistość i przeszłość.

Ktoś ścisnął jego rękę. Jakby z oddali dobiegał cichutki głosik.

Dziecięcy?

Nie, nie może być.

Potrząsnął głową.

Już miał zerknąć w dół, na swoją dłoń. Na rękaw płaszcza, który chyba ktoś szarpał nerwowo, ale wtedy Eleonora odwróciła się do niego powoli. Jeszcze raz potrząsnął głową, żeby wyostrzyć wzrok. Jej sylwetka była jakaś zamglona.

Niewyraźna. Nierzeczywista.

I wtedy usłyszał jej cichy głos:

– Wiesz, że kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, gdy podjechałeś samochodem pod sklep Gałkowskiej, pomyślałam, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam. – Zamilkła na chwilę. – Myliłam się. To teraz jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam.

Obraz Eleonory zaczął się zamazywać. Chciał do niej podbiec. Ale zamiast tego zdobył się tylko na cichy szept.

– Chcę ciebie, Eleonoro Schramm – powtórzył stanowczo.

I znowu ją zobaczył.

W oddali, gdzieś w tłumie. Jej sylwetka pojawiała się i znikła między spieszącymi na pociąg pasażerami. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Zamknął oczy. Przypomniał sobie tamtą chwilę. Myślała, że odejdzie bez słowa, ale on przyciągnął ją jednym płynnym ruchem do siebie.

Jego pocałunek był zaborczy, namiętny, nieprzywoity i obiecujący. Żałował, że tak szybko wypuścił ją wtedy z ramion. Westchnął. W uszach wciąż słyszał przyspieszony oddech Eleonory, która oddychała jak po męczącym biegu.

W głowie kołatały się słowa, które wypowiedział:

– A, byłbym zapomniat. Jeśli mnie pamięć nie myli, to należy do ciebie.

Mimowolnie sięgnął wolną ręką do kieszeni. Tak, dziś znowu tam był. Wyciągnął pierścionek zaręczynowy, który podarował Eleonorze. Nie miał siły, żeby się z nim rozstać, dlatego poprosił, aby

mu go oddano.

Poczuł, że ma mokre policzki. Ktoś szarpał go za rękaw. Piskliwy głosik wciąż coś do niego wołał.

– Wujku! – piszczała Helenka, próbując wyrwać swoją rączkę z jego stalowego uścisku. – Wujku, to boli!

– Julianie! – Ostry głos ojca w końcu go otrzeźwił.

Zniknęły wspomnienia.

Zniknęła Eleonora.

Rozejrzał się dookoła. Niektórzy rzucali w jego kierunku ciekawskie spojrzenia. Stał na peronie, z którego odchodził jego pociąg. Do Warszawy, a potem dalej. Obok niego zebrała się rodzina.

Szczęśliwa Stefania z Jankiem, który zdążył pochwalić się, że przyjął oświadczyny Stefci. Zapracowani i zmęczeni ojcowie – Jan i -Aleksander, którzy całą energię wkładali w uruchomienie gorzelni.

Miał nieco wyrzutów sumienia, ale nie mógł na razie zostać w Krakowie. Tu wszystko zbyt mocno przypominało mu o Eleonorze. Nawet ten głupi peron, pomyślał.

Nieco z boku stała zatroskana Tekla Schramm, ocierająca ukradkiem łzy. Była też Rozalia, cała promieniejąca radością, a u jej boku niezaprzeczalnie najszczęśliwszy mężczyzna, jakim był teraz Eryk. Zazdrościł im tej radości, ale cieszył się szczęściem siostry, która -niebawem miała zostać matką.

– Będziesz wujkiem! – przywitała go w pierwszy dzień świąt, kiedy zaszedł z Helenką do Zdanowskich, żeby złożyć życzenia zdrowia i szczęścia.

Wziął ją wtedy w ramiona i okręcił dookoła, tak jak kiedyś, kiedy byli dziećmi, a ona prosiła, żeby zrobił jej karuzelę. Gdy siedzieli wieczorem w salonie, Eryk i Rozalia zapytali, czy jeśli urodzi się dziewczynka, mogą dać jej na imię Eleonora. Zamiast odpowiedzieć, skinął tylko głową, płacząc jak małe dziecko. Także teraz, na to wspomnienie, zachciało mu się płakać, dlatego żeby tego nie robić, rozejrzał się po peronie.

Zauważył Rudolfa, który wciąż zapewniał go, że nie przyniesie hańby kancelarii Michałowski i Rosenblatt podczas jego nieobecności.

– Proszę się nie martwić, panie hrabio, wszystko będzie pod najlepszym nadzorem. – Nadal nie potrafił się przekonać, żeby mówić do Juliana po imieniu.

Sygnal nadjeżdżającego pociągu wywołał na peronie poruszenie. Zaczęli się żegnać, podchodząc do niego po kolei, życząc jemu i Helence szczęśliwej podróży.

– Na pewno musisz jechać? – zapytała Tekla, która podeszła do niego na samym końcu.

Jan czekał na małżonkę z boku.

– Muszę – odparł Julian. – Kraków jest dla mnie otwartą raną. To po pierwsze. Poza tym tu wszystko wiąże się z Eleonorą, a po drugie, chcę to zrobić dla niej. Miała takie marzenie. Chciała wyjechać. Zwiedzić świat. Chciała być jak Nellie Bly.

Przytulił Schrammową do piersi.

– Wrócę, mamó. Wrócę – zapewnił ją na koniec.

W końcu pożegnał się ze wszystkimi i zajął razem z Helenką miejsce w przedziale. Głośny gwizd lokomotywy, zwiastujący odjazd, -zakończył dylematy Juliana. Opuszczał Kraków.

Na jak długo?

– Czas pokaże – szepnął, żegnając ukochane miasto i ludzi, których kochał.